



**W serii ukazały się:**

David Albahari *Mamidło*

Attila Bartis *Spokój*

Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*

Thomas Bernhard *Wymazywanie*

Javier Cercas *Żołnierze spod Salaminy*

Michel Faber *Bliźnięta Fahrenheit · Jabłko · Pod skórą ·*

*Szkarłatny płatek i biały*

Jonathan Safran Foer *Strasznie głośno, niesamowicie blisko ·*

*Wszystko jest iluminacją*

Laurent Gaudé *Słońce Scortów*

David Gilbert *Normalsi*

Jan Guillou *Zło*

Enrique de Hériz *Kłamstwa*

Christopher Hope *Kochankowie mojej matki*

Michel Houellebecq *Cząstki elementarne · Możliwość wyspy ·*

*Platforma · Poszerzenie pola walki*

Daniel Kehlmann *Beerholm przedstawia*

Imre Kertész *Fiasko · Ja, inny. Kronika przemiany · Kadysz  
za nienarodzone dziecko · Likwidacja · Los utracony*

Michaił Kononow *Goła pionierka*

László Krasznahorkai *Melancholia sprzeciwu · Szatańskie  
tango*

Doris Lessing *Lato przed zmierzchem*

Karel van Loon *Ojciec i ojciec*

James Meek *Ludowy akt miłości*

Harry Mulisch *Odkrycie nieba · Procedura*

Per Petterson *Kradnąc konie*

Wiktor Pielewin *Empire V · Generation „P” · Mały palec  
Buddy · Omon Ra i inne opowieści · Święta księga  
wilkołaka · Życie owadów*

W.G. Sebald *Austerlitz · Wyjechali*

Zeruya Shalev *Po rozstaniu · Życie miłosne*

Władimir Sorokin *23000 · Bro · Dzień oprycznika · Łód*

Jáchym Topol *Nocna praca · Siostra · Strefa cyrkowa*

Mo Yan *Kraina wódki · Obfite piersi, pełne biodra*

Juli Zeh *Instynkt gry · Orły i anioły*

Zeruya Shalev  
**MAŻ I ŻONA**

Przełożyła  
Agnieszka Jawor-Polak

## Rozdział pierwszy

W pierwszej chwili dnia, gdy nie wiedziałam jeszcze, czy jest zimno, czy ciepło, dobrze czy źle, zobaczyłam dolinę Arawa, wymarłą i płaską, porośłą anemicznymi, przykurzonymi krzakami, posępnyymi jak opuszczone namioty. Nie żebym tam była ostatnio, ale on był, wrócił ledwie wczoraj w nocy, a teraz otwiera wąskie oko w kolorze piasku i mówi, nawet w śpiworze w Arawie spało mi się lepiej niż z tobą tu.

Z jego ust wymyka się odór starego buta, odwracam twarz w kierunku płaskiej gęby budzika, który właśnie zaczyna dzwonić, on warczy, mówiłem ci tyle razy, żebyś stawiała budzik w pokoju Noi, ja podrywam się błyskawicznie, plamy słoneczne wirują mi przed oczami, co ty, Udi, to jeszcze dziecko, my powinniśmy ją budzić, nie ona nas. Że też ty zawsze wiesz, co się powinno, rzuca poirytowany, kiedy wreszcie zrozumiesz, że „powinno się” nie istnieje, i w tym momencie rozlega się jej głos, zbliża się niepewnie, omija wysypane na podłogę zeszyty, łamie się nad stertami zamkniętych książek, próbuje szczęścia, tato?

On sięga nade mną, wściekle uciska budzik, ja szepczę mu w ramię, ona cię woła, Udi, wstań do niej, prawie tydzień cię nie widziała. W tym domu nie można się nawet wyspać

jak człowiek, trze oczy niezadowolony, dziewczyna ma dzie-  
sięć lat, a ciążasz się z nią jak z niemowlakiem, dobrze,  
że jej nie zmieniasz pieluszek, i wtedy w drzwiach sypialni  
pojawia się jej twarz, wygięta ukośnie szyja, ciało jest jeszcze  
ukryte za ścianą. Nie mam pojęcia, co słyszała z naszej roz-  
mowy, jej głodne oczy chłoną ruchy naszych warg, chociaż  
się nimi nie karmią, teraz spoglądają na niego, z góry uražo-  
ne, tęskniłyśmy za tobą, tato, a on posyła jej wymięty  
uśmiech, naprawdę? Pewnie, mówi ona, to prawie tydzień.

Po co ja wam właściwie jestem potrzebny, Udi zaciska  
wargi, lepiej wam będzie beze mnie, ją odrzuca w tył, głodne  
oczy zwężają się, ja wstaję z łóżka, słońko moje, tata tylko  
żartuje, idź się ubrać. Rozzłoszczonymi palcami szarpie  
załuzję, wystawiam się na silne światło, które gwałtownie  
zażółca pokój, jakby ktoś w niebie skierował na nas reflektor  
o wielkiej mocy, śledził nasze poczynania. Na'ama, umie-  
ram z pragnienia, mówi on, przynieś mi wody, ja burczę, nie  
mam czasu jeszcze się tobą zajmować, Noa zaraz się spóźni  
i ja też, on próbuje usiąść, widzę, jak jest zmęczony, stara się  
unieść, opalone ramiona trzepocą, twarz czerwienieje z wy-  
siłku i gniewu, kiedy szepcze, Na'ama, nie mogę wstać.

Usłyszała natychmiast, znów jest przy łóżku ze szczotką  
do włosów w ręku, podaje mu drugą rękę, chodź, tato, ja ci  
pomogę, szarpie go, zgina grzbiet, napina wargi, jej wrażliwe  
nozdrza ściągają się, aż pada na niego, bezradna, zarumie-  
nioną, mam, on naprawdę nie może wstać. Co to znaczy,  
pytam wystraszona, boli cię coś? Nic mnie nie boli, mamro-  
cze, ale nie czuję nóg, nie mogę nimi ruszać, jego głos łudzą-  
co przypomina teraz psi skowyt, nie mogę.

Ściągam z niego kołdrę, długie nogi leżą bez życia na ma-  
teracu, obsypane pisklącym puszkami, pod którym prężą się

jak struny znieruchomiłe mięśnie. Zawsze zazdrościłam tym nogom, że się nigdy nie męczą, oprowadzają turystów po Arawie i Pustyni Judejskiej, po Dolnej i Górnej Galilei, a ja zostaję w domu, bo nawet najkrótszy spacer to dla mnie wysiłek. Wymyślasz to sobie, narzekał, plecak śmiał mu się już na ramionach jak uszczęśliwione niemowlę, po prostu chcesz pobyć beze mnie, a ja stałam przed nim zmieszana, wskazując ze smutkiem na moje wiecznie bolące płaskie stopy, które nas dzielą.

W którym miejscu nie czujesz, macam go, palce drżą u szczytu uda, szczypią twarde ciało, czujesz to? Noa jak zwykle przesadza, przejeżdża szczotką w tę i z powrotem, ryjąc czerwone bruzdy na jego nogach, czujesz to, tato?

Dosyć, zostawcie mnie, wybucha on, przypięłyście się do mnie, że oszaleć można! Noa wbija sobie kłującą szczotkę w zagłębienie dłoni, chcieliśmy tylko sprawdzić, czy coś czujesz, jemu robi się przykro, czuję coś niewyraźnie, ale nie mogę się ruszyć, jakbym miał zdrętwiałe nogi. Nie otwierając oczu, szuka kołdry, więc go nakrywam powoli, kołdra opada, wachlując mu twarz, tak nakrywała mnie matka, kiedy chorowałam, studziła mi czoło tchnieniem swojej miłości. Cienkie włosy unoszą się i ponownie lądują na głowie, razem z kołdrą, ale on jęczy spod niej jak uderzony, co to za kołdra, jest strasznie ciężka, ja mówię, Udi, to twoja kołdra, ta co zwykle, a on stęka, dusi mnie, nie mogę oddychać.

Mamo, już wpół do ósmej, a jeszcze nic nie jadłam, woła Noa płaczliwie z kuchni, ja wpadam w złość, czego ode mnie chcesz, weź sobie coś sama, nie jesteś niemowlęciem, ale zaraz jednak robi mi się jej żal, więc biegnę, wysypuję płatki kukurydziane do miseczki, wydaję mleko z lodówki, ale ona podnosi się z urażoną miną, nie jestem głodna, wkłada

tornister i idzie do drzwi, wpatruję się w jej plecy, coś dziwnego miga spod ramiączek tornistra, kolorowe, dziecinne rysunki, misie i zajączki kiwają się wesoło, kiedy schodzi po schodach, Noa, jesteś w piżamie, dociera do mnie nagle, zapomniałaś się ubrać!

Wraca na górę ze spuszczonymi oczami, słyszę uderzenie tornistra o podłogę, jęk sprężyn łóżka i biegnę do jej pokoju, zastaję ją wyciągniętą w pościeli, pod warstwą misiów i zajączków, co robisz, strofuję ją, już za piętnaście ósma, a ona zanosi się płaczem, nie chcę iść do szkoły, źle się czuję. Dopada mnie oskarżające spojrzenie jej oczu, które widzą, jak moje serce twardnieje wobec niej, kurczy się do rozmiarów pestki, jak pięść niechęci przygważdża mnie do ściany. Niepohamowany płacz wstrząsa każdym kosmykiem jej włosów, ja krzyczę, ty też musisz mi utrudniać życie, nie mogę z tobą, a ona wrzeszczy, a ja nie mogę z tobą! Podrywa się gwałtownie, mam wrażenie, że zaraz rozdziawi usta i mnie pożre, ale ona odpycha mnie i zatrzaskuje drzwi na mojej twarzy.

Cofam się oszołomiona, wpatrując się w jej wzburzone, zamknięte, i w jego milczące drzwi, jeszcze krok i natykam się na drzwi wejściowe, otwieram je, wychodzę na schody, siadam w nocnej koszuli na chłodnym stopniu, patrzę na ten piękny dzień, strojny w złociste powietrze, łagodny wiaterek zaprasza na spacer drobne listki, zbiera resztki kolorowych kwiatów, miodowe chmury tulą się do siebie miłośnie. Zawsze nienawidziłam takich dni, poruszałam się w nich jak nieproszony gość, przecież w taki dzień smutek się uwidatnia w dwójnasób, nie mając się gdzie ukryć w wielkim blasku, biega jak oślepiiony nagłą jasnością zając, obija się wystraszonej między lśniącymi kołami radości.

Za moimi plecami otwierają się drzwi, ciężkie adidasy schodzą po schodach, a w nich Noa, ubrana i uczesana, zadzieram głowę, zdziwiona, ależ wydoroślała, pochyła się nade mną i całuje mnie w czoło bez słowa, ja też milczę, odprowadzając piekącymi oczami znikający w oddali tornister. Wielka, przejrzała pomarańcza ląduje nagle na chodniku na dole, mało jej nie trafiła w głowę, rozgniała się w żółtej kałuży, kto jej nadał bieg, przecież nie ten prawie nieodczuwalny wiatr majowy, zaraz dzieci wdepną w kałużę, ich ślady zdążą zgnieć na chodniku, zanim wrócą w południe, Noa też wróci, zmęczona, z jasnymi włosami w strąkach i z jednym zdaniem na ustach, zacznie je już na schodach, a ja usłyszę tylko jego koniec, tato, tato, tato.

Podnoszę się ociężale, mam wrażenie, że dzień już się kończy, tak się zmęczyłam, a jeszcze tyle godzin dzieli mnie od nocy. Na palcach wracam do sypialni, stoję cicho przy łóżku, oglądam bacznie piękne ciało, spoczywające na nim bez cienia wstydu, niemające nic do ukrycia. Pamiętam to ciało z czasów, kiedy byliśmy młodzi, gdy jeszcze było mniejsze niż moje, ściśnione jak nierozwinięty pączek, starałam się chodzić jezdnią, podczas gdy on zwykle szedł po chodniku, żebyśmy się nie musieli wstydzić naszego wspólnego cienia, garbiłam się przez wzgląd na niego, wbijając wzrok w szarą linię, gdzie jezdnia łączy się z chodnikiem, a on rósł i dojrzewał na moich oczach, aż pewnego wieczoru wciągnął mnie na chodnik, do siebie, położył mi rękę na ramieniu, a cień pokazał doskonały obraz i ogarnęła mnie duma, jakbym zdołała poprzez upór i wiarę obejść prawa życia. Przyglądam mu się rozgoryczona, próbując wypatrzyć ruch w jego członkach, lekka wiosenna kołdra leży w nogach zawstydzona, lampka nocna nachyla się nad nim

najniewinniej, jakby to nie ona była powodem naszych codziennych kłótni. Zgaś już, prosiłam, nie mogę spać, on się irytował, ale ja jeszcze czytam, nie umiem zasnąć bez czytania, więc przeklinałam milcząco lampkę, życząc jej zabójczego zwarcia, czasem ostentacyjnie wychodziłam z pokoju z poduszką i kołdrą w ramionach, padałam jak strudzony uchodźca na kanapę w salonie, a rano on zawsze uprzedzał mnie w narzekaniach, znowu ode mnie uciekłaś, byle drobiazg wystarczy, żebyś uciekła.

Jego szczupłe nogi są martwe, ale usta się rozchylają z westchnieniem, napięte wargi podstarzałego chłopca giną w uwiedłej twarzy, wysane w zapadłe policzki pod precyzyjnie wyrysowanymi brwiami, patrzącymi z żalem w dół, na rysy, których uroda przygasła w ciągu jednej nocy, a wszystko to ma identyczną barwę, doskonale jednolity kolor piasku, szarozłocisty, jak mundur z kurzu i słońca, którego nie sposób zdjąć. Próbuję go uleczyć wzrokiem, przerażenie pełza po mnie jak włochata liszka, czy to właśnie jest ta chwila, o której zawsze wiedziałam, że nie da się przed nią uciec, chwila przełamująca życie na dwoje, po której nic nie jest takie jak przedtem, wszystko odbija się w prześmiewczym krzywym zwierciadle, czy to ta chwila, czy to jej zapach, jej koloryt, chwila, w której całe nasze poprzednie życie wyda się nabrzmiałe szczęściem jak spadająca pomarańcza, wobec tej samotności, kalekiej, zawstydzonej, na łóżku, na zawsze.

Niematerialna ręka, długa i ciepła, wyciąga się do mnie z łóżka, duża, matczyzna, wabi mnie, żebym się położyła przy nim, zapadła na jego paraliż, wstrząsa mną dreszcz, czuję, że życie wypływa ze mnie cienką strużką, kropla po kropli i zbiera się w kałużę poza tym pokojem, a ja, nagle ulotna i lekka, próbuję się uchwycić otwartego okna, rozglą-



dam się po pokoju, jakbym była wiosennym ptakiem, który wpadł tu przypadkiem. Oto duża szafa, pod samą ścianą, nie dalej jak wczoraj wspierałam się na drabinę, wyjęłam letnie ubrania i schowałam zimowe, wpychając je głęboko, jakby zima miała nigdy nie wrócić, potem Noa wypadła od siebie, jak zwykle w połowie zdania, kiedy wróci tata, zaraz potem spytała, kiedy będzie jedzenie, ja powiedziałam, wróci w nocy, ale ty będziesz już spała, jutro rano go zobaczysz. Zaprowodzi mnie do szkoły? spytała z rozedrganymi nozdrzami, czemu nie, odpowiedziałam, zawsze po kilkudniowej nieobecności Udiego zdawało nam się, że tylko jego fizyczny brak stoi między nami, że gdy tylko wróci, wypełni się ta pusta przestrzeń w naszym domu.

Oto czerwony dywan mojego dzieciństwa, w przetarte małe serduszka, a to łóżko, kupione z pewnym wahaniem kilka lat temu od pary, która się rozwiódła, przy nim jego plecak, pusty i zakurzony, na ścianie zdjęcie starego domu z dachem krytym dachówką, nad którym żeglują młode chmury, próbuję szukać ratunku w stabilności przedmiotów martwych, proszę, niczego nie ubyło, nic się nie zmieniło, więc w moim życiu też nie zajdzie żadna zmiana. On się za chwilę zbudzi i będzie mnie ciągnął do łóżka, jak zwykle uszczypliwy, władczy, wiem dokładnie, czego ci trzeba, oznajmi, dlaczego nie chcesz przyjąć ode mnie tego, co mogę dać, a ja tym razem nie zacznę się z nim spierać, jak zawsze, nie przedstawię mu z bezgraniczną powagą początkującej kolekcjonerki katalogu moich rozczarowań, tylko zdejmę koszulę i wskoczę do łóżka jak do basenu - w jednej chwili, nie sprawdzając wody, właściwie dlaczego nie, przecież jesteśmy mężem i żoną, i mamy tylko tę jedną kromkę życia.

## Rozdział drugi

Stoję w strugach niemal wrzącej wody, nagle wydaje mi się, że słyszę płacz niemowlęcia, chociaż nie dociera do mnie zwykłą drogą, przez uszy, tylko wbija się poprzez żebra prosto w serce. Mała Noa się obudziła, białe czółko jest rozpalone, oczy płoną gorączką, więc ze smutkiem uciszam wodę, żegnam się z jej kojącym szumem i nasłuchuję, przecież Noa wyszła, przypominam sobie z ulgą, po jej niemowlęctwie też nie ma śladu, już mi nie grozi jej bezradność, i znowu odkręcam kran, kiedyś matka stawiała mi na widoku zegar, tylko siedem minut, uprzedzała, musi starczyć ciepłej wody dla wszystkich, a ja z niechęcią śledziłam bieg wskazówek, takie krótkie było te siedem minut w objęciach ciepłej wody, chciałam dorosnąć i opuścić dom wyłącznie po to, żeby brać prysznic bez zegarka, a teraz już mam zacząć kąpiel od początku, tuląc się ochoczo do strumienia, kiedy znów alarmuje mnie płacz, słaby, ale natarczywy, mokra wybiegam z łazienki, widzę, że Udi szlocha z zamkniętymi oczami, a przezroczysta ciecz wypływa mu z nozdrzy. Udi, uspokój się, nic złego się nie dzieje, potrząsam nim, woda z moich włosów kapie mu na opaloną twarz, nawet łyza ma w kolorze piasku, jakby został zaklęty w pustynię na wieki,

siadam przy nim i próbuję wziąć jego głowę na kolana, ale jest ciężka i zimna jak marmur, nagle z jego gardła wydobywa się krzyk, jak kula z zionącej ogniem lufy, nie dotykaj mnie, to boli!

Podrywam się gwałtownie z łóżka i stoję przed nim naga, nie tą prowokującą, popędliwą nagością, jaką kiedyś miałam, zwierzęco naturalną i swobodną, tylko pokorną nagością ludzką, w której kochające oko może się dopatrzeć piękna, ale nie takie oko otwiera się na mnie teraz, pluje mi w twarz piaskiem. Myślałam, że lubisz, jak cię dotykam, bąkam, próbując odwołać się do żelaznych pewników z przeszłości, ale z jego gardła znowu bucha ogień, nie rozumiesz, że mnie to boli!

Przedtem mówiłeś, że nie boli, oponuję, nie potrafię się odnaleźć w tym pełnym zamętu poranku, wciąż mam nadzieję, że lada chwila wszystko wróci do normy i będziemy o tym mówić w czasie przeszłym, co cię bolało, zapytam, on powie, jakie to teraz ma znaczenie, najważniejsze, że przeszło, tylko mały mnie jeszcze boli, i doda z uśmiechem, chyba chce buziaka, a potem stanowczymi dłońmi poprowadzi moją moką głowę drogą, która zawsze wydaje się dłuższa, niż jest w rzeczywistości, od moich warg do swojego członka.

Chcę wody, mamrocze, od kilku godzin proszę cię o wodę, więc biegnę, napełniam szklankę i podaję mu, ale on nie wyciąga rąk, które, suche i wątłe, spoczywają po bokach ciała. Napij się, mówię, a on pyta, jak?

Co znaczy jak, weź szklankę, mówię z lękiem, a on wzdycha, nie jestem w stanie, ręce ani drgną. Niemożliwe, irytuję się, przecież ledwie godzinę temu te ręce zdusiły budzik, żadna choroba nie rozwija się w takim tempie, co się tu dzieje,

on udaje, podejrzliwość, litość i gniew kłóca się we mnie gwałtownie jak małe dziewczynki, znieważając się nawzajem. Jak możesz go podejrzewać, zobacz, jak cierpi, ale to się nie mieści w głowie, może on fantazjuje, chociaż to też choroba, nie mniej niepokojąca, jak sobie poradzę z tym wszystkim, wreszcie przeważa głos litości, zagłusza pozostałe, aż nikną gdzieś w oddali, zawstydzone, grzmi w całym domu, on jest chory, chory, przyszła choroba i zabiera go, ciągnie w swoje odmetry.

Narzucam szlafrok frotte i siadam przy nim, próbuję go napoić łyżeczką, woda opada na spieczony język, wprawia w taniec jabłko Adama. Zapaść żaluje, szepcze, a ja dzielnie odpieram słońce i całą jego armię. Kładę się przy nim w półmroku, gładzę kocyki kurzu na wąskiej piersi i pytam, co się z tobą dzieje, Udi, kiedy to się zaczęło.

Nie mam pojęcia, wzdryga się, kiedy wróciłem do domu w nocy, byłem wykończony, ledwo wszedłem po schodach, myślałem, że jestem po prostu zmęczony, ale teraz rozumiem, że to było coś całkiem innego, boję się nawet pomyśleć, co to może być. Co cię boli, pytam, on szepcze, wszystko mnie boli, boli mnie nawet, kiedy oddycham, ja gładzę go lekko, w półmroku to ciało jaśniej zapomnianym pięknem, monotonne głaskanie uspokaja mnie i usypia, już zamykam oczy w błogiej bezsilności, dawno się nie wylegiwaliśmy w łóżku rano, może się polenimy cały dzień, może ukryję go jak porwane dziecko, zostanie w domu na zawsze, nie będzie od nas uciekał w swoje długie wędrówki, nie powędruje już nawet do ubikacji, będzie tak leżał, całkowicie zdany na naszą łaskę, wynagrodzi Noi swoją nieobecność, wysłucha, co było dzisiaj w szkole, nauczycielka skrzyczała ją, ale ona nic nie zrobiła, nic, tylko się przeszła po klasie,

żeby pożyczyć gumkę, dlaczego zawsze się jej czepiają, ja rzucę pracę, nie mogę się już opiekować innymi, powiem, pójdę na urlop macierzyński bez macierzyństwa, a jego chorobę ukryję, żeby mi nie kazali zabrać go do lekarza, same będziemy go pielęgnować, zostanie naszym rozpieszczanym jeńcem, wielkim niemowlakiem, który jeszcze nie raczkuje i nie siada, zachowamy go tylko dla siebie, nie damy mu wyzdrowieć ani umrzeć, będzie maleństwem, którego tak bardzo pragnęłam, dzięki któremu staniemy się rodziną.

Tymczasem płacz rozdziera mroczną ciszę, wyrwa mnie z błogiej drzemki, Na'ama, boję się, pomóż mi. Otrząsam się gwałtownie, co się ze mną dzieje, na co czekam, trzeba jechać do szpitala, oświadczam tonem energicznym, rażącym nawet dla moich uszu, a on nieruchomieje, wciąga głowę w ramiona, zawsze nienawidził lekarzy bardziej niż chorób, nie chcę, chcę zostać w domu, ale jego opór jest słaby, z łatwością go łamię mój zdecydowany głos.

Spróbuj poruszyć rękami, sugeruję, może czar ustąpił tymczasem, ale ręce ani drgną, podobnie nogi i plecy, żaden ruch nie ożywia jego ciała, tylko wargi się wykrzywiają, a wystraszone oczy biegają po pokoju w tę i z powrotem. Nie ma wyjścia, Udiczku, szepczę, muszą cię zbadać, muszą się tobą zająć, ja nie wiem, co mam robić, on mówi, może zaczekajmy do jutra, ja sprzeciwiam się stanowczo, jakbym wcale przed chwilą nie myślała o tym, żeby go ukryć w domu na zawsze, nie wchodzi w rachubę, to nieodpowiedzialne. Ale jak pojedziemy, przecież nie mogę chodzić, lamentuje, a ja, sama wystraszona jednoznacznością tych słów, mówię, nie ma wyjścia, musimy wezwać karetkę.

Płacz Udiego towarzyszy mi, kiedy wyjmuję z szafy ubrania, od lat nie słyszałam jego płaczu, od upadku Noi, a teraz

brzęczy mi w uszach, rani i przeraża, wciągam spłowiełe dzinsy, ale zaraz zmieniam zdanie, wolę dopiero co kupiony kostium, cienki szary żakiet i spodnie, maluję się w skupieniu, rozpuszczam włosy, im lepiej będę wyglądać, tym łatwiej zdołam przepędzić chorobę. Na tle żałosnej anonimowości izby przyjęć będę taka olśniewająca, tak pewna siebie, że wszyscy lekarze uwierzą, że jestem tam wyłącznie przez przypadek, i szybko nas wypuszczą, na myśl o tej przygodzie ogarnia mnie nagle dziwne poruszenie, idziemy dziś razem na miasto, nie, jak zwykle, do pracy, każde osobno. W jego wzroku, utkwionym w moich plecach, wyczuwam zdumienie i wrogość, zupełnie zwariowałaś, warczy, myślisz, że dokąd idziesz, a ja odwracam się, pokazując mu umalowaną twarz, co ci przeszkadza, Udi, dzięki temu czuję się pewniej, już się usprawiedliwiam, jakby chodziło o zdradę, a on dalej swoje, mój niepewny ton prowokuje go, jesteś śmieszna, jak możesz się dzięki temu czuć pewniej, jedziesz do szpitala, nie na bal, dociera to do ciebie, jedziesz, bo nie mogę się ruszać, ale już się cieszysz, bo myślisz, że w ten sposób się mnie pozbędziesz.

Zakrywam twarz zbolałymi palcami, jakby miotał na mnie z łóżka kamienie, grad plugawych sylab, jak on śmie wdzierać się w moje wnętrze i wyrzucać tam swoje śmiecie, jak je z siebie usunę, jak mu udowodnię, że myli się co do mnie, dlaczego w ogóle muszę mu coś udowadniać, wiecznie się usprawiedliwiać, jakby moja вина była bezgraniczna. Gwiżdż na niego, mówiła Anat, po prostu na niego gwiżdż, on i tak nie słyszy, co do niego mówisz, słyszy tylko siebie, sam siebie podburza przeciwko tobie, a ja nie dowierzałam, po co miałyby to robić, przecież mnie kocha. Właśnie dlatego, że cię kocha, wyjaśniała mi jak zniecierpliwiona

nauczycielka, ja pytałam błagalnie, jakby to od niej zależało, ale dlaczego nie możemy się po prostu kochać, być przyjaciółmi, dlaczego to takie trudne, a ona stwierdziła, bo taka jest rzeczywistość, Na'ama, teraz też mam ochotę pobiec do telefonu i zdać jej relację, jak kiedyś, on powiedział, a ja powiedziałam, on obraził, ja się obraziłam, ale zaraz sobie przypominam, że on może tylko ruszać ustami, nie ma władzy nade mną, nie może wstać i wyjść, jest całkowicie na mnie zdany. Jego słowa bez moich uszu będą zagubione, bezsensowne, żałosne, daremnie będą próbowały do mnie dotrzeć, więc wychodzę z pokoju, idę do telefonu, żeby zadzwonić do pracy, i wtedy zauważam, że spod kolorowego magnesu na lodówkę, który Noa zrobiła mi kiedyś na Dzień Matki, wystaje zmięty świstek z numerem pogotowia. Przyglądam mu się zaskoczona, od jak dawna tam wisi, kto wiedział, że będziemy go nagle potrzebować.

Bez zająknięcia, jakby chodziło o najzwyklejsze zamówienie taksówki, wzywam karetkę i wracam energicznym, niemal wyzywającym krokiem do sypialni. Staję przed nim, patrzę w wąskie oczy, zdają się zamknięte, nawet kiedy są otwarte, i oświadczam rzeczowo, musisz coś na siebie włożyć, Udi, zaraz cię zabierają, on sztywnieje, odwraca twarz, wylęknione oczy żegnają się z martwymi przedmiotami, chwytają się szafy, opuszczonych żaluzji, fotografii starego domu - co tam jest na dachu, chmury czy cienie chmur? Już słysząc stłumiony sygnał ambulansu, wydaję z szafy spodenki gimnastyczne, bo łatwo je założyć, i białą, trykutową koszulkę, wkładam mu ją przez głowę, szyja trochę zmiękła, jakby mu dobrze zrobiła wiadomość o opuszczeniu domu, ręce też się poddają, tylko nogi są nadal sztywne i nieruchome, ciągnę spodenki przez całą ich długość, aż

pod tyłek, i już jest ubrany, wygląda, jakby zaraz miał iść na trening. Przychodził tak czasem do mnie wieczorami, mówił rodzicom, że idzie pobiegać, i przychodził, niski i podniecony, moja matka przyglądała mu się drwiąco, jakby był najbardziej smarkatym z jej amantów, częstowała go szklanką mleka, a potem zasiadała jak królowa przed telewizorem, czekając na stare filmy, których gwiazda była do niej zdumiewająco podobna. Wierzyłam, że to naprawdę ona, te same wysokie kości policzkowe, pięknie wykrojone wargi, ta sama gładka, śniada skóra, byłam pewna, że nocą, kiedy zostawia nas samych, wykrada się na zdjęcia do tych filmów, faktem jest, że są czarno-białe, bo kręca je tylko w nocy, to dlatego nie wstaje do nas rano, muszę sama zbudzić młodszego brata, ubrać go, zrobić kanapki. Dopiero wiele lat później dowiedziałam się, że spędzała tamte godziny w barach, pijąc ze swoimi facetami, czasem w drodze powrotnej wysadzali ją pod starym domem, krytym dachówką, budziła swojego ojca, płakała w jego ramionach i zapewniała, że jutro rano bierze dzieci i do niego wraca, a on słuchał jej ze smutkiem i mówił, tak, Ella, wierzę, że teraz właśnie tego chcesz, ale rano będziesz myślała inaczej. Czasem też, wracając do domu, budziła mnie, szeptała, że jeśli będę grzeczna, może znów zamieszkamy z tatą, więc wstawałam wcześniej, szłam do sklepu, zmywałam naczynia, słałam łóżka, aż wreszcie zrozumiałam, że ja jedna daję się zwieść złudnej obietnicy, dyktowanej przez alkohol nocą.

Pukają do nas stanowczo, niecierpliwie, jak policjanci w drzwi domu, w którym się ukrył bandyta. Gdzie chory, pyta dwóch drabów w błyszczących kurtkach, ja wije się nerwowo w nowym śmiesznym kostiumie i mówię pokornie, leży w łóżku, prowadzę ich do promiennego młodzieńczego



uśmiechu, od dawna takiego uśmiechu nie widziałam, jest zarezerwowany dla obcych, dla turystów, którzy wiernie za nim podążają. Co się dzieje, pytają, on odpowiada spokojnie, jakby dojrzał do pogodzenia się z sytuacją, nie czuję nóg, nie mogę nimi ruszyć, rękami też ledwo, ledwo, oni patrzą z niedowierzaniem, wygląda jak sportowiec w tym stroju gimnastycznym. Kiedy to się zaczęło, chcą wiedzieć, czy już się to panu zdarzało, on mówi, nie, nigdy, dopiero dziś rano, nie mogłem wstać z łóżka. Coś pana boli, pytają, on zerka na mnie potulnie, wszystko mnie boli, nawet to, czego nie czuję, oni wcale się nie przejmują tą sprzecznością, wyciągają do niego ręce, chwytają pulsujący nadgarstek, wkładają na ramię opaskę ciśnieniomierza i nasłuchują w skupieniu, jak powietrze ratuje się ucieczką, po czym obwieszczają, trzeba pana dokładniej przebadać, zabierzemy pana na ostry dyżur. Mam coś spakować? pytam zdławionym głosem, ubranie na zmianę, szczoteczkę do zębów? Dobrze by było, mówią, dlaczego nie, starszy z nich patrzy na mnie z litością, odpowiadam smętnym uśmiechem, ich obecność trochę mnie uspokaja, bylebym tylko nie została z nim sama, biegam po domu, wpycham do starej torby majtki, skarpetki i szlafrok, zupełnie jak wtedy, kiedy się szykowałam na poród, chodziłam zgięta z bólu, rozdzierana skurczami na dwoje, jeszcze szczotka do włosów i stanik, nagle patrzę na torbę w zdumieniu, co ja robię, pakuję rzeczy dla siebie, nie dla niego, wysypuję wszystko na łóżko, rzucam się na jego półki w szafie, on prosi, wrzucić jeszcze książkę, żebym miał co czytać, jaką książkę, pytam, już go wynoszą, jego stopy dyndają w powietrzu, moją Biblię, mówi, jest u mnie w plecaku.

Nasz ponury orszak wychodzi, Udi, długi i wiotki, leży na noszach z wyrazem bezgranicznej ufności na twarzy, jak niemowlę, ostrożnie znoszone po schodach w wózek, ja tymczasem, wzburzona, zamykam drzwi i na pożegnanie opieram się o nie, kto wie, kiedy je znowu zobaczę. Przy karetce zebrało się kilku ciekawskich sąsiadów, pytają współczująco, co się stało, a on, który zazwyczaj ledwie raczy im mówić dzień dobry, odpowiada z zadowoleniem, wprowadza ich w wydarzenia poranka. Córka sąsiadów z dołu właśnie wróciła z Indii, zachwala świetną lekarkę, specjalistkę od medycyny tybetańskiej, jeżeli nie pomogą panu w szpitalu, proszę powiedzieć, on kiwa głową na znak podziękowania, wygląda na to, że chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej, ale błyszczące kurtki brutalnie kładą kres tej nowej zażyłości i w atmosferze powszechnej życzliwości wpychają go na tył karetki, zręcznie jak śmieciarze, ja wsiadam za nim, zajmuję miejsce na ławce przeznaczonej dla wystraszonych krewnych, których profile widzisz za zasłonkami, kiedy mijają cię na sygnale, a ty unosisz wzrok, patrzysz na zatroskane twarze i wiesz, że ich los jest przesądzony, życie złamane.

## Rozdział trzeci

Zza białych zasłonek, nawykłych do cierpienia, widzę, jak znajomy świat macha mi na do widzenia, żegna mnie na zawsze. Oto sklep warzywniczy, barwny i nieokiełznany jak paleta malarza, to nowa kawiarnia, a w niej stali poranni goście, nagle widzę ich tak wyraźnie, widzę ze szczegółami, co mają na talerzach, co mają napisane w gazetach, za chwilę przejdziemy koło starej kawiarni, gdzie lubiałam przychodzić z małą Noą, kelnerka dawała jej kruche ciasteczka cytrynowe, Noa rozpuszczała je w buzi, aż ciekła jej po brodzie słodko-kwaśna ślina, uśmiechała się figlarnie z wózeczka, zbyt promiennie, by mogło to być osobiste, patrzyłam tylko na nią, na ślinę wsiąkającą w kołnierzyk, nie na zwrócone na mnie oczy, jawnie i z uwagą śledzące każdy mój ruch, czemu towarzyszyła prędką, nieustannie notującą ręką, jakby dokumentowała coś, co jest niezmiernie istotne. Usiłowałam nie zwracać na to uwagi, skupiać się tylko na niej, ale on podszedł do mnie z otwartym szkicownikiem, narysowałam panią, powiedział, podając mi nakreśloną węglem moją twarz, byłam zdumiona, to wcale nie ja, nie jestem taka piękna, ale on zaoponował, jest pani o wiele piękniejsza, wszyscy mówią mi, że ich oszpecam, nikt z przyjaciół już nie chce mi

pozować. Mnie pan jednak upiękzył, śmieję się, on z powagą przygląda się to mnie, to szkicowi, jakby musiał wybierać między nami, skąd, stwierdza wreszcie, nie ma pani pojęcia, jaka pani jest ładna, proszę poczekać, aż się pani zobaczy w kolorze, węgiel gubi pani koloryt, i zaraz się wycofuje do swojego stolika, jego ręka znów biega po papierze, a wzrok po mojej twarzy.

Karetka staje na światłach i mam ją po prawej stronie, starą kawiarnię, moje kradzione poranki, nie jego tam kochałam, tylko siebie w jego rysunkach, ale zaraz, gdzie okrągłe drewniane stoliki, zapraszające do środka, gdzie tace pełne kruchych ciasteczek, przez okna i drzwi wydobywa się płomień palnika, nie wolno na niego patrzeć, bo oczy się wypełniają liliami, a jednak patrzę, jak to możliwe, burzą kawiarnię, niszczą ostatni pomnik. Burzą kawiarnię, mówię Udiemu wstrząśnięta, nierozważnie zdradzając wewnętrzny rozstrój, ten na moment wykrzywia twarz w tajemniczym uśmiechu, jakby to on stał za białym płomieniem. Może naprawdę powinni ją zburzyć, bo kilka miesięcy po tamtym spotkaniu mała Noa spadła z balkonu, razem ze swoimi loczkami, tłusciutkimi policzkami, dołeczkami, miękkim brzuszkiem, drobniutkimi nóżkami, wypadła jak szmaciana lala z rąk Udiego, z krzykiem zbiegałam po schodach, jakbym miała szansę znaleźć się na dole przed nią, złapać ją na ręce, piętro za piętrem, ślub za ślubem, nigdy się nie zakocham, nigdy się nie będę cieszyć, nigdy nie wyjdę z domu, byle moja Nojeczka mogła chodzić, byle mówiła, byle nic złego jej się nie stało, i już byliśmy w karetce, jak teraz, tyle że wtedy karetka wyła i nie zatrzymywała się na światłach, biała woskowa lala leżała pod maską tlenową nieprzytomna, z buzią ściągniętą strachem, jakby właśnie w tej chwili ktoś

opowiadał jej ponurą historię, która nie wiadomo, czym się skończy, jej buzia błagała, jak zwykle, o szczęśliwy koniec, niech to się szczęśliwie skończy, mamó, Udi płakał ze ściśniętym gardłem, wrzeszczał, wszystko przez ciebie, przez twojego malarza, całymi nocami nie śpię, nie tylko piję i palę, podniosłem ją, nagle mi się wyrwała, mam takie słabe ręce, że z trudem trzymam książkę, więc jak mogę utrzymać dziecko. Kawiarnia niknie w oddali, zostaje z niej kupka kości, dziesiątki małych dziewczynek wirują mi przed oczami, lśnią jak gwiazdy na niebie, tańczą przede mną ubrane jak baletnice, między nogami błyskają obręcze, dlaczego nimi nie poruszają, to nie obręcze, wzdygam się, to wózki inwalidzkie, mnóstwo miniaturowych wózków ściga się po stromiznach nieboskłonu jak samochodziki w luna-parku, ale zamiast beztróskiego śmiechu dzieci, w którym pobrzmiwa lęk i fascynacja, rozlega się straszliwy płacz, co mi zrobiłaś, mamó, ja krzyczę, Nojeczko, córciu, oddam wszystko, weź moje nogi, nie mam już dokąd iść, weź moje serce, nie mam już kogo kochać, weź moje zdrowie, nie potrzebuję go, weź moje życie - mój płacz ściera się z jego płaczem, bo nie płaczemy razem, tylko jedno przeciwko drugiemu, jakby to był dalszy ciąg naszych kłótni.

Wtedy ona unosi powiekę, mętna fala wymiocin tryska jej z ust, co to oznacza, księga mojego życia pisze się sekretnym szyfrem na moich oczach, najważniejszych rozstrzygnięć nie mam jak odczytać, to chyba dobry znak? Pytam błagalnie lekarza, wyjdzie z tego, prawda? Przygląda się jej sceptycznie, ona znowu zamyka oczy, zbudź się, córeńko, błagam, jeszcze nie wiem, że będzie nas tak zwodziła przez wiele dni, proszę, już chodzi, je, jesteśmy uratowani, przydarzył nam się cud, chyba wraca do siebie, siedzimy z nią na

trawniku szpitala, prosi o lody, więc biegnę uszczęśliwiona do bufetu, po drodze na kogoś wpadam, nawet się nie zatrzymuję, żeby przeprosić, moja córeczka chce loda, zrobię wszystko, żeby się znalazł w jej rączkach, żeby zobaczyć, jak go zagarnia językiem. Tkwimy w napięciu na ponurym trawniku, śledzimy ruchy jej warg, skupiamy się na lodach, które topnieją jej w rękę, jakby wraz z ich zniknięciem miało zniknąć niebezpieczeństwo, boimy się oddychać, pełni nadziei, skończyła, jest zdrowa, może już jutro ją zabierzemy do domu. Przy wejściu na oddział spotykamy lekarza, Noa jest zdrowa, informuję go, zjadła lody, a tu nowa fala wymiocin i waniliowa salwa uderza o podłogę, ona znowu traci przytomność, uniżone, pokorne bytowanie wraca, włada nami, jesteśmy jak dwoje zbesztanych niewolników na łasce kapryśnego losu. Nasze twarze ściągają się w rezygnacji, kąciuki ust opadają ku dołowi, każde zdanie, które wypowiada Noa, przyprawia o łzy, mamó, czy ja dorosnę, pyta kiedyś, będę większa niż ty? Ja szlocham, oczywiście, córeczko, i mrozi mnie strach, a może nie dorośnie, kto wie, jakie urazy mogły powstać w jej mózgu, gdy obijał się w drobnej głowie, uratowało jej życie plastikowe wiaderko, kubeł z wodą, zapomniany na dworze przez sprzątaczkę sąsiadów, i chociaż niebezpieczeństwo minęło, wciąż czuło się jego groźną bliskość, nawet gdy wreszcie znalazła się w domu, każda najdrobniejsza zmiana w jej zachowaniu przerażała mnie, i tak byłam w nią wpatrzona, że nie zauważyłam, kiedy niepostrzeżenie gdzieś na drodze pomiędzy jej tragicznym upadkiem a cudownym ozdrowieniem straciłam Udiego, a co gorsza, ona go straciła.

Dojechaliśmy, mówi, budzę się z zamyślenia, przez chwilę jestem zdziwiona, że to jego widzę na łóżku, a nie ją, karet-

ka zatrzymuje się przed wejściem do izby przyjęć, jak wtedy, ale teraz nie biegną do nas z instrumentami, nie kierują nas prosto do sali nagłych przypadków, tylko kroczą statecznie, jak gdyby nasze życie, nasze cierpienie nie miało większego znaczenia. Zbędni z założenia, czekamy na otwarcie drzwi, Udi posyła mi pełne napięcia spojrzenie, jego palce pełzną w stronę moich kolan, przyglądam się obojętnie tym wysiłkom, co on tam próbuje zagrać, jakąś wyłącznie swoją melodię, i nagle pojmuję, że usiłuje mnie dotknąć rękami pełnymi winy, mamrocze, przepraszam, a ja nawet nie pytam za co, za to, co było dziś rano, czy za to, co stało się wtedy, prawie osiem lat temu, z taką pochopną radością, nie zważając na własną godność, przyjmuję te niecodzienne przeprosiny, wyciągam rękę, splatam palce z jego palcami i tak nas zastają nasi dobrzy znajomi w błyszczących kurtkach, gdy otwierają drzwiczki i z zaskakującą łatwością wysuwają nosze, jakby były puste.

Brzęczący ul, skupisko chorób i boleści, ukazuje się naszym oczom, w miarę jak torują nam drogę, jemu na noszach, a mnie na drżących nogach, wśród tłumów oblegających drzwi, jakby tu rozdawano jakiś rzadki towar, jakże rzadkie jest zdrowie, spaceruje swobodnie po ulicach, ale tu nie postanie jego noga, znowu wstyd mi z powodu nowego kostiumu, Udi miał rację, chorych kole w oczy moja świetna forma, drażnię ich, prowokuję los, jego też, i jego ciało, zsuwające się z noszy na łóżko, leży tam sobie teraz, stary chłopiec w stroju sportowym, bez żadnych obrażeń, w przeciwieństwie do rannej kobiety naprzeciwko ze spuchniętą, krwawiącą nogą albo sąsiadki zza parawanu, przez której przezroczystą skórę prześwitują trawione chorobą kości, na ustach ma białą maseczkę, jakby cokolwiek na świecie

mogło jej bardziej zagrażać niż diabeł, który w niej siedzi. Czemu się tak pośpieszyłam z przywożeniem go tutaj, to nie miejsce dla niego, przecież on nigdy nie choruje, mam ochotę pochylić się nad nim i szepnąć mu na ucho, chodź, Udiczku, uciekajmy stąd, wracajmy do domu. Nagle ciasny i pełen napięć dom, który ledwo co opuściliśmy, wydaje się krainą szczęśliwości, wszelkiej łaski, mroczna sypialnia kusi i pociąga, rusz wreszcie te nogi, niemożliwe, żeby naprawdę były sparaliżowane, przecież to tak, jakby kula ziemską po prostu zamarała w bezruchu pewnego ranka, odgarniam mu włosy, odsłaniam wysokie czoło, rysują się na nim wzgórza falistych zmarszczek, Udiczku, pamiętasz, jak przychodziłeś po mnie do klasy na długiej przerwie i mówiłeś, chodź, uciekajmy do domu, i natychmiast się wymykaliśmy, kupowaliśmy po drodze bajgla oblepionego błyszczącymi grudkami soli, wkładałam go na rękę jak bransoletkę i szliśmy do mnie albo do ciebie, w zależności od tego, gdzie o tej porze nie było nikogo, ale Udi wzdycha, chciałbym móc teraz z tobą uciec, Noam, lubił mnie wtedy nazywać tym męskim imieniem, dając wyraz sympatii, a zarazem złośliwości, bo byłam jeszcze całkiem płaska, miałam krótkie włosy i w istocie wyglądaliśmy razem jak dwaj chłopcy. Możesz, jeśli naprawdę tego chcesz, nie ustępuję, Udi, skup się, postaraj się, ale on spogląda na mnie niemal z litością, nie przyjmujesz do wiadomości tego, co ci nie odpowiada, nie dociera do ciebie, że nie jestem w stanie wstać, to coś w rodzaju zwarcia, jak mam to ująć, żebyś zrozumiała, a ja pochylam głowę, trudno mi patrzeć, jak jego usta żarłocznie gryzą słowa, wbijam wzrok w podłogę, zrozumienie wymyka się jak wiewiórka, zbliża się, ale zaraz znika, tylko koniuszek bujnej kity miga między łózkami, całe rano próbuję zrozumieć i nie zrozumieć,



zbliżyć się do niego i oddalić, te sprzeczne wysiłki wyczerpują mnie, ręka błądzi po jego czaszce, z zewnątrz wszystko wygląda normalnie, żadnej narośli czy deformacji, już mi się zdaje, że zdołałam zwabić wiewiórkę orzeszkami, że ją złapałam, i właśnie w tej chwili ktoś brutalnie odsuwa zasłonę i młoda pielęgniarka o ładnej, stanowczej twarzy pyta, w czym problem.

Nie mogę poruszyć nogami, obwieszcza jej z miłym uśmiechem, a ręce też są słabe, ona patrzy na jego ręce, jedna z dłoni uwięzła na dobre między moimi palcami, i cień drwiny przemyka jej po twarzy na widok tego uścisku, myślicie, że to coś pomoże, mówi ładna twarz, myślicie, że dwoje to siła, ale takie gesty nie robią żadnego wrażenia na chorobach, choroby uwielbiają rozdzielać pary. Kiedy to się zaczęło, pyta obojętnie, on mówi, dziś, obudziłem się i nie mogłem się podnieść z łóżka, zdumienie w jego głosie jest jeszcze świeże, w swej naiwności chce się nim podzielić z każdym, kto go wysłucha, nawet postępująca obok sąsiadka milknie na moment i wybałusza na niego czerwone oko, robi miejsce jego całkowitemu zaskoczeniu z powodu zmiany porządku świata, zdaje się, że cała wielka przestrzeń sali wypełnia się zdziwieniem Neumana Ehuda, syna Izraela, jak wkrótce zostanie napisane na tabliczce, którą umieszczają mu na łóżku, Neumana Ehuda, wziętego przewodnika, lat prawie czterdzieści, żonatego, ojca jednej córki, któremu ciało odmówiło posłuszeństwa.

W odpowiedzi, która wydaje się zupełnie nie pasować do pytania, siostra grzebie w kieszeni fartucha, wyciąga termometr i podaje mu, odbieram go od niej pośpiesznie, by nie musieć znów patrzeć na dziwne trzepotanie jego palców, ona pyta, co z papierami, ja rozglądam się wokół, jakimi

papierami? Musi pani pójść, załatwić rejestrację, mówi, jej wzrok jest nieprzyjazny, jakby nas przyłapała na wchodzeniu do kina bez biletu, zostawiam ich niechętnie, tłoczę się w kolejkach, ludzie stoją głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, a nad nimi unosi się to zdumienie, naiwne, pierwsze zdumienie kogoś, kto nagle stwierdza, że znajduje się w obcym, wstrętnym kraju i nie wie, czy kiedykolwiek uda mu się go opuścić. Za kilka dni się przystosują, będą siedzieć z ponurą rezygnacją na różnych oddziałach przy swoich bliskich i tylko wspomnienie tego zdumienia poruszy ich na moment, jak zamazany obraz z dzieciństwa, niemal niezrozumiały, ulubiony bez żadnej przyczyny.

Gdy jestem bez niego, z dala od jego znieruchomiałych nóg, od zamkniętych oczu, które mnie oglądają, odkąd skończyłam dwanaście lat, z dala od całego jego jestestwa, które bardziej niż jego samego określa mnie, na chwilę przedtem, nim przyjdzie moja kolej, nim stanę przed okienkiem, zarejestruję się i dostanę w zamian puste kartki, które stopniowo zapełnią się niepokojącymi danymi, niespodziewanie spada na mnie cała żałosność sytuacji, w której się znalazł, gdy ruch opuścił go, jak Szechina opuściła Świątynię tuż przed zburzeniem, jej ogrom przygniata mnie, karleję, a wszyscy wokół zdają mi się olbrzymami, dziwię się, że ktoś w ogóle dostrzega moje istnienie, na przykład ta piegowata urzędniczka, która mówi zniecierpliwiona, słucham panią. Przecież ja nie istnieję, ten smutny poranek unicestwia mnie, ty skończysz swoją zmianę, pójdziesz do domu, sądzisz, że wiesz, co tam zastaniesz, za to u mnie wszystko, co wiadome, rozsypało się w proch w ciągu jednego poranka, bo mój Udi jest chory, już nie odejdzie ode mnie ani do mnie nie powróci.

Kiedy wracam do niego z rękami pełnymi papierów i nalepek, zawierających dane wyłącznie prawdziwe, a mimo to obraźliwe, kiedy wracam do Neumana Ehuda, syna Izraela, strwożona jak matka, która zostawiła dziecko ze słabo znaną niańką, zapominam nagle, gdzie on właściwie leży, odchylam kolejne zasłony, wdzieram się, wylękniona, w prywatność chorych, którzy jeszcze nie zostali zbadani, przez chwilę wydaje mi się, że nigdy nie zdołam go rozpoznać, wszyscy tu mają kolor zielonkawych zasłon, podciągają pod samą brodę liche koce, i tylko zasłona mojego chorego jest odsunięta, leży obnażony jak dziecko, które nie zna wstydu, grzecznie mierzy temperaturę, wita mnie ruchem głowy, bez szczególnej radości, do ręki ma doprowadzoną przezroczystą rurkę, połączoną z kroplówką, i wygląda, jakby mnie tu nie było kilka godzin, tak zaszła w nim wielka zmiana. Teraz już przynależy do szpitala, pomimo chłopięcego wyglądu, mimo stroju sportowca, patrzę wrogo na pielęgniarkę, spokojnie krążącą wśród chorych, jakby mnie pokonała w walce o jego serce. Chodź, wyjmemy termometr, bąkam, trzymasz go już dość długo, wystarczy, ale on kręci głową, dopiero jak powie siostra, ja wpadam w złość, nie do wiary, Udi, musisz mieć na to pozwolenie, a on mówi, tak, kazała mi zostawić termometr w ustach, i wzrusza ramionami z uległością. Przecież zawsze był taki niepokorny, nigdy nikogo nie słuchał, ani nauczycieli w szkole, ani dowódców w wojsku, i zawsze mu w końcu wybacжали, jak można tak się zmienić w ciągu jednego ranka, jakby niespodziewana porażka nóg zburzyła całą jego wewnętrzną konstytucję.

Zauważam, że obserwuje jak zahipnotyzowany prostackie w swej skuteczności ruchy siostry, termometr w ustach wybawia go od rozmowy ze mną, nie widziałam, żeby kiedy-

kolwiek tak patrzył na kobietę, nie interesowały go inne kobiety, tak przynajmniej twierdził, a ja mu wierzyłam, zawsze mi wymachiwał przed nosem swoją wiernością, była jak biała, uspokajająca flaga nad groźnym morzem, ale ta demonstracyjna wierność z biegiem lat stała się bronią, kolejnym sposobem, by mnie ranić, dowodzić swojej wyższości. Tylko na mnie się skupiał, tylko we mnie wycelowane były dotąd zatrute strzały jego kaprysów, zazdrości, wewnętrznych konfliktów, bezgranicznego pożądania, a teraz widząc, jak patrzy na nią tęsknie, kulę się w sobie, pełna urazy, przenika mnie chłód samotności, jakby właśnie ktoś mnie wyrzucił z domu, nie dając mi się nawet ubrać.

Pielęgniarka podchodzi, on z ujmującym uśmiechem dziecka wręczającego prezent matce pozwala jej wyjąć termometr, ale chociaż ten omal nie przykleił mu się do ust, okazuje się, że nie ma gorączki, trzydzieści sześć i siedem, zapisuje siostra z pogardą na karcie zawieszanej na łóżku, unosi na chwilę kołdrę i ku swojemu zdumieniu widzę cienką, poskręcaną rurkę, prowadzącą od jego członka do torebki ukrytej pod łóżkiem, która powoli napełnia się pomarańczową cieczą. Wszystko, co ciało usilnie stara się ukryć, tu obnażają tak łatwo, kiedy zdążyła mu wcisnąć tę rurkę, może wtedy nawiązała się między nimi zażyłość, teraz trzyma go za rękę, mierzy ciśnienie i puls, podtrzymuje kontakt, aż nagle wszystko się kończy, ona zostawia go, wpisuje wyniki, odwraca się do niego plecami, zaraz przyjdzie lekarz, mówi, jej kroki już cichną w korytarzu, nie widzi przymilnego uśmiechu, jaki jej posłał, ja za to widzę go dobrze.

Przychodzi lekarz, nieprzyzwyczajony młody, dosłownie dzieciak, aż wstyd się przyznać, że tak na niego czekaliśmy, jest energiczny, niecierpliwy, słucha, co się nam przydarzyło

rano, jak długo można mówić o krnąbrnych nogach, Udiemu się nie znudziło, ale lekarz ma dosyć i resztki uprzejmości znikają z gładkiej twarzy, przerywa mu jak dziecko ojcu, kiedy ten snuje nudne wspomnienia, maca słynne nogi, bohaterki tego poranka, wyciąga z kieszeni igłę i nakłuwa skórę. Patrzę zdumiona, jak noga wchłania igłę, a Udi nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, igła wędruje wzdłuż nóg, dołącza do niej młoteczek, uderza w zmartwiałe kolana, Udi trwa nadal przy swoim przypochlebnym uśmiechu, dumny jak fakir, aż lekarz chowa instrumenty z powrotem do kieszeni, spogląda na zawieszoną na łóżku kartę i oznajmia pospiesznie, przede wszystkim musimy zrobić rentgen, stwierdzić, czy kręgosłup jest cały, potem zobaczymy, co dalej, i natychmiast znika.

Ciągnę łóżko po zatłoczonych korytarzach, przez moment widać nas w szklanych ścianach, oto my, Udi i ja, kroplówka i cewnik, dwie pary, które wyszły się przejść po szpitalu. Gdzie tu jest rentgen, pytam, gdzie winda, jak się wszyscy zmieścimy do windy, przyjeżdżają jedna po drugiej pełne, nawet się nie próbuję wpychać, ale ludzie robią mi miejsce, przyciskają się do metalowych ścian, wciągają brzuch, oddychają płyciej, bylebyśmy się do nich przyłączyli, Udi i ja, kroplówka z przezroczystym i cewnik z pomarańczowym płynem, w tym opadaniu w dół, do mrocznych pomieszczeń rentgena, oświetlonych niezdrowym światłem jarzeniówki, które nigdy nie gaśnie, jest bardziej niezawodne niż światło słońca, a jednak lampa na samym końcu korytarza miga, kompletnie łysy chłopczyk opiera szczupłe barki o wyłącznik, to ją zapala, to gasi, Udi zaczyna mrugać, próbuje usiąść, zostaw ten kontakt, krzyczy, nie masz co robić, tak nic nie widać, oczy się niszczą. Co się dziś z tobą dzieje,

mówię szeptem, czemu na niego krzyczysz, nie widzisz, że jest chory, a Udi zaciska usta, jak zawsze, gdy mu zwracam uwagę, i syczy, ja też jestem chory. Podchodzę do chłopczyka, dotykam go niepewnie, nie przejmuj się nim, mówię, to on ma problem, zupełnie niezwiązany z tobą, a dzieciak wzrusza tylko ramionami, dla niego to całkowicie bez znaczenia, jedynie dla mnie takie rozróżnienie było konieczne, ile razy Anat mi powtarzała, to on, nie ty, jego problemy, nie twoje, ja jej odpowiadałam, ale skoro jesteśmy razem, każdy jego problem jest także moim problemem, nie można tego rozdzielić, a ona się upierała, że jednak jest to możliwe.

Wydaje mi się, że mały coś mamrocze, nachylam się nad żółtą łysiną, co powiedziałeś? A on mówi znowu, nie jestem chłopcem, jestem dziewczynką, brzmi to dla mnie jak niezrozumiała mantra, ale gdy dzieciak się prostuje, spostrzegam zawiązki drobnych piersi, sterczące z chorego ciała, toczy się w nim walka pomiędzy żądzą życia a niszczycielską siłą śmierci, niemal widać zmagania dwóch rąk pod bluzką, jedna próbuje podporządkować sobie drugą. On jest dziewczynką, nie chłopcem, jakby to zmieniało sytuację, jest dziewczynką, mniej więcej w wieku Noi, myśl o Noi odartej z loczków, ze słodkiego dziecięcego tłuszczu, opartej o ścianę i pastwiącej się nad jarzeniówką, przyprawia mnie o zawrót głowy, tak że sama opadam na ścianę, widzę kolory odwrotnie, jak na zdjęciu rentgenowskim, łysina chłopca, który jest dziewczynką, lśni w mroku jak wodospad nocą, podłużne świetlówki są puste i głębokie jak oczodoły szkieletu, przede mną Udi czerni się na szpitalnym łóżku, jego kręgosłup wiję się wewnątrz ciała, widzę go krąg po kręgu, i widzę, jak w jego krwi wrą najbardziej gorzkie ze wspomnień, te maleńkie zarodki katastrofy, zamykam oczy,

szukam wytchnienia w przezroczystych plamach, przenikających się nawzajem pod osłoną moich powiek.

Kiedy je unoszę, Udiego już nie ma, rozglądam się wokół, pełna poczucia winy i zatroskana, gdzie on jest, porzuciłam go na pastwę losu, a chłopiec, który jest dziewczynką, patrzy na mnie ogromnymi oczami i wskazuje zamknięte drzwi naprzeciwko, wzięli go na rentgen, czuję strach, jakby za tymi drzwiami robiono mu ryzykowną operację; zamiast dać mu dowód przywiązania, porzuciłam go akurat w momencie, gdy mnie potrzebował. Skończ z tymi swoimi dowodami, mówiła Anat, nie widzisz, że to wygląda podejrzanie, co w końcu takiego zrobiłaś, że ciągle próbujesz wykazać, że jesteś w porządku, tylko w nim wzbudzasz niepokój, więc próbuję oddychać głęboko, opieram się o ścianę i przeciągam, łokciem niechący naciskam na wyłącznik i znów światło gaśnie, dokładnie w chwili, gdy otwierają się drzwi i Udi wytacza się stamtąd, pielęgniarz w zielonym stroju w jednej ręce trzyma dużą kopertę, drugą pcha przed sobą łóżko, a ja, nagle zbędna, idę za nimi do windy.

Co wynikło, pytam go, on syczy, a co mogło wyniknąć, więc próbuję ponownie, co powiedzieli, on burczy, nic, nikt tu nic nie mówi, w jego głosie nie ma goryczy, tylko dziecinna akceptacja, i kiedy wracamy do izby przyjęć, zdaje się zadowolony, jakby wrócił do domu, omiata wzrokiem swój kąt, ja siadam przy nim, kładę rękę na pliku zdjęć, sekretnym szyfrze, który ma rzucić światło na groźną dla nas tajemnicę. Zajrzyjmy do nich, proponuję, starając się przybrać wesoły, figlarny ton, ale on, znów dziwnie posłuszny, odpowiada, nie, nie są przeznaczone dla nas, jakby chodziło o prywatną korespondencję między lekarzem a pielęgniarką, jakbyśmy my byli tylko posłańcami, nie mogę tego

dłużej znieść, chwytam kopertę, w której jest zapieczętowany nasz los, przyciskam ją do piersi i idę szukać lekarza.

W tej chwili chętnie bym usłyszała nawet kroki pielęgniarki, ale wygląda na to, że zostaliśmy wszyscy opuszczeni, jak dzieci pozostawione bez opieki, podchodzę do pustego okienka, zaglądam głębiej, z sąsiedniego pokoju dochodzi cichy gwar, szum plotek o zapachu świeżo parzonej kawy, podchodzę do prawie zamkniętych drzwi, by zadośćuczynić swoim obowiązkom, pozostawili wąską szparkę, przez którą zaglądam, młody lekarz przeżuwa bułkę z zapałem, co pewien czas sprawdza z troską, ile mu jeszcze zostało, siostra zadowala się kawą, inni też zajęci są jedzeniem i chichotami, przyglądam im się jak obrazowi na kinowym ekranie, widzę ich, sama nie będąc widzianą, dzieli mnie od nich niedostrzegalna przegroda, oni są zdobywcami, panami tego miejsca, ja jestem najmarniejszą z ich poddanych. U nich jest teraz dziesiąta, pora przerwy na kawę, u mnie jest już środek nocy, nie zdążyłam nawet wypić kawy dziś rano, jej aromat mnie oszałamia, ale nie przejdzie mi przez myśl, żeby podejść i sobie nalać, nie mogę się przecież przyłączyć do uczty, która odbywa się na kinowym ekranie, więc stoję i patrzę, ściskając kręgosłup Udiego na zdjęciu, aż zauważa mnie lekarz, przerywa żucie i pyta, coś się stało? Podaję mu kopertę, moje oczy płoną błagalnie, czuję, jak moje wargi drżą mimowolnie i, co za poniżenie, zaczynam płakać.

Lekarz spogląda na mnie z zakłopotaniem, jego wzrok wędruje to na mnie, to na bułkę, wszyscy milkną i przyglądają mi się, nie próbując nawet ukryć obrzydzenia, ja też czuję do siebie wstręt, chciałabym móc opanować łzy, ale na razie to one panują nade mną, publicznie przynoszą mi wstyd, szczęście, że nie ma Udiego, on tak nienawidzi, kiedy płaczę.



Nie patrząc w lusterko, wiem, że twarz robi mi się czerwona, poranny makijaż spływa czarnymi łzami pod oczy, zaczynam się wycofywać, próbuję ukryć wstyd za kopertą, ale lekarz podnosi się, celnym ruchem wrzuca resztki bułki do kosza, dziecinna twarz łagodnieje, kiedy podchodzi do mnie, wyjmuję trzy zdjęcia z koperty i przygląda się im pod światło, aż boję się oddychać, nie spuszczam z niego wzroku, próbuję zinterpretować każdą minę, odgadnąć wyrok, on idzie do drugiego pokoju, ja wlokę się za nim, potem przykłada zdjęcia do podświetlonej tablicy, surowo taksuje Udiego od środka, wreszcie mówi, nic tu nie widzę, kręgosłup jest w porządku.

To chyba dobrze, bąkam, a on odpowiada, nie wiem, zawsze trzeba pamiętać, jaka jest alternatywa, on nie rusza nogami, a to niedobrze. Trzeba go zatrzymać w szpitalu do wyjaśnienia, informuje stojącą w progu siostrę, wymienia pospiesznie nazwy badań, prawie całe abecadło lekarskie, chciałam go jeszcze zapytać, czego szukają, że robią tyle badań, ale już zdążył zniknąć za jakimiś drzwiami, a mnie nie pozostało nic innego, jak pobiec za wyprzedzającą mnie o krok pielęgniarką, zmierzającą prosto do łóżka Udiego.

Płakałaś, pyta ze złością, ja mamroczę, skąd, co ty, przeziębiałam się po prostu, siostra próbuje powstrzymać uśmiech, nic nie ujdzie jej wzrokowi, bierzemy pana na oddział, mówi, on jest zdziwiony, ale iskerki dumy tańczą mu w oczach, jak uczniakowi, który dostał promocję do następnej klasy, ona już zapisuje niebieskimi linijkami jego karty i wysyła mnie po pieczątki, biegiem ruszam w drogę jak podstarzała dziewczyna na posyłki, przegapiam ich pożegnanie, bo kiedy wracam, jego łóżko już stoi na środku, wygląda w nim jak jubilat na kinderbalu, przykryty dokumentami

i kopertami, które zebrał w ostatnich godzinach jak prezenty od hojnej rodziny, spod tego wszystkiego wygląda subtelna twarz i może się mylę, ale wydaje mi się, że między jego wargami dostrzegam koniuszek ogona skrywanego, triumfalnego uśmiechu.

## Rozdział czwarty

Gdy wyruszamy w podróż na oddział wewnętrzny, słyszymy zbliżający się szybko sygnał ambulansu, świdruje nam uszy jak gniewny płacz niemowlęcia, w jednej chwili zostajemy sami, cała uwaga kieruje się na kolejnego gościa. Zażenowana własną ciekawością oglądam się, patrzę, kto jest nowym królem, i nagle widzę ją, na noszach czerwonych od krwi, od lat jej nie spotkałam, widywałam ją tylko w koszmarnych snach, ale to bez wątpienia ona, Geula, ruszam pędem z łóżkiem Udiego, byle mnie tylko nie rozpoznała, aż dociera do mnie, że jest na wpół żywa, nawet własnego dziecka by teraz nie poznała, podcięła sobie żyły, leje się z nich krew, jak miałaby rozpoznać swoje dziecko, skoro je wychowuje inna matka, to przeze mnie jej odebrano Danielka o trójkątnej twarzyczce. Ile razy groziła, jak mi go zabierzecie, zabiję się, żyły sobie pociacham, ale my widzieliśmy, że dziecko, mizerne, przezroczyste, całe w niebieskich sinia-  
kach, wariuje przy niej. Była o niego zazdrosna jak o mężczyznę, nie pozwalała mu iść do przedszkola, żeby się nie zakochał w przedszkolance, biła go, jeśli się uśmiechnął do innej kobiety, zresztą ja nie widziałam, żeby się kiedykolwiek uśmiechał, stawiała go na krześle i całowała się z nim,

wpychając mu poczerwniały od nikotyny język do pustej buzi. Musieliśmy go ratować, powtarzaliśmy jej, poślij go do przedszkola, zrób mu obiad, stwórz zdrową relację, a ona wściekała się tylko, nikt mi nie będzie mówić, jak mam chować dzieciaka, przyciskała go przy tym do piersi jak zakładnika, jeszcze raz zobaczę tu wasze mordy, a zatłukę gówniarza i sama się pochlastam. W końcu uzyskaliśmy nakaz sądowy, wydarliśmy go z jej ciała jak przy niebezpiecznym porodzie, wrzeszczała za mną, myślisz, że będziesz spokojnie chowała swoją córkę, kiedy mi odebrałaś Daniela, nigdy nie będziesz szczęśliwa, dręczyło mnie to tygodniami, jak mogłam ich rozdzielić, postanowiłam rzucić tę pracę, w której każda decyzja jest tyleż słuszna, co niesprawiedliwa, w każdym razie zawsze okrutna, i przeszłam do ośrodka dla dziewcząt, później słyszałam, że się odwoływała, ale żaden sąd nie zwrócił jej dziecka, próbowała popełnić samobójstwo, nie udało się, a teraz, po kolejnej próbie, jest tutaj, prześladowuje mnie, jej zapomniane klątwy odżywają.

Znowu płaczesz, Udi otwiera niezycliwe oko, ja nie wytrzymuję, pamiętasz Geulę, zabraliśmy jej dziecko do adopcji, właśnie przywieźli ją do izby przyjęć, pewnie usiłowała popełnić samobójstwo, wszystko przeze mnie, a on otwiera drugie oko, mówiłem ci zawsze, że przesadzacie w tej całej opiece społecznej, za kogo wy się macie, za ucieleśnienie Boga na ziemi? Walczycie z naturą? Jak można odebrać dziecko matce? Wściekła parkuję łóżko pod ścianą, oddaliliśmy się wystarczająco, jego słowa rozjuszają mnie, ale przynajmniej wiem, że to normalna reakcja, znana z domu, w przeciwieństwie do nowych, przymilnych uśmiechów. Nie opowiadaj głupot, wybucham, ty i ta twoja natura, natura może być straszna, natura to katastrofa, ta matka niszczy-

ła swoje dziecko, znęcała się nad nim, szkoda, że nie widziałś jego bezzębnej buzi, jego ciała całego w siniakach.

Ale je kochała, oświadcza prowokacyjnie, zawsze broni atakowanych, ja mówię, co z tego, chora miłość nie jest nic warta, wpędzała małego w obłąd tą swoją miłością, a on mamrocze, to samo mnie kiedyś mówiłaś, pamiętasz? Że moja miłość jest chora. Nie interesuje go nic, co nie ma związku z nim samym, próbuję go skłonić, by był dla mnie choć trochę miłszy, Udi, co to znaczy, że ona tu jest, boję się, to zły znak, ale on znowu mnie odtrąca, nie daje mi wsparcia ani przez moment, co to znaczy, że ja tu jestem, nad tym się zastanawiam, to mnie obchodzi, ale nie ciebie, bo ciebie zawsze ci wszyscy twoi biedacy interesują bardziej ode mnie. Jak możesz tak mówić, złoścuję się, to przecież nieprawda, i już skupiają się na nas zdumione spojrzenia, jak można się kłócić w cieniu kroplówki, w miejscu, gdzie właśnie powinno się być razem, więc milknę, pozostawiając Geulę za plecami, nie oglądam się, mogę się tylko domyślać dramatycznych wysiłków lekarzy, reanimacja trwa, nasz młody lekarz nachyla się nad ciemnym ciałem, wypełnionym bez reszty smutkiem i dymem, myślę o jej groźnej miłości, o życiu gorzkim jak trucizna, i sama już nie wiem, czego jej życzyć.

Kiedy tam przychodziłam, Daniel krył się przede mną jak wylęknione zwierzę, całe dnie siedział zamknięty w mrocznej kawalerce, z pustą lodówką i pełnymi popielniczkami, kiedyś przyniosłam mu kredki, nie wiedział, co z nimi zrobić, w końcu włożył jedną do buzi i zaczął ssać, wtedy mi urządziła kolejną scenę, czego mu znośisz prezenty, chcesz, żeby się w tobie zakochał, żeby cię kochał bardziej niż mnie, on jest mój, dotarło? Nie pierdolonego państwa, nie pierdolonej opieki społecznej. Próbowałam jej tłuma-

czyć, masz rację, Geula, jest twój, ale jeśli nie opiekujesz się nim jak należy, my musimy się o niego zatroszczyć, jesteśmy po stronie dziecka, nie po twojej, na co ona wybałuszała przekrwione oczy, ja i mój dzieciak jesteśmy po tej samej stronie, jesteśmy jednym ciałem, i dosłownie miażdżyła go, przyciskając z całych sił do kościstych bioder, nikt mi nie będzie mówić, jak się nim opiekować, wychodziłam stamtąd bezradna, dwie możliwości, w równej mierze przerażające, krzyczały do mnie na schodach, zabrać go albo zostawić, i kiedy w końcu zdecydowałam się i zaleciłam adopcję, sędzia był szczerze zdziwiony, że tak długo zwlekałam. Ona go tak kocha, próbowałam bronić jej i siebie, a on powiedział, rzecz nie w tym, czy się kocha, tylko jak się kocha, aż się wzdrygnęłam, poczułam się, jakby mówił o mnie, o mnie i o Udim, tyle lat powtarzałam sobie, że on mnie kocha, gdy tymczasem powinnam była zadać sobie pytanie, jak on mnie kocha, i czy podoba mi się to jego kochanie.

I może dlatego, że znałam odpowiedź, nie miałam śmiałości wgłębiać się w to pytanie, ciesz się, że masz męża, który cię kocha, uciszałam sama siebie, lepsza taka miłość niż żadna, ale teraz, kiedy zbliżamy się do wejścia na oddział wewnętrzny, buntuję się, właściwie dlaczego żadna, skąd ten defetyzm, może jeszcze zostało coś dla mnie, może czeka, aż to zauważę. Raz spróbowałaś i wiesz, czym się skończyło, tłumię swój bunt w zarodku, teraz już klamka zapadła ostatecznie i zdecydowanie, w cieniu kroplówki odbywa się nasz prawdziwy ślub, bo jeśli do dziś nie zdołałam odejść, kiedy był jeszcze zdrowy, to teraz na pewno nie mogę tego zrobić, bramy mojego życia są zawarte, nikt nie wchodzi i nie wychodzi, i kiedy w windzie przyglądam się sobie w lustrze, kiedy patrzę na pochyloną nad wąskim łóżkiem postać,

z potarganymi włosami, spojrzeniem pełnym troski, czarnym makijażem rozmazanym wokół oczu jak ślad po ciosie, czuję, że nie wiem również, czego życzyć sobie.

Na oddziale przyjmują nas z milczącą obojętnością, wszystko wyjaśnia nasza kolekcja formularzy, miła pielęgniarka prowadzi nas do właściwej sali z uprzejmą miną hotelowej pokojówki, ze zdziwieniem stwierdzam, że przy drzwiach siedzi zaspany policjant, ziewając bez ustanku, rozglądam się podejrzliwie dookoła, jakiegoż to pilnuje dostojnika, i ku mojemu zdumieniu widzę ślicznego chłopaka o długich, jasnych włosach, przykutego kajdankami do łóżka, jest prawie nagi, tylko na nodze ma opatrunek, pytam pielęgniarkę, kto to, został ranny w więzieniu, odpowiada, podczas bójki, ale niech pani się nie martwi, jest skuty, więc pytam, nie ma innej sali, a ona, nie, to jedyne łóżko, wołałaby pani leżeć na korytarzu? Poprawiam ją natychmiast, nie ja jestem chora, tylko on, wskazuję przy tym na Udiego, który leży bez ruchu, utkwivszy pobożnie wzrok w suficie, ale ona powtarza swoje, lepiej pani będzie tutaj.

Unosimy go delikatnie jak noworodka, zdejmujemy mu trykotową koszulkę i wkładamy spłowiałą górę od piżamy, w której brakuje większości guzików. Ręce siostry są szczupłe i gładkie, paznokcie wypielęgowane, przez moment widzę swoją dłoń obok jej dłoni i wzdrygam się, przebarwienia od słońca, które się pojawiły przedwcześnie, skóra, która utraciła blask, drobne zmarszczki, wryte na mojej ręce przez czas jak złowrogie klątwy, których nie sposób wymazać, wszystko tam jest, próbuję ukryć ręce, pozwalam, żeby sama włożyła mu spodnie od piżamy, rurka cewnika chowa się skromnie w swoim kątku, z dziwną obojętnością patrzę, jak jej piękne ręce zajmują się tym ciałem, które było

moje, ale zrzuciło moją władzę, i jego też, wydając się na łaskę nowych rządców, głowa Udiego spoczywa już na poduszce, wzrok wbił w sufit i ignoruje mnie, pełen niechęci, co ja takiego zrobiłam, trudno mi sobie przypomnieć.

Przyciągam krzesło, siadam przy nim, moja mobilność zaskakuje mnie samą, jest nas w tej sali troje i tylko ja mogę się ruszać, przynieść krzesło, obsłużyć się, właśnie ja, wbrew wszelkim przewidywaniom, może właśnie to irytuje go, może czuje zazdrość z powodu przepaści, jaka nagle się otworzyła między nami, to nasze rozdzielenie jest tak niespodziewane, że aż groteskowe, drażni jak drwiący śmiech losu, próbuję go pogłaskać po ramieniu, ale widok własnej ręki niepokoi mnie, więc wciskam ją pod udo, do końca życia nie będę miała innych rąk ani innego męża. Przynieść ci coś do picia, pytam, on odpowiada, nie chce mi się pić, wskazuje spojrzeniem na kroplówkę, która go poi, ja brnę dalej, może coś do jedzenia? Chcę tylko spać, Noam, mówi, nie mam siły, natychmiast mięknię, nie złości się na mnie, jest po prostu zmęczony, kładę głowę na jego ramieniu, Udi, skarbie mój, śpij, jestem przy tobie, jego oddech zagłusza dalsze słowa, nagle rozlega się gorzki płacz, lament kociątka porzuconego w deszczową noc, ale nie z jego ust się wydobywa, tylko z pięknych warg więźnia, śpią obaj jak bracia we wspólnym pokoju tuż po tym, jak skończyli się bić.

Wymykam się z sali na palcach, nawet policjant opuścił swoje stanowisko, więc mnie wolno też, biegnę do windy, cieszy mnie łatwość, z jaką się poruszam, jestem sama dla siebie, bez dziecięcego wózka, bez chorego na łóżku, zjeżdżam do bufetu, kupuję kawę i bułkę, siadam z westchnieniem ulgi przy oknie, wydaje mi się, że identyczną bułkę przeżuwał lekarz z izby przyjęć, widzę z daleka, jak wchodzi,



posyłam mu przymilny uśmiech, nawet kobiecie, która ma sparaliżowanego męża, należą się drobne przyjemności, ale on ignoruje mnie, chciałam zapytać, co z Geulą, ale może lepiej nie wiedzieć, może to wcale nie była ona, chciałam, żeby zobaczył, że też mam w ręku butkę, że też jestem człowiekiem, ale on nie marnuje czasu, wychodzi natychmiast z butelką coli, może to w ogóle nie był on. Obserwuję jego krótkie nogi w ruchu, idzie z taką lekkością, że jedna z nóg zawsze tańczy w powietrzu, cud chodzenia jest dla niego czymś oczywistym, nie tylko dla niego, wszyscy wokół mnie ruszają kończynami tak naturalnie, jakby się urodzili chodzący, tylko mój Udi leży trzy pietra nade mną bez ruchu, i znów strach mi podchodzi do gardła, wypiera papkę powstałą z przeżutej bułki, gęsty i namacalny jak śluz, nie ma temu końca, on jest chory, chory, przyszła choroba i zabiera go, ciągnie w swoje odmęty.

Wlewam do gardła resztkę kawy i biegiem, ciężko dysząc, wracam na oddział, Udi jeszcze śpi, ale więzień wierci się na łóżku, zrób coś dla mnie, zwraca się do mnie ochrypłym szeptem, uwolnij mnie, ja odpowiadam, nie mogę, jak mam to zrobić, on na to, możesz, wiem, że gliniarz dał ci klucze, ja zarzekam się, skąd, wcale nie, to po co tu jesteś, warczy, ja wyjaśniam, w tej sali leży mój mąż, i zaraz pytam ze współczuciem, co ci się stało w nogę, a on, ku mojemu zdumieniu, podnosi głos, nie twój interes, krzyczy, czego w ogóle ze mną gadasz, czerwienię się z oburzenia, siadam przy Udim, odwracam się do tamtego plecami i słyszę, jak wzywa pielęgniarkę, przeszkadza mi ta wariatka, wyrzuć ją stąd. Kiedy wchodzi siostra, ciągle z tą samą uprzejmą miną, bronię się gwałtownie, jakby była nauczycielką, która nas przyszła rozdzielić, tylko spytałam, co mu się stało, ona uśmiecha się

do mnie, proszę się nie przejmować, on wścieka się na każdego, kto chce być dla niego miły, zna tylko jeden język, prawda, Jeremiaszu? Zaskakuje mnie, że ma na imię akurat Jeremiasz, ale nie mam odwagi się odezwać, ledwo ośmielam się oddychać, żeby go nie rozwścieczyć.

Okazuje się, że moje milczenie prowokuje go nie mniej niż rozmowa, bo pyta z demonstracyjną uprzejmością, może przypadkiem ma pani papierosa, daję się zwieść, odpowiadam, tu się nie pali, a on strofuje mnie, kto mówi o paleniu, chcę tylko papierosa. Wyjmuję z torebki starą paczkę i podaję mu, on wpada w złość, komu potrzebne te twoje śmierdzące fajki, ja takich nie tknę, więc wracam na miejsce i słyszę, jak krzyczy, siostró, siostró, chcę papierosa, zaraz otworzę kajdanki i załatwię was wszystkich. Zaraz wróci policjant i załatwi ciebie, odkrzykuje pielęgniarka z korytarza, on chichocze i znów zwraca się do mnie, co jest pani mężowi? Nic mu nie jest, mówię, a on się śmieje, pewnie chciał trochę przed tobą uciec, ale ty wszędzie się za nim wleciesz, nawet tu, daj mu odetchnąć, bo umrze ci na rękach, od niczego też można umrzeć, widziałem wielu ludzi, którzy umarli bez powodu.

Przyglądam mu się ukradkiem, co za haniebnny żart ze strony Boga, żeby ukryć pod anielskim pięknem tak wypaczony charakter, jasne jest, że powinnam milczeć, ale trudno tak łatwo się poddać, musi być jakiś sposób, żeby do niego dotrzeć. Posłuchaj, Jeremiaszu, próbuję łagodnie, to dla nas niełatwy dzień, mój mąż zachorował, jest tu, żeby wyzdrowieć, martwię się tym, nie utrudniaj mi całej sprawy jeszcze bardziej, on milknie na chwilę, jakby rozważał moje słowa, po czym wybucha wulgarnym śmiechem, ja ci utrudniam? Leżałem tu sobie spokojnie, a ty przysłaś i zaczęłaś mnie

męczyć pytaniami, myślisz, że mi jest łatwo? Przykuli mnie do łóżka jak psa, gdyby mnie teraz zobaczyła matka, z miejscą by oślepla, mam wrażenie, jakby przeszywał go prąd, węzowe mięśnie wiją się w jakimś szale, próbują go oswobodzić z kajdanek, i dopiero gdy wchodzi policjant, gdy ma jego tłusty brzuch przed oczami, przestaje się rzucać, leży spokojnie jak posłuszne dziecko, od czasu do czasu posyła mi tylko wściekłe spojrzenia.

Udi nadal jest pogrążony w uporczywym śnie, dlaczego podejrzewam, że tylko udaje śpiącego, że cieszy go moje upokorzenie, klęska w starciu z ludzką beznadzieją, prowadzi bez słów odwieczny spór między nami, ludzie to śmieci, twierdzi, marnujesz życie na śmieci, na dno den, przecież nigdy nikogo nie naprawisz, nie ocalisz żadnego dziecka. Myślisz, że jeśli je wydrzesz rodzicom i przesadzisz na inny grunt, będzie uratowane? Nie da się oszukać natury, wasze ambicje są oburzające, naprawdę absurdałne, musicie się pogodzić z naturą, zaakceptować ją. Raz za razem wyruszałam na swoje wędrówki, czasami zupełnie sam, spałam w namiocie na jakimś odludziu, wracałam z ogniem w oczach, trzy dni nie widziałam człowieka, mówiłam z dumą, jakby mi się udało umknąć przed niebezpiecznym wrogiem. Nigdy nie narzekałam na powodzie, burze piaskowe, na ukąszenia owadów, przyjmowałam je ze zrozumieniem, jakby prowadził intymny dialog z przyrodą, ja natomiast grzęzłam w poczuciu własnej wobec niej bezsilności, teraz zdaje mi się, że on przysłuchuje się tej rozmowie i w duchu triumfalnie się uśmiecha, kładąc głowę na krawędzi łóżka, zmęczenie zwała się na mnie, jakby mnie pokonało w walce, jak przez sen słyszę rozmowę, która toczy się za moimi plecami, jest w niej logika senna, żelazna, błędna i groźna, trzeba mu przedłużyć areszt albo

zwolnić go, wyjaśnia policjant pielęgniarce, właśnie do mnie dzwonili, że trzeba sprowadzić sędziego do szpitala i przedłużyć areszt, inaczej to będzie bezprawne.

Co znaczy zwolnić, pyta siostra ze strachem, zostawić go nieskutego? To niebezpieczne, są tu chorzy ludzie, policjant na to, nie wolno nam łamać prawa, jeśli do drugiej nie przyjdzie sędzia i nie przedłuży aresztu, zwolnimy go, nie mamy wyjścia, spoglądam na zegarek, już południe, zaraz Noa wróci do domu, muszę tam zdążyć przed nią, wytłumaczyć jej, co się stało, ale jak mam go tu zostawić, znowu jestem rozdarta między nimi, zastanawiam się, kto mnie potrzebuje bardziej, jakbym miała dwóch panów. Po co w ogóle tu przyjechaliśmy, jesteśmy tu jeszcze bardziej bezbronni niż w domu, wystawieni na wszelkie możliwe ciosy, znowu głowa opada mi bezsilnie na krawędź łóżka, wiem, że powinienam wstać, pojechać do Noi albo przynajmniej zadzwonić, ale odnoszę wrażenie, że całkiem tracę czucie, bez niego jestem nieistniejącym, przypadkowym zbiorowiskiem ludzkich członków, i przypominam sobie matki przychodzące do domu dziecka w odwiedziny do dzieci, które już im odebrano, krzywiące twarze w martwym, nieobecnym uśmiechu, one wiedziały, że moment rozstania jest bliski, były zmęczone walką i tak naprawdę chciały z tym wreszcie skończyć, pragnęły już wolności płynącej ze skamienienia wezbranego uczucia, tęskniły za przerażającym szczęściem rezygnacji.

Wiem, że właśnie w tej chwili Noa puka do drzwi, potem szuka w tornistrze klucza, wyciąga pomięte zeszyty, piórnik się otwiera i stacza po schodach wraz z całą zawartością, kredkami, ołówkami i obgryzioną gumką, gdzie jest klucz, zaczyna płakać, znowu puka, mamo, tato, gdzie wy jesteście.

Schwytła wreszcie klucz w głębinach przepastnego tor-  
nistra, wyławia go z ulgą, wchodzi do pustego domu, na sto-  
le nie czeka na nią żadna kartka, w lodówce żaden obiad,  
obserwuję ją beznamiętnie, zobaczymy, co teraz robi moja  
pieszczoszka. Co się ze mną dzieje, w jednej chwili zmieni-  
łam się w kamień, on ma sparaliżowane nogi, a ja serce, Udi  
się budzi, rozdziawia usta w szerokim ziewnięciu, która go-  
dzina, pyta, nieporadnie zerkając na mój zegarek, co z Noą,  
trzeba do niej zadzwonić, akurat kiedy ja jestem zobojętnia-  
ła, on przejawia odpowiedzialność, właśnie o tym myślałam,  
mówię, i w tym momencie poraża mnie nieopanowany  
krzyk, tato!

Patrzę na więźnia, ale usta ma zamknięte, tylko błyszczą-  
ce oczy rozglądają się niespokojnie wokół, słyszę tupot wy-  
straszonych nóg, biegających od sali do sali, kogo szukasz,  
dziewczynko? ktoś pyta, ona krzyczy, mojego taty, i już  
w drzwiach widać jej głowę, zielone jak winogrona oczy,  
ogromne ze wzburzenia, co ci się stało, tato, krzyczy i rzuca  
się na jego nieme ciało, nie bacząc na przewody, które się  
z nim łączą, nie bacząc na mnie, on próbuje ją objąć, ale  
z trudem porusza rękami, nic się nie stało, Noa, zatrzymali  
mnie tylko w szpitalu na badania, wszystko będzie w po-  
rządku. Przyciągam ją do siebie i sadzam na kolanach,  
córeczko, jak się tu dostałaś, jak ci się udało nas znaleźć,  
właśnie miałam do ciebie dzwonić, ona szlocha, sąsiadka  
z dołu mi powiedziała, że karetka zabrała tatę, wezwała mi  
taksówkę i przyjechałam tu sama, wyczuwam cień dumy  
w dzieciennym głosie, kierowca był strasznie miły, zaprowa-  
dził mnie do informacji, ja mówię, pewnie jesteś głodna,  
chodź, zjedziemy na dół coś kupić, ale ona kręci głową od-  
mownie, nie, nie będę nic jadła, póki tata nie wyzdrowieje,

przyćmiewa mnie absolutnym oddaniem, łapie go za rękę, on patrzy na nią z zainteresowaniem, jakby widział ją po raz pierwszy, jego palce głaszczą z trudem grzbiet jej dłoni, jesteśmy teraz zjednoczeni, jak kiedyś, jesteśmy rodziną, która czeka na badania w napięciu, tymczasem oczy więźnia nieustannie wpatrują się w nas drwiąco, modłę się, żeby tylko leżał cicho, żeby jej nie wystraszył, ale on się nie może powstrzymać.

Nie martw się, dziewczynko, nic nie jest twojemu tacie, mówi zaskakująco łagodnym głosem, a ona pyta naiwnie, naprawdę, jest pan pewien? jakby był najwyższym medycznym autorytetem, on odpowiada, jasne, zaufaj mi, wszystko w życiu widziałem, nic mu nie dolega, jest całkiem zdrowy, na twoim miejscu martwiłbym się raczej o mamę. Nie zwracaj na niego uwagi, Noa, szepczę jej na ucho, on nie wie, co mówi, ale Jeremiasz ciągnie dalej, kogo wolałabyś stracić, mamę czy tatę? Nikogo, odpowiada wystraszona, a on, to jest życie, dziewczynko, nie bajka, w życiu w każdej rodzinie ktoś musi umrzeć dla innych, nie słyszałaś o tym? Noa przygląda mu się z lękiem, zaprzecza z wahaniem, ale on mówi z taką pewnością, że przekonuje ją. Naprawdę? bąka, on na to, jasne, czasem umiera dziecko, jak u nas w rodzinie, ja poświęciłem się dla mamy, pozwoliłem, żeby mnie zabił mój tata, dodaje z dumą, a ona schodzi z kolan, zbliża się do niego powoli, ale pan żyje, mówi ze zdziwieniem, on wybuchą śmiechem, jakby mu ktoś opowiedział dowcip, tylko ci się tak wydaje, spytaj mamę, ona ci powie, że jestem martwy. Udi, zrób coś, szepczę, ucisz go, w głowie jej mąci, unieś mi zagłówek, prosi, więc przesuwam podpórkę, ustawiam go w pozycji półsiedzącej, Udi patrzy z zaskoczeniem na ślicznego młodziaka, przykutego do łóżka, lepiej go ignorować,

odpowiada, za bardzo się nim przejmujesz, Noa płacze, to prawda, że jedno z nas musi umrzeć? Skąd, mówi Udi, on chce po prostu zwrócić na siebie uwagę, a chłopak, podsłuchujący z zaciekawieniem, natychmiast wpada w złość, ja chcę zwrócić uwagę? Może to ty próbujesz zwrócić na siebie uwagę, myślałeś o tym?

Wstaję i zaciągam zasłonkę, że też wcześniej tego nie zrobiłam, tłoczemy się wśród jej fałd, ale prostacki śmiech dopada nas, nic wam nie pomoże, skrzeczy, mam rację i wy to wiecie, zawsze mam rację, dlatego ojciec chciał mnie zabić, bodajbym się chociaż raz pomylił. Kiedy go stąd zabiorą, pyta Udi, ja szepczę, nie mam pojęcia, zrozumiałam, że niedługo zdejmą mu kajdanki, jeśli nie przyjdzie sędzia, żeby przedłużyć mu areszt, i właśnie wtedy do naszego namiotu wkracza nieznajoma pielęgniarka, trzeba panu zrobić tomografię, mówi groźnie, jakby go przytapała na objaniu się w czasie, gdy miał być na badaniach, on patrzy na nią zmieszany, zdaje się, że na moment zapomniał, gdzie się znajduje, dokąd tym razem go zawiodły jego sparaliżowane nogi.

Nie ma sensu, żeby pani tam szła z dzieckiem, mówi siostra, kiedy wstaję, mąż musi przejść wiele badań, ja już zadbam o to, żeby go zabrano, i po chwili podjeżdża pusty wózek inwalidzki, młody, energiczny pielęgniarz bierze Udiego na ręce z taką łatwością, jakby jego kości wypełnione były powietrzem, zostajemy w sali same, tylko my i więzień, ktoś mógłby pomyśleć, że to z nim się przyszłyśmy zobaczyć, akurat wraca policjant i obwieszcza, sędzia nie przyjedzie, musimy go zwolnić. Pielęgniarka natychmiast staje w progu, róbcie, co chcecie, bylebyście go stąd zabrali, ale policjant mówi, nie mogę go zabrać, przestanie nam podlegać w chwili, gdy zostanie zwolniony, pielęgniarka pyta,

a komu będzie podlegać, do kogo będzie należeć, policjant w odpowiedzi wskazuje na mnie grubym palcem, a do kogo ona należy, i pani, on należy do siebie, tak jak panie. Ma rodzinę, pyta siostra z nadzieją, trzeba po nich zadzwonić, żeby przyszli go zabrać, ale chłopak, ku zaskoczeniu nas wszystkich, zaczyna płakać, nie dzwońcie do moich rodziców, tylko nie do nich. Ależ, Jeremiaszu, mówi pielęgniarka, twoja rana się goi, niedługo cię wypuścimy, ktoś musi ci przynieść ubranie, przywieźli cię tu z aresztu bez niczego, pamiętasz? Przecież nie wyjdiesz od nas w piżamie, on na to, po co w ogóle mam stąd wychodzić, moja rana jeszcze nie jest w porządku, celowo mnie wyganiaacie przed czasem, gdyby ona została ranna, wskazuje na mnie brodą, pozwolilibyście jej tu leżeć tygodniami.

Chodź, zjedziemy na dół, Nojeczko, proszę ją, pójdziemy coś zjeść, ale ona przywiera do pustego łóżka, zostanę tu, aż tata wróci, chwytą się prześcieradła, jak ulubionej kołderki w niemowlęctwie, ja błagam, chodź, Nojeczko, duszę się w tej sali, przewietrzmy się trochę, ale ona jest uparta, zostaniemy tu, żeby tata wyzdrowiał, więc mówię z irytacją, to nie jest zależne od nas, bodajby to od nas zależało.

Dlatego ja czuję, że zależy, pyta, przeraża mnie tą swoją pewnością, dobrze, ustępuję, skoro tak czujesz, przynajmniej pozwól, że ci coś przyniosę, musisz być głodna, ona mówi, zjem dopiero jak wyzdrowieje tata, rozglądam się dookoła w desperacji, co więcej mogę powiedzieć, co więcej mogę zrobić, mogę tylko mieć nadzieję, że czas się pospieszy, znowu na niego czekamy, jak zwykle, czekamy, aż wróci z wyprawy, zmęczony i zakurzony, i włączy się w rytuały naszej codzienności, porozmawia z nami, zje z nami, ale on zawsze jest głodny godzinę przed obiadem czy kolacją, albo



godzinę po, zasypia dokładnie w momencie, kiedy Noa wraca ze szkoły i budzi się, kiedy ona idzie spać, mam nas swoją przekorną obecnością, potęguje jej głód, ciągle się zastanawiam, czy jej unika, by uchronić się przed kolejną porażką, czy też to kara, i przeciwko komu zwrócona, karze mnie czy samego siebie za to, co się stało wtedy, prawie osiem lat temu. Dziś już ledwo pamiętam, co było przedtem, lata zmieniły przeszłość w jednolitą masę błogości w lśniącej pozłocie, pamiętam maleńką Noę w jego ramionach, jej buzię nad jego barkiem, białym jak ośnieżony szczyt góry, wszystkie koszule zbiegały mu od jej wyplutków, ssała mnie i opluwała go ciepłym mlekiem, mieszała nas, jego wargi szemrały jej coś na ucho, gaworzyły w języku niemowląt, wprawiały jej ciało w taniec, jednym długim tańcem, nieprzerwanym strumieniem mleka i miodu były jej pierwsze lata z nami.

Pierwszą zimę spędziliśmy w jednym pokoju, w jednym łóżku, piecyk palił się przez cały czas, jeśli na moment wychodziłam, chłód w innych pomieszczeniach zaskakiwał mnie, to był obcy świat, natychmiast wracałam biegiem do łóżka, gdzie zastawałam Noę na jego obnażonym brzuchu, z uśmiechem najwyższego szczęścia na buzi, kładłam mu głowę na ramieniu, rękę na jej pupci w pieluszcze, bezpiecznej w cieniu jego miłości, i zasypiałam, na wpół omdlała z gorąca i słodyczy. Odbijaliśmy wzajemnie naszą miłość do niej jak wypolerowane lustra, podwajając ją i potrajjając, a jej odbłaski padały również na nas, byłam tak zachwycona i wdzięczna za jego gorącą, chroniącą miłość, że całkowicie się od niego uzależniłam, kiedy wychodził z domu, byłam zupełnie bezradna, prawie sama stałam się niemowlęciem, on był szczęśliwy, promieniał, mruczał mi kołysanki i poklepywał po plecach. Gdzie się podziało całe to bogactwo,

które w jednej chwili wydobyliśmy z siebie dla niej, dla małej rodziny, jaką stworzyliśmy, wczepieni w siebie, zależni, odosobnieni jak zapomniane przez ludzi plemię, ukrywający nasz skarb, jakbyśmy go komuś skradli. Czasem do drzwi pukali przyjaciele ze spóźnionymi prezentami w rękach, nie otwieraliśmy im, bo nasz tajemny związek był zbyt doskonały, świat zewnętrzny mógł go tylko zniszczyć, niczego mi nie było brak przez długie miesiące, tuliłam się do nich dwojga jak do rodziców, którzy wrócili do siebie i znów są razem, bo byłam grzeczną dziewczynką.

Przez lata nie miałam odwagi myśleć o tamtych dniach, duszę się na wspomnienie ich intensywnej słodyczy, fala mdłości podchodzi mi do gardła, jak to się mogło stać, że te pełne zapału ręce, które podtrzymywały ją co wieczór w wanience, mydliły jej ciało pełne mleka jak uśmiechnięty bukłaczek, że te ręce opadły bezsilnie na balkonie i upuściły ją, potem, kiedy niemalże cudem wyzdrowiała, nie pozwoliłam mu jej tknąć, bałam się ich zostawić samych, między nim a mną otworzyła się pełna jadu przepaść, ona została po mojej stronie, zagarnęłam dla siebie białe włosy jej ciątka. Ku mojemu zdziwieniu on zrezygnował ze wstydem, nie starał się o nią walczyć, nie konsultując się ze mną, przerwał w połowie doktorat, rozpoczął kurs przewodnicki, zniknął z domu na długie wyprawy, wracał zimny i obcy, jego ręce nie miały już dla nas uścisków, i kiedy patrzę ukradkiem na jej wrażliwą twarzyczkę, olbrzymie oczy, utkwione w opustoszałym łóżku w napięciu, jakby doznawała przerażających wizji, zastanawiam się, co ona z tego wszystkiego pamięta. Co pamięta z dwóch pierwszych lat swego życia, przecież nigdy jej nie wspomnieliśmy o upadku, czy wie, że wtedy straciła rzecz najważniejszą, wciąż walczy o jego serce jak

kobieta, którą porzucił ukochany, czy wie, że kiedyś cała jego miłość tylko jej była dana.

Przestań siebie obwiniać, powtarzała Anat, obrzydło jej wysłuchiwanie moich biadań, gdybym się nie zakochała w tamtym, to by się nigdy nie stało, zrujnowałam nam wszystkim życie tą niepotrzebną przygodą, jak mogłam być tak bezczelna, jak śmiałam się zakochać, ona strofuje mnie, co w końcu takiego zrobiłaś, czemu uważasz, że zasłużyłaś na tak ciężką karę, i wiem, że nie ma racji, przecież Udi zupełnie się po tym załamał, wszystko się rozsypało, przez to straciła go Noa, przez to nie mamy więcej dzieci. Nie odpowiadasz za jego reakcję, mówi Anat zirytowana, powiedzmy, że się trochę zakochałaś, co z tego, tyle ci wolno, żyje się tylko raz, nawet z nim nie spałaś. Ale chciałam z nim spać, nie miała pojęcia, jak bardzo chciałam tamtego ranka, który opisywałam jej raz za razem, a ona wzdychała, chęci się nie liczą, za chęci nie płaci się takiej ceny.

Biegnę do niego lekka jak nowo narodzona, Noę zostawiłam u matki, stukając obcasami, przemierzam długą ulicę, tuż przed skrzyżowaniem czeka na mnie ponury, lekko pochylony budynek z mieszkaniem na poddaszu, pełnym płócien i farb, i ostrego zapachu terpentyny. On otwiera mi drzwi z cienkim pędzelkiem w ręku, mruży oczy, jak krótkowidz, próbujący z daleka odczytać ważny znak drogowy, i chociaż nic nie mówi, wiem, że cieszy się, że mnie widzi, wskazuje mi pędzlem fotel, który już na mnie czeka, i spieszy do kuchni, kawa w małym tygielku nadyma się i cofa jak na wietrze, dom wypełnia się jej aromatem, i już mam w ręku gorącą filiżankę, grzejącą zmarznięte palce. On mocuje płótno na sztaludze, zaczyna się poruszać miarowo, oddala się i przybliża, patrzy na mnie szczerymi oczami, wreszcie podchodzi,

dotyka moich włosów, masz gumkę, pyta, grzebię w torebce, wyjmuję spinę, nie spodobała mu się, wyciąga z jednej z szuflad szeroką czerwoną wstążkę i owija nią moje włosy, teraz widać szyję, mówi, czemu ją ukrywasz, masz łabędzią szyję, pod jego spojrzeniem unoszę wysoko głowę, nigdy nie czułam się taka piękna, a może nie o urodę chodzi, czuję się nowa, całkiem nowa. Jego pędzel zdziera ze mnie warstwy frustracji, udręki i strachu, stwarza mnie na nowo taką, jaką zawsze być chciałam, jestem spokojnym, szlachetnym łabędziem z dumnie uniesioną głową, moje ciało wraca do mnie z dalekiego kraju, unosząc się na chłodnych niebieskich wodach, to ciało, które było Udiego, a potem Noi, teraz wraca do mnie i jest moje.

Chcesz zobaczyć, pyta, podchodzę do płótna, piękne, mówię z zachwytem, kolory są czyste, głębokie, czerwona wstążka zlewa się z włosami, otacza je jak królewska korona, on staje za mną, czuję jego oddech na szyi, dolać ci kawy? Nie, odpowiadam z żalem, muszę wracać do Noi, niechętnie zdejmuję z głowy koronę, żegnam się z cudownym spokojem. Przyjdiesz jutro, pyta, ja mówię, zobaczymy, on się uśmiecha, w porządku, będę tutaj, nie musisz się umawiać, i wiem, że zawsze otworzy mi drzwi z cichą radością, z pędzlem w dłoni i zmrużonymi oczami, że zawsze będzie sam wśród farb, już czekam na jutrzejszy ranek, ale Noa budzi się rozpalona, przyciskam ją do piersi ze wszystkich sił, próbuję zdusić zawód, ją trawi gorączka, mnie tęsknota, Udi wraca wieczorem zatroskany, jak się czuje moje małe kochanie, pyta i pochyla się nad nią, całuje ją w czoło. Lekarz stwierdził grypę, donoszę zniecierpliwiona, on wyjmuje z teczek lalkę, którą jej kupił po drodze, i pogrążają się w zabawie, lalka jest chora, nie może wychodzić z domu, dopóki nie będzie

zdrowa. Nazajutrz rano mówię, zostań z nią trochę, muszę coś załatwić, i biegnę na tamtą ulicę, patrzę na jego budynek, ale nie mam odwagi wejść na górę, wpatruję się w duże okno, niemal słyszę miarowe kroki, w przód i w tył, potem wpadam do sklepu i wracam do domu z kilkoma pomarańczami, potrzeba jej witaminy C, mówię, wyciskam je kolejno z gniewem, ona doprasza się, tato, zostań z nami, on całuje ją w pomarańczowe wargi, chciałbym móc z tobą zostać, moja słodka, wieczorem wrócę, a lalka ma wyzdrowieć do tej pory.

Po kilku dniach gorączka spada, ubieram ją ciepło i wychodzę, chociaż Udi powiedział, że dobrze by było zostawić ją jeszcze z dzień czy dwa w domu, matka przygląda mi się z troską, ale niedługo u niej bawię, za półtorej godziny po nią wrócę, rzucam i już mnie nie ma, chęć zobaczenia go cisną się we mnie, zdyszana stoję pod drzwiami, które zawsze ustępowały przede mną prędko, ale on nie otwiera. Opieram się, zawiedziona, o chłodną balustradę, nie mogę znieść, że go nie ma, podrywam się, cichy szmer budzi we mnie nadzieję, wreszcie drzwi otwierają się z wahaniem, to nie on, prawie go nie poznałam, ponury zarost na policzkach, włosy rozczochrane, spodnie rozpięte niedbale, czarny podkoszulek odsłania szeroką pierś i ramiona pełniejsze, niż przypuszczałam. Obudziłam cię, pytam ze strachem, jesteś chory? On się uśmiecha, dobrze, że przyszedłeś, już nic mi nie dolega, chciałam przyjść wcześniej, tłumaczę się, ale Noa zachorowała, on macha ręką, nie musisz się tłumaczyć, cieszę się, że jesteś, siadaj, ubiorę się, zanurzam się w fotelu, żaluzje są zapuszczone, ale nawet w półmroku zaskakuje mnie widok moich oczu, pewnych siebie i czystych, które mnie obserwują ze ściany. Dziesiątki szarych oczu osaczają

mnie, wstaję, zapalam światło, pokój jest zawieszony płótnami, wędruję między nimi, na każdym, dużym, średnim czy małym, jest moja twarz z zebranymi włosami, z powściągliwym, królewskim uśmiechem, a w samym rogu stoję nago, oparta o ścianę, wysoka i wiotka, podchodzę do obrazu, badam go oszołomiona, jakbym mogła się z niego dowiedzieć o sobie czegoś nowego, czego nie wiem.

Słyszę za sobą jego kaszel, niepewnie sięga ręką do mojej szyi, nie złość się, mówi, niby o co, obruszam się, możesz malować, co zechcesz, on śmieje się z ulgą, nic innego nie robię od tygodnia, maluję to, co chcę, nie przyszłaś, więc malowałem cię z pamięci, już dmucha w kuchni w tygiel, ja śledzę z niepokojem jego ruchy, jak miesza kawę, jak wysypuje cukier, nigdy sobie nie zadawałam pytania, co robi, kiedy mnie z nim nie ma, całe jego istnienie sprowadzało się do tych pełnych wzruszeń poranków ze mną, teraz nie mam wyjścia, siadam zmieszana w fotelu, on staje przede mną, bez pędzla w ręku, zupełnie bezbronny, i pyta ochryple, chcesz iść czy zostać?

Jeszcze ci się nie znudziło, pytam, on mówi, przeciwnie, im głębiej w to wchodzisz, tym cię to bardziej wciąga, kiedy studiowałem malarstwo, przez trzy lata codziennie malowaliśmy tę samą modelkę, z każdym rokiem bardziej mnie to fascynowało, bierze pędzel, spogląda na mnie i na obrazy, ale nowo rozpięte płótno wciąż pozostaje puste, jakby moja obecność mu przeszkadzała, patrzę na czerwone dachy, pola dachów zakwitły pod nami, tam, niedaleko, widać naszą dzielnicę, mogłabym rozpoznać nasz dom na zbocz, patrzę na niego, włożył biały ażurowy sweter na podkoszulek, pierwszy raz zauważam, że chodzi przygarbiony, pochyla się lekko do ziemi jak ten budynek, i słyszę, jak pytam, chcesz, żebyś się rozebrała?

On potakuje bez słowa i wychodzi z pokoju, rozbieram się w podnieceniu, składam ubrania na boku jak u lekarza, kiedy wraca, pytam, czemu wyszedłeś, nie lubię patrzeć, jak się otwiera prezent, mówi, chcę odkryć wszystko naraz, przygląda mi się z uwagą, wpatruje się w każdy detal mojego ciała, wydaje się zawiedziony, więc wtrącam przepraszająco, na twoim obrazie wyszłam ładniej, on odpowiada, może, ale mniej interesująco, a ja nie szukam piękna, chwyta obraz, drze go, ja zaś patrzę na to zdziwiona. Nie bój się, mówi ze śmiechem, niszczę większość obrazów, kiedy odkrywam, jakie są powierzchowne, teraz, kiedy cię widzę, zaczynam rozumieć, w czym się myliłem, odwraca się do mnie plecami, zaczyna mieszać farby, wielkie płótno czeka na niego na sztaludze, on zbliża się i oddala w absolutnym skupieniu, zmienia pędzle gorączkowo, siadam swobodniej w fotelu, wstyd mnie powoli opuszcza jak złe wspomnienie, które nagle wydaje się bez znaczenia, przyglądam się swoim udom, tak białym, że aż przezroczystym, i zmęczonym, uśmiecham się do nich ciepło, pobłażliwie, czuję poruszającą, wielkoduszną gotowość wybaczenia czasowi, tej wieży z lat, układanych jak klocki jeden na drugim, aż wieża pada, Noa zawsze pyta z zawodem, dlaczego padła, dlaczego każda wieża musi w końcu runąć.

Bolesna słodycz rozlewa się po płótnie, błyska pomarańczowymi źrenicami, kąsa moje sutki, on masuje je z zaciśniętymi wargami, stawia pędzlem, silnymi pociągnięciami zmierza do bioder, rozpala włosy łonowe, farby ściekają wzdłuż ud i ciężka od pożądania rozsuwam kolana, robię mu miejsce, chcę, żeby do mnie podszedł, zdjął spodnie i wypełnił dręczącą pustkę, jaka rozwarła się w moim wnętrzu. Opuszczam wzrok, widzę, że jego stopy, delikatne, kobiece, zbliżają się do mnie, unosi moją twarz, zanurza

pędzel w wodzie i wyciera w sweter, plamiąc jego biel czerwonym wspomnieniem, i już sprowadza na moją szyję deszcz, zstępuje na piersi, tańczy wokół sutków, maluje na mojej nagości niewidzialne, wzburzone kręgi, coraz szybciej, aż całe ciało jest jednym wielkim kręgiem, jakby ktoś wrzucił w wodę kamień, cenny, szlachetny, wiem, że nigdy nie zdolałam go wydobyć z głębin, miękkie włosy pędzla głaszczą włosy łonowe, łączą się z nimi w potężny, słodki płomień, wdech i wydech, cały czas jego twarz jest ściągnięta w skupieniu, szuka rzadkiego koloru, który tak trudno dojrzeć cielesnymi oczami, aż chowa ją przede mną, kładąc z westchnieniem głowę na moich udach.

Niesforne włosy siwieją mu na karku, pod linią strzyżenia, zdaje się, że szepcze mi w ucho coś, czego nie słyszę, kładę mu palec na wargach, co powiedziałeś? A on podnosi się w milczeniu, staje przed wielkim oknem, ciągnie mnie za sobą, stoję przy nim, wspieram się na nim omdłym ciałem i patrzymy na dachy, na wąską, krętą ulicę, na idących w pośpiechu, okutanych płaszcami ludzi. W jednej chwili zaczyna się ulewa, deszcz siecze o asfalt, młody mężczyzna przystaje, patrzy zdziwiony na chmurę, która rozdarła się dokładnie nad jego głową, nie ma nawet płaszcza, tylko kolorowy sweter w pasy, taki sam jak Udi, patrzy, skąd wziął się deszcz, i jego zdziwiony wzrok przebija moją nagość, białą i lśniącą, migocącą na szczycie domu jak chanukowy świecznik, sztywnieję pod jego spojrzeniem, jakby mnie prąd przeszył, jestem martwą sylwetką z kartonu na szatańskiej strzelnicy przypadku, celnego jak nieomylny snajper. To Udi, wraca do domu, żeby się pobawić z Noą, to Udi z siatką pomarańczy w ręku, z witaminą C na czerwone gardło, i rzucam się na oślep na ubrania, które utraciły tożsamość,



próbuję wsunąć drżącą nogę w rękaw bluzki, on sadza mnie w fotelu, żal wyciąga mu twarz, ubiera mnie jak małą dziewczynkę, klęka, wiąże sznurowadła, potem podnosi mnie i podtrzymuje na schodach, aż na dworze uderza mnie zimne powietrze, parzy obnażone policzki, jakże pozorna jest różnica między zimnem a ciepłem, deszcz kipi na mojej głowie, kiedy biegnę do domu z ustami pełnymi wyjaśnień, błagań i przyrzeczeń, upadam i wstaję, ale jego tam wcale nie ma.

Jest tata, krzyczy Noa i biegnie mu naprzeciw, podnoszę wzrok i widzę go w drzwiach sali, wiozą go nam na wózku z przekrzywioną głową, szarą, wychudłą twarzą, wygląda na to, że starość dopadła Udiego w ciągu tej godziny, kiedy nie było go z nami, wstaję szybko, pochylam się nad nim jak nad dzieckiem w wózku, jak poszło, Udiczku? On mamrocze, wyniki będą dopiero rano, jest cały skurczony, jakby go ktoś upokorzył, pytam ze współczuciem, bolało, on odpowiada, nie, po prostu nie było przyjemnie, Noa oświadcza z dumą, tato, nic nie jem, dopóki nie wyzdrowiejesz, a on wykrzywia w uśmiechu zwiotczałe wargi, przystając bez wzruszenia na jej poświęcenie.

Udi, każ jej coś zjeść, protestuję, powiedz, że wyzdrowiejesz pod warunkiem, że będzie jadła, ale on gapi się na nas, jakby nasza logika była mu całkiem obca, jakby nie rozumiał naszego języka. Samotność wymierza mi kopniaka, aż mnie odrzuca, on niby jest z nami, ale naprawdę już jest w innym świecie, widzę, jak go kładą do łóżka, słyszę, jak mówi, Na'ama, idźcie do domu, chcę spać, Noa marudzi, ale tato, kto z tobą zostanie, muszę być przy tobie, on wzdycha, chcę tylko spać, kiedy śpię, nie potrzebuję nikogo, zadzwonię, jak będę czegoś potrzebował, a ja, która tak bardzo

chciałam stamtąd wyjść, nie mogę się teraz pogodzić z surowością wyroku, nawet na łożu boleści nas wygania, od teraz będziemy wiecznymi banitkami. Udiczku, próbuję, może zaprowadzę Noę do mamy i wrócę do ciebie, on mówi, nie ma potrzeby, łatwiej mi to znosić samemu, naprawdę, zanim nadejdą wyniki, wolę być sam, wiesz, że nie chcę cię zranić, dodaje, a ja wzdycham, ale też mi nie pomagasz. Noa całuje go serdecznie w policzek, tato Ugi, szepcze mu, jak wtedy, kiedy była mała, chcę, żebyś jutro rano wstał z łóżka i chodził jak przedtem, dobrze? Ja nachylam się, całuję go w wąskie wargi, kocham cię, Udiczku, zobaczysz, jak nam będzie dobrze, tylko wyzdrowiej, on potakuje zniecierpliwiony, dotykam jego suchych włosów i prąd przeszywa mi dłoń.

W drzwiach kładę jej rękę na ramieniu, patrzymy na niego z żalem, wydaje się, że już zasnął, idziemy przez oddział zdruzgotane, a kiedy mijamy pokój pielęgniarek, Jeremiasz macha do nas z ożywieniem, masz papierosa? krzyczy, ja odpowiadam, nie, nie mam, ale on idzie do nas, nadal prawie nagi, jestem wolny, obwieszcza, całkiem jak wy, poszli mi przynieść ubranie i buty z magazynu, tyle że nie mam dokąd pójść.

A co z twoją matką? Znów mimowolnie daję się wciągnąć w rozmowę, on mówi, nie pozwala mi do siebie przyjść, nagle pyta, może można pójść do was, na czas, kiedy twój mąż jest tu, na pewno macie teraz miejsce w domu, weźcie mnie ze sobą, błaga, nie mam się gdzie podziać, Noa mnie ciągnie za rękaw, może go weźmy, mamu, jakby chodziło o bezdomnego kota. Zupełnie zwariowałaś, szepczę, ten chłopak jest nie w porządku, powinien być pod opieką, nie widzisz? On ściga nas, jak przerażający Tarzan w przepasce

na biodra z podartej pizamy, zobaczycie, że jeszcze was znajdę, krzyczy, będę za wami szedł pod sam dom, ja mówię, Jeremiaszu, przykro mi, mamy małe mieszkanie, nie mamy dość miejsca dla ciebie, a on wrzeszczy, niedługo będziecie miały dużo wolnego miejsca w domu, wpycham Noę do pustej windy, drzwi zamykają się przed zaciśniętą pięścią, ale klątwa zdążyła się wedrzeć za nami i obija się o srebrzyste ściany.

## Rozdział piąty

Całą noc tuliłam ją w wielkim łóżku, obie nie mogłyśmy spać, zasypiałyśmy i budziłyśmy się z gorączkowych majaków, nasze twarze chłostał koszmarny strach, to znów pograżałyśmy się w radosnym zdumieniu, że coś się dzieje, coś się w końcu dzieje w tym życiu, kiedy zwątpiłam już, że cokolwiek się zmieni. Nagle poczułam ganiącą pięść na zębach, sufit napiera na mnie wściekle, za chwilę okryje nas betonową kołdrą i pogrzebie żywcem, unoszę rękę, próbuję powstrzymać nacisk, Noa mamrocze, co robisz, mamó, wzdrygam się, co za ulga, sufit unosi się na powrót i natychmiast odpływam znowu, przed oczami wirują mi jego wyniki, przerażające odpryski danych, które dopiero rano połączą się w wyrok, w błogosławieństwo albo różgę karzącą. Probówki czerwone od spienionej krwi, blade zarysy kości, odcinki pleców, zakamarki mózgu, gmatwanina nerwów i mięśni, wszystko to nieodwracalnie jednoczy się przeciwko nam w okrutnym spisku, trzeba go udaremnić do rana, modlę się, żeby tylko niczego nie wykryli, niech znajdą coś, co łatwo wyleczyć, już gotowa jestem składać kolejne śluby, poddać się nowym restrykcjom, byle tylko wyzdrowiał, kiedy sen mnie porywa na szaleńczą przejażdżkę, targa mną

i dręczy jak burza piaskowa, wreszcie zrzuca mnie, dwukrotnie bardziej wyczerpaną, na moje miejsce w łóżku, naprzeciw otwartych oczu Noi, śpisz, mamó? Nie, mamrocę z ustami pełnymi kurzu, czuвам nad tobą. Myślisz, że tata śpi teraz, pyta, ja mówię, pewnie tak, śpij i ty, córeczko, ona na to, tata będzie mógł chodzić? A jeśli już nigdy nie wstanie? Nim zdążę odpowiedzieć, zasypia i zaraz się budzi, jestem głodna, mamó, więc podnoszę się ociężale, żeby jej zrobić kanapkę, ale nie chce jeść, zjem dopiero jak wyzdrowieje tata.

Przy bramie szkoły, ogrodzonej jak obóz jeniecki, żegnam się z nią, z jej przekornymi lokami, które, zeschnięte z głodu, zwisają bezsilnie przy twarzy, z oczami, które płoną suchym ogniem uporu i słabości, widzę, jak idzie sama, jak mijają ją w grupkach inne dzieci, ze śmiechem dzielą się sekretami, ale żadne nie zwalnia przy niej, odstrasza je brzemię jej zmartwień. Z ciężkim sercem ruszam dalej, do szpitala, znów mam po prawej starą kawiarnię, kłębi się nad nią gęsty biały dym, robotnicy w jasnych kombinezonach unoszą się w nim jak anioły z narzędziami zniszczenia w rękach, burzą wszystko doszczętnie, by żaden ślad nie pozostał. Latami przechodziłam tamtędy zawstydzona, szukając delikatnych stóp, białego, ażurowego swetra z czerwoną plamą, twarzy, którą już ledwo pamiętam, szukałam tak, aby nie znaleźć, moje poszukiwania były jak list, co nigdy nie miał zostać wysłany, a jednak go napisano starannie, z uczuciem i uwagą. Nigdy więcej go nie widziałam, jakby od tamtej pory nie ruszał się z domu, tylko wciąż uaktualniał mój portret, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, nanosił ślady wybrków czasu, znaczył plamami ręce, pogrubiał więdnące uda, przyszarzał skórę policzków, przygaszał światło w oczach,

przechodziłam tamtędy mroczna i nieuchwytna jak cień, kryjąc twarz, żeby mnie nie zobaczył, zerkalam tylko ukradkiem, to on, to nie on, jak on w ogóle wygląda, chwilami każdy mężczyzna był do niego podobny, chwilami zaś byłam pewna, że nawet jeśli mnie minie, nie poznam go, przecież nigdy naprawdę mu się nie przyjrzałam, nie pozwoliłam jego rysom wryć mi się w pamięć, nie dopuściłam jego słów do uszu, co tam szeptał we wnętrzu moich ud, rozta-piając słodkie sylaby tchnieniem oddechu, aż spływały na delikatną skórę, lepkie i ciepłe.

Światło się zmienia, a ja ciągle patrzę na biały dym, moje bezużyteczne wizje kłębią się w nim, jakby dla mnie został stworzony, przesłania gęstą kurtyną moje oczy, odgradza mnie od sygnałów rzeczywistości, czekam, aż stojące obok mnie samochody dadzą znak, że rzeczywiście mam jechać dalej, ku wyrokowi, jakie śluby mogłabym złożyć, czego jeszcze nie ślubowałam wtedy, osiem lat temu, nad nieprzytomną Noą, przysięgałam już, że nigdy go więcej nie zobaczę, że nigdy więcej się nie zakocham, co jeszcze mogę teraz obiecać, żeby Udi wyzdrowiał, w uszach brzmi mi znużony śmiech Anat, na co komu twoje wyrzeczenia, kto skorzysta na tym, że będziesz cierpiała, spieram się z nią w milczeniu, nawet jeśli to nie pomoże, nie zaszkodzi, a ona mówi, owszem, zaszkodzi, tobie zaszkodzi, nie rozumiesz? Nic już nie widzę, kurczowo trzymam się samochodu przede mną, jakby w nim był mój cały ratunek, za mną, jak złowieszczy tren, sunie biały dym.

Parkuję w cieniu wzgórz, daleko od szpitala, jakbym się wybierała na piknik na łonie przyrody chwilę przedtem, nim lato rzuci się z pazurami na góry, osłania je jeszcze okrywa niewinnej zieleni, ale za kilka dni pokona ją armia

cierni w żółtych mundurach, a po niej pewnej upalnej nocy czarna kołdra pożarów opadnie na wzgórza. Przeżykam ostre powietrze poranka, zaklinam drzewa i trawy, idę powoli, krok za krokiem, a już mnie bołą nogi, nie pieszczę się, powtarzałam pełnemu niedowierzania Udiemu, naprawdę mnie boli. On zawsze pędzi naprzód, ja wlokę się za nim, urażona, zaczekaj na mnie, ale on, jak długa, ostra strzała, nie może się zatrzymać, raz wypuszczony. Co z nim teraz będzie, jak będzie żyć bez nóg, przecież niczego nie potrzebuje bardziej od nich, oddałabym mu własne nogi, i tak nie są wiele warte, już widzę siebie na wózku, spokojna i szlachetna z ponurym szmerem przemierzam pokoje, i łzy żalu nad samą sobą cisną mi się do oczu, akurat kiedy wchodzę na oddział, wydaje się, że to w ogóle nie ten oddział, wszystkie twarze się pozmieniały, a może tylko przybrały inny wyraz, jak krajobraz, który zupełnie inaczej wygląda latem, a inaczej zimą. Mija mnie siostra o pięknych dłoniach, pytam ją nerwowo, co z Udim, ona mówi, wszystko w porządku, ale patrzy na mnie z rezerwą, jakby dosłownie przed chwilą dotarli do niej przykre pogłoski na mój temat, próbuję to zignorować, pytam, był już obchód, a ona zatrzymuje mnie pod drzwiami do jego sali, nie wolno teraz wchodzić, robię krok w tył, jego łóżko otacza zasłona, ciężki cień pochyla się nad nim, ktoś go bada?

Tak, psychiatra, cedzi niechętnie, świdrując mnie wzrokiem, ja pytam z lękiem, dlaczego, co zrobił? Jej podejrzliwość wpędza mnie natychmiast w niejasne poczucie winy, ona mówi, to już lekarze pani wyjaśnią, nie wiem dokładnie, szybko odwraca głowę i znika, siadam przy wejściu do sali, wyciągam przed siebie nogi, choć grozi to zablokowaniem ożywionego ruchu na korytarzu. Skąd nagle psychiatra, co

u niego wykryli, resztki oczywistości, jakie mi jeszcze zostały, kruszą się w palcach, przecież Udi nigdy nie zgadzał się pójść na żadną terapię, ani sam, ani ze mną, dlaczego miałyby teraz prosić o rozmowę z psychiatrą, dlaczego ona patrzy na mnie z takim dystansem, wczoraj była pełna współczucia, kiedy go rozbierałyśmy na cztery stroskane ręce, a dziś unika mnie jak zbrodniarki, znowu zaglądam do sali, na łóżku Jeremiasza leży starszy, smutny mężczyzna, z podłączonymi rurkami, jego twarz na mój widok napełnia się życiem, gość do niego przyszedł, ale zaraz pustoszeje z zawodu, co takiego wie, czego ja nie wiem, to, co zaszło w tej sali od wczorajszego wieczoru, jest dla mnie tajemnicą, ale on, chociaż obcy, wie wszystko.

Patrzę na cienką zasłonę z urazą, próbując pochwycić jakieś kluczowe słowo, co oni knują, jak to jest, że nagle nie mam wstępu do jego świata, każdy wie o nim więcej niż ja, już nie jest mój, jest zaślubiony chorobie, oni wszyscy, pielęgniarka, psychiatra, nawet ten staruch, są jego nową rodziną, krewnymi panny młodej, i z nimi się spoufala, im wyjawia najskrytsze sekrety, wracam na swoje miejsce, na krzesło przy wejściu, gdzie wczoraj siedział policjant, zdrada Udiego pali mnie w kark, jakby za zasłoną odbywała się ognista orgia.

Mężczyzna, który wychodzi w końcu z sali, nie zaszczyca mnie jednym spojrzeniem, jest wysoki, barczysty, istny olbrzym, głowę ukrywa pod gęstymi, siwymi włosami, a oczy - za grubymi szklami, już pokazuje mi kwadratowe jak pusta tablica plecy i szybko znika, co za niezwykła cecha, oni wszyscy, krewni choroby, rozpływają się nagle, prędcy i nieuchwytni, pozostawiając po sobie zdumienie i urazę, wchodzę do sali, staruszek znów się unosi z nadzieją, po



czym opada z powrotem na poduszkę, rozczarowany, ale Udi leży bez ruchu pod namiotem, jak na swoich wyprawach, z udaną wesołością odsuwam zasłonę i rzucam, Udiczku, jak się masz, a on odpowiada posępnym uśmiechem, z tym samym co u Noi wyrazem roztargnienia i zaskoczenia na twarzy. Co wykazały badania, wyrwa mi się wrzaskliwie, tyle razy ćwiczyłam w nocy to pytanie, aż straciłam nad nim kontrolę, on mówi, na razie nic, oddycham z ulgą, doznaję wrażenia, jakbym się wreszcie napiła po wielu godzinach pragnienia, woda zaczyna krążyć w moich żyłach, niosąc pocieszającą wieść organom wewnętrznym. Świetnie, mówię ostrożnie, czyli wszystko w porządku, tak? On odpowiada, przecież nogi nie są w porządku, i nagle wybucha płaczem, chcą mnie przenieść na oddział psychiatryczny, szłocha wystraszony, przytulam go ze zgrozą, czuję zimne i chude ciało pod piżamą, niemal mi obce.

Dlaczego akurat tam, pytam, on jęczy, bo nic u mnie nie znaleźli, nie rozumiesz, badania wyszły dobrze, ale nogi są nie w porządku, i przypominam sobie nieczułe, kwadratowe plecy, butne kroki, nie dam go, muszę go zabrać, on ma szczególnie, złożony ustrój, całe życie daremnie staram się go rozszyfrować, więc jak oni chcą to zrobić w ciągu jednego dnia, muszę go stąd wydostać, zanim mi go zniszczą. A ręce, pytam, on porusza powoli palcami, trochę lepiej, mnie ogarnia radosna pewność, to i z nogami będzie dobrze, zobaczysz, najważniejsze, że nie stwierdzili niczego poważnego, po prostu musisz odpocząć, podopiecznymi cię w domu i w ciągu kilku dni wrócisz do siebie. Nagle wszystko jest dla mnie jasne, silne światło pada na groźne laboratoria z pełnymi krwi próbkami i bakteriami, uwięzionymi w hodowlach, na przewody rentgena, do utraty tchu wiru-

jące w tunelach tomografów, i wierzę, że jeśli ciału nic nie dolega, to z duszą już sobie poradzę.

Może wywiozę cię trochę na dwór, z łóżkiem, taka ładna pogoda, proponuję mu w podnieceniu, on się waha, sam nie wiem, światło mnie razi, w tym momencie do sali wkracza siostra, za nią kilka białych fartuchów ze srogimi minami, pielęgniarka zwraca się do mnie, proszę wyjść, ja protestuję, chcę wiedzieć, co się tu dzieje, dlaczego nikt mi nic nie wyjaśnia, to mój mąż, jestem jego żoną, dodaję dla podkreślenia, bo trywialne słowa sypią mi się z ust na podłogę, kwilą u stóp lekarzy jak słabowite pisklaki, nie mają siły się podnieść, ale oni skupiają się wokół niego, nie zwracając na mnie uwagi, i tylko najmłodszy z nich, który wszedł ostatni, mówi, niech pani zaczeka na zewnątrz, po obchodzie ktoś z panią porozmawia.

Wstaję w napięciu i wycofuję się do drzwi, po co go przywoziłam, to nie dla niego, muszę go stąd wydostać, już sobie wyobrażam, jak go wykradnę, wytoczę potajemnie do samochodu, rozdzielę z jego chorobą, usunę ją z naszego życia, nagle w otchłaniach mojej torebki dzwoni telefon i słyszę głos Anat, gdzie jesteś, utyskuje, potrzebujemy cię, Galia urodziła przedwczoraj, bez przerwy płacze, musisz przyjść, porozmawiać z nią, ja mówię, nie mogę, Udi jest w szpitalu, zawiadamiałam wczoraj Chawę, ale na niej to nie robi wrażenia, zostaw go na pół godziny, nic mu nie będzie, musisz z nią porozmawiać, bo to się źle skończy, i w tym momencie widzę, że oni wychodzą, są jak tłumna delegacja, jak hermetyczna tajna sekta, biegnę za nimi, dotykam kraju fartucha ostatniego lekarza, niech mi pan powie, co mu jest, on marmrocze niechętnie, paraliż konwersyjny, jeszcze nie mamy pewności, ale najprawdopodobniej. Jaki paraliż? pytam, on

mówi, konwersyjny, ciało przekształca napięcie psychiczne w dolegliwość fizyczną, reaguje konwersją, rozgląda się przy tym wokół z obawą, jakby wyjawiał pilnie strzeżony sekret, i szybko dogania delegację, zostawiając mnie z nowym słowem. Więc tak ma na imię jego nowa pani, konwersja, smakuję litery, wdycham jej mroczny zapach, woń lochów z odległej przeszłości, z których dochodzą krzyki przerażonych konwertowanych, torturami zmuszanych do zmiany wyznania, poddania się nakazom obcej wiary, ale co to właściwie znaczy, ile trwa, w jaki sposób przechodzi, wydaje mi się, że kiedyś uczyłam się o tym zjawisku, ale niewiele pamiętam, wciąż słyszę, jak głos Anat trzepoce w mojej dłoni, zduszony w ściśniętej pięści, Na'ama, krzyczy, musisz przyjechać, wszystko, co w nią włożyłyśmy, pójdzie na marne, wreszcie wyłączam telefon i wpycham go do torebki, zamykam w niej biedną Galię, piętnastoletnią dziewczynę z ogromnym brzuchem, i szybko wchodzę na salę.

Co powiedzieli, pytam, może on jednak wie więcej niż ja, ale mniej go to interesuje, niewiele, odpowiada, przejrzeni wszystkie wyniki, jeszcze raz zbadali nogi. Udało mi się ruszyć nimi trochę, dodaje z dumą, patrz, i rzeczywiście widzę niemal niedostrzegalny ruch w stopach, jak powiew wiatru między palcami, i pytam, co teraz, na co czekają, on szepcze, chcą zobaczyć, czy w najbliższych godzinach nastąpi poprawa, bo jeśli nie, przeniosą mnie na psychiatrię, Udi, mówię, trzymając go za rękę, musisz się postarać, skup się tylko na tym, musisz, on na to, wiem, staram się, i wreszcie czuję, że jesteśmy razem, że mamy wspólny cel, walczymy ramię w ramię, a nie w przeciwnych obozach.

Chcesz zjechać na dół na trochę, pytam znowu, on kręci głową, nie, chcę odpocząć, zjedź sama, jeśli chcesz, ja pytam,

przynieść ci gazetę, on mówi, nie, gazetę nie, może masz jakąś książkę? Ja odpowiadam, nie, nic nie mam, i wtedy przypominam sobie: włożyłam ci wczoraj do torby swoją Biblię, on rozpromienia się na widok zniszczonej księgi, z którą jeździ na wszystkie wyprawy, Noa krzyknęła kiedyś, dlaczego ją zabierasz, a mnie nie, rzuciła Biblię na ziemię i podeptała ją, myślę o niej z troską, ona nic nie je, wiesz, ledwie zmusiłam ją rano, żeby wypić kakao, ale on już przewraca kartki, nic jej nie będzie, dzień postu jej nie zaszkodzi, twarz mu się wypogadza, gdy zatapia się w starożytnych wersetach. Zjadę na chwilę na kawę, rzucam szybko i wychodzę z sali, ale nie idę do bufetu, tylko do dalekiego samochodu, który zaparkowałam w cieniu wzgórz. Nie dowie się, że wyskoczyłam do ośrodka, sam znika na całe dni, ale do mojej pracy odnosi się wrogo, jakby coś przez nią tracił, jakby smutne, samotne kobiety, których brzuchy pęcznieją tajemnicą, liczyły się dla mnie bardziej niż on.

Z zewnątrz nasz ośrodek wygląda jak wszystkie inne domy, nie można się domyślić, jak bardzo się od nich różni, wchodzę szybko, szczupła postać Anat wylania się z jednego z pokoiów, jak zwykle w dżinsach i białej koszulce, krótko obcięte siwiejące włosy okalają jej twarz, zawsze tak czystą, jakby ją właśnie umyła zimną wodą i mydłem, wszystko w niej jest proste, oszczędne, nie tak jak u mnie, jeden wielki zbytek, długie włosy, które zajmują tyle miejsca, pełne wargi, okrągłe policzki, świetnie, że przyszedł, mówi, nie pyta, co z Udim, a ja się powstrzymuję od relacji, bo nie jest już moją przyjaciółką. Za każdym razem, kiedy ją widzę, zaskakuje mnie na nowo świadomość, że zerwałyśmy naszą przyjaźń pewnego ranka, przed kilkoma miesiącami, kiedy

przyszedłam do pracy z oczami czerwonymi od płaczu, po kłótni z Udim, wzięłam ją na stronę i jak zwykle zaczęłam opowiadać jej gorączkowo, on powiedział, ja powiedziałam, on obraził, ja się obraziłam, ale ona przerwała mi swoim czystym głosem, Na'ama, naprawdę nie chcę tego więcej słuchać.

Jak to, dlaczego? krzyknęłam z niedowierzaniem, a ona powiedziała, bo to nie ma sensu, ciągle się na niego skarżysz, tylko nic z tym nie robisz, pozwalasz, żeby kierował twoim życiem, nie jesteś w stanie mu się przeciwstawić ani go porzucić, może ty jeszcze nie masz tego dosyć, ale ja tak, długie tygodnie chodziłam zdumiona i dotknięta, nie mając się z kim podzielić swoim zaskoczeniem, wreszcie opowiedziałam Udiemu, akurat jemu, a on skomentował, nie kryjąc satysfakcji, czym się przejmujesz, po prostu jest sama, a ty masz rodzinę, więc ci zazdrości. Wiedziałam, że Udi się myli, wiedziałam też, że ona ma rację, i dalej z nią prowadziłam rozmowy w wyobraźni, tak dobrze już znałam jej rolę, że mogłam ją zastąpić i wypowiadać jej kwestie, czasem łatwiej mi było sformułować jej wypowiedź niż moją własną, tyle zostało z naszej przyjaźni, zresztą i to niemało, od tamtej pory jesteśmy tylko koleżankami z pracy i jak rozwiedziona para, która stara się o poprawne stosunki dla dobra dzieci, my staramy się dla dziewczyn w ośrodku, ja usiłuję ukryć zranienie i tylko czasem, w pierwszej chwili dnia, mam wrażenie, że pchnięto mnie nożem we śnie.

Co z Galią, pytam, ona mówi, niedobrze, nie zgadza się oddać dziecka, zaprzecza wszystkiemu, co z nią uzgadniałyśmy, wchodzę do jej pokoju pospiesznie, wydaje się tak zagubiona bez wielgachnego brzucha, jakby ją ograbiono

z połowy ciała, oczy świecą jej czerwonym blaskiem, kiedy mnie widzi, płacz powraca, pada w moje otwarte ramiona ze szlochem, nikomu nie oddam córeczki, jest moja, już jej wybrałam imię, kto chce ją adoptować, niech adoptuje mnie też, przytulam ją, gdyby to było możliwe, szepczę, ale nie jest, przecież wiesz, pytanie tylko, czy jesteś w stanie ją sama wychować. Paroksyzm płaczu łapie ją jak kolejny skurcz porodowy, nie jestem w stanie ani jej oddać, ani wychować, krzyczy, więc głaszczę ją po włosach, dużo o tym rozmawiałyśmy, Galia, wiesz, że decyzja należy do ciebie, musisz się zastanowić, co jest lepsze dla dziecka, ona zawodzi, jak zobaczyłam jej buzię, wyleciało mi z głowy wszystko, o czym mówiłyśmy, nie wolno mi było na nią patrzeć, spoglądałam na twarz Galii, upstrzoną pierwszymi pryszczami, nie skończyła jeszcze piętnastu lat, jest małą dziewczynką, która wpadła w pułapkę, masz jeszcze czas na decyzję, mówię, poród cię wyczerpał, odpocznij, może coś ci się wyjaśni, i patrzę na zegarek, ona ma jeszcze czas, ale ja nie. Muszę lecieć, kochanie, mój mąż jest w szpitalu, porozmawiamy jutro, szepczę, całuję ją w czoło, wychodzę od niej w pośpiechu i omal nie wpadam na Chawę, dyrektorkę, która stoi pod drzwiami, jakby podsłuchiwała naszą rozmowę, ale jej pełna godności służbowa mina sprawia, że natychmiast wyzbywam się wszelkich podejrzeń. Na'ama, dziwi się, nie sądziłam, że dzisiaj przyjdiesz, jak się czuje twój mąż? Jest jeszcze w szpitalu, mówię, muszę tam wracać, więc puszcza mnie z lekkim niesmakiem, potrzeby rodziny zawsze się tu traktuje z pogardą. Będiesz jutro, pyta, ja odpowiadam, jeszcze nie wiem, zależy, w jakim on będzie stanie, ale wychodzę z ośrodka z obawą, że tym razem miała raczej nadzieję usły-

szeć, że nie przyjadę, że woli naciskać na Galię bez mojej wiedzy, żeby dziewczyna się zrzekła i bez mojego udziału podpisała niezbędne dokumenty.

On na szczęście śpi, jestem czerwona, jakbym wracała od kochanka, zdaje się, że z biegiem lat niechętnie pogodziłam się z jego przeświadczeniem, że każde niezwiązane z nim zajęcie jest zdradą, od lat wracałam z pracy w poczuciu winy, teraz też się wahałam całą drogę, czy powiedzieć, że byłam w ośrodku, czy że zasnęłam w bufecie, co go mniej urazi, ale gdy wkraczam do jego namiotu i widzę, że śpi z czerwoną Biblią na twarzy, bardziej czerwony niż ja, jakby obcięto mu głowę, kładąc w jej miejsce opasy tom, oddycham z ulgą i już zamierzam wyjść z sali, tym razem naprawdę do bufetu, gdy zatrzymuje mnie słaby głos, dobiegający z łóżka naprzeciwko. On chodził, chodził, obwieszcza mi staruszek uroczyście, jakby dokonał się tu cud, weź łóżko swe i idź, a będą odpuszczone grzechy twoje, kto chodził, pytam, on odpowiada, pani mąż, zrobił trzy kroki, z balkonikiem, rzeczywiście, przy jego łóżku stoi solidny balkonik, jak wierny pies, czekający na swego pana, pytam znowu, kiedy to było, a on opowiada z dumą jedyne go naoczego świadka, sprowadzili jakiegoś ważnego profesora z innego oddziału, porozmawiał z nim, potem wzięli balkonik, spróbowali i udało się, trzy kroki, powtarza z ożywieniem, w tym momencie książka porusza się, zsuwa na bok i Udi z lękiem w oczach siada na łóżku.

Wszystko idzie dobrze, informuję go, ale on nie przyjmuje tej nowiny, nie wierzą mi, że ledwo chodzę, zali się, są przekonani, że ich oszukuję, ja głaszczę go po ręce, nie zwracaj na nich uwagi, Udi, byle tylko cię wypuścili, ważne, że

ja ci wierzę, ale i we mnie odżywa tamta wątpliwość, zerka szyderczo na balkonik i fotel na kółkach, wątpliwość niewielka wprawdzie, przez większość czasu kryjąca się jak szczur w głębi kuchennej szafki, nigdy i przez nikogo niewidziany, a jednak pewność, że mieszka w naszym domu, dręczy i stale narasta, aż ma się wrażenie, że to już nie nasz, tylko jego dom.



## Rozdział szósty

I już szpital zostaje za nami, robi się coraz mniejszy, w miarę jak podjeżdżamy na wzgórze, przepełnieni podszytą strachem wesołością jak dzieci, które uciekły ze szkoły, zachłystujemy się chwilową radością, ale wiemy, że to się źle skończy. Udi siedzi przy mnie, w zeszytniętych palcach trzyma swój wypis, czekaliśmy na niego godzinami, a oni namawiali się za naszymi plecami, znikali nagle i pojawiali się znowu, bez żadnej decyzji, pozwólcie mu iść do domu, wiem, co dla niego dobre, domagałam się z przekonaniem, on tylko obserwował, nie zdradzając się ze swoimi chęciami, chyba nie chciał tam zostać, jednak do powrotu do domu też się nie palił, ze spuszczonego wzrokiem szukał innego wyjścia, ale ja, widząc spojrzenia, jakie mu posyłali, nie miałam wątpliwości, że jeśli go dziś nie wypuszczą, zostanie przeniesiony na psychiatrię, nie wierzą mu przecież, zasypują go uwłaczającymi pytaniami, wypędzają ze swojego oddziału, gdzie leżą prawdziwi chorzy, którzy uczciwie zapracowali na uwagę, dla niego już nie ma tu miejsca, zawiódł pokładane w nim zaufanie. Idealne wyniki badań ujawniły oszustwo, co skazało go na tułaczkę po szarym, sennym obszarze na pograniczu świata chorych i zdrowych, nie przynależał ani

tu, ani tu, wszystko to zobaczyłam w jego zmieszanej twarzy, wstydził się swojego ciała, budzącego pogardę, zwodniczych nóg i tego żalosnego powrotu do domu, który zaskoczył nas prawie tak, jak wyjazd z niego, zaledwie dzień wcześniej.

Ma w oczach strach, jak mała Noa, kiedy wieźliśmy ją z powrotem ze szpitala, siedziałam na tylnym siedzeniu, trzymając ją na kolanach, Udi prowadził w milczeniu, widziałam jego napięty kark, byliśmy jak okruchy rozbitego wazonu, pragnące się skleić na powrót, może właśnie teraz to nastąpi, może się zjednoczymy na nowo pod skrzydłami jego choroby, głaszczę go po ręce, Udiczku, nie martw się, najważniejsze, że się stamtąd wyrwaliśmy, odpoczniesz kilka dni i dojdiesz do siebie, on miętosi swój wypis, speszony jak dziecko, które przyniosło złą cenzurkę do domu, czy ja wiem, mówi z westchnieniem, dopóki nie jestem pewien, co to było, nie mam gwarancji, że się nie powtórzy, nie czuję się bezpiecznie, nie mam pojęcia, jak się z tego wychodzi, ale ja jeszcze się czepiam pocieszających złudzeń, że z duszą już sobie poradzę. Nie przesadzaj, każdemu to się zdarza w takiej czy innej formie, najważniejsze, że to minęło, że jesteśmy w domu, obwieszczam z ulgą, gdy wysiadamy z samochodu, pochylam się, on mnie łapie za szyję i podnosi się, chodzi powoli jak starzec, poruszający się ostatkiem sił, uwieszą się na mnie ze wzrokiem wbitym w chodnik, wstydzi się, że ludzie go widzą w niesławie, oto bohater dumnie niesiony na noszach, zmagający się z tajemniczą chorobą, wraca do domu zhańbiony, wygnany ze szpitala.

Wydaje mi się, że w jednym z okien rozsuwa się firanka, wygląda przez nie córka sąsiadów z dołu, dźwięk dzwoneczków wplecionych w jej włosy towarzyszy nam, gdy z trudem stawiamy kroki, stajemy na odpoczynek na podeście scho-

dów, mało brakuje, a nogi złożą się pod nim z głośnym chrzęstem stawów, otwierają się nasze drzwi, wisi na nich niebieski balonik, Noa wychodzi z pomarańczowym balonem w rękę, zaskoczyliśmy ją w apogeum przygotowań do uroczystego powitania, ze zdziwienia wypuszcza balon, wiatr go niesie, staje się coraz mniejszy, już jest maleńką pomarańczką, wczepia się w pobliski bez chiński, momentalnie go zmienia w dumny cytrus. Noa spogląda na przemian to na nas, to na niego, ze smutkiem po stracie balonu miesza się radość z naszego powrotu, wreszcie się decyduje na radość i mówi, jesteś zdrowy, przypatruje mu się i dodaje, prawda, tato? Inaczej by cię nie puścili, usiłuje przekonać samą siebie bez powodzenia, bo widzi, że jego twarz zielenieje i nogi jak zapałki łamią się pod nim na progu.

Wlecemy go we dwie do łóżka, jest ciężki, chociaż szczupły, wypełniająca go gorycz podwaja wagę ciała, Noa wyciąga się przy nim blada, prawie przezroczysta. Jadłaś coś, pytam, jeszcze nie, odpowiada, chciałam najpierw zobaczyć, co z tatą, ja mówię, to chodź zjeść teraz, nie możesz dłużej w ten sposób, już widzisz, że wszystko w porządku, ale ona patrzy na niego z powątpiewaniem i mówi, jeszcze nie, po czym zaczyna płakać, w szkole zjadłam jabłko, beczy, zapomniałam, że mi nie wolno, zjadłam na przerwie jabłko i przez to tata nie wyzdrowiał.

Dość tych bzdur, wybucham, kiedy zrozumiesz, że nie ma żadnego związku między jego nogami a twoim żołądkiem, możesz się zagłodzić na śmierć i nic tym nie osiągniesz, trzaskam drzwiami, mam ich obojga po dziurki w nosie, idę do kuchni, na szczęście w zamrażalniku zostało jeszcze kilka sznyceli z naszego poprzedniego życia, smażę je, zaczynam wyjmować warzywa na sałatkę, pytam na głos,

gdzie pomidory, mówię sama do siebie z napięciem, widziałam je przed chwilą, szukam w lodówce, wreszcie odkrywam, że leżą spokojnie na blacie, trochę pomarszczone, a między nimi jedyny, podstarzały ogórek, i już salaterka jest pełna, otwieram butelkę wina, może to nam pomoże uwierzyć, że zło odeszło, stawiam wszystko na wielkiej tacy, którą dostaliśmy w prezencie ślubnym, i jak początkująca kelnerka taszczy ją do sypialni, gdzie leżą w milczeniu, oboje smutni, stawiam tacę na łóżku, zachęcam ich do jedzenia, nalewam wino. Zdrowie, nalegam, nasze zdrowie, Noa unosi pusty kieliszek, zdrowia dla taty, mówi z naciskiem, jakby właśnie zdmuchnęła świeczkę na niewidzialnym torcie i przyszedł czas wypowiedania życzeń, po czym dodaje niepewnie, czując, że o zbyt wiele prosi, i dla nas wszystkich.

Jesteśmy w jednym pokoju, w jednym łóżku, jakby wokół szalała wojna, jakbyśmy się tu razem ukrywali, talerze wtapiają się w kołdrę, jak zawsze jem w pośpiechu, żeby zdążyć, zanim ktoś czegoś ode mnie zechce, piję coraz więcej wina, na chwilę przedtem, nim padnę na skraju łóżka i zasnę, zauważam, jak na jej talerzu olbrzymieje sznycel, cały, nie-  
tknięty, przypomina kształtem daleki, opustoszały kraj, umęczony, podbity, stąpam bosymi stopami po sznycle, jest wielki i pałacy, całymi dniami nie widzę żywej duszy, wreszcie spotykam mnicha w czerwonej szacie, ten szepcze przez spierzchnięte wargi, uciekaj stąd, ratuj duszę, kogo tu złapią, tego zmuszają do zmiany wyznania, pytam go, gdzie ja jestem, co to za kraj, a on mówi, Konwersja, nie słyszałaś o Krainie Konwersji?

Kiedy się budzę, w pokoju jest ciemno i duszno, wypełniający go ciężki zapach smażeniny wypiera chłodne, wiosenne powietrze, obok siebie znajduję talerz z zastygłym

tłuszczem, cofam się przed nim jak przed żywą istotą, moja matka mawiała, kto się budzi po zmierzchu, ten już się tego dnia nie uśmiechnie, i najwyraźniej akurat pod tym względem miała rację, patrzę na szerokie łóżce, na nas, rodzinę zmorzoną w środku dnia pijackim, kwaśnym snem, i czuję się, jakbym dostała obuchem w łeb, próbowałam zorganizować uroczystość, ale co tu świętować, przecież już wcześniej było wystarczająco źle, a co dopiero teraz. To gorączkowe pragnienie, które mnie nie opuszcza od wczorajszego ranka, żeby przywrócić rutynę, zwinąć się w normalności jak pies w budzie w deszczową noc, wydaje mi się nagle głupie, bo na co komu to, co było.

I wtedy zauważam, że moja strona łóżka jest pusta, nie ma Noi, wpadam do jej mrocznego pokoju, nie ma jej ani tam, ani w pozostałej części domu, po którym błąka się słabe światło, na stole w kuchni znajduję oddarty kawałek kartki, poszłam do babci, nabazgrała niezgrabnym pismem, będę tam spać, zabrałam tornister, jestem zdziwiona, co się nagle stało, że mała domatorka wyniosła się z własnej woli, z trudem się godzi pójść na zajęcia pozalekcyjne, cały czas prześiaduje w mieszkaniu jak pies łańcuchowy, pewnie wyszła nieprzypadkowo, myślę o niej ze wstydem i smutkiem, o tej małej dziewczynce, która ma wielkie zadanie, wypełniające jej życie, musi posklejać rozbity wazon, już od ośmiu lat ją to zaprzęta, ona rośnie, ale zadanie rośnie razem z nią, łamię jej dzieciństwo.

Z sypialni dochodzi ciężkie pochrapywanie, jak gniewna nagana, więc wracam tam pokornie, wyciągam rękę w jego stronę, na początku zbliżenia zawsze budzi się we mnie pierwotna odraza, poprzedzająca wszystko, co przyjdzie po niej, namiętność czy żądzę, wesołe bliźniaczki, które przez

energiczne tarcie próbują ją pokonać, czasem się daje przegonić z podkulonym ogonem i żądza świętuje zwycięstwo, płomienna i gorąca, a czasem to ona przegrywa, zdaje się, że już się rozpala, ale nie, zgasła, trudno wyrzesać ogień z wilgotnego drzewa, i pozostaje po niej tylko leciutki zapach dobrych intencji, z których nic nie wynikło. Kładliśmy się tak obok siebie na moim wąskim panińskim łóżku, jego chłapiące ręce poszukiwały skarbów w moim ciele, a ja nasłuchiwałam kroków ojca w chodakach na gumie, w tę i z powrotem, jego samotność odbijała się echem w całym domu, a mnie fala odrazy dusiła niemal do wymiotów. Siadałam wtedy na łóżku i odpychałam jego dłonie, nie mogę, Udi, jak mam mieć z tego przyjemność, kiedy on jest tak nieszczęśliwy, ale Udi nie rezygnował, tylko przedzierał się do mnie, jego zdecydowanie próbowało odeprzeć wstręt, przez chwilę zdawało się, że mu się uda, odraza chowała się przed nim w głąb mojego gardła, gdzie nie mógłby jej dosięgnąć nawet jego długi język, i poddawałam się, otwierałam przed nim bramę za bramą, pod jego rękami tryskały fontanny słodczy, ale rano budziłam się z ogniem w krtań, nie mogąc przełykać z bólu, temperatura rosła, ojciec dzwonił do matki, ona znowu jest chora, znów zapalenie gardła, i przewozili mnie z moją chorobą, piżamą i kołdrą z domu do domu, żeby mały Jotam się nie zaraził, i tak nie był najzdrowszy, Udi przychodził odwiedzić mnie po szkole, wpychał się do rozprażonego łóżka, ja bąkałam, zostaw mnie, jestem chora, on szedł sobie, obrażony, bez pożegnania, a ja, słysząc dreptanie chodaków w całym domu, zadręczałam się, tego sobie życzysz, chcesz żyć w takiej samotności, bo to właśnie cię spotka, jeżeli go do siebie niechęcisz.

Kwaśne wyziewy alkoholu buchają na mnie z jego otwartych ust, przywieram do niego pod kołdrą, kładę na swoich ramionach jego uśpioną rękę w iluzorycznym uścisku, pieszczę go, starając się obudzić w nim żądzę. Jak się ją budzi, skąd przybywa, czasami jedno słowo, zjadliwy, prowokacyjny uśmiech potrafi tchnąć w nią życie, ale jak ma przyjść teraz, kiedy ciało zostało samo, bez żadnych ozdób, nie tylko znieruchomiałe mięśnie i choroba, krępująca i tajemnicza, jednak tym razem nie daję za wygraną, muszę go spróbować uleczyć starożytnym sposobem, córki Lota też raczej nie pożałowały starego, pijanego ojca w jaskini w górach nad Soarem, po zburzeniu miast nadJordanem, a jednak go upoiły winem i spały z nim, aby zachować z niego potomstwo, a on nie wiedział, ani kiedy się położyły, ani kiedy wstały. Kładę rękę na śpiącym członku, ten w jednej chwili przeciąga się i budzi, jak ciekawski dzieciak, który nie chce niczego przegapić, nachylam się nad nim z nagłą radością, oto jedyny organ w jego ciele, który się nie zmienił, jest żwawy i przyjacielski, na nim zawsze można polegać, to wierny sprzymierzeniec w krainie, która przybrała nowe oblicze, nie sądziłam, że kiedykolwiek poczuję, że jest mi tak bliski, odnoszę wrażenie, że jest mój, niemal stanowi część mnie, i siadam delikatnie na płaskim brzuchu, kołyszając się na boki. Jednak przychodzi, kiedy już miałam się poddać, żądza pojawia się, wydobywana z głębokiej studni w rozhuśtanym wiadrze, gęsta, lepka, szczypię jego ciało pomiędzy swoimi udami, już nie zależy mi, żeby nie przerwać mu snu, pochylam się nad nim, moje piersi spływają do jego rozchylnych ust, on liże je, wbija zęby w sutki, przywiązał mnie do siebie nicią bólu, wsysa mnie całą, moje zmęczone, zużyte przed czasem ciało wypieka się na nowo w gorącym piecu jego ust,

za chwilę wyjdzie z niego jak świeża, pachnąca bułeczka, i całkiem bez wysiłku, mimochodem wylewa się na mnie nagle wiadro, które właśnie się wynurzyło ze studni, i pokrywają mnie ciepłe, dające rozkosz płyny. Wiadro znowu opuszcza się w głąb, skrzypi w drodze na dno, na oślep, wychylam się jak ono, bezwolnie, przypadkowo, kolejna ciężka chmura pęka nad moją głową i myślę o starej studni na końcu naszej wsi, wśród bujnych plantacji mango i awokado, szliśmy do niej po materacach z liści, nogi grzęzły w miękkim posłaniu, z wierzchu suchym, pod spodem wilgotnym, nagle ktoś woła, nie podchodźcie do studni, kiedyś wpadło do niej małe dziecko, woda zdusiła jego krzyki, to był jedyny syn, radość starych rodziców, więc wiję się, nie chcę tej wody, jest przeklęta, ale wiadro nie ustępuje, wznosi się i opada we mnie, jego ruch narasta, aż nagle gardłowy, beztroski śmiech wypełnia mi uszy.

Wykorzystujesz mój stan, narzeka Udi żartobliwie, otwierając oczy, ja dyszę nad nim i chowam skołowaną głowę pod jego pachę. Nie mogłaś poczekać, aż się obudzę, ciągnie dalej, żeby upić mnie winem i zgwałcić we śnie, taka jesteś wygłodniała, gdzie był ten głód przez te wszystkie lata? Ja chichoczę, skąd możesz wiedzieć, czy cię co noc nie gwałcę, kiedy śpisz, on mruczy, miło by było, i znów ten beztroski śmiech, zawsze po seksie robi się zupełnie inny, gorycz tkwiąca mu w gardle topnieje i przepełnia go miłość. Moja Noam, głaszcze mnie po plecach, moja biedna, tak się o mnie martwiłaś, i to wystarcza, żebym zaczęła płakać z ulgą, strasznie było widzieć cię w takim stanie, w szpitalu, z tymi wszystkimi rurkami, on przekomarza się, siostra z izby przyjęć była nawet całkiem niezła, gryzę go w ramię, widziałam, że się na nią napaliłeś, on mówi ze śmiechem, bzdury,



pragnę tylko ciebie, przecież wiesz, i rzeczywiście wiem, że to prawda, chociaż nie zawsze równie miło mi to słyszeć, jak w tej chwili, zazwyczaj to brzmi jak groźba, lecz teraz jego słowa łechcą mnie od wewnątrz kojąco, różnica między wnętrzem a otoczeniem zaciera się zupełnie. Czy ta cisza panuje we mnie, czy poza mną, jak to się dzieje, że żaden samochód nie przejeżdża ulicą, i myślę o przerażającej ciszy tam, w jaskini, gdy dym wznosił się z ziemi, jak dym z pieca, widzę tłące się zgłiszcza zburzonych miast, ogród Pana w ruinie, i wtedy on się odzywa, wiesz, wracając z Arawy, odwiedziłem Sodomę, wiedziałas, że góra, na której stała, jest pusta w środku, jest jednocześnie górą i jaskinią? Nie, odpowiadam szeptem, nie wiedziałam. To najsmutniejsze miejsce, jakie znam, mówi, bo nigdy nie wróci do życia, minęły tysiące lat, a nic się tam nie zmieniło, grzech sięgał tak głęboko, że ziemia, pokarana bezpłodnością na wieki, nie może się z niego wyleczyć, już przywykłam, że moje myśli nie stanowią dla niego tajemnicy, od wczesnej młodości miał w sobie tę przenikliwość, nawet jeśli zdarzyło mu się kilka razy pomylić, pamiętałam tylko sytuacje, kiedy trafnie zgadywał, to zniewalające zdumienie, jakie czułam, ilekroć rozwijał nie wypowiedzianą myśl czy odpowiadał na niezadane pytanie.

Nie martw się, śmieje się z zadowoleniem, nie jestem ostatnim mężczyzną na ziemi, córki Lota sądziły, że wszyscy mężczyźni zostali zgładzeni, ale dziś mamy odwrotną sytuację, ja może wkrótce zejść, ale ziemia jest pełna facetów, obejmuję go, nie opowiadaj, jesteś moim ostatnim mężczyzną, i pierwszym, dodaję z nabożeństwem, a on odpowiada przeciągle, tak, ale w międzyczasie był ktoś jeszcze, jego głos chłodnie, tak jak ciało, momentalnie odsuwa się ode mnie, przyciągam go z powrotem, Udi, czy musisz wszystko

zepsuć? Ja psuję? warczy, to ty zepsułaś, miażdżę mu ramię, dosyć, pozbieraj się wreszcie, ja zepsułam raz, ty psujesz nieustannie, Udiczku, musisz wyzdrowieć, spróbuj myśleć tylko o dobrych rzeczach, to zgorzknienie zatruwa cię, rujnujesz nam wszystkim życie. Próbuję wspiać się na niego z powrotem, jak słodko było przedtem, tylko ja i jego wesoły, miły członek, ale on się wywija spode mnie, muszę się wysikać, wstaje ociężałe, opiera się o ścianę, o futrynę, wlecze się, mam wrażenie, że nigdy nie dojdzie do rozdziawionej paszczy sedesu, który już na niego czeka, idę za nim w ciemnościach, nie chcę zapalać światła, nie mam ochoty patrzeć na porozrzucane po całym domu naczynia, ubrania, buty, na stare meble, na wszystkie oznaki zaniedbania, jakiemu uległo nasze życie, patrzę na jego drobną sylwetkę, Udi, wyjedźmy stąd jutro rano, od lat nie wyjeżdżaliśmy nigdzie razem, zostawmy Noę u mamy i jedźmy na północ, on opiera się o umywalkę, nie da rady, mówi, jeszcze się kiepsko czuję, ale ja nie ustępuję, to jest teraz mój cel, śmiały i nagły, chcę wyjechać, uciec od tego adresu, od niedźwiedziego uścisku starych ścian, jak przed trzęsieniem ziemi. Wyjedziemy i zaraz poczujesz się lepiej, nalegam, należy nam się chyba mały odpoczynek, zobaczysz, że to cię uzdrowi, staję za nim, rękoma szukając w jego ciele zgody.

Ale on nie przyznaje się do mnie, stoi przed lustrem, maca świeży zarost, wysunięta do przodu szczeka nadaje jego twarzy uparty, dziecinny wyraz, dlaczego nie odpuszcza, dlaczego stoi na straży tamtej rany, jakby była całym dorobkiem jego życia. Co w końcu takiego zrobiłaś, słyszę spokojny, kochany głos Anat, i odpowiadam, nawet jeśli ty to uważasz za drobiazg, dla niego to katastrofa, jego rana jest wielka, ona się śmieje, jest wielka, bo ją powiększa, posługuje

się nią, żeby cię zmiękczyć na wolnym ogniu poczucia winy, całe życie musisz mu to wynagradzać, myślałby kto, że sam jest taki święty. On mnie nigdy nie zdradził, bronię go, nie doceniasz po prostu jego wrażliwości, ona mówi, bardzo doceniam jego wrażliwość na własnym punkcie, ale gdzie ta wrażliwość, kiedy chodzi o ciebie, wobec ciebie nigdy nie był wrażliwy, ma w sobie potrzebę obwiniania, a ty masz potrzebę czucia się winną. Ona ma rację, myślę, nie pozwolę się dłużej oskarżać, nie będę go błagać, i puszczam go, nie to nie, rzucam, wchodząc pod prysznic, jeżeli nie chcesz jechać, pojedę sama, jak tylko dojdiesz do siebie, zaciągam szybko zasłonkę, on martwieje przed lustrem, mądra Anat, zawsze trzeba jej słuchać, po czym mówi, dobrze, skoro ci tak zależy, pojedę.

Rano wygrywam ze swoim odwiecznym wrogiem, budzikiem, zamykam mu usta, zanim się zacznie naprzykrzać, podrywam się i biegnę do Noi, żeby ją zbudzić, ale puste łóżko obwieszcza jej nieobecność, stoję nad nim ze strachem, pusty pokój zmienia się błyskawicznie w izbę pamięci, zdjęcia na ścianie nabierają nowej treści. Tu Noa ma tydzień, wystawia główkę znad ramienia Udiego, oczy ma przymknięte, tu siedzimy we trójkę na kocu w kratę, oni są przytuleni, ja patrzę na nich z boku, włosy mam związane, twarz piękną, na tej fotografii jestem prawie tak piękna jak moja matka, tyle że ona podkreśla swoją urodę, a ja skrywam ją, jakbym ją komuś ukradła, na biurku leżą zeszyty, kartkuję je, ulegając wścibstwu, szukam jakiejś nieokreślonej informacji, która nagle stała się bardzo istotna, wszystkie są prawie puste, pojedyncze zdania uwięzły na pierwszych stronach, a dalej rozciąga się biała, niepokojąca cisza.

Obserwuję przedmioty zastygłe w biegu, ubrania rzucone na dywan z rozpostartymi rękawami, jakby dopiero co zostały zdjęte, zawierały jeszcze jej ruchy, nagle ogarnia mnie dzika tęsknota, siadam na podłodze, jak mam wyjechać bez niej, musi z nami pojechać, i tak nic nie robi w szkole, jedźmy wszyscy razem, ale to „razem” poraża mnie, tyle w nim napięcia, znowu mam być rozdarta między nimi, mam patrzeć, jak ona próbuje wzbudzić w nim miłość, znów mam się złościć na niego, że jej sprawia zawód, a potem na siebie, nie mam do tego siły, i dzwonię do swojej matki, jej głos jest smutny i cichy, tak różny od tego, jaki miała kiedyś. Co słychać, pytam, ona mówi, wrzód mnie obudził kilka razy w nocy, ale teraz się uspokoił, ranka w żołądku wypełnia jej świat już od roku, a ona ją pielęgnuje z wielkim oddaniem, jak niemowlaka, gdyby tak nami opiekowała się z równą troską, i pytam chłodno, jak tam Noa, ona wzdycha, w porządku, ale trzeba coś zrobić z jej sytuacją w klasie. Jaką sytuacją, dziwię się, co się stało? Ona mówi, co, nie opowiadała? Jest bardzo osamotniona, dziewczynki się z niej śmieją, że się ubiera jak chłopak, a chłopcy jej unikają, ściskam w zmartwieniu słuchawkę, mnie nic nie powiedziała, płacz już łaskocze mnie w gardle, matka nie kryje dumy, żebym ani przez chwilę nie pomyślała, że mam lepszą więź z córką, niż ona miała, nie rozumiesz, że nie chce cię martwić?

Daj mi ją - proszę, siłąc się na spokój, dzień dobry, No-jeńko, ona odpowiada, dzień dobry, mamó, te trzy oficjalne słowa parzą mnie w uszy, dzień dobry, mamó, jadę z tatą na dwa dni na północ, odpocząć trochę, ona na to, dobrze, najważniejsze, żeby tata wyzdrowiał. Babcia wspomniała, że jest ci ostatnio źle w szkole, zagajam, ale ona rzuca wykrętnie,

nieważne, poradzę sobie, mam, jedźcie i bawcie się dobrze, i żeby tata wyzdrowiał, ja się usprawiedliwiam, to tylko dwa dni, pojutrze się zobaczymy, i mów mi o wszystkim, co się z tobą dzieje, a ona ucina, pa, mam, jestem już spóźniona, i pozostawia mnie samą wśród swoich rzeczy. Jak to jak chłopak, obruszam się, to prawda, że się nie stroi, czesze się byle jak, chodzi głównie w trykotowych koszulkach Udiego, sięgających jej prawie do kolan, ale co to za powód do śmiechu, i wtedy dociera do mnie, że rzeczywiście od dawna nie wpadają do niej koleżanki, że piskliwe głosiki od dawna nie ulatują ze słuchawki, nie pytają, czy mogę mówić z Noą, nawet tego nie zauważyłam, nie chcę już nigdzie jechać, tylko przebrać się za dziesięciolatkę i iść zaraz do szkoły, usiąść z nią w ławce, być jej najlepszą przyjaciółką, wysłuchać jej tajemnic i powiedzieć, że jest najfajniejsza ze wszystkich dziewczynek.

Z łazienki wydobywa się obłok wonnej pary, wchodzę i widzę go w wannie, młodzieńcze ciało zakrywa przezroczysta woda, zaczesane do tyłu włosy odsłaniają jasne zakoła, eksponują precyzyjną rzeźbę twarzy, postanawiam na razie nic mu nie mówić, ilekroć próbuję podzielić się z nim troską o Noę, spina się, broni zaciekle, jakby był o coś oskarżany. Co słysząc, pytam, on się uśmiecha, dotarłem tu o własnych siłach, a to już osiągnięcie, patrzę na niego z zachwytem, to wszystko moje, jakimś dziwnym sposobem mam dla siebie całego człowieka, dostałam go na powrót, udało mi się go wykraść z ponętnych ramion choroby, mimo wszystko woli mnie od tej kusicielki, już ogarnia mnie głupia duma ze zwycięstwa, zanurzam z zapalonym palcem w wodzie i dwoma palcami wędruję po jego ciele, próbuje mnie wciągnąć do środka, ale ja się wywijam, zaczekajmy,

aż dotrzemy na miejsce, a on parska śmiechem, można i teraz, i potem.

Stara torba, którą zaledwie dwa dni temu pakowałam mu do szpitala, napełnia się na nowo, bezmyślnie układam stos ubrań i przyborów toaletowych, wymuszona wesołość, z jaką to robię, powoli przekonuje nawet mnie, okazuje się, że prawie wszystko zależy od naszej decyzji, smutek i radość, wrogość i bliskość, nawet choroba i zdrowie, i tylko od czasu do czasu z sypialni Noi nadciąga fala mrocznego niepokoju. Zaglądam tam raz jeszcze, wydaje mi się, że ściany kryją w sobie zduszone jęki, podobne do dochodzących spod gruzów głosów ofiar trzęsienia ziemi, dopiero co rozmawiałam z nią przez telefon, napominam siebie, przecież jej tu nie ma, ale gdy wychodzimy z domu, zamykając za sobą drzwi trzema obrotami klucza, czuję, że muszę wrócić na górę, chcę tylko sprawdzić, czy wyłączyłam termę, mówię Udiemu, i biegnę do jej pokoju, rozglądam się, wołam ją po imieniu, pokój jest pusty, a jednak wydaje mi się, że pozostawiamy za sobą w domu żywą, bezbronną, błagającą o pomoc istotę.

## Rozdział siódmy

Ześlizgujemy się po wielkiej, asfaltowej zjeżdżalni w suche ramiona pustyni, Udi jedzie szybko, ja ściskam kolana, znajome palce strachu już podchodzą do krocza, drażnią jego chłonne głębiny, kładę mu rękę na udzie, nie tak prędko, przesadzasz, on gdera, kiedy coś mi sprawia przyjemność, zawsze wydaje ci się, że przesadzam, jednak zwalnia trochę, żebym mogła zobaczyć, jak Pustynia Judejska wznosi swoje berło, spójrz na tę suchość, mówię zdumiona, dosłownie inna kraina, a on odpowiada, po prostu brak nawadniania, nic więcej. Jeszcze przed dwiema minutami wszędzie było zielono, protestuję, dlaczego to się zmienia tak błyskawicznie, on, zaskakująco cierpliwy, opowiada mi, jak swoim wycieczkom, o wędrówce deszczowych chmur znad morza do gór, o tym, jak wznoszą się coraz wyżej, jak pęcznieją, aż osiągają cel, miasto na szczycie wzgórz, bo dalej jest już tylko rozrzedzone powietrze, w mieście zachodzą zmiany z ogromną prędkością, woda na powrót staje się parą, para przekształca się w gazy, pytam go, co się stanie z chmurą, która nie zdąży spuścić deszczu nad Jerozolimą, wyschnie po prostu, Udi potakuje, tak, bardzo się skurczy i w końcu przestanie być chmurą. To czym będzie, pytam ze smut-

kiem, przypominając sobie nagle bajkę, którą kiedyś wymyślił dla Noi, o obłoczku Chananie, naiwnym i dobrodusznym, który za wszelką cenę postanowił pobłogosławić deszczem pustynne rośliny, więc wzniósł się z morza i pęczniał, krople były już ciężkie i omal mu nie rozdarły brzuszka, ale gdy tylko minął Jerozolimę, natychmiast wyparował, nim zdążył spuścić deszcz, wszystkie spragnione rośliny na pustyni uniosły główki i patrzyły, jak się rozprasza po niebie, a jego dobre intencje zmieniają się w rozgrzaną, zupełnie nieprzydatną parę. Nalegałam, żeby Udi wymyślił inne zakończenie, niech Chanan spuści deszcz w ostatniej chwili, błagałam, niech to się stanie na granicy pustyni, jak można tak głupio zginać przez dobre chęci, przeżywałam tę bajkę znacznie bardziej niż Noa, która raczej nie ogarniała ogromu nieszczęścia, więc teraz patrzę w niebo z nadzieją, może dziś mu się uda tu dostać, ale jest puste i jasne, żaden mały obłoczek nie dokazuje w przestworzach, towarzyszy nam obojętnie, jak parze, co zestarzała się bez dzieci, posępne bruzdy znaczą ich brzuchy, ale już mają za sobą wielki smutek.

Tędy mniej więcej przebiegała granica, mówi Udi, ja pytam zaskoczona, jaka granica, z Jordanią? Nie, skąd, odpowiada, między królestwem Judy i Izraela, zupełnie zapomniałam, że kiedykolwiek istniał taki podział, rozglądam się ze zdziwieniem, szukam śladów starożytnego muru, ale ziemia jest jedna, gdziekolwiek spojrzę, ten sam księżycowy, słony pejzaż. Dlaczego te dwa królestwa się rozdzieliły, pytam, on mówi, zapytaj raczej, po co się jednoczyły, bo naturalny, odwieczny podział poprzedzał ich związek, który od samego początku był słaby, opuszczam wzrok, czemu wydaje mi się, że mówi o nas, z napięcia ciarki przechodzą mi po



plecach, małe lodowe zwierzątka pną się w górę po moich kręgach. Jak układały się stosunki między nimi, pytam, on odpowiada, różnie, bywały wojny, rozejmy, przymierza i pojednanie, ja wyteżam pamięć, Izrael był większy i silniejszy od Judy, prawda? Jak to się stało, że najpierw unicestwiono właśnie Izrael? On się uśmiecha, był większy, więc mniej ostrożny, ośmielił się oddalić od Boga, Juda, pod względem militarnym słaba, nie mając innego wyjścia, bardziej się pilnowała. To może lepiej być słabym, mówię, on kiwa potakująco głową, oczywiście, z punktu widzenia Boga, ale tylko do pewnych granic, inaczej by się w ogóle nie przetrwało.

Ci w Judzie musieli być w szoku, kiedy Izrael poszedł na wygnanie, stwierdzam, to tak jak w małżeństwie, w którym ten silny partner niespodziewanie umiera przed słabym, a Udi mówi, tak naprawdę Izrael był silny jedynie z pozoru, wewnętrznie był niestabilny, chory, byli tam fanatyczni prorocy, nakłaniający ludność do przewrotów, był rozlew krwi, Juda za to była stosunkowo stabilna, miała jedną stolicę, rządziła nią jedna dynastia. Na wiele się to nie zdało, faktem jest, że kilka pokoleń później oni też się znaleźli w niewoli, odpowiadam, on kręci głową, mylisz się, to im bardzo pomogło, bo nawet na wygnaniu dochowali wierności dynastii i stolicy, i dzięki temu tu wrócili, w przeciwieństwie do Izraela. To musiała być dla nich tragedia, kiedy nagle zostali sami w kraju, trwam przy swoim, Udi przygląda mi się zachwycony, jesteś cudowna, wiesz, ja siłę się na skromność, żartujesz ze mnie, on głaszcze mnie po rękę, nie, naprawdę tak uważam, wszystko odbierasz w tak ludzki, osobisty sposób, kręcę się tu z grupami bez końca i nikt nie reaguje jak ty, nie przypadkiem się w tobie zakochałem w wieku dwunastu lat, chwali się, już wtedy widziałem, że masz niezwykłą

duszę, tyle że nie sądziłem, że ją zmarnujesz na ofiary losu. Dość, nie psuj, klepię go po ręce, on uśmiecha się do mnie, spójrz na siebie, prawie się nie zmieniłaś na twarzy, wyglądasz tak młodo, zawstydzają mnie te pochlebstwa, zaprzeczam prędko, bzdury, popatrz na zmarszczki pod oczami, ale on nie daje się przekonać, wyglądasz jak dziewczynka, nie kłóć się ze mną, próbuję się poczuć swobodnie z tym komplementem, zalewa mnie fala ciepła i słodczy, chce mi się zamknąć oczy w aurze jego miłości, czuć, jak wiosenny wiatr łąchce okno, zamknąć oczy i czekać na coś dobrego.

Nie uwierzysz, co jest w tym klasztorze, wskazuje na mały budynek, którego kopuła błyszczy w samym sercu białej pustynnej doliny koło Jerycha, czaszki mnichów, pomordowanych przez Persów setki lat temu. Chcesz zobaczyć? Jest gotów zboczyć z drogi, ale mnie aż przechodzi dreszcz, tylko nie to, on rezygnuje z zaskakującą łatwością, im bardziej się oddalamy od Jerozolimy, tym ma lepszy humor, wiatr rozwiewa mu włosy, twarz promienieje, trudno uwierzyć, że ledwie wczoraj leżał bez ruchu w szpitalu, oddycham z ulgą, to naprawdę cud, ta przemiana, to nie do wiary, rozglądam się wokół ciekawie, cuda nieobce są tym lśniącym stokom. Góry otwierają się na mnie mrocznymi tunelami, które przypominają puste oczodoły, to starożytne groty, mówi Udi, chcesz się wspiać do nich? Skąd, wzdrygam się, ale nadal wpatruję się w martwe oczy, na pewno oglądały wiele niezwykłych wydarzeń, ledwo pamiętam jakich, coś z Jordanem, i pytam, gdzie Jordan, jeszcze go nie mijaliśmy, a Udi mówi ze śmiechem, jest prawie niewidoczny i to właśnie jest w nim piękne, każdy, kto go zobaczy, czuje się zawiedziony, bo Jordan jest wyschnięty i mizerny, mnie jednak się zdaje, że wyczuwam jego obecność po prawej stronie, że

towarzyszy nam w drodze jak życiowy ideał, wierny i uciążliwy, kryjąc się w przyszarżałych zaroślach.

Jakie cuda miały tu miejsce w czasach biblijnych, pytam, on odpowiada, w tej okolicy było aż gęsto od cudów, głównie w rejonie Jordanu, kręciło się tutaj wielu uczniów proroków, spragnionych niezwykłych zdarzeń, Eliasza wstąpił tu wśród burzy do nieba, Elizeusz uzdrowił przekłętą wodę, Naaman, dowódca wojsk króla Aramu, obmył swe ciało siedem razy i wyleczył się z trądu, nie mówiąc o cudzie przekroczenia Jordanu, wody się zatrzymały i lud się przeprawił po suchej ziemi, mnie jednak ze wszystkich cudów, które wymienia, największym i najwspanialszym wydaje się ten, który nam się zdarzył, i tylko czasem słyszę w sobie cichy szept, jak szmer wody w wysychającej rzece, może to wcale nie cud, może to od początku było złudzenie.

A jak ci, co nie wierzą w cuda, tłumaczą te zjawiska, pytam, czy są inne koncepcje? On mówi, nie ma na świecie rzeczy, którą można by tylko w jeden sposób wyjaśnić, wszystko da się racjonalnie uzasadnić, na przykład kiedy Izraelici przekraczali Jordan, mogło się zacząć trzęsienie ziemi, zwały marglu mogły osunąć się do rzeki i zasypać ją, ale ja już nie słucham, patrzę, jak jego usta polerują słowa. Na pewno w każdej grupie zakochuje się w tobie jakaś pаниenka, podpuszczam go, on się śmieje, nawet niejedna, błądzi ręką po moich udach, chwilę zwleka, pokażę ci, co z nimi robię podczas jazdy, odpina guziki spodni, ja się dąsam, skąd mam wiedzieć, że nie, on odpowiada, jeśli ci tego nie mówi głos wewnętrzny, nigdy nie będziesz wiedzieć, a ja właśnie myślałam, że wiem, chociaż kto go nauczył odpinania guzików jedną ręką, kiedy prowadzi samochód, ale nie bardzo mnie to zaprzęta teraz, skoro mnie pragnie, zdaje

mi się, że jestem młodą turystką, olśnioną Ziemią Świętą i tym uroczym przewodnikiem, który ją tak dobrze zna.

Udi, uważaj, lepiej połóż obydwie ręce na kierownicy, wołam, bo trąbi na nas jadący z przeciwka samochód, widocznie zjechaliśmy z pasa, ale on trzyma mnie mocno i przez zaciśnięte zęby cedzi, wolę kierować tobą, to mnie bardziej podnieca, zaraz wejdziemy w zakręt, ja protestuję słabo, nie teraz, Udi, to niebezpieczne, ale pod jego palcami moje biodra przenikają dreszcze, wiję się, tracę kontrolę, mam wrażenie, że leżę na dnie starożytnego morza, które jest oleiste i słone, tak bliska nieokiełznanym potrzebom życiowym tej ziemi, stapaniu dzikich zwierząt, które po niej biegały tysiące lat temu, jego uścisk staje się nagle drażniaco obcy, jakby nie był moim mężem od zawsze, tylko ręka tkwi we mnie, wzrok ma skupiony na szosie. Kończ, syczy, nie przestanę, dopóki nie skończysz, ja z zaschniętymi ustami proszę, nie przesadzaj, z rok to może potrwać, on się nie odzywa, ale długie, nieustępliwe palce zagarniają do siebie mnie całą, wypuszczają miriady motyli w otchłaniach mojego ciała, te prostują drobne skrzydełka, zderzają się ze sobą, ocierają i liżą, i próbuję wyszeptać przez zaciśnięte gardło, stań na poboczu, ale on nie zwraca na mnie uwagi, sama też już zaczęłam siebie ignorować, tysiące skrzydełek wprawiają mnie w wewnętrzne drżenie i chichoczą nieśmiało, dół brzucha od ich pocałunków spływa nektarem, wreszcie otwieram oczy i z przerażeniem widzę czarne chmury motyli na szybie, co to jest, krzyczę, a on odpowiada, spokojnie, czasem się zdarza, nic nie poradzę, staram się jechać wolno, delikatnie wysuwa dłoń i przygląda się jej z triumfalnym uśmiechem.

Kładę oparcie siedzenia, posyłam niebu przypochlebne spojrzenie, jak miło jest tak jechać, odnoszę wrażenie, że ten

dziki krajobraz zagościł w moim łóżku, zerkam z zachwytem na Udiego, tak, jeszcze można się w nim zakochać, nawet ja jeszcze mogę to zrobić, łaskocze mnie w brzuchu z głodu, w przyjemnym oczekiwaniu jedzenia, naraz siadam, co z Noą, zapomniałam zapytać mamę, czy przerwała swój post, Udi patrzy na mnie zaskoczony, co się dzieje, myślałam, że zasnął. Muszę sprawdzić, czy Noa coś jadła rano, mamrocze w napięciu, łapię telefon, ale u mojej matki nikt nie odbiera, a do szkoły nie mam odwagi zadzwonić, Udi narzeka, zawsze kiedy jest dobrze, szukasz sobie jakiegoś zmartwienia, choćbyś je miała wykopać spod ziemi, ja złoścę się, tego zmartwienia nie muszę szukać pod ziemią, jest na ziemi, nawet półtora metra nad ziemią, czy to dla ciebie wystarczająco wysoko? On już się cały najeża, to, że ty się zadręczasz, wcale jej nie pomaga, zapewniam cię, że je bardzo ładnie, co nie znaczy, że twoja matka jest w stanie coś ugotować, wykrzywia usta w grymasie powątpiewania, nie wytrzymuję, co, nie obchodzi cię ona? Moje oczy już się zmieniają w mokre poduszcзки, a on warczy, pewnie, że mnie obchodzi, chyba jest moim dzieckiem? Po prostu nie przesadzam jak ty, to wszystko, i mam dość tego, że mnie wiecznie sprawdzasz.

Gapię się w niebo przygnębiona, im dalej na północ, tym bardziej się chmurzy, ale mnie już nie pociesza perspektywa deszczu, co robię nie tak, dlaczego ilekroć jest mowa o Noi, wszystko się mąci, powinno być przecież odwrotnie, rodzice zazwyczaj szaleją na punkcie swoich dzieci, my sami bez końca rozpływalismy się nad nią w zachwytach, kiedy była malutka, dlaczego ta rana się nie zabliznia, mam ochotę powiedzieć mu, wracajmy do domu, ten wyjazd nie ma sensu, do twojej rany nie pasuje elegancki hotel, powinna się ukryć

w domu, dopóki się nie zagoi, nie będzie nam dobrze razem, a dopóki nie będzie nam dobrze, rana się nie zagoi, więc się poddajmy, dajmy sobie wreszcie spokój. Tymczasem wokół ochładza się powietrze, barwy mrocznieją, jakbyśmy wjeżdżali do innego królestwa, posępnego, ale realnego, znacznie bardziej wiarygodnego od ciepłej, dzikiej krainy cudów i dziwów, palm i bananów, ogromnej niecki między górami Judei i Moabu, zdaje się, że jego twarz też spochmurniała, policzki bez entuzjazmu zwisają na kościach, pod brodą huśta się fałd zwiotczącej skóry, zły duch sięga po niego i muszę go powstrzymać, znów muszę się przełamać, byle nie zbudzić towarzyszącej nam bestii, groźnej konwersji, drzemiącej spokojnie w tyle samochodu.

Kiedy będziemy na miejscu, rzucam niewinne pytanie, on odpowiada sucho, gdzieś za godzinę, więc proponuję, może się zatrzymamy i coś zjemy, on mówi, lepiej poczekać, tam jest najlepsze jedzenie, i ta banalna rozmowa chyba go odpręża, ale mnie nie, znów czuję chłód na plecach, znowu lodowe robactwo czepia się zmęczonych kręgów, zmraża je swoim uściskiem.

Chcesz rzucić okiem na miasto umarłych, pyta Udi, ja chcę tylko usiąść w cieple przy kawie z ciastkiem, ale głupio mi znowu odmówić, zaraz powie, że nie interesuje mnie nic, co wieczne, że nie czuję związku z historią. Szkoda, że się nie zgodziłam na klasztor, czym jest kilka wiekowych czaszek wobec całego miasta umarłaków, i próbuję wzbudzić w sobie zapał, prawdziwe miasto? On mówi, tak, wielki cmentarz, Żydzi zjeżdżali ze wszystkich zakątków świata, żeby tu spocząć, ja pytam, dlaczego akurat tutaj, on skwapliwie wyjaśnia, w Jerozolimie nie wolno już było ich chować, nie wolno im było w niej mieszkać po powstaniu Bar Kochby

ani nawet osiedlać się w miejscu, skąd widać Jerozolimę. W ogóle wszystkie zwyczaje pogrzebowe zmieniły się po wygnaniu, dopiero wtedy zaczęto wierzyć w zmartwychwstanie, wlokę się za nim do grot, chłodnych i głębokich, przy każdym grobie pali się samotne światło, co tylko podkreśla panujące dokoła ciemności, każdy zmarły ma swoją prywatną nocną lampkę. Przy wejściu wita nas dziewczynka, zmarła, mając dziewięć lat i sześć miesięcy, nie napisano na co, stoję przy jej grobie pełna lęku, jak sądzisz, dlaczego umarła, pytam, on odpowiada, co za różnica, mało to jest powodów do śmierci, a jednak dręczy mnie myśl, że Noa jest dokładnie w jej wieku, nagle te długie miesiące między dziewiątym i dziesiątym rokiem życia wydają się przerażająco niebezpieczne, muszę wiedzieć, na co trzeba uważać.

On pokazuje mi z dumą symbole na nagrobkach, byk asyryjski, orzeł rzymski, paw, przedstawiający wieczność, świecznik siedmioramienny, Nike, grecka bogini zwycięstwa, patrz, jaka tolerancja, emocjonuje się, bez żadnych oporów posługiwali się obcymi symbolami, ale ja posuwam się za nim zmartwiała ze strachu, bo wszystkie te zwierzęta krążą nad głową mojej Noi, zagrażają jej życiu, nie słucham jego uczonych wywodów, chcę tylko się stamtąd wydostać, czekam na zmartwychwstanie jak ci zmarli, uprzywilejowani, lecz milczący, a kiedy wychodzimy, on jest zadowolony i dumny, jakby to były jego prywatne włości, posiadłość grzebalna jego rodu, wywodzącego się ze starożytności, ja za to patrzę wrogo na wypielęgowane trawniki, co mi do tego miejsca, z którego nie widać Jerozolimy.

Co ci jest, jesteś kompletnie sina, przygląda mi się drwiąco, ja marzę tylko o tym, żeby znaleźć się w samochodzie i wreszcie zadzwonić do matki, zmęczyłam się, wyjaśniam,

wystukując jej numer zeszytniałymi palcami, ona odbiera, byłam w przychodni z samego rana, powiedzieli, że nie ma żadnej poprawy, próbuje mnie przestraszyć, ale ja jej przerywam, Noa zjadła śniadanie? Oczywiście, odpowiada z dumą, zrobiłam jej kaszkę, wyspałam wiórki czekoladowe, tak jak lubi, nie zostawiła ani odrobinki, ja oddycham z ulgą, wszystko natychmiast wygląda mniej groźnie, nawet grobowce skalne, z wdzięczności gotowa jestem wrócić na jeszcze jedną rundkę po pieczarach, Udi mówi, no widzisz, kiedy jesteś daleko, nie ma z nią żadnych problemów, wydziwia tylko przy tobie, ja się wyciągam wygodnie, pytam z nagłym zaciekawieniem, dziwnym nawet dla mnie samej, jak to miejsce wyglądało wtedy? Mniej więcej tak jak dziś, odpowiada, niewiele się zmieniło, nie było tylko tych cyprysów, zamiast nich rosły sosny, chleb świętojański, dęby, rozglądam się dookoła, więc taki widok ukazał się zrozpaczonemu oczom rodziców zmarłej dziewczynki, gdy przebyli daleką drogę z jej drobnym ciałem, które chwilami wstrząsało się na wybojach, jakby życie jeszcze się w nim kołatało, przecież nawet gdyby to starożytne dziecko dożyło późnej starości, i tak byłoby dziś pogrzebane tutaj, w zimnym kamieniu, mało to jest powodów do śmierci, jak powiedział, mało powodów do zmartwień, próbuję się pocieszać słowami, które wyryto na jednym z grobów, bądźcie silni, zacni rodzice, nikt z ludzi nie jest nieśmiertelny.

W miarę jak podążamy na północ, światło nas odstępuje, wydaje się, że słońce się spieszy, żeby zająć przed nastaniem południa, gęsta mgła blokuje nam drogę, wąska szosa wije się z nami wśród chmur, w dotyku są wrocie i dziwne, choć spodziewałam się delikatnej pieśczoćoty. Udi prowadzi z wyśiękiem, napiera czołem na szybę, oczy ma zmrużone,



ramiona kołyszają się z boku na bok jak u wioślarza, co chwilę wyrastają przed nami ostrzegawcze tablice, straszą nas natrętnymi wykrzyknikami, pod nami dyszy ciężko głęboka, głodna przepaść. Czarny deszcz wylewa się nagle z pysków chmur, które zległy jak wielkie niedźwiedzie na dachu samochodu, siecze w okna, poruszam nerwowo stopami, mam wrażenie, że oplatają się wokół nich liny, które ciągną mnie na dno otchłani, nad moją głową króluje ponury magnes nieba, jeden pospieszny oddech gotów zaburzyć odwieczną równowagę między nim a ziemią, a ja jestem zawieszona w próżni, jak w dzieciństwie, między ojcem i matką.

Jak tylko przyjedziemy, wskakuję do basenu, mówi Udi, spoglądam na niego ze zdziwieniem, skąd pewność, że tam w ogóle dotrzemy, szosa jest taka wąska, kiedy czasem z przeciwka nadjeżdża samochód, ocieramy się bokiem o górę, przez ułamki sekund wydaje się, że albo my, albo oni, ja wątpię, czy przeżyjemy, a jemu luksusy w głowie, ale widzę jednak, że skręca w boczną drogę, oddala się od otchłani, ta zamyka paszczę zawiedziona, już nie przynależymy do niej, lecz do rozległej, gościnnej posiadłości, która przyjmuje nas zaraz jak uchodźców u kresu tułaczki. Wąska szosa na grzbietach chmur staje się mglistym wspomnieniem, i tylko myśl o powrocie męczy mnie jeszcze przez chwilę, ale odsuwam ją, termin powrotu wydaje się tak odległy, może do tego czasu wytyczą nowe drogi w całym kraju, a przepaście zostaną zasypane.

Wyciągam się z rozkoszą na łóżku, w życiu większego nie widziałam, czuję się w nim jak krasnal, wyprężam ręce i nogi, a ciągle jestem za mała, nie sięgam do krawędzi, strofuję radośnie siebie samą, widzisz, nie zawsze wszystko się mąci, poza tą najgorszą są jeszcze inne możliwości, Noa ma się

dobrze, Udi wyzdrowiał, dojechaliśmy szczęśliwie, jesteśmy w pałacu, mamy tu wszelkie wygody, lody na moich plecach topnieją, zmieniają się w ciepławy roztwór, Udi już szpera w torbie, nie spocznie ani na moment, gdzie moje kąpielówki, jesteś pewna, że ich nie zapomniałaś? Wysypuje nasze ubrania na podłogę, zupełnie jak Noa, wyciąga z ulgą czarny skrawek materiału, który po chwili opina jego biodra. No, chodź wreszcie, przynagla, ja ciągle leżę na łożku, zaraz zejść, dobrze? On otula się szybko białym szlafrokiem i wychodzi, ja gapię się na drzwi, które jeszcze oddają jego niezłomną wolę, jego życzenie natychmiast staje się moim życzeniem, wstaję, wkładam kostium kąpielowy, przyglądam się podejrzliwie swojemu ciału, narzucam na nie szlafrok, tu też jest coś w rodzaju szpitala, wszyscy chodzą na biało.

Przezroczyste szklane tafle okrywają basen jak płaszcz przeciwdeszczowy, chronią go przed burzą, panuje tam miły zmrok zimowego popołudnia, ślady ukąszeń wieku nikną w nim, ramiona Udiego tną wodę, gdybym opowiedziała innym gościom, że nie dalej jak wczoraj nie mógł nimi poruszyć, w twarz by mi się roześmieli, on płynie naprzód, zaprzątnięty cudem, który mu się przydarzył, nie zauważa mnie, mijamy się na wąskich torach pływackich, ja też go ignoruję, roztapia się w bezistnieniu, jakbyśmy się jeszcze wcale nie spotkali, jakbym wciąż tkwiła w innym czasie, w maleńkim kęsie życia, jaki miałam, zanim on mną zawładnął. Pływam teraz w basenie na skraju naszej wsi, moje łzy pochłania gryząca od chloru woda, zaraz wzbierze, zaleje basen i tylko ja będę znała przyczynę, widzę oczy matki i ojca, towarzyszą mi jak dwie pary kolorowych ryb, wędrują w tę i z powrotem, śledzą mnie w napięciu. Wcześniej

siedzieliśmy wszyscy na trawie, mama rozkroiła na pół wielkiego arbuza i powiedziała nam, że się rozwodzą i że od teraz będziemy mieli dwa domy, bo tata zostaje tu, we wsi, a ona zabiera nas do miasta, mój brat zaczął podskakiwać na jednej nodze, krzyknął, super! Dwa domy! A ja chwilę gapiłam się na nią zaskoczona, potem puściłam się biegiem przed siebie, byle uciec od tej nowiny, schować się przed nią w krzakach okalających basen, nagle poczułam ukłucie w bosej stopie i zawołałam, wbił mi się kolec, mamo, ojciec podbiegł, wziął mnie na ręce, chociaż miał zrujnowane plecy i nie wolno mu było dźwigać, ale to nie był kolec, do miękkiej poduszeczki stopy przylgnęła pszczoła, żądło utkwiała we mnie głęboko, co przesądziło o jej losie, trzepotała się jeszcze przez chwilę, aż odpadła, a ja wrzasnęłam wystraszoną, na co czekasz, tato, wyciągnij mi to.

Nie mogę znaleźć żądła, wymamrotał, położył mnie na rozgrzanej trawie, ukląkł nade mną, miałam nad sobą wydatną jak u boksera szczękę, po niemowlęcemu pulchne, czerwone policzki nad nią, nie widzę go, mój brat zapytał, czy będzie mi trzeba zrobić operację, rozpruć mnie, żeby je znaleźć, leżałam tam, pomiędzy ich nogami, ból promieniował na całe ciało, a słońce zatapiało się w moich oczach, złowrogie i głodne jak żółty sęp, czułam, jak mnie pochłania smutek, aż nie zostało ze mnie nic poza bólem w nodze, który dowodził, że jeszcze żyję, bez niego już bym umarła, co w tamtej chwili nie wydawało się takie straszne. Lepiej umrzeć niż przenieść się z matką do wynajętego mieszkania, lepiej umrzeć niż tułać się między nimi, patrzeć, jak on się pławi w swoim żalu, widzieć jej obrzydliwe wysiłki, żeby żyć, żeby usprawiedliwić zbrodnię, pomyślałam, że jeśli umrę, może jednak zostaną razem, aby strzec tego, co im jeszcze

zostało. Nie mogą mi tego zrobić, zaciskałam powieki z całej siły, nie pozwolę sobie zrujnować życia jak Żydzi podczas pogromów, kiedy to napastnicy wpadali do ich domów, siejąc zniszczenie, akurat uczyliśmy się o tym w szkole, pomyślałam ze strachem o swojej klasie, co inni powiedzą, jest u nas tylko jeden taki chłopiec, głupek klasowy, nikt nie zwraca na niego uwagi, teraz podzielę jego paskudny los, i zalewa mnie fala nienawiści, jej natężenie przyprawia o zawrót głowy.

Matka nachyla się nade mną zatroskana, nie chce, żebym jej pokrzyżowała plany, odwracam się twarzą do ziemi, grzebię w piasku, żeby nie widzieć jej obmierzłej urody, ona mówi, uspokój się, to nie koniec świata, tak będzie lepiej dla nas, ja krzyczę, dla ciebie będzie lepiej, nie dla mnie, mnie nigdy nie będzie dobrze przez ciebie, ukąsiłaś mnie jak ta pszczoła, żądło na zawsze zostanie w moim ciele, ale ona przynajmniej umarła, a ty myślisz, że wolno ci żyć po tym, co mi zrobiłaś, wstaję, podskakuję na jednej nodze, chwytam się krzaków, leżaków, wpadam do wody, nurkuję gwałtownie, siejąc wokół łzy, próbuję wstrzymać oddech, wyobrażam sobie, że niedługo wyciągną stąd moje zwłoki, to jest w zasięgu ręki, wystarczy przestać oddychać, opanować ten brzydki nawyk, teraz próbuję znowu w krytym bezpiecznym basenie, pod szklanym sufitem, na który natyka się ze zdziwieniem drobniutki deszcz, ale w mniejszym skupieniu, schodzę na dno, wstrzymuję oddech, nagle pojawia się przy mnie czyjaś dłoń, wyciąga mnie na powierzchnię, co się z tobą dzieje, pyta on, już pół godziny do ciebie mówię, a ty nie odpowiadasz, patrzę na niego, przez moment wydaje mi się kimś obcym, woda mu przyciemniła włosy, wargi są lekko

obrzmiałe, opieram się o ścianę basenu, nabieram powietrza ze skrucną, przepraszam, zamyśliłam się, nie słyszałam.

Pada coraz bardziej, ale Udi ciągnie mnie na dwór, na taras, na środku którego burzy się czarna studnia, wskakujemy w nią, rozgrzana woda drażni skórę, chłód w zestawieniu z ciepłem ożywia mnie, serce bije mocno, wstrząsając całym ciałem. Na naszych ramionach kładą się fioletowe chmury, przesłaniają krajobraz, gdzieś tam przebłyśnie dalekie światło, dając mi jakieś sygnały, których nie umiem rozszyfrować, Udi przyciąga mnie za włosy, całuje w szyję, w usta, przestań, mruczę, idzie jakaś dziewczyna, on mówi, świetnie, niech się do nas przyłączy, ona wysuwa ostrożnie nogę i uśmiecha się, ma kręcone włosy i długie śniade ciało, które wchłania natychmiast mroczna woda, nie czuję się swobodnie w jej towarzystwie, wracajmy do pokoju, szepczę, liżąc go w ucho, żeby wiedział, że mam poważne zamiary, on przygląda się chwilę tamtej, ale zaraz wychodzi za mną, kąpielówki uwydatniają wzburzony członek, ociekający wodą biegniemy korytarzami w białych szlafrokach, trzymamy się w windzie za ręce jak zakochane dzieciaki, i myślę, jakie to tutaj proste, nie tak jak w domu, gdy Noa śpi, ale nasze niewyrównane rachunki uśpić się nie dają.

Białe światło tuli się do okien, zmrok spowija ciało Udiego szarawym runem, pamiętam, jak ziemia w lasku na skraju wsi okrywała się wełnistą kołdrą po pierwszym deszczu, ostrożnie stawiałam stopy wśród młodych traw, obserwując szosę. Co godzina przyjeżdżał na wpół pusty autobus i wyjeżdżał niezapełniony, czasem miałam wrażenie, że ci sami pasażerowie przyjeżdżają nim i odjeżdżają, nie chcąc wysiadać we wsi noszącej ślady zaniedbania, a czasem wysiadał z niego Udi, szczupły i niski, z opadającymi na oczy jak

końska grzywa włosami, ja, oparta o sosnę, przyglądałam mu się z zawodem, ze wstydem prawie, nie tak powinien wyglądać mój pierwszy ukochany, ale szedł ku mnie pewnie, jakby nogi wiedziały, że kiedyś jeszcze będzie wysoki i przystojny, mówiłam sobie wtedy w rytm zbliżających się kroków, dbaj o niego, bo tylko on ci został teraz, kiedy świat się zawalił. Matka znalazła dla nas mieszkanie w pobliskim mieście, tuż koło szkoły, ja jednak wolałam wrócić do starego domu, do ojca, który gapił się na mnie jak na zjawę, skrzywdzona twarz wyciągnęła się, robiłem co w mojej mocy, żeby ją zadowolić, mówiła, żaden śmiertelnik nie mógłby więcej zrobić. W południe otwierałam i zamykałam z rozpaczą pustą lodówkę, potem biegłam do sadu, zimą zrywałam pomarańcze, obierałam je i płakałam, jesienią - mięsiste gujawy, czerwone i białe, ich aromat wsiąkał mi w palce, a w lecie - śliwki, i kiedy nadchodził Udi, machając do mnie radośnie, odrywałam się od pnia sosny, który odciskał na bluzce żywiczny pocałunek, zrównywałam się z nim i szliśmy razem, a potem zamykałam się z nim w pokoju, popychał mnie na łóżko i wdrapywał się na mnie jak na śliwę, słyszałam ojca, który krążył po pustym domu i kasłał pełnymi zdaniem, moje ciało obezwładniał paraliż, jak może mi być dobrze, kiedy on jest tak nieszczęśliwy, innym razem ogarniał mnie gniew, będzie mi dobrze i już, właśnie ze względu na jego cierpienie, gwałtownie przyciągałam zaskoczonego Udiego i kładłam jego ręce na swoich piersiach, jęcząc głośno, aby zagłuszyć wykastywane przez ojca treny. Czasem poprzez dyszenie Udiego dobiegał mnie cichy płacz, wtórował ocieraniu się spoconych członków, ojciec płakał jak niechciane niemowlę, które wie, że i tak nikt do niego nie podejdzie, i teraz, kiedy wyciągam się na łóżku,

znów wkrada mi się do ucha znajome łkanie, już trudno mi się skupić, irytują mnie jego usta, jakim cudem w jednym momencie skubią mnie całą, spycham go z siebie, ten płacz doprowadza mnie do obłądu, że też zawsze ktoś musi cierpieć, kiedy coś przyjemnego mi się przydarza.

On wycofuje się z łóżka z obrażoną miną, z wysuniętą do przodu brodą, może się czegoś napijesz, to łatwiej się rozluźnisz, zręcznie otwiera butelkę wina, czekającą na nas w pokoju, jakby to było lekarstwo, które trzeba natychmiast podać, może po prostu potrzebny ci już nowy mężczyzna, dodaje kwaśno, ze mną nie jesteś w stanie uciec przed sobą, każdą chwilę twojego życia ci przypominam, ja zaprzeczam pospieszenie, skąd, chociaż dokładnie ta myśl chodzi mi po głowie, nowa miłość ma taką moc, pomaga uciec, przynajmniej z początku, tam, na poddaszu, wśród pędzli, nic mi nie przeszkadzało, a teraz, pijąc wino, zachęcam samą siebie, przyjmij ten prezent, weź go, wszyscy na tym skorzystają. Zaczynam napełniać wannę i moje małe kłamstewka nikną pod ciepłym strumieniem, Udi wchodzi za mną, gotów mi dać drugą szansę, już nas zakrywa piana, czysta jak świeży śnieg, on obrzuca mnie smutnym spojrzeniem, wygląda tak bezradnie, w jego brązowych oczach połyskują zielone plamki, w każdym oku oaza na pustyni. Gdybym był nowym mężczyzną, bardziej by ci zależało, skarży się, jestem dla ciebie zbyt oczywisty, mam tego dość, chcę, żebyś ty też się trochę postarała, ja burczę, staram się dostatecznie, dla czego nic nie przychodzi bez starań, on mówi, rani mnie, że mnie nie pragniesz naprawdę, robisz mi tylko uprzejmość, żebym miał dobry humor, albo z innych powodów, tobie tylko znanych. Przecież naprawdę cię pragnę, odpowiadam, nie chcę nikogo innego, to ci nie wystarcza? On

zamyka oczy, gdybyś była na moim miejscu, też by ci nie wystarczało. Czuję, że mam ochotę wyjąć zatyczkę, wyjść z wanny, zostawić go samego z resztkami piany, z dręczącym poczuciem krzywdy, któremu nie ma końca, ale na moich barkach spoczywa dziś zadanie, przecież nie przyjechalśmy tutaj, żeby się kłócić, tylko żeby się kochać, nakarmić to wycieńczone zwierzątko, tę naszą miłość, której żołądek skurczył się od ciągłego poszczenia.

Jeszcze będziesz żałował, że mnie sprowokowałeś, mówię uwodzicielskim tonem, on chichocze, to się okaże, otwiera oczy ciekawie, ja wsłuchuję się w salwy deszczu, znów chmura się oberwała nad naszymi głowami, jak tamtego ranka, na ostatnim piętrze, po co z nim stałam przy oknie, zamiast zaciągnąć go do łóżka w głębi domu, zedrzeć z niego sweter, zastukać w szeroką pierś pod czarnym skrawkiem materiału, usłyszeć wszystko, czego mi nie ma odwagi powiedzieć, i powtarzać, ja ciebie też, jakie to absurdalne, że płacę taką cenę za to, że się powstrzymałam, i z nagłym gniewem osaczam śliski członek stopami, jak rybę, którą mam złowić w sieć, z pyskiem pełnym piany, nurkuję po nią, zaskoczone dłonie wpychają mi głowę pod wodę, duszę się prawie, ledwo udaje mi się je odepchnąć i złapać oddech. Napij się jeszcze, mówi, wlewa słodkawą kaskadę prosto z butelki w moje gardło, otwieram szeroko usta i czekam na pierwsze krople deszczu, kiedyś je w ten sposób chwytałyśmy, język pragnie wina, szuka jego śladów na twardym członku, który chwieje się jak pijany między jądrami, on mnie przygważdża do niego, za pomocą pustej butelki mnie unieruchamia, oaza w jego oczach powiększa się, gdy wydaje ciężkie westchnienie, a zaciśnięta pięść jego ciała rozluźnia się momentalnie.



Chodź do łóżka, szepcze łagodnie, otula mnie ręcznikiem i ciągnie za sobą jak małą dziewczynkę, którą trzeba położyć spać po kąpieli, oczy mi się już zamykają, ale on mówi ze śmiechem, to dopiero początek, masz jeszcze dla mnie mnóstwo niespodzianek, ja mamroczę, naprawdę? On odpowiada, pewnie, musisz mi przecież w ciągu tej jednej nocy wynagrodzić lata nieczułości, przekręcam się na brzuch, przedtem pośpijmy trochę, i zjedzmy coś, ale on nie przestaje, zimny i gładki przedmiot toczy się po moich plecach, rozpłaszcza mnie jak wałek, czy myślisz, że na razie butelka ci wystarczy? Dyszy mi w ucho, ja mówię, daj spokój, Udi, dosyć, ale między moimi nogami przesuwają się już w górę zaokrąglona szyjka, szklane usta mnie dosięgają w głębokim, chłodnym pocałunku.

Podczas kolacji Udi promienieje nad pełnym talerzem, mnie oszałamia obfitość potraw, trunków, zapachów i świateł, i miłości, którą mnie otacza, przyglądam mu się z zachwytem, podziwiam atrakcyjną, drażniącą opalenizną, wargi emanujące subtelną, ale stanowczą żądzą, ma na sobie dżinsową koszulę i jasne spodnie, żuje z urzekającym umiarem, nie tak jak ja, mam już przed sobą pusty talerz, co z tobą, strofuje mnie, nie umiesz się delektować, pozwolić sobie na odrobinę przyjemności, więc wstaję po dokładkę, obciążam na udach czarną suknię, mężczyzna przy sąsiednim stoliku patrzy na mnie, ale go ignoruję, właściwie nie jest tak źle między nami, więc dlaczego tak łatwo otwiera się przepaść, wystarczy dość lekko kopnąć, a ziemia zapada się i wydaje się, że już nigdy nie zewrze się z powrotem. Z początku rzeczywiście nie byłam przekonana, czy go chcę, i zazdrościłam swoim koleżankom, które zmieniały partnerów, podczas gdy ja prowadziłam się ciągle z niedorostkiem z równoległej

klasy, sądziłam, że gdybym była wystarczająco silna, spróbowałabym się z nim rozstać, poszukałabym kogoś nowego, kto by mnie bardziej podniecał, ale nie miałam odwagi, on tymczasem tak za mną szalał, że aż mnie to irytowało, przychodziło zbyt łatwo. Pozwól jej trochę dorosnąć, strofowała go moja matka, daj jej odetchnąć, zadusisz ją tą swoją miłością, nawet w Jemenie ludzie się nie pobierają w tym wieku, ale uczeplił się mnie, moje piersi rosły mu w rękach, i jeśli nawet czasami pojawia! się inny wielbiciel, swoim dziecinnym uporem go odstręczał. Taki był mały chłopiec, który do dziś mną rządzi, tylko ja cię kocham naprawdę, straszył mnie, myślisz, że z każdym tak będzie? Wszyscy inni uwiodą cię i porzuca, możesz mi wierzyć, ja siedziałam przy nim, skruszona, i rozważając jego słowa, przyglądałam się z rozczarowaniem niskiej sylwetce, głupiej grzywce, opadającej na oczy, wiedziałam, że poza tym dusznym domem, gdzie mieszkał ze zgorzkniałymi, starymi rodzicami, czeka cały świat, pełen podniet i emocji, że nie potrafię do niego dotrzeć, ale żyć, jakby nie istniał, też mi się nie udaje, aż pewnego wieczoru powiedział, mam dość twojej skwaszonej miny, chcę tylko ciebie, nie potrzebuję żadnej innej, ale jeśli ty sądzisz, że spotkasz kogoś lepszego niż ja, bardzo proszę, sprawdź i przekonaj się sama. Gapiłam się na niego ze zdumieniem, zamiast kuszącego czaru wolności poczułam strach, otworzyła się we mnie pustka, jak dziura w zębie, która się stale powiększa, aż młoteczki bólu rozdzwaniają się w obu uszach, i wróciłam do domu z płaczem, a matka powiedziała, no, zdecydował się wreszcie, więc nie trać czasu na lamenty, idź, baw się i ciesz. Miałam ledwie siedemnaście lat i czułam, że moje życie dobiegło kresu, całe zainteresowanie światem zewnętrznym gdzieś się nagle rozwiało, w jego

ramionach mogłam marzyć o innych miłościach, ale kiedy zostałam bez niego, chciałam tylko, żeby do mnie wrócił, on jak na złość rósł i męźniał, na przerwach poszeptywał z innymi dziewczynami, widziałam błysk dumy w ich oczach i arogancję na jego twarzy, byłam jak matka, od której własne dziecko się odwróciło i wybrało inną matkę. Z pustką w sercu błagałam go, żeby znowu był ze mną, czatowałam na niego po lekcjach, nachodziłam go w domu, kochałeś mnie przecież, to niemożliwe, żebyś mnie przestał kochać, aż w końcu po kilku miesiącach wrócił, ale coś niepostrzeżenie popsuło się między nami, uporczywa, pełna goryczy podejrzliwość wkradła się w to, co wcześniej było oczywiste i naturalne, nagle stwierdziłam, że bezustannie staram się go ułagodzić, dać mu niezbite dowody, że wybrałam go całym sercem, nie z braku innych możliwości, i ani się obejrzałam, jak uczyniłam z tego swoją życiową misję.

Patrzy na mnie z uśmiechem satysfakcji, kiedy zajmuję swoje miejsce, nalewa mi wino, na widok okrągłej szyjki butelki przeszywa mnie miły dreszczyk, on się śmieje, dobrze ci było, prawda? Głaszczę go po rękę, było wspaniale, on mówi, mam dla ciebie jeszcze kilka pomysłów, ja chichoczę, och, nie wiedziałam, że jesteś taki twórczy, on na to, nie mam wyjścia, któreś z nas musi być twórcze. Mam pełne usta ości, nie odpowiadam, co szkodzi, że się ze mną podroczy, ostatecznie nic złego nie robi, cieszę się, że mi przypomina, że ciało to coś więcej niż nudna kupa organów pełniących ważne funkcje, że poza znojną i pełną trosk egzystencją istnieją jeszcze przyjemności, właśnie mija nas para, która jest chyba w naszym wieku, oboje są efektowni, dobrze ubrani, pochłonięci żywą rozmową, za nimi wloką się dzieci, dziewczynka mniej więcej w wieku Noi, chłopczyk mały,

ledwo odrosły od ziemi, przyglądam im się z zazdrością, dlaczego nie wzięliśmy z sobą Noi, i dlaczego nie mamy takiego tłuściutkiego, zasmarkanego dzieciaczka jak ten misiaczek, Udi mówi, tylko nie zaczynaj, połykam w milczeniu drobne ości, po tym, jak upuścił Noę, nie chciał słyszeć o następnym dziecku, udaremniał mi wszelkie próby poruszenia tego tematu, ale tym razem w jego słowach pobrzmiewa nowa, bardziej pobłażliwa nuta, przenoszę wzrok na okno, mam wrażenie, że wyciągają się do nas dwie dobre ręce, stare dłonie praojca składają się nad nami w błogosławieństwie, nasze głowy zbliżają się, nagle wszystko się zdaje możliwe, nawet słodki dzieciaczek, nieznośny i uparty, jak ten, który przez pomyłkę siada przy naszym stole i widząc, że nie jesteśmy jego mamą i tatą, natychmiast wybucha płaczem.

## Rozdział ósmy

To nieprawda, nie stanowimy jednego ciała, tylko dwa, które pozamieniały się miejscami, on ma na sobie moje, ja jego ciało, oboje się swoich ciał zrzekamy i wydaje się, że przez całe życie, odkąd byliśmy dziećmi w jednakowych szkolnych mundurkach, dążyliśmy do tej rezygnacji. Z ogromną ulgą pozbywam się siebie, odrzucam niespokojną, kolczastą świadomość, przymierzam jego zwarte członki, wezbrane pożądaniem, pragnie mnie i żadnej innej, co może być lepszego, chce panować, coś łatwiejszego, uśmiecha się do mnie z głębin mojego ciała, po matczynemu, ciepło, mówi, moja kochana, ja obejmuję go za szyję, omdlała od alkoholu, zmęczenia, miłości, mam wrażenie, że kiwam się w wielkiej kołysce, w tę i z powrotem, nasz akt zmienia się w ceremonię, która wygląda jak seks, ale nim nie jest, a może to narodziny, narządy płciowe odgrywają tu nową rolę, płoną zupełnie innym ogniem, którego języczki liżą trzewia, to ogień starożytnego, bolesnego przymierza, powinniśmy je byli zawrzeć wiele lat temu, wypala wszelkie wahania, pociesza i przeraża, wskazuje drogę, a kto nią pójdzie, temu nic złego się nie przydarzy.

Rozsieczone cielska naszych wątpliwości opadają na pościel, klękam w wielkim łożu, wokół mnie rozpościera

się zagon bawełny w bezkresnej, białej szczodrości, mogę biec przed siebie, machać rękami, chwycić w otwarte ramiona powietrze świata, to oczywiste, że przeszła tędy Szechina, wleciała jak ptak przez okno, by powiązać nas świętym węzłem na wieczność, Udi przyciska się do mnie, jest za mną, pode mną, na mnie, pochłania mnie jak głodny dzieciak wymarzone słodycze, obracam się wyczerpana i szczęśliwa, bo wszystko tej nocy zrozumiałam, miło pozbyć się dręczącego wahania, teraz wiem, że Udi jest dla mnie jak dziecko albo rodzic, którego się nie wybiera, nie można się więc od niego uwolnić, i właśnie to nas wiąże, to nas czyni mężem i żoną. Wzbiera we mnie fala współczucia, poddaję się jej i raz za razem z rozkoszą rodzę jego członek, jakby to było moim powołaniem, aż z jego ust wychodzi cichy jęk, ciało pulsuje i słabnie, sięgam po kołdrę, okrywam nas oboje, kołdra ma dla mnie mnóstwo ciepłych pocałunków, bawełniane wargi łaskoczą, nie śpij jeszcze, szepczą, nie wolno, to noc namiętności, dziś spełnia się każde życzenie, do dnia śmierci nie zaznasz drugiej takiej nocy. Siadam gwałtownie, rozglądam się wokoło, czyj to szept, kto wsącza mi w serce truciznę, Udi śpi, ledwo zdążył zasnąć, znów mi zaczyna dokuczać świadomość, zbudź go, mamrocze miękka kołdra, nie słyszałaś, że nie wolno pozwolić dziecku zasnąć po tym, jak uderzyło się w głowę, bo może się nie obudzić, on cię teraz porzuca we śnie, już do ciebie nie wróci, wiecznie będziesz tęskniła za tą nocą, przytulam się do niego ciasno, nie zostawiaj mnie, Udi, on głaszcze mnie przez sen, jego ręka grzeje delikatnie jak cienka spirala elektrycznego piecyka, złośliwe szepty cichną i wchodzę do małej chatki snu, o której opowiadałam Noi, kiedy nie mogła zasnąć, zamykam za sobą drzwi, tu nikt mi nie przeszkodzi, jestem bezpieczna, dopóki trwa

noc, jej barwy niepostrzeżenie zmieniają się w naszym oknie, aż drętwieję od przeraźliwego krzyku.

Nic nie widzę, krzyczy, wyrzucając przed siebie ręce i chłoszcząc jak małe dziecko zaspane powietrze, Na'ama, ja nic nie widzę, budzę się błyskawicznie, tętno dudni, zagłusza słowa, co on powiedział, co znaczy to, co powiedział, zapomniałam ten język i nie chcę go sobie przypomnieć, to mowa zła, zbyt okropna dla mnie, przez zamknięte usta mamroczę, nie martw się, nic się nie dzieje, a on wrzeszczy, nic się nie dzieje? Może z tobą nic się nie dzieje, ale ja nie widzę na oczy, siadam i obejmuję go, uspokój się, zaraz ci przejdzie, ze strachu wydaje mi się, że sama też nic nie widzę, solidarnie zamykam oczy, co powie Noa, kiedy oboje wrócimy niewidomi, będziemy jej po omacku szukać w całym domu, kierując się głosem. Zostaw mnie, strząsa moje ręce, niepotrzebne mi twoje uściski, więc wstaję z łóżka urażona, całe ciało pokryte mam jeszcze cienką warstewką miłości, zastygłym nasieniem, które można z łatwością złuszczyć i o nim zapomnieć, jak o geście nie na miejscu. Zza firanek pozdrawia mnie jasny, wiosenny dzień, wydaje się, że w brzuchu słońca ukryty jest złoty dzwon i dzwoni wesoło, wzywa nas do wyjścia na świat, cieszenia się z jego uroków, ale dla nas to wszystko przychodzi za późno, znów jest za późno, w jednej chwili nasz czas się skończył.

Jego oczy robią się okrągłe, niemal wychodzą z orbity z wysiłku, ręce macają pościel, błyskawicznie przyswoił sobie ponure atrybuty ślepoty, podchodzę do niego, nie martw się, to minie, tak jak paraliż, wyniki były przecież dobre, on warczy, mało mnie to obchodzi, oni się ciągle mylą, na pewno mam nowotwór, który za każdym razem uciska na inny organ, ja mówię, niemożliwe, akurat to

wykluczono, prawdopodobnie to stres albo jakieś zmartwienia, spróbuj się zastanowić, co cię dręczy, a on rzuca głową wściekle, i ty masz czelność pytać, co mnie dręczy, wrzeszczy nagle, przecież to ty mnie wiecznie dręczysz, przez ciebie się rozchorowałem!

Wstrząsa mną fala mdłości, wybiegam do łazienki, stoję nad umywalką, piję wodę z kranu, spryskuję umęczoną twarz zakładniczki, która straciła nadzieję na odzyskanie wolności, co się tu dzieje, nigdy nie był tak nieprzewidywalny, muszę mu pomóc wrócić do siebie, szepczę do lustra, kochany, mężu mój, to ja byłem dziś z tobą, nie rób ze mnie swojego wroga, nie rozdzielaj nas, przecież zawsze pragnąłeś takich nocy, kiedy miłość nakłada się warstwami, jak ciepłą bielizną w zimowy dzień, więc dlaczego akurat teraz się ode mnie odwracasz, znów się nachylam nad kranem, piję i piję, i złość mnie ogarnia, jakby mętna nienawiść sączyła się z niego zamiast wody, żadne gadanie nie pomoże, on nie może znieść tego, że jest dobrze, jak dziecko, które niszczy ulubioną zabawkę, żeby mu jej nikt nie zabrał, ale ja nie jestem zabawką, już mam ochotę krzyknąć mu w odpowiedzi, jak śmiesz mnie winić za swoje choroby, ale głos więźnie mi w gardle, pomyśl tylko, rozpamiętujesz urazę, gdy on stracił wzrok, przecież to jest teraz prawdziwy problem, zajmowanie się całą resztą to luksus, raz jeszcze opanowuję się, osuwam się na wannę, ledwie wczoraj burzyła się w niej nasza miłość, dziś jej miejsce zajęły zasieki, mur wzniesiony w jedną noc między nami, który z rozkazu nieznanego władcy przeciął na dwoje nasze wspólne ciało.

Na'ama, woła mnie despotycznym tonem, właściwym chorem, gdzie jesteś, potrzebuję cię, więc zmuszam się do wyjścia, czego chcesz, pytam, obserwując z obawą jego



zamknięte oczy, on odpowiada, chcę, żebyś mnie wysłuchała, od kilku dni zastanawiam się, co się ze mną dzieje, co jest nie tak w moim życiu, i dziś rano zrozumiałem, że chodzi o marnowanie nasienia, że przez to się rozchorowałem. Oszalałeś, pytam z przerażeniem, o czym ty mówisz? A on cedzi przez zęby z przekonaniem, jakby przedstawiał wyniki badań naukowych, o tym, że śpię z tobą, o tym mówię, wy-ciskasz ze mnie nasienie, nie wolno mi z tobą sypiać, sperma to esencja życia, pozwoliłem ci pić moje życie wszystkimi wargami, jakie masz w ciele.

Siadam zdumiona na łóżku, zakrywam usta dłonią, kiedyś się oskarżało Żydów o mord rytualny, o picie krwi chrześcijan, a teraz on, konwertyta, którego naturę odmieniła choroba, mnie oskarża bez cienia wstydu, i z gniewem zauważam, że twarz mu się wypogadza, pojawia się na niej wyraz przekonania, pewności opartej na fałszu i wypaczeniu, krew się we mnie gotuje, przecież to ty ciągle chcesz ze mną spać, słyszę, że urywany krzyk wyrwa mi się z gardła, krzyczę jak ranne zwierzę, z bólu i zaskoczenia, więc jak śmiesz mnie obwiniać? On syczy, mam dość wysłuchiwania, że to ja tego chcę, ty powodujesz, że chcę, przecież gdybym żył bez ciebie, nie chciałbym tego, świetnie, wrzeszczę, to żyj beze mnie, mam dość twoich oskarżeń!

Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo po tym, jak mnie wpędziłaś w chorobę, skrzeczy z zaciśniętymi wargami, cała się trzęsę, ty niewdzięczniku, ja cię wpędziłam w chorobę? Ale słowa przywarły do krtani, nie chcą wyjść, trzepocą się między opuchniętymi z gniewu migdałami, kto skazał nasze chwile łaski na tak krótki żywot, jaki koniec nas spotka, co będzie z Noą, i kiedy przypominam sobie o niej, łzy cisną mi się do oczu, znów czeka ją rozczarowanie, na pewno ma

nadzieję, że jutro wrócimy do niej odpężeni i zadowoleni, że znajdzie się dla niej miejsce w naszym szczęściu, które otworzy się przed nią jak piękny pałac.

Korytarzem już się do nas zbliżają odkurzacze, przynaglają gości, żeby wyszli z pokojów i dali się wessać do światła przyjemności, które tu na nich czekają, tylko my leżymy ponuro jak bazaltowe głazy, obcy sobie, obcy resztkom naszej miłości na pościeli, która wkrótce zostanie zmieniona, obcy dobrotliwym wpływom tej posiadłości, łkam w wilgotny ręcznik, dłużej tego nie zniosę, już dłużej nie mogę, on burczy, mam dość twoich łez, rozczulasz się nad sobą, kiedy ja jestem chory, w ogóle nie myślisz o mnie! Rozglądam się dokoła, co robić, jeżeli się ubiorę i wyjdę, powie, że go porzuciłam, a jeśli tu zostanę, nie mam się gdzie przed nim ukryć, uwięziona w polu rażenia niewidomego snajpera, który może mnie przez pomyłkę zabić. Wracam stropiona do łazienki, umywalka służy mi oparciem, znów przyglądam się swojej twarzy, czerwonym oczom, opuchniętym powiekom, zwiotczałym od płaczu wargom, nie tak miałam wyglądać tego ranka, nie tu mieliśmy go spędzić, lecz na tarasie z widokiem na lśniący wierzchołek Hermonu, nad filiżankami kawy i talerzami pełnymi przysmaków, potem mieliśmy iść na spacer, patrzeć na kwiaty, zamiast tego wypełniliśmy tę dolinę naszym zgorzknieniem, próbuję powtarzać sobie, jak powtarzam kobietom w ośrodku, nie jesteś ofiarą, pamiętaj, zawsze możesz wybierać, ale jaki wybór stoi przede mną teraz, kiedy spętał mnie i przywiązał do siebie swoim kalectwem. Kilka razy spłukuję twarz niemal wrzącą wodą, jak płucze się garnek, do którego przywarł stary brud, czarne, brzydkie plamy z tłuszczu, nie masz wyjścia, mówię sobie, możesz tylko uczesać te włosy, ubrać to ciało, założyć

skarpety na te stopy, i ubieram się z ciężkim sercem w korytarzu, starając się w tym znaleźć powód do dumy, jakbym robiła coś wielkiego, byle nie wkraczać w zasięg niewidzącego spojrzenia, i kiedy jestem gotowa, mówię mu, schodzę na kawę, przynieść ci coś? Nie odpowiada, spoglądam na niego ostrożnie, ręką zasłania oczy, leży z otwartymi ustami, przynieś mi cytrynę, mamrocze, mam straszne mdłości i boli mnie głowa.

Więc to tylko migrena, oddycham z ulgą, moja odwieczna przeciwniczka, już lepszy znany wróg niż obcy najeźdźca, dobrze znam ten oślepiający taniec oczu, przygniatające mdłości, czarny, oleisty ból głowy, długie godziny spędzała ze mną w łóżku, nawet w dniu naszego ślubu przysłała mi zmącić radość, do popołudnia leżałam z zamkniętymi oczami, z wilgotnym ręcznikiem na czole, w moim panińskim pokoju, w starym domu, który ojciec zamienił w swoją samotnię. Stopniowo ubywało w nim przedmiotów, głodne koty wbijały pazury w wiklinowe fotele, aż się całkiem rozpadły, jak niepotrzebne gniazda, ściany poobnażały się, znać było na nich ślady obrazów zabranych przez matkę, jak ślady ciosów zadanych w głuchym gniewie, został jeszcze tylko wielki barometr ojca, miernik olbrzymów, rozparty dumnie, prezentujący przezroczystą, szklaną rurkę, zakończoną mrocznym jeziorem, rtęć w cudowny sposób wznosiła się w niej i opadała, przepowiadając pogodę.

Ojciec stawał przed starym barometrem zamyślony, i z uśmiechem, tak rzadko goszczącym na jego wargach, napawał się jak zwycięski dowódca widokiem pola, gdzie odbyła się walka. Nie ma sensu wywieszać dziś prania, obwieszczał matce, kiedy jeszcze byliśmy rodziną, nie wyschnie, ona protestowała, ale w prognozie mówili, że będzie gorąco

i sucho, ostentacyjnie szła na dwór z pełną miską, by kilka godzin później biec do sznurów w poczuciu klęski, bo niebo czerniało, a jej cenne pranie ociekało deszczem. To były dla niego najpiękniejsze chwile, patrzyła na niego z zachwytem, gdy świętował zwycięstwo nad meteorologiem, tym tajemniczym wrogiem, który się z nim stale drażnił, jakby rywalizował o miłość matki, te chwile były mu tak drogie, że starał się je przywołać nawet po jej odejściu, próbował jej zaimponować jednoznacznością pogodowych komunikatów. Zawsze przed snem go pytałam, czy będzie zimno, czy ciepło, a on stawał przed barometrem, patrzył w niego z nabożnym lękiem i podawał dokładną prognozę, która się zawsze sprawdzała i którą przekazywałam matce pod jego baczny wzrok. Chyba cała jego pewność siebie, duma, wiedza, jaką zgromadził w życiu, zawierała się w gęstym jeziorze rtęci, wzbierającej i opadającej w rurce. W aureoli z mokrego ręcznika, z niewidzącymi oczami, wlokłam się w dniu ślubu do kuchni po następną cytrynę, wyciągałam ręce przed siebie, gdy nagle silny zawrót głowy przenicował mi wnętrzności, próbując się chwycić ściany, natrafiłam na twardy przedmiot i upadłam z nim razem, ja i ogromny miernik świata rozbiliśmy się o siebie nawzajem.

Tajemniczy roztwór rozprysnął się momentalnie na dziesiątki szarych kuleczek, radosnych jak więźniowie, którzy raptem znaleźli się na wolności, a te, rezygnując ze swej powagi, potoczyły się po podłodze, teraz chciały się tylko bawić, nie przepowiadać przyszłość, czołgałam się pod łóżkami, wśród ostrych okruchów szklanej fiolki, próbując je na powrót scalić, tratując kolanami mit strącony z piedestału. Ku swemu przerażeniu usłyszałam odgłos zbliżających się kroków, nie odważyłam się unieść wzroku, nie martw się,

tato, płakałam wśród zniszczeń, kupię ci nowy, jutro rano, za pieniądze, które dostaniemy w prezencie, a on odpowiedział cichym, martwym głosem, ale takich już nie ma, to był stary, unikatowy barometr, ja upierałam się, zdobędę ci go, zobaczysz, znajdę identyczny, za wszystkie pieniądze ze ślubu odkupię ci dokładnie taki, kleszcze migreny zaciskały się na mojej głowie, jak dojdę pod ślubny baldachim, jak on, właśnie w tym dniu odarty z resztek wielkości, stanie przy mnie, od tamtej pory ukrywałam się przed nim w zamęcie nowego życia, zapomniałam o obietnicy, i tylko w tych rzadkich razach, kiedy go przyjeżdżałam odwiedzić, przerażał mnie cień barometru na ścianie i zapewniałam, jutro go pójdę odkupić, on potakiwał w milczeniu, i nikt go już nie pytał, będzie ciepło czy zimno, i tak, odarty z mocy, zmarł pewnej nocy po cichu, we śnie, na atak serca, na łóżku, pod którym ciągle igrały niepokorne kuleczki ręki.

Zejdę po cytrynę, rzucam prędko, nim zdąży mnie zatrzymać, opieram się o drzwi, które za sobą zamknęłam, na moment jestem wolna, jeśli to tylko migrena, to w sumie nie strasznego, z migreną już sobie poradzę, ale gdy wchodzę do jadalni i widzę gości, żujących z rozkoszą, napychających zdrową żywnością zachłanne żołądki, pojmuję, że funkcjonuję już w zupełnie innym wymiarze, bo to, co mnie dziś czeka, różni się całkowicie od tego, czego oni się mogą spodziewać, nie będzie to przecież wycieczka dżipem, wiosenny piknik ani pływanie w basenie, siadam przy małym dwuosobowym stoliku, stolików dla samotnych nie mają tu na stanie, patrzę na rozstłoneczniony pejzaż, który ukazał się, kiedy minęła burza, na dolinę błękitną jak morze, łódeczki czerwonych dachówek unoszące się na nim spokojnie, że też musiał stracić wzrok akurat w tak pięknym miejscu, ły,

te przezroczyste meduzy, znów parzą mnie w policzki, spuszczam głowę, żeby nie widzieć beztroskiego przeżuwania wokół i nie pokazywać innym swojej hańby. Kelner nalewa mi kawę, ja dziękuję mu przez łzy, jakby mi uratował życie, stałam się taka żałosna w ciągu jednego poranka, wyczuwam nad sufitem upstrzonym gwiazdeczkami maleńkich lampek, dwa piętra nade mną, jego niewdzięczną, uporczywą obecność, przygląda się z niechęcią moim poczynaniom, miażdży mnie. Podnoszę się, zaczynam krążyć wokół bufetu, speszona przytłaczającą obfitością, nie mogę się zdecydować, na co mam ochotę, obok mnie młoda kobieta nakłada sobie na talerz barwną kompozycję, jej ruchy świadczą o głodzie, który skrywa pod szlafrokiem, oblewa mnie sokiem z marchwi i nawet nie przeprasza, łapię bułkę, jakbym ją kradła, i wracam zmieszana do stolika, przeżykam z trudem, cały ten luksus drażni mnie, irytuje, uciekam z jadalni na schody i dopiero pod drzwiami pokoju zauważam, że zapomniałam poprosić o cytrynę, wszystko tam było oprócz tej jednej drobnej rzeczy, jaka naprawdę była mi potrzebna. Niepewnie wchodzę do kuchni, widzę czyjs karcący wzrok, jakże różny od spojrzeń na zewnątrz, bezgranicznie uprzejmych, proszę o cytrynę, tutaj, za kulisami imponującego śniadania, czuję się znacznie swobodniej i chociaż mam już w ręku cytrynę, dużą i złocistą, nie spieszę się z odejściem, macam ją jak rzadki etrog, z wysiłkiem zdobyty na Święto Szałasów, niosę ją ostrożnie na górę, wyciągam przed siebie jak ofiarę dziękczynną, wchodzę do pokoju, ale nie wręczam jej nikomu, bo łóżko jest puste, nie ma go w szerokim fotelu, nie ma w wannie ani na sedesie, zniknął gdzieś ze swoją furia, ze ślepotą, więc siadam na brzegu łóżka, obgryzając bezwiednie skórkę cytryny. Co tu się wydarzyło, czy źle się

wywiązałam ze swojej misji, czy przyszłam za późno, a może jemu się polepszyło i pobiegł do mnie, żeby obwieścić, że już wszystko w porządku, przeprosić za to, co mówił w zaślepieniu, może wrócimy do naszych romantycznych wakacji, będziemy się przechadzać beztrząsowo w białych szlafrokach jak anioły na wysokościach, ta perspektywa uszczęśliwia mnie, nawet jeśli nie przeprosi, wybaczę mu, postanawiam, najważniejsze, żebyśmy przyjechali do domu odprężeni, dla Noi, żeby nie wpadła znowu w gęstą sieć naszych napięć.

Podnoszę się i podchodzę do okna, złocisty dzień staje nagle przy mnie, może się jeszcze zaprzyjaźnimy, ja, słońce, drzewa i kwiaty, po raz pierwszy zauważam czerwone, żółte i fioletowe kaskady wiosennych kwiatów, z daleka nie mają nazw ani przeszłości, są tylko kipiącymi życiem punktami intensywnej barwy. Na dole bez wątpienia trwa zabawa, też chciałabym się przyłączyć, otrzeć się o króciutki żywot wiosennych kwiatów, nie dłuższy niż żywot zapałki, nagle między drzewami spostrzegam jasną postać, porusza się tanecznym krokiem, przemyka od pnia do pnia, potem klęka i pada na twarz, jakby się oddawała starożytnemu kultowi, który budzi we mnie strach, szybko zbiegam na dół, wychodzę z hotelu i idę w kierunku lasu, gdzie leży wyciągnięty wśród wysokich złocieni i błyszczących jaskrów, ramiona mu drżą, chrapliwy odłgós dochodzi jakby z wnętrza ziemi.

Udi, co się dzieje, rzucam się do niego, klękam przy nim, jak oczy, widzisz coś? On jęczy, oczy dobrze, ale nie mogę oddychać, mam mdłości, po co w ogóle wyszedłeś, pytam, czemu nie zaczekałeś na mnie, przyniosłam ci cytrynę, on chrypi, nie mogłem tam zostać, dusiłem się, musiałem wyjść na powietrze. Rozglądam się bezradnie, słońce już pali mnie w plecy, wygląda na to, że w nocy wybuchła w przyrodzie

rewolucja i lato przejęło rządy, wracajmy do hotelu, mówię, przyniosę ci wody i coś do jedzenia, on wstaje, opiera się na mnie całym ciężarem, ale nie rusza naprzód, ja błagam go, Udi, musisz się czegoś napić, to ci pomoże, on mamrocze, nie wolno mi wracać z tobą do hotelu i nie wolno mi jeść ani pić, ja mówię, tak, tak, jak do małego dziecka, gdy nagle docierają do mnie jego słowa, co powiedziałeś? Ktoś ci zabrania? On ciągnie w tym samym pokornym tonie, z gruntu różnym od porannej napastliwości, kiedy czekałem na ciebie, przypomniałem sobie pewną opowieść z Księgi Królewskiej, o mężu Bożym, który przyszedł z Judy do Betelu, a Bóg zabronił mu spożywać tam chleb i pić wodę, i wracać tą samą drogą, którą przyszedł. Ale co to ma wspólnego z tobą, pytam zniecierpliwiona, on odpowiada, po prostu czuję, że ma, nie wolno mi tu nic jeść ani pić, muszę stąd odejść, zanim ktoś mnie przywiedzie do grzechu, jak tamtego proroka, wiesz, co się z nim w końcu stało? Zagryzł go lew, a jego zwłoki nie spoczęły w grobie jego ojców. Patrzy na mnie błędnym, przerażonym wzrokiem, próbuję odepchnąć lepkie ręce strachu, może z nim naprawdę coś jest nie w porządku, może lekarze mieli rację, powinnam była pozwolić, żeby go umieścili na psychiatrii, jak mogłam być tak głupia, żeby wierzyć, że z jego duszą sobie poradzę.

Pomóż mi dojść do auta, stęka, zaczekam tam, aż nas spakujesz, nie wolno mi tu zostać, prowadzę go do samochodu, który nagrzewa się prędko, najwyraźniej lato zdążyło już posadzić rozpalony tyłek na swoim królewskim tronie, układam go na tylnym siedzeniu i wlokę się ponuro do hotelu. Dlaczego mam się pakować, dlaczego muszę wyjeżdżać, znów wszystko się kompletnie pomieszało, broda opada mi w dół w nowym geście rezygnacji, tak bym tu chciała zostać,



pić kawę w zacisznym hallu albo na ławce na zewnątrz, ale to przecież jasne, powinno było być dla mnie jasne od początku, że im bardziej będę chciała zostać, tym bardziej on będzie chciał wyjechać. Może tym razem mu się sprzeciwię, powiem, że zostaję do jutra, jak ustalaliśmy, zobaczymy, co zrobi, jakkolwiek by patrzeć on to nie ja, więc dlaczego tak bardzo wpływa na moje życie, ale natychmiast przypominam sobie o jego chorobie, nie ma rady, trzeba ustąpić, może choruje po to, żeby mu ustępować, ale trudno to udowodnić, wchodzę do pokoju, z każdą chwilą bardziej mi szkoda wyjeżdżać, nie zdążyłam nawet posiedzieć w tym fotelu, albo przy stole pod oknem, i z narastającym smutkiem wrzucam do torby ubrania, jego i moje. Szafa jest już pusta, teraz łazienka, szczoteczki do zębów, pasta, przybory do golenia, i jeszcze nocne stoliki - krem do twarzy, dezodorant, szczotka do włosów, a po jego stronie czerwony prostokąt Biblii, kartkuję ją z odrazą, żółte ziarenka piasku wysypują się spomiędzy kartek, gdzie do jasnej cholery jest tamta historia, przez którą stąd wyjeżdżamy, o czym on mówił, o mężu Bożym, który przyszedł z Judy do Betelu, albo odwrotnie, ledwo słuchałam, nie mam pojęcia, gdzie tego szukać, nie znajdę, nie ma szans, karty celowo mnie zwodzą, kaleczą palce, z wściekłości ciskam książką o podłogę, z całej siły, jakby w niej tkwiły korzenie szaleństwa, które zawładnęło moim życiem, zamykam torbę w pośpiechu, zanim się rozmyślę, niech to będzie kara dla niego, ta książka zostanie tu na zawsze.

Przed wyjściem sprawdzam raz jeszcze, czy czegoś nie zapomniałam, zaglądam pod łóżko, odsuwam ręczniki, i znów widzę czerwoną cegłę, Biblię, którą dostał na zakończenie szkoły średniej, na akademii pożegnalnej, pamiętam,

i

jak wszedł na scenę, dyrektor ścisnął mu dłoń, nie mogąc się rozstać z najlepszym uczniem z tego rocznika, wreszcie wręczył mu uroczyście książkę, ja dawno zgubiłam swoją, ale on ją zachował, wziął ze sobą do wojska, potem brał na wszystkie wyprawy, wyjmował z kieszeni i czytał uczestnikom, wyjaśniał i wskazywał, już mnie kusi, żeby ją podnieść mimo wszystko, ale odległość między nami jest nie do pokonania, zwłaszcza że już zamykam drzwi, z lękiem, ale i ze złośliwą satysfakcją, co on sobie wyobraża, że może mnie ranić, a ja mu się nie odwdzięczę, wydaje mi się, że za plecami słyszę ciche kwilenie, jakbym porzuciła w pokoju niemowlę, ale nie zmieniam decyzji, niech raz jemu będzie przykro.

Niczego nie zapomniałaś, pyta, musi mnie kontrolować nawet z tylnego siedzenia, odpowiadam mu napastliwie, jeżeli mi nie ufasz, idź i sam sprawdź, on milknie, zapadnięte policzki płoną gorączką, jak dwie zwiędłe róże, wpycham torbę do bagażnika i siadam odruchowo na miejscu pasażera, dopiero wtedy pojmuję, że chwilowo poza mną nie ma tu innego kierowcy, że ja, z moim lękiem wysokości, z ciężkimi zawrotami głowy na samą myśl o przepaści, mam prowadzić przez całą drogę po urwistym zboczach góry. Patrzę na niego błagalnie, niech się wreszcie otrząśnie i mnie uratuje, ale on leży z tyłu półprzytomny, fotel kierowcy czeka tylko na mnie, jak w koszmarze, który mnie prześladowa od lat, prowadzę samochód, większość części od niego odpadła, a jednak jadę, nie mogę się zatrzymać, wokół mnie inne samochody ryczą jak głodne lwy, szarpia mnie ze wszystkich stron, i nie mam wyjścia, muszę jechać dalej, pytam oschle, jest jakaś inna droga, on mamrocze, musi być, nie wolno mi wracać drogą, którą przyjechaliśmy, wzdycham ciężko, on już sam nie wie, co mówi, patrzę na otchłań pod nami,

w jasnym, ostrym świetle dnia nie wydaje się tak przerażająca, za to bardziej okrutna, kołysze szerokimi biodrami, dając nam znak, żebyśmy się od razu poddali, wybrali skrót, który oszczędzi nam zgryzot jutra i pojutrze, pokusa zwiększa się jak moc kobiety, która czuje, że jej czar działa, i przez to jej pewność siebie wzrasta.

## Rozdział dziewiąty

Jak pierwotna jaszczurka, skamielina z czasów Stworzenia, wymarły gatunek, leży bez ruchu w mrocznej sypialni, oddzielony od słońca, które tak lubił, ciężkimi żaluzjami, jego skóra płowieje, cały pokrywa się łuskami kurzu, jak muzealny eksponat, którego nikt nie jest ciekawy, tylko Noa zagląda do niego w południe, kiedy głodna i zatroskana wraca ze szkoły, nic nie mówi, upewnia się tylko, że jeszcze tam jest, że leży na plecach, patrząc przed siebie szeroko otwartymi oczami.

Jego przydługie ciało skraca się, ramiona się kurczą, mam wrażenie, że z każdym dniem powraca do wymiarów z okresu, kiedy był chłopcem, gdy go mijam co rano, owinięta ręcznikiem, żeby wziąć z szafy ubrania, czuję się skrępowana, jak w tamtych czasach, wyglądam przy nim jak wysoka, rozwinięta dziewczyna przy chudym dziecku, bo im on się staje mniejszy, tym ja się bardziej rozrastam, oboje zbliżamy się do sylwetek z zarania naszej młodości, jakby wszystko, co nas od tamtej pory spotkało, było przejściowe, jakby łatwo można to było przekreślić, bo nagle, po latach bycia szczupłą, odkrywam czar lodówki, wracam do domu po pracy i nim wejdę do jego pokoju, muszę napełnić

brzuch, głównie tostami z masłem, takimi samymi jak te, które ojciec przygotowywał nam w sobotnie ranki, wznosił chwiejne, krzywe wieże z cienkich tostów i topniejących między nimi grudek masła, Noa patrzy zdumiona na kromki, wylatujące z tosterka jak palące płasniećcia w policzek, jak możesz je jeść w taki upał, ja z przepaszającym uśmiechem wysyłam ją po lody, im słodsze, tym lepsze, uzależniłam się zwłaszcza od tych z czekoladą w środku, które je się najdłużej, siadamy naprzeciw siebie i liżemy jak dwie siostry, których rodzice są zbyt zajęci, aby należycie zadbać o ich dietę. Kiedyś, za dobrych czasów, on by mnie natychmiast zgromił, jak możecie jeść to paskudztwo, wygrzebałby opakowanie i odczytał mi z obrzydzeniem skład, ale teraz jest całkowicie obojętny na to, co robimy, choćbyśmy połknęły truciznę, nie zauważy, tylko moje ubrania protestują, nie już nie wchodzi na mnie, džinsy ani myślą się dopiąć, nowy kostium załamał się po nieudanych próbach okrycia pęczniejących kształtów, i tylko workowate szerokie letnie sukienki, których kilka kupiłam pewnego dnia, osłaniają moją spotniałą nagość, gdy wchodzę do ośrodka, dziewczyny przyglądają mi się z zaskoczeniem, z początku sądziły, że jestem w ciąży, jak one, i nowa, siostrzana więź rozkwitła między nami, aż się zorientowały, że ich spiczaste, sterczące jak strzały brzuchy są całkowicie różne od mojego, wiotkiego, upokorzonego, w którym zalega jedynie bezduszne jedzenie.

Nowe, które do nas trafiają, myślą, że taka byłam zawsze, że tak po prostu wyglądam, tylko Chawa albo Anat rzucają czasem, Na'ama, co ty ze sobą robisz, i zaraz idą dalej, bo zawsze znajdzie się u nas coś pilniejszego, czym się muszą zająć. Czasami zauważam, że Anat odprowadza mnie

wzrokiem pełnym litości, prawie zachęty, ale unikam jej, teraz z kolei ja jej unikam, żeby nie słyszeć ogłuszającego krzyku jej myśli, mówiłam ci, żebyś odeszła, już lata temu powinnaś go była zostawić, i co z tobą będzie teraz, widzisz, dom zbudowany na kruchych fundamentach musi się zawalić, sądziłaś, że dobra wola i poczucie winy wystarczą do zbudowania rodziny, ja buntuję się w duchu, nie pouczaj mnie, sama nawet nie spróbowałaś, co ty wiesz o prawdziwym życiu, ale nie tylko ją staram się omijać z daleka, także inne przyjaciółki, które powychodziły za mąż i porodziły dzieci, jak mam siedzieć z nimi w kawiarni, słuchać narzekań na męża, który wiecznie jest w pracy, kiedy widzę, jak moje życie rozpada się na kawałki i nie ma żadnego sposobu, żeby je złożyć z powrotem, tak jak nie można było scalić drobinek rtęci, porozpraszanych po domu mojego dzieciństwa.

Kiedy ktoś pyta o niego, odpowiadam chłodno i krótko, i w miarę możliwości mętnie, na szczęście nikt w to nie wnika, cierpienia innych nie budzą tak naprawdę niczyjej ciekawości. Jedni mówią, poczekaj, czas zrobi swoje, wyjdzie z tego w końcu, a inni, jeśli będziesz przy nim skakała, to on nie popuści, musisz być obojętna, żeby zrozumiał, że nic przez ten obłęd nie zyska, jeszcze inni twierdzą coś wręcz przeciwnego, musisz go wspierać, żeby się poczuł bezpiecznie, jest przecież twoim mężem, na dobre i na złe, sama już nie wiem, słucham w milczeniu, zmieniając zdanie z dnia na dzień, z chwili na chwilę, tak się starałam go rozweselić, dogodzić mu, ulubione potrawy, drobne prezenty, i tak bardzo się rozczarowałam, że nie mam siły dalej próbować. Gdy wchodzę do sypialni, ścieram się z jego spojrzeniem, wrogim i pełnym pretensji, czegoś ode mnie żąda, nie umiem go zadowolić, bo wszystko, co robię, przyjmuje z urazą

i niechęcią. Kiedy mu proponuję, żeby zjadł z nami w kuchni, odmawia, kiedy przychodzimy posiedzieć przy nim, narzeka, że mu to przeszkadza, kiedy idę do pracy, skarży się, że go zaniedbuję, a kiedy biorę dzień wolny i z nim zostaję, traktuje mnie jak powietrze. Czasem wracam do domu z nadzieją, że zdarzy się cud, że otworzy mi drzwi umyty i pachnący, w czystym ubraniu, nie w tej śmierdzącej szmacie, której nie zmienia od miesięcy, przytuli mnie i pociągnie do łóżka, jak kiedyś, szybko, zanim Noa wróci, albo zyczajnie usiądzie przy mnie na balkonie z książką w rękę, przeczyta mi jakiś fragment, który mu się spodobał, niech mnie nawet zanudza opowieściami z Biblii, niech przeszkadza mi w gotowaniu, byle tylko wykazał cień zainteresowania mną, Noa, światem wokół, wszystkim, co wypełniało mu kiedyś życie.

Ale zawsze gdy wracam, zastaję go w łóżku, tylko mętna żółtawa błonka w muszli świadczy o tym, że był w ubikacji i nie spuścił wody, nie chce jej spuszczać, bo od hałasu bołą go uszy, tak jak oczy od światła słońca. Jeść też nie chce, najwyżej czasem poprosi, żebym ugotowała mu grysik z wiórkami czekoladowymi, który tak lubił w dzieciństwie, a jego matka, która bała się go rozpuścić, zgadzała się mu go zrobić tylko kiedy był naprawdę chory. Niewątpliwie są to nasze mizerne chwile łaski, przynoszę mu do łóżka miseczkę parującej kaszki, Noa siada przy nim, niekiedy ja też, i wszyscy łykamy w ciszy, a on uśmiecha się do nas z ponurą satysfakcją, jak chory dzieciak, odsłaniając żółknące zęby.

Czasem zapominam zapytać, jak się czuje, bo nie ma już znaczenia, czy dziś nie może ruszyć ręką, czy ledwo widzi na oczy, czy bołą go palce u nóg, czy też kark albo głowa, wydaje się, że niemoc wędruje po jego ciele jak chmura po niebie,

kładzie się cieniem raz na tym, raz na innym organie, zresztą on sam, choć początkowo wprost napawał się opisywaniem swoich dolegliwości z detalami, już przestał się w siebie wsłuchiwać, bo teraz dominuje motyw ogólny, suma wszystkich szczegółów, niedobrze ze mną, z nim jest niedobrze, z tatą ciągle jest źle.

Ale co mu jest, dopytywała się Noa w pierwszych dniach po naszym niechlubnym powrocie z wiosennego wyjazdu, ja mówiłam, nic poważnego, a ona męczyła mnie dalej, skoro nic mu nie jest, to czemu leży w łóżku, jest zdrowy czy chory? Próbowałam ją uspokajać, nie jest zupełnie zdrowy ani całkiem chory, a ona mnie strofowała, to dlaczego go nie zabierasz do lekarza, dlaczego nic nie robisz? On nie chce wracać do szpitala, usprawiedliwiałam się przed nią, nie chce zrobić badań, nie mogę go zmusić siłą. Od czasu do czasu mówię sobie, zrób coś, nie możesz mu tak ulegać, stoję wtedy twardo w progu jego pokoju, Udi, tak dłużej być nie może, trzeba zrobić dalsze badania, ustalić, co ci jest, uzależniasz się od tej choroby, a on posyła mi pełne obcości spojrzenie, nie pójdę do żadnego szpitala, nie dam się wsadzić na oddział psychiatryczny, idź tam sama, jeżeli ci przeszkadzam, żebyś wiedział, że pójdę, grożę bez przekonania, jeśli nie zajmiesz się sobą, wstanę i pójdę, co sobie wyobrażasz, że będziesz się wylegiwał w łóżku całymi dniami, a ja cię będę niańczyć jak pielęgniarza, on natychmiast przechodzi do obrony, wcale nie musisz mnie niańczyć, myślałby kto, że Bóg wie co robisz dla mnie, patrzę na niego bezradnie, ja też się nie palę, żeby go zawieźć z powrotem do szpitala, ale trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie, niemożliwe, żeby nie było lekarstwa na ten zespół objawów, i przywołuję z obawą przygnębiającą nazwę jego choroby, jakbym przypominała



sobie imię rywalki, niebezpiecznej uwodzicielki, Konwersja, tak ma na imię.

Już nawet moja matka, która zwykle się nie wtrącała, zaczęła się naprzykrzać, co mu jest, trzeba coś z tym zrobić, pewnego wieczoru zjawiła się u nas z koleżanką, psychiatrą, wpadłyśmy tylko na chwilę, obwieściła znaczącym tonem, zobaczyć, co u was nowego, Udi szybko wyskoczył z łóżka, usiadł z nami w salonie cały w uśmiechach, i tak starał się udowodnić, że wszystko jest normalnie, aż lekarka zaczęła patrzeć na mnie podejrzliwie, jakbym to ja była chora, i dopiero przy drzwiach szepnęła mi, wydaje się trochę przegaszony, ale poważniejszych problemów nie widzę, więc nabrałam otuchy, zatopiłam się w miłych wizjach jego nadchodzącego wyzdrowienia, on tymczasem wrócił do łóżka, wyczerpany wysiłkiem, po czym przez tydzień nie odzywał się do mnie i nic nie jadł, i tylko codziennie rano zastawiałam otwartą szafkę w kuchni, napoczęty bochenek chleba, szukałam oznak, że żyje, jakbym tropiła szczura.

Czasem pytam go tonem przedszkolanki, to co robisz przez cały dzień, a on broni się agresywnie, nic, jakby na świecie nie było rzeczy, którą mógłby robić. Odkąd zginęła mu ukochana Biblia, nie chce spojrzeć na żadną książkę, a ja, która zaraz nazajutrz pożałowałam, dzwoniłam do hotelu, błagałam, żeby odszukali i odesłali mi cenną pamiątkę, patrzę ze skrucą i żalem na pustą szafkę nocną, że też ją ktoś ukradł, komu była potrzebna stara, zniszczona Biblia, spomiędzy kart której wysypują się ziarenka piasku. Natychmiast kupiłam mu nową, ale wepchnął ją do szuflady bez otwierania, jakby jego ulubione historie można było znaleźć wyłącznie w tamtym starym wydaniu, z innymi książkami, które mu czasem kupuję, robi to samo, nie tyka ich nawet,

cały czas leży z otwartymi oczami, w nocy też, lampka się pali, rozgrzewa powietrze nad nim, jak światełka w mieście umarłych, które tylko podkreślają ciemności.

Co noc, kiedy położę Noę, rozkładam kanapę w salonie, ścielę ją, układam się do snu jak gość, z daleka od sypialni, w której mieszka ze swoją chorobą, i w nocnym morzu samotności znajduję ukojenie, dobrze jest spać samej, nie liczyć się z nim, nie czekać, aż lampka zgaśnie, być sobie panią w tym pokoju, rozżarzonej, nawet gdy słońce nie świeci, czuję, jak dwie części kanapy wysysają między siebie moje plecy, zwijam się w zagłębieniu i zasypiam, dopiero nad ranem budzę się z przerażeniem: co stało się z moim życiem, wstrząsam się na wspomnienie Udiego, jakbym wyczytała szokującą wiadomość w gazecie, co on robi przez cały dzień, o czym myśli, czego chce, co planuje, co może zrobić, ale kiedy do niego wchodzę i widzę ponurą twarz, wdycham odstręczający zapach, odpowiadam sobie równie agresywnie jak on, nic, nic nie robi, o niczym nie myśli, nic nie chce, potem wstrząsam się na myśl o sobie, co ze mną będzie, jaki los mnie czeka, jestem w sytuacji słomianej wdowy, której mąż przepadł bez wieści, wiążąc ją na resztę życia, usiłuję się zorientować, co zostało z mojej miłości, niewiele ode mnie młodszej, co zostało z tego, co wspólnie robiliśmy, czego się uczyliśmy, co zgromadziliśmy przez te wszystkie lata, i znowu powraca echem jedno słowo, nic, nic nie zostało.

Bo każdemu uczuciu przeciwstawia się inne uczucie, które znosi je, temu z kolei staje na drodze następne i miłość tęchnie jak stojąca woda, rojące się od komarów smrodliwe bagnisko, przyciąganie, przebłyaskujące czasem jak słodki okruszek pamięci, cofa się wobec siły wstrętu, kiedy widzę go w brudnej pościeli, niezmienną od miesięcy, współczuciu

i litości przeciwstawia się niechęć i gniew, jakim prawem rujnuje nam życie, nawet pytanie, które tak mnie dręczyło na początku, co oznacza jego choroba, czy naprawdę coś z jego ciałem jest nie w porządku, czy też tylko udaje, nawet to jest mi już obojętne, tak czy owak, jestem zupełnie bezradna, nie mogę zrobić nic więcej, mogę jedynie patrzeć, jak lato przyspiesza w swym okrucieństwie, wbija mi żółte szpony w oczy, plami skórę przebarwieniami, które zostaną na zawsze, aż krew gotuje się we mnie i bucha para, nieznana mi prawie para zazdrości i nienawiści.

Zazdroszczę teraz niemal wszystkim, krążę po supermarkecie jak lunatyczka, mówię do siebie wśród półek, wydaje mi się, że każda kobieta, która mnie mija, jest szczęśliwa, proszę, napełnia wózek puszkami piwa, co znaczy, że w ten gorący wieczór siądzie z mężem na balkonie i będzie je popijać, też tak kiedyś robiliśmy, rok po roku, każdego lata, czasem leżeliśmy na kanapie, gapiąc się na beznadziejne filmidło w telewizji, dziś będzie świetny film, obwieszczał z entuzjazmem, ale już po półgodzinie przysypiał i tylko ja oglądałam dalej, wierna postaciom, które oferowały mi swoje życie, a kiedy film się kończył, on budził się z przepraszającym uśmiechem, nalewał nam kolejne piwo, głaszcząc mnie po obnażonych udach. Posuwam się nawet do tego, że zazdroszczę dziewczynom z naszego ośrodka, dzieciom prawie, o zdeformowanym ciele i życiu, w którego samym środku pojawiła się niewielka narośl, groźna jak nowotwór. Nagle moje serce obrasta twardą skorupą i przyglądam się im obojętnie, to prawda, że teraz jest im ciężko, ale za kilka tygodni ich problem się rozwiąże, niemowlę, które noszą w brzuchu, urodzi się, zostanie oddane adopcyjnym rodzicom, którzy czekają na nie całe lata, i wszystko wróci do

normy. To prawda, że będą drżały na widok każdego dziecka na ulicy, to prawda, że nawet jeżeli wyjdą za mąż i założą rodzinę, zawsze będzie je prześladować utracone niemowlę, będzie je budzić w nocy swoim milczeniem, zsuwając się z wielkich zjeżdżalni między niebem a ziemią, jednak one mogą wybierać, świat wciąż stoi przed nimi otworem, a przede mną już nie.

Czasem Chawa przypatruje mi się badawczo na naszych zebraniach, obawiam się, że odgaduje moje myśli, herezje zakazane w naszym zawodzie, bo zawsze mówiłyśmy sobie z Anat, że patrząc na to całe cierpienie, zapomina się o osobistych problemach, aż tu nagle dzieje się ze mną coś odwrotnego, moje kłopoty przyćmiewają wszystkie tragedie, którymi powinnam się zająć najlepiej, jak potrafię, ale nie mam do tego cierpliwości. Męczą mnie znane na pamięć rozmowy, pomaganie dziewczynom w analizie sytuacji, przedstawianie w kółko tej drugiej opcji, wyjaśnianie konsekwencji decyzji, odwiedziny w szpitalu, gdzie leżą oszołomione i wyczerpane porodem, ciągłe roztrząsanie tej samej kwestii, oddać dziecko czy je wychować. Niespodziewanie znudziło mi się nieustanne dawanie, Chawa to chyba wyczuła wyostrozonymi zmysłami, dlatego spogląda na mnie podejrzliwie, jest dla mnie jasne, że zbiera się, żeby mnie zwolnić, i patrzę na nią zmartwiona, tylko tego mi brakowało, Udi już od tygodni nie pracuje, mojej pensji ledwo wystarcza, zanim cokolwiek kupię, długo się zastanawiam, w supermarkecie stoję przed kasjerką jak przed sędzią, który ma wydać na mnie wyrok, co będzie, jak mnie wyrzucą, z czego będziemy żyli. Kiedy przechodzę korytarzem obok jej zamkniętych drzwi, jestem pewna, że właśnie rozmawia z kandydatką na moje miejsce, więc kręcę się nerwowo pod

jej pokojem, pukam i wchodzę pod jakimś dziwacznym pretekstem, co tylko pogłębia jej podejrzenia i moje lęki.

Nawet do Noi brakuje mi cierpliwości, mam dość psiej nadziei w jej oczach, kiedy wraca ze szkoły, będącej lustrzanym odbiciem mojej własnej nadziei, ona cała jest odzwierciedleniem mojej męki, biegnie do niego i natychmiast wypada z sypialni załamana, pyta zmęczonym głosem, co jest do jedzenia, już nie nudzi, kiedy tata wyzdrowieje, kiedy weźmie mnie na wycieczkę, po jedzeniu zamyka się w swoim pokoju i gapi w stary telewizor, którego czerwona poświata zabarwia twarze sztucznym, odpychającym rumieńcem. Dlaczego nie zapraszasz koleżanek, pytam ją, ona bąka, nie chcę przeszkadzać tacie, ale wiem, że nie to jest przyczyną, już kilka miesięcy wcześniej urwały się ich wizyty. Pójdź do nich sama, kiedyś częściej wychodziłaś, co z Szirą, co z Meiraw, odwiedź je, nie możesz cały czas tkwić w domu przed telewizorem, napominam ją szorstko, ona szepcze, ale może będę potrzebna tacie, nie chce mi powiedzieć prawdy, ja też nie chcę usłyszeć, że nie ma już koleżanek, że jej świat opustoszał. Mam dość troszczenia się o nią, niech wszystko się wreszcie ułoży, przynajmniej u niej, niech do niej dzwonią, zapraszają do kina i na kinderbale, nie dalej jak wczoraj widziałam Meiraw i Szirę, jadły lody w budce, obie rozbrajone, smukłe, w koszulkach do pępka i króciutkich szorcikach, tylko moja mała jest jakaś dzika, nie dba o siebie, chodzi w wielkich koszulach Udiego, a w oczach ma udrękę, przyglądam jej się z niechęcią, czemu jesteś dla mnie takim ciężarem, nie możesz udawać, że u ciebie wszystko w porządku, jak mam załatać tyle dziur jednocześnie, rąk mi na to nie starczy, może po prostu skłam, że gdzieś idziesz, pozwól mi się rozsypać, bo nie mam już siły udawać przy tobie,

i zaraz się wstydzę tych myśli, przytulam ją i mówię, że jest moją kochaną córeczką, a ona, zrażona fałszem, wierci się niespokojnie w moich objęciach.

Czasami wyłącza telewizor i wychodzi, boję się wtedy, że coś jej się stanie po drodze, jak przejdzie przez ulicę z tym nieobecny wzrokiem, próbuję ją przekonać, żeby została w domu, zjedzmy jeszcze po lodzie, kuszę, a ona odpowiada, może potem, wyglądam przez okno w nadziei, że zniknie w drzwiach naprzeciwko, u Meiraw, która była kiedyś jej najlepszą przyjaciółką, ale mija je i idzie dalej, wtedy pozwalam sobie na załamania, rzucam się na jej łóżko i płaczę w poduszkę, potem biegnę umyć twarz i zaczynam czekać, wiem, że nie poszła do żadnej koleżanki, tylko do mojej matki, która mieszka niedaleko, tylko z nią swobodnie rozmawia, tylko jej opowiada o swoich problemach w klasie, ja zbywam matkę od wielu tygodni, nie teraz, mam, nic nie mów, nie chcę słyszeć o niczym. Wraca wieczorem, wydaje się, że lżej jej na duszy, nie wytrzymuję i pytam z nieskrywaną nadzieją, byłaś u Meiraw, nie, odpowiada cierpko, u babci, po czym w rewanżu pyta z nadzieją, co z tatą, a ja odpowiadam równie cierpko, nic nowego, jak twoje lekcje, i zaczyna się zwykły rytuał poszukiwania zeszytów i dzienniczka, cała zawartość tornistra jest już wysypana na dywan, stare gumy do żucia lepią się do podręczników jak ślimaki, patrzę na nią z rozpaczą, nie wiem, od czego zacząć, znów nie zanotowała, co było zadane do domu, zapomniała albo nie zdążyła przepisać z tablicy, nauczycielka zawsze ściera, zanim ona przepisze, trzeba ci zbadać wzrok, mówię, a ona mało nie płacze, nie chcę okularów, wszyscy będą się ze mnie śmiali.

Czasem zostaje na noc u mojej matki, kładę się wtedy spać w jej wąskim panińskim łóżku, tam śpi mi się najlepiej, i w pierwszej chwili dnia, nim wiadomo, czy jest zimno, czy ciepło, dobrze czy źle, roi mi się, że jestem dzieckiem, budzę się w domu rodziców, jeszcze przed ich rozводом, zaraz wejdzie ojciec i powie mi, jak jest na dworze, czy włożyć sweter, czy płaszcz, wyleguję się nieco dłużej niż zwykle, nie muszę wypychać Noi na scenę dnia: niech wreszcie wstanie, ubierze się i uczesze, piję kawę powoli, biorę spokojnie prysznic, owijam się ręcznikiem i wchodzę do sypialni po ubranie, zostały tam już tylko moje ubrania, wspomnienie po poprzednim życiu, i on, skamielina z czasów Stworzenia, leżący jak zawsze na plecach z szeroko otwartymi oczami.

Pewnego razu wchodzę do niego do łóżka, prosto spod prysznica, letni, zaskakująco chłodny poranek przyjemnie mnie ożywia, nasze sprawy wydają się nagle prostsze, właściwie wszystko jest w moich rękach, potrząsam wyschniętym ciałem, chcę tchnąć w nie życie, śmieję się, płaczę i błagam, wyjdź z tego wreszcie, Udiczku, wyzdrowiej, chodź, pokochajmy się, potem wypijmy kawę na balkonie, zjedzmy śniadanie, Udi, to wszystko jest w naszych rękach, mam wrażenie, że zaczyna się budzić dla mnie, obejmuje mnie zwiotczalnymi ramionami, całuję zapadłe policzki, głaszczę ostrożnie członek, zdumiona odkryciem, że jeszcze istnieje, już myślałam, że zgnił i odpadł, jak pomarańcze na podwórku, ściągam kołdrę, sadowię się na nim tak, jak lubił, przyciskam się do sztywnych bioder, ale członek topnieje pod mną, więdnąc między moimi udami, nigdy nam się to nie zdarzało, nie szkodzi, Udi, szepczę, może następnym razem, nic się nie stało, a jednak czuję, że jego ciało skowycze pode

mną, wzywając pomocy, i złościć się na siebie, po co było próbować, po co się było narzucać, sprawiłam, że obnażyła się jego słabość, przecież wszelkie próby pomocy pogarszają jedynie sytuację, tylko to, co wyjdzie od niego, może nas uratować, jeżeli coś takiego w ogóle nastąpi.

On nie reaguje, jakby się nie zorientował, co się stało, ale kiedy wracam do domu w południe, woła gniewnie, Na'ama, chodź tutaj, więc biegnę do niego, nareszcie jakaś oznaka życia, on pyta, gdzie byłaś, jego głos jest matowy, jak u głuchych, co znaczy gdzie, odpowiadam, byłam w pracy, on na to, ale już wpół do trzeciej, więc mówię, zaszłam do sklepu, zrobiłam małe zakupy. Gdzie te zakupy, rzuca się, ja się bronię, niedługo dotrą, zamówiłam dostawę do domu, on wrzeszczy ochryple, aż żyły mu nabrzmiewają na szyi, nie wierzę ci, ty dziwko, poszłaś się pieprzyć, poszłaś po chuja, którego ci nie mogłem dać, patrzę na niego oniemiała, jak mam mu udowodnić, że nie ma racji. Zupełnie zwariowałeś, bąkam, cały dzień byłam w ośrodku, pieprzenie się to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, ale on krzyczy, kłamiesz, widziałem, jak się na mnie rzucałaś rano, masz gdzieś, że przez to choruję, bylebyś tylko dostała swojego chuja, ja słucham z przerażeniem, staram się go uspokoić, Udi, co ci się stało, chciałam spać z tobą, bo cię kocham, bo jesteśmy mężem i żoną, wiesz przecież, że nie pociąga mnie przygodny seks, nigdy mnie nie pociągał, on warczy, zmieniłaś się, zrozumiałem to tam, w hotelu, i dlatego zachorowałem, słyszysz, rozchorowałem się, bo zobaczyłem, że interesuje cię tylko jedno, chcesz się pieprzyć, nieważne z kim, chętnie byś to zrobiła nawet z dostawcą z supermarketu, jeśli w ogóle tam byłaś.



Wpatruję się w niego osłupiała, pot z wściekłości zalewa mi czoło, szczypie w oczy, szczękam zębami z urazy, wierzę mi, Udi, chcę tylko, żebyś wyzdrowiał, żebyśmy znów żyli jak dawniej, nic więcej, on przez moment przygląda mi się zaskoczony, jakby rozważał moje słowa, i zaraz wybucha, nieprawda, chcesz się mnie pozbyć z domu, dlatego mnie ciągle wysyłasz do lekarzy, obiecali ci, że mnie zamkną w szpitalu, a ty tylko na to czekasz, żeby sobie sprowadzić innego, który cię będzie pieprzył co noc, z płaczem wychodzę z pokoju, rzucam się na kanapę w salonie, łzy mieszają się z potem, tworząc żrący, cuchnący roztwór, i właśnie w tym momencie pojawia się dostawca, uśmiechnięty chłopak, który znika, nim zdążę sięgnąć do portfela, nie mając nawet pojęcia, o co był podejrzewany, a Udi krzyczy z łóżka, zrób mi coś do jedzenia, jeśli jeszcze w ogóle pamiętasz, co lubię.

Może jednak wraca do siebie, skoro ma apetyt, próbuję się pocieszać, postanawiam mu zrobić spaghetti z kuleczkami z mięsa, dwie godziny stoję przy kuchni, a kiedy kończę gotować, podchodzę do niego, zjesz w łóżku czy przyjdiesz do stołu? On patrzy na mnie z pogardą, nie wynagrodzisz mi swoich zdrad obiadkami, wolę umrzeć z głodu, wychodzę z pokoju bez słowa, ręce rwą się, żeby go uderzyć, zacisnąć się na jego szyi, rozszarpać go na strzępy, chwytam garnek, jem parujące danie bez widelca, ręce czerwienieją od sosu ze świeżych pomidorów, poparzone usta palą, łykam bez przeżuwania, nie czując smaku, aż dochodzę do dna naczynia, skrobię je piekącymi palcami, pod paznokciami zbierają się resztki tłustego, czerwonego mięsa, i wtedy dociera do mnie, że zjadłam wszystko, nic nie zostawiłam dla Noi, chociaż to jej ulubiona potrawa, jak mogłam jej to

zrobić, słaniając się, idę do ubikacji i klękam przed sedesem, nie mogę utrzymać w żołądku takich ilości jedzenia, wypycham dwa palce do gardła, wierzę, że się oczyszczę, kiedy to z siebie wyrzucę, ale nic z tego nie wychodzi, kuleczki mięsa przyłgnęły mi do brzucha jak niechciane płody, wypycham palce coraz głębiej, aż podrapane gardło zaczyna krwawić, co ja zrobiłam, co zrobiłam, czerwona fontanna spływa do sedesu, wstaję i myję twarz, ledwo poznaję ten brudny pysk, to nie ja, co on ze mnie zrobił, zamienił mnie w zwierzę, w zranioną niedźwiedzicę.

Tak dłużej być nie może, nie wejdę więcej do sypialni, przysięgam sobie, przeniosę swoje rzeczy do salonu i na tym koniec, nie mam tam czego szukać, niech się sam o siebie troszczy, niech nienawidzi siebie zamiast mnie. Wieczorem wychodzi z pokoju, chwytając się ścian, wychudły i drżący, znów nic nie widzę, mówi, gdzie jesteś? Źle się czuję, Udi, nie mogę ci pomóc, odpowiadam szeptem, a on skrzeczy ochryple, tak szybko się poddajesz, są żony, które latami opiekują się swoimi mężami, ale ty załamujesz się po miesiącu, nagle ty też się źle czujesz, chcesz ze mną rywalizować po tym, jak zachorowałem przez ciebie, nie odpowiadam, popadam w otępienie, ledwo dochodzą do mnie jego słowa, niewyraźne sylaby, roztrzaskujące się o podłogę w całym domu, byleby nie nadepnąć na odłamki bosymi stopami, on też się stopniowo uspokaja, wybuch ucicha, jak przedśmiertne podrygiwania kota potrąconego przez samochód, który robi jeszcze kilka podskoków, ale właściwie jest już martwy, tak jak ja, pogrzebana wraz z nim, na nic nie czekam, i tylko lęk przeszywa mnie jeszcze czasem jak odstręczający prąd życia, co będzie, jeśli mnie zwolnią albo jeżeli coś złego stanie się Noi.

Powoli, niemal niepostrzeżenie, wizje jego śmierci zastępują zapomniane wizje wyzdrowienia, budzę się nad ranem, podchodzę na palcach i stoję pod zamkniętymi drzwiami, wyobrażając sobie wychudłe ciało, zastygłe jak wypchane zwierzę, promieniejące niebiańskim blaskiem, nakazujące mi żyć, i ogarnia mnie najczystszy żal, wolny od złości, niemal przyjemny, taki, jaki towarzyszy początkom młodzieńczej miłości, uczucie ulgi walczy z bólem straty, tak łatwo jest go kochać po śmierci, i wyobrażam sobie, jak po odbyciu żałoby wybiorę się do małego mieszkanka na poddaszu, pokonam schody, stanę przed szeregiem moich namalowanych twarzy, bez słowa zdejmę ubranie, własna barwna nagość wznieci we mnie burzę podniecenia, i tam, na fotelu, zostaną unieważnione wszystkie śluby, definitywnie stracą moc, przestaną mnie wiązać, a nawet istnieć, zacisnę uda wokół jego bioder, włosy na jego karku będą mi się okręcać na palcach jak srebrne pierścionki.

Otwieram drzwi z lekkim zgrzytem, nasze małżeńskie łóżce jest prawie puste, on leży na krawędzi, jakby go ktoś wykopał, z jedną nogą wiszącą w powietrzu, na jego nocnej twarzy rysuje się udręka, wydaje się tak opuszczony, uwięziony w swojej chorobie jak bezbronne dziecko, nagle mruga oczami i przy gorzkim świetle księżyca dostrzegam cień uśmiechu, Na'ama, wybacz mi, szepcze, nie rozumiem, co się ze mną dzieje, nie wiem, co robić, potrzebuję pomocy, ja kładę się przy nim, głaszczę jasne włosy na jego piersi, chciałabym móc ci pomóc, Udiczku, gdybyśmy tylko byli razem, dalibyśmy radę chorobie, ale ona nas skłóca, sprawia, że ty nienawidzisz mnie, a ja ciebie. Wiem, odpowiada, byłoby dla ciebie lepiej, gdybym umarł, ja nawet się nie trudzę, żeby zaprzeczyć, i tak sen zaraz uniesie słowa szeptane

o świecie i sama nie będę wiedziała, czy padły rzeczywiście, kiedy rano zmęczona i zatroskana będę zbiegać do samochodu i powita mnie czysty dźwięk dzwoneczków, jakby stado owiec pasło się wśród domów, a wtedy zauważę córkę sąsiadów idącą z pełnymi siatkami w moją stronę, tę, która była w Indiach i nosi dzwoneczki na kostkach, we włosach i na przegubach dłoni, poczuję nieokreślone pragnienie, popatrzę na nią i przypomnę sobie, przepraszam, nie wspomniałaś kiedyś, że znasz hinduską lekarkę, którą mogłabyś mi polecić? Ona się roześmieje, nie hinduską, tylko tybetańską, ja powiem, nieważne, w każdym razie jest dobra, a ona, dobra to mało, jest fantastyczna, umarłego potrafiłaby wskrzesić, ja się ożywię, daj mi jej telefon, przekonajmy się, ona zapyta, chodzi o pani męża, faktycznie dawno go nie widziałam na dworze, ja potwierdzę, tak, nie może wyzdrowieć, myślisz, że zdoła mu pomóc? Pewnie, powie, wyciągnie go z tego, tylko niech pani uważa, ja zapytam zdziwiona, na co mam uważać, na nią? Nie, odpowie, nie na nią, po prostu niech pani będzie ostrożna, bo na Wschodzie mówią, że niebezpiecznie jest położyć kres cierpieniu.

## Rozdział dziesiąty

Kiedy otwieram jej drzwi, wygląda, jakby przyszła prosić o wsparcie, mam przed sobą młodą, szczupłą dziewczynę o śniadej, głodnej twarzy, z wielkim koszem w ręku, już sięgam do portfela, kiedy mówi, jestem Zohara, w tym momencie kosz zaczyna kwilić, ona wyciąga z niego maleńką córeczkę i zaczyna ją karmić na stojąco, podtrzymując pewnie drobną ręką. Głośne pomruki wydobywają się z gardziółka zadowolonego niemowlęcia, że też tyle mleka może się pomieścić w tej wysuszonej piersi, przyglądam się jej zdziwiona i rozczarowana, ona ma nas uratować? Wydaje się, że sama potrzebuje pomocy, zupełnie jak dziewczyny, które trafiają do naszego ośrodka, też jest młoda i zagubiona, przygnieciona zbyt ciężkim koszem, szkoda zachodu, a z takim trudem przekonałam Udiego, żeby się zgodził z nią spotkać, godzinami mu perswadowałam, nie masz nic do stracenia, co ci szkodzi spróbować. Nie mam też nic do zyskania, burczał, nie dla mnie te pogańskie sztuczki, ja oburzałam się, to stara medycyna naturalna, co ci szkodzi, daj jej szansę, i teraz wprowadzę mu do pokoju tę czarnulę, przecież w jednej sekundzie ją wyrzuci i nikogo innego już nie wpuści, liczę z niechęcią jej kroki, chodzi sobie spokojnie

po salonie, bezszelestnie krąży wśród foteli, aż dziecko zasypia jej na ramieniu, odkłada je do kosza i z zaskakującą władczością pyta, to w czym problem?

Problem jest tam, wskazuję na zamknięte drzwi sypialni, mąż od kilku tygodni nie wstaje, i streszczam jej niechętnie całą historię choroby, szkoda zachodu, jest dla mnie jasne, że nie będzie mi mogła pomóc, ale słucha z najgłębszą powagą, kiwa głową, nie spuszczaając oka z mojej twarzy, wreszcie mówi, zajrzę do niego, zostawia zawiniątko na dywanie, jak Mojżesza w sitowiu, i bez cienia obawy kieruje się do drzwi, które natychmiast się za nią zamykają. Siadam nad śpiącym maleństwem na podłodze, patrzę na jasną, tłusciutką buźkę, kompletnie różną od twarzy matki, nachylam się nad nią ciekawie, od dawna nie przyglądałam się niemowlęciu z bliska. Więc tak wyglądają naprawdę, szepczę podekscytowana jak szpieg, któremu udało się przeniknąć do obozu wroga, bo chociaż bezustannie powtarzam dziewczynom z naszego ośrodka, że chodzi o żywą istotę, złożoną z samych potrzeb, będącą właściwie jedną wielką potrzebą, najwyraźniej niepostrzeżenie zaczęłam, podobnie jak one, uważać maleńkie istotki w ich brzuchach za twór abstrakcyjny, nadnaturalny, chwilami za potwora, chwilami za mesjasza, pięść z nieba, roztrzaskującą ich młodość w kawałki. Biorę małą ostrożnie na ręce, nie do wiary, jaka jest lekka, cienka niteczka szyi wiąże główkę z drobnutkiem, nic nieważącym ciałkiem, jakby wciąż jeszcze była tylko zwinny plemnik, wacham ją, szukam słynnego kojącego zapachu niemowlaków, ale zamiast niego wyczuwam słonawą, głęboką woń intymności, która odstręcza mnie jak wyziewy własnego ciała. Jak to możliwe, zdumiewam się, nie zdążyła jej nawet umyć po wstydlivej drodze przebytej podczas narodzin, i znów budzi

się we mnie niechęć do młodej matki, jak chce leczyć Udiego, skoro własnego dziecka nie raczyła umyć po porodzie.

Szybko odkładam maleństwo do plecionego kosza, zanim mi się rozsypie w palcach, na szczęście śpi dalej smacznie, jakby nie opuściło jeszcze łona, wychodzę na balkon, nie ma nawet wielkiego upału, przyjazne chmury powściągają słońce, wydaje się, że lato wystraszyło się swojej potęgi i odpuściło trochę, wyglądam niespokojnie na naszą uliczkę, więdnący bez chiński kiwa do mnie przepraszająco, uśmiecham się do niego, w porządku, też nie mogę mu wiele zaoferować. Ledwie kilka tygodni temu wirowały nad nim gwiazdeczki kwiatów, pokrywały wierzchołek liliowym, pachnącym haftem, teraz zniknęły bez śladu, został sam, upokorzony i żółknący, wystawiony na promienie słońca, które wygania mnie z dworu, mijam na palcach zamknięte drzwi, panuje za nimi dziwna cisza, jakby oboje zasnęli, złość we mnie kracze, przecież tam jest mój Udi, mój mąż, kiedyś wypisywałam mu swoje imię na płatkach uszu, jakim prawem się z nim zamyka, a mnie zostawia na zewnątrz, żebym jej pilnowała dzieciaka. Nagle dusi mnie kaszel, jakbym się nałykała dymu żenującej zazdrości, która płonie w moim sercu, muszę przerwać tę schadzkę, i jest tylko jeden sposób, więc wracam do salonu i potrząsam koszem, aż czerwona buźka rozdziawia się i wydaje pełen wyrzutu głosik, znów biegnę do pokoju, otwieram drzwi bez pukania i widzę ją na brzegu łóżka, aksamitną bransoletą palców otacza jego nadgarstek, on siedzi wyprostowany, ze skrzyżowanymi nogami, jego ręce zdobia maleńkie igiełki, istny jeź, a na czubku głowy, w miejscu, gdzie przerzedzają się włosy, tli się spokojnie wonna laseczka kadzidła, jak mały promyk.

Puszcza rękę Udiego i szybko wychodzi z sypialni, dając znak, żebym szła za nią, wypełniam jej polecenie z gniewem,

to mój mąż, mój dom, z jakiej racji mi mówi, co mam robić, idę za nią ze wstydem do kosza, który zamilkł tymczasem, mała płakała, bąkam za jej plecami, myślałam, że jest głodna, dlaczego się krępuję takiej młodej dziewczyny, i to jeszcze we własnym mieszkaniu, pytam ją niecierpliwie, no, w jakim on jest stanie, kiedy wreszcie będzie zdrowy, a ona uśmiecha się ze spokojem, mam nadzieję, że nie w najbliższym czasie. Co powiedziałaś? Patrzę na nią kompletnie zaskoczona, ona powtarza, mam nadzieję, że nieprędko opuści go choroba, i jeśli ci na nim zależy, też powinnaś mu tego życzyć, więc pytam, prawie krzycząc, dlaczego? To, co mówisz, brzmi jak jakiś obłąd, ona, nieporuszona, wyjaśnia, akcentując każde słowo, choroba to szansa, Na'ama, twój mąż nawet nie przeczuwa, jaka szansa została mu dana, nie wolno mu nie wykorzystać tej choroby, bo minie dużo czasu, nim znów trafi mu się taka okazja. Gapię się na nią oszłomiona, nic nie rozumiem z jej przemowy, jakim prawem stawia wszystko na głowie, odkąd to choroba jest dobra, a wyzdrowienie złe, przyglądam się kanciastej twarzy, wysuniętej do przodu brodzie, nagle wydaje mi się jakimś monstrum, po co ją w ogóle wpuściłam do domu, i błagam ją, jakby to zależało od niej, posłuchaj, Zohara, ta dziwna choroba rujnuje nam życie, nie wytrzymamy dłużej, nasza córka wpadła w depresję, ja jestem u kresu sił, nie radzę sobie w pracy, po prostu tak być nie może, głos mi się załamuje, wstyd mi, że tak biadolę przy tej obcej dziewczynie, ale ona słucha z powagą, poruszając ustami, jakby przykładała do słów miarę swojego języka, wreszcie mówi stanowczo, wcale nie musisz tego dłużej znosić, wystarczy, że zmienisz podejście, dla ciebie i twojej córki też jest tu szansa na rozwój, was też jego choroba może zainspirować i pomóc uwolnić się od



cierpień. O czym ty mówisz, wybucham, gdzie widzisz inspirację w człowieku, który po całych dniach gnije w łóżku, nieustannie nas o coś oskarża i narzeka, ona patrzy na mnie z wyższością i odpowiada, zrozum, zbyt mocno się siebie trzymacie, aby wyciągnąć korzyść z tej sytuacji, musicie puścić, dać sobie wolność, wyobraź sobie dwie grudki ziemi kruszone w zaciśniętej pięści, co z nich zostanie, ja irytuję się, prawie z sobą nie rozmawiamy, ty to nazywasz trzymaniem? A ona mówi, pewnie, zobacz, jak ciężko to znosisz, to twój wybór, taka reakcja. Co znaczy ciężko znoszę, pytam, rozdarta między lekceważeniem a zachwytem, każda kobieta by podobnie reagowała na takie zachowanie, ona kołysze dziecko i rzuca, jesteś pewna? Jej proste pytanie budzi we mnie wątpliwości, tak mi się przynajmniej zdaje, mówię, jak ty byś reagowała, mając coś takiego w domu, skakałabyś z radości?

Nie, nie skakałabym, odpowiada, ale można normalnie funkcjonować, zamiast się załamywać, akceptować to, co się zdarza, bez złości, bez obwiniania, wierzyć, że wszelkie trudności pojawiają się, żeby nas wzmacniać, ja bąkam, to nie-ludzkie, jak można się nie złościć, kiedy całe życie się gmatwa, ona mówi, Tybetańczycy wierzą, że ten, kto nas rani, jest naszym najlepszym nauczycielem, patrzy z wyrzutem na małą, jakby kierowała te słowa do niej, a nie do mnie, i dodaje z entuzjazmem, czasem kurczowo trzymamy się fatalnych przyzwyczajzeń i kiedy przychodzi zmiana, drżymy ze strachu, nie rozumiejąc, że jest naszą jedyną szansą, ale ja oponuję, to tylko pusty frazes, bywają zmiany na gorsze i na lepsze, zależnie od okoliczności, nie przekonasz mnie, że każda zła rzecz jest w zasadzie dobra.

Ale czym są okoliczności, Na'ama, mówi w podnieceniu, jakby tylko czekała, aż wyniknie ta kwestia, jak długo chcesz pozwalać, żeby tobą rządziły, być ich niewolnikiem, dziś jesteś szczęśliwa, bo wszystko jest w porządku, jutro będziesz płakała, bo coś się popłacz, szczęście stanie się odległym wspomnieniem, gdzie w takim razie nasza prawdziwa natura, nasza istota, jak można żyć, kiedy wszystko się zmienia z chwili na chwilę, jak światło. To co mi radzisz, pytam, ona odpowiada prędko, spróbuj odnaleźć w sobie to, co niezmiennie, niezależne od okoliczności, czerp siłę z tego źródła, nie możesz być niewolnicą złudnej rzeczywistości, musisz się oprzeć na trwałym fundamencie, ja pytam, czy w ogóle jest coś trwałego we mnie, bo nie wydaje mi się, ona szeroko otwiera oczy, pewnie, że jest, twoje prawdziwe jestestwo, podstawowa natura, oświecona i doskonała, a ja szepczę z zaskoczeniem, poważnie? A jak do niej dotrzeć?

Wyjaśnię ci następnym razem, uśmiecha się, ja już się cieszę, że będzie następny raz, że jeszcze nas nie opuszcza po tych wszystkich zadziwiających nowinach, że oferuje mi coś, na co mogę czekać, pytam z zadowoleniem, ile ci płacę, na razie nic, odpowiada, zobaczymy pod koniec, a ja się zastanawiam, jaki to będzie koniec, bo sprawia wrażenie, jakby zamierzała na dobre zadomowić się w naszym życiu. Koniec choroby? mówię z nieskrywaną nadzieją, ona poprawia mnie, koniec procesu, jakby najważniejsza tu była precyzja językowa, potem wraca do niego z małą na rękach, z góry rezygnując ze mnie jako niańki, po kilku minutach wychodzi i wzdycha z ulgą, jak położna po ciężkim porodzie. Przyjdę jutro o świcie, informuje mnie, chcę was wszystkich zbadać, więc pytam, po raz kolejny zaskoczona, o świcie, czyli o wschodzie słońca, czy po prostu wcześniej rano? O wscho-

dzie słońca, odpowiada, o tej porze energie w głównym kanale ciała są najsilniejsze. Która to będzie godzina, dopytuje się, a ona wzrusza ramionami i mówi, nie mam pojęcia, pokazując mi przy tym szczupły nadgarstek bez zegarka, jakby go jeszcze nie wynaleziono, po prostu czuję, kiedy wstaje słońce, słucham jej zawstydzona, w jednej chwili stałam się gruboskórną przedstawicielką postępu, w której natura wzbudza lęk i poczucie bezradności.

Ehud wie, kiedy będzie świt, obudzi cię, no i proszę, już się zdążyli umówić, świetnie się rozumieją, Zohara wkłada ostrożnie córeczkę do kosza, ja nie wytrzymuję, ile ona ma tygodni? Dokładnie trzydzieści dni, odpowiada z dumą, zdziwiona odnotowuję, że liczy czas w dniach, jakby mówiła o okresie żałoby. Tak szybko wróciłaś do pracy, pytam z ukrytą naganą w głosie, nie całkiem, odpowiada, odsyłam większość klientów, ale kiedy ty zadzwoniłaś, nie mogłam ci odmówić. Upewniam się, zmieszana, czyli że tylko nim się teraz opiekujesz? Ona potwierdza, tak, tylko. Idę za nią do drzwi z uczuciem nieokreślonej udręki, nie zauważa tego, ze schodów posyła mi uśmiech pełen dobrych intencji, powinnaś się dobrze wyspać przed badaniem, to bardzo ważne, zjedz lekką kolację, unikaj wszelkich napięć, przynajmniej dziś w nocy spróbuj sobie odpuścić, nie staraj się za wszelką cenę trzymać czegoś, czego się nie da uchwycić.

Natychmiast idę do sypialni, powtarzam w duchu jej zalecenia, odpuścić sobie, puścić, on też chyba odmawia jakieś swoje mantry, też wydaje się spokojniejszy, pytam go, jak się czujesz, a on odpowiada po prostu: ulżyło mi. Co ci robiła, wpytuję, on mówi, nie wiem dokładnie, mierzyła puls w całym ciele, badała język, wbijała igły, przykładała jakieś magnesy, maca się po czubku głowy, to kadzidło było bardzo

przyjemne, pomogło mi się odprężyć, i myślę o swoich daremnych próbach pomocy, żałosnych, podszytych lękiem, wszystkie spełzły na niczym, i nagle ta przyszła, rozpałała nieczysty ogień, a on się odprężył, i pytam z przekąsem, co jeszcze, wspominała o podstawowej naturze? Nie, odpowiada, głównie zadawała pytania, sama niewiele mówiła, widzę, że nie ma ochoty opowiadać ze szczegółami, siadam w milczeniu na brzegu łóżka, w miejscu, gdzie ona siedziała, mam wrażenie, że coś się zmieniło w tym pokoju, że ścian unosi się słodkawy zapach, wypiera woń zaniedbania, nawet jego wyschnięte ciało pachnie teraz przyjemnie kadzidłami, jakby całe było cienką trociczką, tłącą się spokojnie.

Zbudź mnie o świcie, proszę go w nocy, ale na wszelki wypadek nastawiam jeszcze budzik, mam przed oczami jej rękę, pokazała mi ją z taką dumą, jakbym to ja, nie ona, była prymitywna, rozkładam kanapę w salonie, znów motyl się usmażył na halogenowej żarówce, ołtarzu okrutnego bóstwa, które co wieczór żąda nowej ofiary, dołączył do szeregu dawniejszych truchła, aż pokój wypełnił się swadem palonego mięsa. Żaden wiatr nie nadchodzi, żeby wywiać ten zapach, wciąż się nade mną unosi, kiedy zasypiam, okrywa mnie kołdrą złych myśli, wiję się pod nią i wiercę, dzwoni budzik, okazuje się, że już piąta, warczę na niego nienawistnie, ale zaraz żegnam się z łóżkiem, jak grzeczna uczennica, wstaję na pierwszą lekcję. Chociaż w głębi domu ciemność wydaje się jeszcze absolutna, na balkonie wita mnie chłodny błękit, siadam z kawą na krześle, kto by uwierzył, że tak się zaczyna chamsin, te parne, pochmurne dni są jak noworodki, przychodzą na świat śliczne i w ciągu kilku godzin robią się brzydkie. Drzewa, mroczniejsze od nieba, kołysz się na wietrze, ruch każdego z nich wiele mówi o ich tempe-

ramencie, ponure cyprysy bujają się ociężale, topole tańczą jak rozradowane dziewczęta, jeszcze przed wzejściem słońca mrok umyka, wyściubia już tylko nos z ciemnych okien, za którymi śpią ludzie z czarnymi kompresami ciężkich snów na powiekach. Zwracam wzrok na wschód, samotne gałęzie szamoczą się jak ręce tonące w morzu bladego powietrza, na dachach roi się od rozchwianych krzyży anten, władających uśpionym betonowym królestwem, księżyc uwiązał wśród nich jak mleczny balon, czepia się jeszcze pożyczonego światła, gdy jego towarzyszki, gwiazdy, powoli tracą kontury, rozpuszczają się w paszczy nieba jak cytrynowe landrynki, pozostawiając po sobie jedynie niewielką bliznę pożegnalnego blasku.

Właściwie dzień jest już w pełni, a jeszcze nie widziałam słońca, wszystko zdaje się na nie czekać jak na matkę, bez której nie można się obyć pomimo jej złośliwości, i jaśniejące drzewa, i ptaki wszczynające hałaśliwą rozmowę, nie odrywam wzroku od wschodniej strony nieba i czekam w napięciu, ciepła poświata wyłaca loki topoli, ale słońca wciąż nie ma, kryje się za drzewami jak wielkie oko w płataninie gęstych włosów. Na próżno na nie czekam, co sobie wyobrażałam, że w środku miasta zobaczę wschodzące słońce, pełne i czerwone jak tam, nad pasmami gór, które tak kochałam, w pustej wsi nic mnie od niego nie oddzielało, tylko czyste, łagodne powietrze, i już się irytuję, po co tak wcześniej wstawałam, stąd nie można zobaczyć świtu, dlatego mi nie podała dokładnej godziny, bez sensu tkwię samotnie na balkonie, czekając na słońce i na lekarkę, która wierzy w choroby, właściwie obydwu nienawidzę, obydwu potrzebuję, o, widzę ją, ulicą pode mną biegnie co tchu szczupła dziewczyna, cała ubrano na biało, jak panna młoda

spóźniona na własne wesele, długie, rozpuszczone włosy zmiękczają rysy jej twarzy, w ręku trzyma pleciony kosz, jakby biegła na bazar, najwyraźniej nie ma w pobliżu ojca, który mógłby się zaopiekować noworodkiem, i zalewa mnie falą litości, spójrz na nią, zamiast się zająć swoimi problemami, pomaga tobie, nie tak jak ty, która patrzysz krzywo na dziewczyny w ośrodku, i cofam się, żeby nie zobaczyła, że obserwuję w biegu jej zwartą, wykutą z jednej bryły sylwetkę, tak różną od mojej, u mnie każdy członek żyje własnym życiem, stanowi odrębną istotę.

Przegapiliśmy świt, obwieszczam oskarżycielskim tonem, a ona, wciąż zdyszana po biegu, uśmiecha się spokojnie, nie martw się, to właśnie ta godzina. Ale zanim słońce wyjdzie zza dachów, jest już pełne, nie da się stąd zobaczyć wschodu, narzekam, zaufaj mi, Na'ama, odpowiada, stawiając kosz na dywanie, przygląda mi się z troską, jakbym to ja była chora, nawet o niego nie pyta, mnie też nie spieszo go budzić, siadam przed nią, pozwalam, żeby mnie dotykała długimi, ciemnymi palcami, niech szuka skarbu pod moją skórą, nieco dłużej bada nadgarstki, każdy z osobna, potem oba razem, krzyżuje mi ręce, zamienia miejscami lewą i prawą, potem sprawdza coś za uszami, naciska i puszcza.

Co robisz, pytam, ona chętnie wyjaśnia, wsłuchuję się w twój puls, krew krąży po całym ciele i za pośrednictwem pulsu opowiada o wszystkim, co się w nim dzieje, ja protestuję, ale ja jestem zdrowa, czuję się dobrze, przecież to jego przyszedł zbadać, ona mówi, puls żony świadczy o stanie męża, Tybetańczycy uważają, że z pulsu żony można wyczytać, czy mąż będzie żył, czy umrze. Naprawdę? Taki ścisły związek jest między nimi? dopytuję się wystraszona, ona uśmiecha się tajemniczo, jakby decydowała o tym jej wola,

tak, a na podstawie pulsu dziecka można się wiele dowiedzieć o zdrowiu rodziców, nagle obrzuca mnie przenikłym spojrzeniem, szybki przegląd twarzy, otwiera mi szeroko oczy, zagląda w nie, odsuwa powieki, wyciąga mi język, tajemniczy uśmiech ani na chwilę nie schodzi z jej warg, z bliska dostrzegam ich piękno, on też wczoraj był blisko nich, blisko jej zapachu, który akurat jest dziwny, nieprzyjemny, czuć ją intymnymi częściami ciała, jak jej dziecko. I co mówi mój puls, rzucam nerwowo, ale ona to ignoruje, uciska moje palce, nasłuchuje, dobrze dzisiaj spałaś? Zaskoczyła mnie, od dawna nikt mi nie zadał tak życzliwego pytania, całkiem nieźle, tylko przez cały czas się martwiłam, że prześpię wschód słońca. Ona pyta dalej, jej ręce wciąż unoszą się nad moimi palcami, zadaje mi jedno po drugim proste pytania, tak proste, że aż nie pamiętam, co się na nie odpowiada, jej pytania są jak przyjaciele z dzieciństwa, których poniósł wir życia i rozproszył po całym świecie, przywołują odległe czasy, kiedy byłam jeszcze nowa dla siebie, jakie są moje ulubione kolory, co lubię jeść i pić, jakich przypraw używam, jaką porę roku wolę, co mnie bardziej męczy, chłód czy upał, wygląda na to, że moje odpowiedzi niezwykle ją pasjonują, wprowadzie ich nie notuje, ale sprawia wrażenie, jakby do końca swych dni miała pamiętać wszystko, co zostało tu powiedziane, wreszcie pyta, a co lubisz robić? Gapię się na nią przez chwilę, jakbym nie rozumiała, co znaczą te słowa.

Czarne aksamitne oczy, okolone gęstymi szczoteczkami rzęs, wpatrują się we mnie z uwagą, i chichoczę zmieszana, co lubię robić? Tak się przyzwyczaiłam myśleć o tym, co muszę zrobić, że całkiem zapomniałam, wzruszam ramionami, lubię być z nimi, wskazuję przy tym brodą na zamknięte

drzwi, prowadzące do snów Udiego i Noi, ale jej się nie podoba ta obłudna odpowiedź, spróbuj się skoncentrować, to bardzo ważne, co lubisz robić dla siebie, bez związku z twoją rodziną, bez związku z kimkolwiek innym, jej pytanie wzbudza we mnie melancholię, czuję się jak sierota, której ktoś nagle uświadomił, że kiedyś, wiele lat temu, naprawdę miała rodziców. Co lubiłaś robić w dzieciństwie? Próbuje mi pomóc, ja wysilam pamięć, kartkuję album pożółkłych fotografii, ukryty gdzieś na dnie, Udi tak wcześnie się wdarł w moje życie, ze swoją wolą, która zawsze była silniejsza od mojej, wniósł w nie swoje miłości i nienawiści. Co było przed nim? I przypominam sobie, wspomnienie dosięga mnie jak pierwszy podmuch wiatru, który przewiewa cham-sin, i odpowiadam z wahaniem, prawie ze wstydem, jako dziecko lubiłam leżeć na trawie i patrzeć na chmury.

Wzruszyłam ją, patrzy na mnie z zachwytem, jakbym była ziemskim wcieleniem Buddy, świetnie, odzywa się w końcu, to cię uspokajało? Nabieram pewności siebie, tak, tak mi się wydaje. A kiedy to robiłaś po raz ostatni, pyta, ja się uśmiecham nieśmiało, wiele lat temu, jeszcze zanim rodzice się rozwiedli, potem już jakoś to do mnie nie pasowało. Potakuje, pełna współczucia, mam ochotę położyć głowę na jej ramieniu i wybuchnąć płaczem, zalewać się łzami do wieczora, bo widzę, że mnie rozumie, nawet Anat nie rozumiała mnie tak doskonale, przez chwilę chcę być jej córką, to znów jej matką, byleby nigdy nie odeszła z mojego życia, bo klątwa samotności rzucona na ten dom została nagle dzięki niej zdjęta.

Czy patrząc na chmury, myślałaś kiedyś o niebie? Jak to o niebie, dziwię się, ona wyjaśnia, chodzi mi o to, czy niebo lubi chmury, nie mam pojęcia, bąkam, nigdy się nad tym nie



zastanawiałam. Co robi niebo, kiedy chmury przepływają po nim jedna za drugą, część z nich znika bez śladu, inne zmieniają formę, ja odpowiadam, nic, co może zrobić, po prostu się temu przygląda, ona przytakuje z radością, właśnie, nie pomyślałaś, że możesz się czegoś nauczyć od nieba? Czuję, że dławię się kłującą kością drwiny, słyszę, jak mówić cicho, ale z naciskiem, jakby ogłaszała wielką nowinę, też powinniśmy tacy być, Na'ama, jesteśmy niebem, które patrzy na przepływające chmury, nie czepiając się nich, nie próbując ich zatrzymać. No dobrze, ale przecież niebo nie może ich zatrzymać, choćby chciało, oponuję, a ona na to, właśnie, tak jak my nie możemy zatrzymać naszych partnerów, przyjaciół ani nawet dzieci. Jej mroczne spojrzenie zwraca się na śpiącą córeczkę, błądzi po meblach stłoczonych w salonie, po usłanym kłębami kurzu dywanie, wreszcie mówi, musimy być wolni jak kropla rtęci, która spadając na podłogę, nigdy nie miesza się z kurzem, widziałas kiedyś taką kroplę, a ja wyszeptuję, widziałam, bodajbym nie była widziała.

Co się stanie, jeśli odpuścisz, pyta, czego się boisz, ja mamroczę, to chyba oczywiste? Utraty kontroli, boję się, że zostanę z pustymi rękami, mało jest powodów do obaw? Ona kiwa głową z pogardą, tak, tak się uważa na Zachodzie, ale wielcy nauczyciele tybetańscy wierzą, że ten, kto wszystko puszcza, zyskuje prawdziwą wolność, a wówczas współczucie rozbłyśka w nim jak słońce, które wzeszło dziś nad twoją głową. Niezupełnie wzeszło, nawiązuję do porannego zawodu, ale ona patrzy na mnie surowo, przecież widziałas, jak noc zmienia się w dzień, i przypominam sobie chłodny granat, który powitał mnie na balkonie, chyba wolę noc, na mój gust słońce jest zbyt agresywne. Wpatruje się we mnie

z powagą, niemal z politowaniem, szybko, przynagła, musisz mnie wysłuchać, zanim się wszyscy obudzą, rzeczywiście, uświadamiam sobie, że cały dom śpi jak zaczarowany, jej maleństwo, moja córeczka, i Udi, nie jest już wcale tak wcześnie, prawie siódma rano, ale wciąż się wydaje, że całe miasto śpi jeszcze i tylko my jesteśmy na nogach, znów pytam ze zdziwieniem, czemu tak się spieszysz, przecież to nie mnie, tylko jego miałaś wyleczyć, a ona odpowiada, gdybyś widziała, że na chodniku leży człowiek i wyje z bólu, nie podeszłabyś do niego? Trochę przeraża mnie jej porównanie, więc napominam ją, nie przesadzaj, ale ona ciągnie surowo, nie przesadzam, Na'ama, widziałam twojego męża i widzę ciebie, obojgu wam mogę pomóc, ale Ehud jest w stanie sam się o siebie zatroszczyć w większym stopniu, niż podejrzewasz, podczas gdy ty nawet nie starasz się o siebie zadbać. I co, wyczytałaś z jego pulsu, że umrę? chichoczę nerwowo, jednak ona przerywa mi bez uśmiechu, musisz mnie wysłuchać, Na'ama. Wcale nie mam zamiaru jej słuchać, więc wtrącam, zawsze myślałam, że medycyna tybetańska to starożytne leki z Himalajów, zioła lecznicze i igły, ona opanowuje gniew, jest prawie obrażona, mam tu ze sobą torbę pełną leków, dojdziemy do tego, chcę najpierw z tobą porozmawiać, zobaczysz, że nie pożałujesz, szybko, nim zacnie się dzień i wszyscy się obudzą.

Słuchaj, zbliża usta do mojego ucha, szepcze swoją poranną modlitwę, są różne aspekty świadomości, nasza zwykła świadomość jest jak płomień świecy stojącej w otwartych drzwiach, narażonej na poddmuchy wiatru, pada ofiarą nawyków i uwarunkowań zewnętrznych, wytwarza negatywne emocje i pławi się w nich, ale oprócz niej kryje się w nas istota naszej świadomości, jej prawdziwa natura, pomyśl raz

jeszcze o niebie i chmurach, niebo jest naszą naturą, a chmury to złudzenia tworzone przez zwykłą świadomość, nie należą do nieba, nie pozostawiają na nim żadnych śladów, słucham jej jak zahipnotyzowana, wokół nas same zamknięte drzwi, nikt nie daje znaku życia, może wszyscy pomarli, ale to mnie nawet nie martwi, na myśl, że zostaniemy same na świecie, ona i ja, ogarnia mnie błogość, bo w jednej chwili za sprawą jej słów zanurzyłam się w morzu pierwotnego spokoju, tak głębokim, że śmierć jest wobec niego niczym.

Spójrz na ten dom, mówi, rozglądam się wokół, omiatam wzrokiem zniszczone fotele, regały z książkami, szare ściany, poznaczone odciskami naszych palców. Jak długo tu mieszkacie, pyta, prawie dziesięć lat, odpowiadam, wprowadziliśmy się przed urodzeniem Noi, ona ciągnie dalej, ale to nie jest twój prawdziwy dom, jak to, dziwię się, oczywiście, że jest, nie mam innego, a ona wyjaśnia, ten dom może się spalić w ciągu pięciu minut, zawalić się podczas trzęsienia ziemi, prawdziwy dom jest w twojej świadomości, tylko tam jesteś bezpieczna, tylko tam jesteś panią swojego losu.

I w tym momencie ciszę między nami zakłóca znajome skrzypnięcie drzwi, Noa wypada z pokoju jak z pożaru, z zapuchniętą buzią, patrzy dookoła, pyta, co się stało, wstaję i obejmuję ją, nic takiego, rozmawiam z lekarką taty. Przygląda się Zoharze podejrzliwie, ale zaraz na jej twarzy pojawia się niewinny, pełen nadziei uśmiech, pani go leczy? Cieszę się, że ma lekarkę, i zaraz dodaje niecierpliwie, jak to ona, czy tata wyzdrowieje? Mrugam na Zoharę błagalnie, tylko niech nie zaczyna, niech jej nie opowiada, że jeszcze nie wykorzystał w pełni swojej choroby, ale ona uśmiecha się do Noi, nie martw się, mówi uspokajającym tonem, pewnie,

że wyzdrowieje, zdrowie jest w nim, musi je tylko w sobie odnaleźć.

Noa przeciąga się z ulgą, siada mi na kolanach, ciepła i ocieżała od snu, Zohara podchodzi do niej, skoro cię widzę, chcę coś sprawdzić, Noa cofa się, wystraszona, po co, to zaraźliwe, ta choroba taty? Nie, nie bój się, odpowiada, chcę tylko zobaczyć, jak na ciebie wpływa, i bada ją za pomocą gestów, które już stały się dla mnie znajome, naciska i puszcza, jej usta poruszają się jak podczas modlitwy, Noa poddaje się badaniu w napięciu, aż przemyślane ruchy przechodzą w delikatne głaskanie po włosach, jesteś zdrowa, kochanie, nie martw się, wszystko będzie w porządku, Noa po raz kolejny oddycha z wyraźną ulgą, okazuje ją równie swobodnie, jak wcześniej stres, wszystko, co usiłuję ukryć, u niej ujawnia się z taką intensywnością, że czasem mam wrażenie, jakby była moją karykaturą, i poganiam ją, idź się ubrać, już za piętnaście ósma, a kiedy zamyka się w łazience, spoglądam na Zoharę i robi mi się nieprzyjemnie, bo patrzy na mnie z ogromną troską. Nie jest z nią najlepiej, szepcze, jest bardzo spięta, słaba, zdekoncentrowana, nie może prawidłowo funkcjonować w szkole ani wśród dzieci, i czuję ciężki zawrót głowy, zła nowina utorowała sobie w końcu drogę do mnie, jest gorsza, niż się obawiałam, odpowiadam jej szeptem, to co robić? I zaraz dodaję, mówiłam ci, że jego choroba nas zrujnowała, a ty mi opowiadasz o szansie.

Podtrzymuję to, co powiedziałam, szepcze, nie jestem wcale pewna, czy przed chorobą ojca stan Noi był taki kwitnący, tu chodzi o problemy zakorzenione głębiej, które się ujawniły przy okazji jego choroby, może to jej wyjdzie na dobre, ale musisz się dla niej wzmocnić, kiedy poczuje zmianę w tobie, będzie z nią lepiej, ja ze strachu gotowa jestem

zmienić się choćby natychmiast, powiedz tylko, co mam robić, a zrobię to na pewno, ale ona przerywa mi, już dosyć ci powiedziałam jak na jeden dzień, przemyśl sobie to, o czym rozmawiałyśmy, ja jednak się tym nie zadowalam, co z nami będzie, muszę się zmienić błyskawicznie, nim Noa wyjdzie z łazienki, mogę się z miejsca zamienić w ropuchę, jeśli jej to pomoże, nie odrywam wzroku od drzwi, za którymi zniknęła, od pękniętego po jednej z dawnych kłótni okienka, oklejonego taśmą, jak podczas wojny. Co robić, mamrocze, może nie pójdę do pracy, tylko będę się przyglądać chmurom przez cały dzień, ale niebo jest rozpalone, żadna chmura nie ma odwagi się na nim pojawić, nie da się na nie patrzeć, ona wstaje, kładzie mi rękę na ramieniu, odpręż się, spróbuj się rozluźnić, odnaleźć drogę do spokoju, który masz w sobie, nie bój się zmian, one nas kształtują, jak fale morskie formują skały, postaraj się, bo nie masz wyjścia, Noa wychodzi, powieki ma opuchnięte, jestem pewna, że znów płakała w łazience, obserwuję w napięciu jej niezgrabne ruchy, ciągnie za sobą tornister, tonie w za dużej trykotowej koszulce, i mówię jak co rano, Noa, przebierzcie, nie możesz tak iść do szkoły, wyglądasz śmiesznie, jasne, że mogę, odburkuje i tłumaczy Zoharze, chodzę tylko w ubraniach mojego taty, on lubi, jak mu je noszę. Zaskakuje mnie to niedorzeczne wyjaśnienie, taksuję krytycznym wzrokiem jej postać, wielką chodzącą podkoszulkę, u dołu zakończoną nogami w białych adidasach, u góry burzą złocistych loków, nic dziwnego, że nie ma przyjaciół, że wszyscy się od niej odsuwają, i znów czuję znajome palce strachu, sunące w górę kręgosłupa, ale dłonie Zohary podążają ich śladem, na moich plecach trwa pościg, zastygam w bezruchu, wsłuchując się w masaż, kręę za kręgiem. Pamiętaj, szepcze, bez obwiniania,

bez gniewu, bez negatywnych uczuć, tylko niebo, nieskończony spokój, i nie wytrzymuję dłużej, odwracam się i obejmuję ją, przyciskam się do niej całym ciężarem spotężniałego ciała, niczego się nie wstydzę, nawet zapachów nocy, których jeszcze z siebie nie spłukałam, chcę tylko przyłgnąć do niej, silnej, szczupłej i współczującej, Zohara otacza mnie ramionami, zakorzeniona w ziemi pewnie jak ciemny pień drzewa, i wiem, że nie jestem już sama, ona mi pomoże, będzie mnie strzec, jej ręce gładzą mnie po włosach, przysłała ze wschodzącym słońcem, żeby mnie uratować, zaświtała w moim mrocznym życiu, które było tak wypaczone, a teraz stanie się proste. Powiedz mi tylko, że jeszcze nie jest za późno, błagam w jej objęciach, ona szepcze, nigdy nie jest za późno, zawsze jest nadzieja, nawet na dzień przed śmiercią, mnie wystarcza nawet taka pociecha, w tym momencie słyszymy kroki, ciężkie buty wdzierają się między nas, ciepłe, lepkie ręce Noi chwytają nas za biodra, Zohara powtarza dalej, bez obwiniania, bez złości, nigdy nie jest za późno, zawsze jest nadzieja, ja obejmuję Noę jak w przedszkolu, kiedy proszono rodziców o przyłączenie się do dzieci tańczących w kręgu, Udi zawsze zostawał na swoim miejscu, a ja natychmiast leciałam, chcąc zatuszować jego obojętność, potem podrygiwałam sztywno w kółku graniastym czworokanciastym, czując jego wzrok na plecach. Odwracam się i widzę go, stoi oparty o ścianę, wymizerowany i blady, nie słyszałyśmy, kiedy wyszedł z sypialni, przygląda się naszemu ścisłemu kręgowi, który natychmiast pęka, wszystkie trzy patrzymy na niego zmieszane, to takie typowe, obserwuje nas, nie przyłącza się, żeby doświadczyć tak rzadkiej w naszym domu harmonii, tylko burzy ją błyskawicznie, ja jednak powtarzam sobie, bez gniewu, bez obwiniania, pędzę

do kuchni, wsypuję płatki kukurydziane do miseczki, zjedz, Noa, ale ona mówi, nie jestem głodna, przytula się do niego z egzaltacją, omal go nie przewraca, tato, lekarka powiedziała, że będziesz zdrowy, on wyciąga wychudzoną rękę i mierzwi jej włosy, miło mi to słyszeć.

Biegnę do pokoju się ubrać, łapię sukienkę z głupim kwiecistym wzorkiem, wszystkie ładne ubrania z czasów, gdy byłam szczupła, zostały zepchnięte na dno szafy, trzeba się porządnie namęczyć, żeby je wyjąć, tylko kilka szerokich sukienek oferuje mi siebie ze wstydem, już jestem gotowa, ciągnę Noę na schody, chodź, odwiozę cię, żebyś się nie spóźniła, przy drzwiach zerkam na nich, ona pochyla się nad spokojnym jeszcze maleństwem, czarne kręcone włosy spływają do kosza znad opiętej sukienki, a on spuszcza wzrok, unika mojego spojrzenia, dziękuję, Zohara, mówię, do zobaczenia, trudno mi wyrazić słowami miłość, która mnie przepełnia, ona uśmiecha się, zadzwoni do mnie wieczorem, pamięta o przymierzu, jakie ze mną zawarła, ale kiedy schodzę z Noą po schodach, rodzi się we mnie dręczące poczucie obcości, jakby ci, których zostawiłam za sobą, on, ona i dziecko, byli gospodarzami w tym domu, a my, Noa i ja, parą nieproszonych gości, nerwowych i uciążliwych, po których wyjściu wszyscy oddychają z ulgą.

## Rozdział jedenasty

W drodze do ośrodka zapominam liczyć nerwowo skrzyżowania, jak to robiłam co rano w ciągu ostatnich tygodni, zapominam się bać dyrektorki, Chawy, lamentów dobiegających z pokojów, własnej niemożności pomagania. Wstąpił we mnie nowy duch, pokonuje ze mną kolejne światła, pcha naprzód stary samochód, jak w pierwszych dniach zakochania, kiedy miłość jeszcze okrywa ciało niczym dobrze naoliwiona zbroja z łusek, chroni przed każdą strzałą. Dzisiaj nie jestem sama, ona jest przy mnie, czuwa nade mną jej brązowe ciało, mocne jak pień drzewa, jej cichy głos, jej absolutny spokój. W bocznym lusterku widzę, że skrawek jasnego nieba przygląda mi się ciekawie, i wiem, że to znak, w ten sposób Zohara mi przypomina, że mam być jak ono, współczująca, lecz zdystansowana, a wtedy nikt mnie nie zrani, tak jak nie można zranić nieba.

Gdy idę szybkim krokiem do bramy, czuję na sobie czyjeś oczy, rozglądam się dookoła, nieraz ukrywał się tu brutalny mężczyzna, czatujący na swoją dziewczynę, która się u nas schroniła, żeby zagrozić, że ją zabije, jeżeli odda dziecko, albo rodzice, czekający na córkę, która okryła ich hańbą i zniknęła, ale nikt nie wygląda zza żywopłotu, tylko młoda



dziewczyna przechodzi nieopodal przez ulicę. Natychmiast zerkam na jej brzuch, czy nie zaznacza się tam wstydliva tajemnica, nic nie widać, ale to o niczym nie świadczy, przecież ciało potrafi zaprzeczać, z zapałem współpracować z duszą. Najlepiej nie zwracać na nią uwagi, pewnie mieszka gdzieś w okolicy, ale czemu wpatruje się we mnie i nie odwraca wzroku, robię błąd i uśmiecham się do niej lekko, wiem doskonale, że źle robię, bo każda przyszła matka, która tu trafia, powinna przebyć tę drogę o własnych siłach, zresztą spieszę się na zebranie, ale z nieba spływa na mnie współczucie, dziewczyna już do mnie podchodzi niepewnie, tak, jest w ciąży, sądząc z ostrożności, z jaką noga styka się z jezdnią, płaczliwego uśmiechu nieszczęśliwej ciężarnej, tak odmiennego od sytego uśmiechu kobiety, która pragnęła ciąży, spoglądam na zegarek, już wpół do dziewiątej, właśnie się zaczęło, Chawa patrzy surowo na moje puste krzesło, ja tymczasem patrzę na dziewczynę, która zbliża się do mnie, serce rwie się do niej, jest trochę starsza niż większość podopiecznych w ośrodku, ma na oko ze dwadzieścia pięć lat, ładnie ubrana, w czarną sukienkę mini i dobrane do niej sandałki na obcasie, czerwone włosy są ostrzyżone króciutko, przy samej skórze, pełne wargi pociągnięte jaskrawą szminką, dokładnie w kolorze włosów, czego u nas szuka, to nie miejsce dla niej, przychodzi z innej rzeczywistości, a jednak robię krok w jej stronę tak naturalnie, jakbyśmy były umówione, spotykam się z nią w pół drogi, mogę ci w czymś pomóc?

Pani jest stamtąd, prawda? wypala, wskazując sarnimi oczami bramę, ja mówię, tak, pracuję w tym ośrodku, ona dodaje z westchnieniem, już dwa dni się tu kręcę, nie mogę się zdecydować, mam wejść czy nie, boję się, że jak raz wejdę,

już mnie nie wypuścicie, ja oponuję, skądże, to nie więzienie, nikogo tu siłą nie trzymamy. A co robicie z dziećmi? Jej głos z trudem się wydobywa ze ściśniętego gardła, ja odpowiadam, w większości przypadków oddaje się je do adopcji, ale do tego też nikt nikogo nie zmusza, ona na to, a jeśli matka chce wychować swoje dziecko, pozwalacie jej, nie zmuszacie, żeby się go zrzekła? Tak już przywykłam do tych pytań, ale dziś wydają się nowe, jak te, które zadano mi wcześniej rano, co lubisz robić, czy wolisz chłód, czy upał, jaki jest twój ulubiony kolor, i wyjaśniam jej, jeżeli chcesz wychować dziecko, a my odnosimy wrażenie, że temu sprostasz, to nie ma żadnego problemu, jeszcze ci pomożemy.

Co znaczy odnosicie wrażenie, wzdyga się, jej piękna twarz pochmurnieje, a jeśli wrażenie będzie negatywne, to zabierzecie mi je? My tylko zalecamy, a decyduje sędzia, kierując się dobrem dziecka, ale do pozbawienia praw dochodzi tylko w skrajnych przypadkach, wyjaśniam, ona na to, w takim razie lepiej, żebym tam nie szła, tak jestem wolna, z jakiej racji ktoś ma za mnie decydować, ja odpowiadam, zależy, jakie masz możliwości, większość naszych podopiecznych jest w sytuacji bez wyjścia, nie mają się gdzie podziać w czasie ciąży i nie mają warunków, żeby wychować dzieci, oczywiście jeżeli chcesz i możesz wychować dziecko, tak jest najlepiej dla wszystkich, nie będziemy ci w tym przeszkadzać, wręcz przeciwnie, znów patrzę na zegarek, muszę iść, zebranie zaraz się skończy, a mnie ciągle nie ma, Chawa mi tego nie przepuści.

Może wróć do domu, sugeruję, uspokój się trochę, jeszcze raz przemyśl sobie wszystko, a jeśli się zdecydujesz, wiesz, gdzie nas szukać, jednak ona kurczowo uczepia się mojej sukienki, dokładnie w miejscu, gdzie szew przecina

na pół głupi złocień, niech pani chwilę zaczeka, muszę coś postanowić jeszcze dzisiaj, nie mogę tego dłużej odwlekać, musi mi pani pomóc, ja proponuję, porozmawiajmy w środku, ona się waha, boję się, że nie pozwolicie mi wyjść, szczerze mówiąc, mnie też jest przyjemniej siedzieć sobie w cieniu na chodniku, z dala od badawczego wzroku Chawy, dziewczyna siada koło mnie, wstrząsana płaczem, jestem już w siódmym miesiącu, nie mogę uwierzyć, że mnie to spotyka, zrujnowałam sobie życie.

Wiesz, kto jest ojcem, pytam, a ona szlocha, jasne, spotykam się z nim od roku, ma żonę i dzieci, jest znacznie starszy ode mnie, pracuję u niego, to architekt. Kiedy się zorientowałam, że jestem w ciąży, jeszcze mogłam usunąć, ale miałam nadzieję, że wyprowadzi się od rodziny i ze mną zamieszka, zwodził mnie, dziś mówił tak, jutro tak, jednego dnia Bóg wie co obiecywał i wybierał imię dla dziecka, a następnego mnie nie zauważał, tymczasem zrobiło się późno na aborcję, jeszcze wierzyłam, że postawienie przed faktem dokonanym go przekona, ale kilka dni temu definitywnie oświadczył, że nie chce tego dziecka i nie chce mnie znać, i teraz nie wiem, co mam robić. Moi rodzice są religijni, nie mogą się dowiedzieć, nie przeżyliby tego, mama i tak jest ciężko chora, a ja niedługo nie będę w stanie ukryć brzucha, nienawidzę go, nie rozumiem, jak mógł mi to zrobić, złamał mi życie i uciekł, jak ja wychowam dziecko, mam niecałe dwadzieścia dwa lata, jestem za młoda na samotną matkę, nie mam nawet zawodu, zaczęłam studia dopiero w tym roku, nie mam pieniędzy ani nikogo do pomocy.

Siedzę i słucham rwącej się opowieści, jednocząc się z dziewczyną w strapieniu, znów czuję znajomy ciężar bólu bliźniego zrzucanego na moje barki, uginam się pod

brzemieniem urazy i rozpacz, obraz odmalowany słowami wypełnia się kolorem i dźwiękiem, słyszę gardłowe odgłosy kłótni, widzę płomienne noce, wizje wzbierają jak wspomnienia, bezradność przypuszcza na mnie brutalny atak, jak zwykle w takich momentach, jak mam jej pomóc, sytuacja jest naprawdę ciężka, jakkolwiek by na to patrzeć, trudna pod każdym względem, podpowiadam jej delikatnie, wiesz, można by udowodnić ojcostwo, zażądać alimentów, ale ona tylko kręci głową, nie przestając płakać, nic od niego nie chcę po tym, co mi zrobił, jeśli był zdolny do tego, żeby mnie zostawić samą w takiej sytuacji, nie chcę jego pieniędzy ani jego dziecka. Wściekle wali rękami w wystraszony brzuch, starannie ukryty, obejmuję ją, moją uwagę przykuwają jej stopy, paznokcie pokryte lakierem czerwonym jak szminka i włosy, jakie ładne mogą być stopy, zachwycam się i nabieram otuchy, widocznie jej położenie nie jest aż takie straszne, skoro wciąż dba o każdy szczegół, wreszcie mówię, spróbuj się nie zadręczać negatywnym myśleniem, to cię osłabi, musisz oszczędzać siły na teraz i na przyszłość, decyzja, która cię czeka, będzie trudna, ale możliwa do podjęcia, a my ci pomożemy.

Rzecz w tym, że podjęcie decyzji przekracza moje możliwości, lamentuje, z każdą decyzją będzie mi ciężko się pogodzić, jeżeli postanowię je wychować, zrujnuję sobie życie, rodzina się mnie wyprze, żaden mężczyzna mnie nie zechce, ja sama nie chcę siebie z dzieckiem, ale jeśli je oddam, nigdy sobie nie wybaczę, ciągle będę myśleć o zbrodni, którą popełniłam, wyrzekając się własnego dziecka, zostanę ukarana na całe życie, nie będę miała więcej dzieci. Broń Boże, odpowiadam szybko, czemu ktoś miałby cię karać? Jeśli oddajesz dziecko, chcąc zapewnić mii lepsze życie, postępujesz szla-

chętnie i dojrzałe, nie należy ci się za to kara, przeciwnie, zasługujesz na uznanie, ona natychmiast sztywnieje, pani uważa, że powinnam je oddać, chce mnie pani do tego zmusić. Skądże, mówię, ty decydujesz, wszystko jest w twoich rękach, ja mogę ci tylko pomóc w obiektywnej ocenie sytuacji, podnoszę się ze znużeniem, już dziewiąta, zebranie się zaraz skończy, nagle znów staje mi przed oczami dzisiejszy poranek, wschód, którego nie było, chłodna, błękitna poświata, włosy Zohary, dyszące na jej ramionach, kiedy biegła pustą ulicą, i pytam, jak masz na imię, Jael, odpowiada szeptem, wpatruję się w nią z takim samym skupieniem, z jakim Zohara patrzyła na mnie rano, słuchaj, Jael, nie musisz się spieszyć z decyzją, masz na nią co najmniej dwa miesiące, ale spróbuj zmienić swoje podejście, myśleć o tym, co się zdarzyło, jak o szansie, nie jak o nieszczęściu, postaraj się wyciągnąć z tego jakieś korzyści. Korzyści, krzyczy, zupełnie jak ja zaledwie wczoraj, o czym pani mówi, co dobrego może z tego wyniknąć? Ja mówię, niewiele wiem o twoim życiu, może przez to doświadczenie uwolnisz się od niezdrowych schematów w związkach z mężczyznami, może zbliżysz się do rodziców, wydorosłejesz, jest jeszcze za wcześnie, żeby na to odpowiedzieć, wróć do domu, uspokój się, a jeśli zechcesz skorzystać z naszej pomocy, będziemy tu, ale ona znów łapie mnie za sukienkę, mnąc nerwowo zdobiący ją złocień, zalewa mnie potokiem słów, ja nie mam dokąd wracać, nie mogę dłużej ukrywać ciąży, jeśli moje sublokatorki się zorientują, to dotrze do moich rodziców, nikomu nie powiedziałam, nawet najlepszym przyjaciółkom, nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że oddałam dziecko do adopcji, ja potakuję, masz rację, dobrze by było, gdyby wiedziało o tym

jak najmniej osób, ale teraz cięża będzie coraz trudniejsza do ukrycia.

To co mam robić, szlocha, boję się przyjść do ośrodka, boję się, że będziecie wywierać na mnie nacisk, boję się innych dziewczyn, ja mówię, Jael, naprawdę muszę już iść, daj sobie kilka dni, zastanów się jeszcze, podnosi na mnie wilgotne oczy, wygina usta w podkowę, szepcze błagalnie, naprawdę nie mogę tam dłużej zostać, wstukuję znajomy kod, furtka ustępuje przede mną, uśmiecham się zdawkowo, jeśli będziesz mnie potrzebować, wiesz, gdzie jestem.

Odprowadza mnie zawiedzionym wzrokiem, ja też ją opuszczam, ale wchodzę, nie oglądając się za siebie, chociaż w ośrodku jestem znacznie mniej potrzebna, powinnam była z nią zostać, zebranie i tak się skończyło, już mam do niej wrócić, kiedy natykam się na Anat, schodzącą prosto na mnie po schodach, z daleka wygląda jak podstarzały chłopiec, a to z powodu wąskich dżinsów i szarawych, krótko obciętych włosów. Gdzie byłaś, pyta, Chawa cię szuka, ja wzdycham, no tak, wiedziałam, że to mi nie ujdzie płazem, ona dodaje, pamiętasz, że Eti wczoraj urodziła, dobrze by było, gdybyś do niej podjechała z papierami, nie odpowiadam, wchodzę z obawą do ośrodka, każdy, kto się tu znajduje, przeżywa moment zachwyty, wszystkie dziewczyny, a nawet ja, tak u nas pięknie, trzy kondygnacje, przestronne i eleganckie, sama chciałabym mieć taki dom, mówią zawsze, ja też tak czasem myślę, ale nie tym razem, idę prosto do biura Chawy, zastaję ją wyciągniętą na plażowym łóżku, przyniosła sobie do pracy coś w rodzaju połówki, bo nie może siedzieć z powodu bólu pleców, jej oczy wydają się wielkie w okularach, które zdejmuję, kiedy wchodzę, odkładając stos papieńców na kolana.

Dzień dobry, mówi pogodnie, dopiero się obudziłaś? Ja wracam myślami do błękitnego początku dzisiejszego poranka, lata minęły od tamtej pory, i bąkam, nie, słowo daję, musiałam zawieźć męża na badania, ona wzdycha, i co to będzie, Na'ama, już zaczynam się usprawiedliwiać, ale ona niespodziewanie wytrąca mi broń z ręki, odzywa się ciepło, widzę, jak ci jest ciężko, może weź kilka dni urlopu, z tydzień - dwa, ile potrzebujesz, zajmij się nim, aż wydobrzeje, wtedy do nas wrócisz, bo tak jesteś ciągle rozdarta między nami a nim, krępuje mnie jej życzliwość, kręcę głową stanowczo, nie, naprawdę nie mam ochoty tkwić z nim całymi dniami w domu, co znaczy zajmij się nim, przecież nie mam pojęcia, jak się nim zająć ani kiedy wydobrzeje, więc odpowiadam, dziękuję, Chawa, wolę pracować dalej, ona bawi się okularami, zerka na mnie ogromnym okiem jak przez lupę, wiem, że uważasz, że jestem zbyt twarda, mówi cicho, i może się nie mylisz, ale nie mam wyjścia, żadna z nas go nie ma, nie wolno nam nadmiernie się utożsamiać z tym całym nieszczęściem, utożsamiać się jest najłatwiej, my musimy być ponad to. Napijesz się herbaty, pyta, podnosi się ciężko, żeby zaparzyć lurowate ziółka, patrzę na jej duże ciało, zauważam niepewność, z jaką się porusza, po raz pierwszy dostrzegam, jak jest bezbronne, co się nagle stało Chawie, u której wszystko było idealne, bogaty mąż, piękny dom, udane dzieci, ona zdaje się czytać w moich myślach, ja też przeżywam ciężki okres, miałam ostatnio trochę zmartwień, ale nie dopuszczam do tego, żeby moje problemy mną rządziły, a ty, Na'ama, całkowicie się im poświęcasz, ja mówię, dziękuję, Chawa, nie chcę herbaty, ona z westchnieniem odrzuca z czoła siwy pukiel zaskakująco kobiecym gestem, tylko bądź szczerą wobec mnie i wobec samej siebie, jeśli

poczujesz, że nie masz już nic do dania, weź wolne, i uważaj, za bardzo się nie utożsamiaj, dodaje surowo, kiedy mamy jakieś zmartwienie, troski innych przyciągają je jak magnes, mieszają się z nim, a to szalenie niebezpieczne.

Wychodzę od niej wykończona, rozglądam się, usiłuję wyczuć ogólną atmosferę tego ranka, dziewczyny są takie wrażliwe, spokój tak kruchy, każdy poród, każdy podpisany formularz zaburza równowagę, natychmiast się zbiegają, jak ona się czuje, co postanowiła, zawsze się znajdzie taka, która potępia decyzję, gdybym ja miała takie warunki, to-bym go nie oddała, inna rzuca, na szczęście nie masz, biedne by było dziecko, które ty byś wychowywała. liana stoi przy zlewie, niedbale zmywa naczynia, rozchlapując wokół mydliny, Chani siedzi przy stole w jadalni, jej ręce wprawiają w taniec kłębki różowej wełny, muszę skończyć sweterek przed porodem, wyjaśnia mi w podnieceniu, żeby moja córeczka miała coś ode mnie. liana hałaśliwie odstawia umyte talerze, zawsze musi coś namącić, jej naprawdę nie będzie potrzebny twój sweterek, wierz mi, prycha pogardliwie, będzie miała dość swetrów w nowym domu, u śpiących na forsie adopcyjnych rodziców, tobie i sobie życzę, żebyśmy miały tyle swetrów, na pewno już na nią czekają w pieprzonej nowej komódce, z wymalowaną pieprzoną Królową Śnieżką.

Ale ja chcę, żeby miała coś po mnie na pamiątkę, upiera się Chani, żeby to był jej ulubiony sweter, liana wybucha skrzekliwym śmiechem, co z ciebie za kretynka, oni natychmiast wywalą go do śmieci, nie chcą żadnych pamiątek po tobie, chcą o tobie zapomnieć, nie mam racji? Kieruje na mnie małe, mętne oczka, ja mówię, liana, rozumiem, że jest ci ciężko, ale Chani chce sobie pomóc, więc nie przeszkadzaj



jej, chce coś zostawić swojej córeczce, to dla niej ważne, nie widzę w tym nic złego. Dobra, tylko dłaczego sweter, rzuca się liana, niech lepiej zostawi list w aktach adopcji, ja bynajmniej tak zrobię, moja mała dorośnie, po osiemnastce zajrzy do akt i do mnie wróci, tamci ją jakby wychowują dla mnie, tylko na razie, ja mówię, osiemnaście lat to dużo czasu, więcej, niż żyjesz, nie wiesz, co będzie czuła twoja córka, czy zechce się z tobą widywać, czy nie, ona na to, dlatego napiszę jej ładny list, żeby mnie chciała szukać, napiszę, że mam kupę szmalu albo że jestem sławną modelką, ja uśmiecham się z zażenowaniem, patrzę na grube, krótkie ciało, nabita twarz i już nie wiem, śmiać się czy płakać. liana, odzywam się, to, czy zechce się z tobą zobaczyć, nie ma żadnego związku z pieniędzmi czy urodą, musisz oprzeć waszą relację na prawdzie, napisz jej, ile masz lat, opowiedz o swoich trudnościach, wytłumacz, że ją oddajesz, żeby zapewnić jej lepsze życie, nie próbuj niczego upiększać.

Ty mi nie będziesz mówić, co mam robić, burczy liana nad zlewem, ja biegnę do siebie, a Chani za mną, wiesz, czego bym chciała, po porodzie chcę jej sama założyć ten sweterek, jak przyjdą po nią adopcyjni rodzice, zobaczą ją w ubranku, które dla niej zrobiłam, chcę, żeby jej opowiedzieli, jak dorośnie, że prawdziwa matka zrobiła dla niej sweter. Dobrze, Chani, uśmiecham się do niej, obiecuję ci, że tak będzie, nie martw się, ale ona napiera na mnie drutami i wełną, chcę, żeby to było jej pierwsze ubranko, rozumiesz? Ja mówię, oczywiście, tylko się pośpiesz, bo ledwo zaczęłaś, a brzuch masz już nisko, i kiedy na nią patrzę, po raz kolejny zdumiewam się nad okrucieństwem natury, zawsze mi się wydawało, że otacza kobiety w ciąży szacunkiem, szczególnymi względami, jako wysokiej rangi żołnierki

w swojej armii, ale od dnia, kiedy się tu znalazłam, nie przestaję się dziwić jej taniemu conceptowi, żeby powołać do wojska dziewczynki, prawie dzieci, i obarczyć je następnymi uciążliwymi i niechcianymi dziećmi, znów czuję złość na Udiego, ilekroć mam jakieś pretensje do natury, kieruję swój gniew na niego, jako na jej gorliwego obrońcę, i przypominam sobie z rozdrażnieniem chude, pokryte igłami ciało i dym kadzidła, unoszący się nad jego głową.

Kiedy wchodzę do biura po formularze, znów stoję twarzą w twarz z miarowymi, zimnymi zdaniem, ze straszliwym aktem zrzeczenia, ujętym w oschłych słowach, jakby rzecz dotyczyła wznowienia paszportu czy zmiany nazwiska, wkładam je do torebki, biorę z szafki z upominkami pakiecik zawierający balsam do ciała i mydło, w korytarzu natykam się na Anat i mówię jej, powiedz Chawie, że jestem w szpitalu położniczym, a ona się dziwi, tak szybko? Przecież niedawno przyjechałaś. Chcę już to mieć za sobą, odpowiadam, uważaj na lianę, jest w morderczym nastroju, Anat się uśmiecha, nie ona jedna, ja idę dalej i dopiero przy bramie zaczynam się zastanawiać, o kogo jej chodziło, o mnie, o Chawę czy może o nią samą, właściwie co za różnica, liczy się tylko to, że Jael już tu nie ma, zniknęła, zabierając ze sobą strach o swój los, odeszła na wysokich obcasach, nie zostawiła mi żadnych znaków, jak do niej trafić, poza cieniem rozgrzanych liści na chodniku w miejscu, gdzie siedziałyśmy.

To miejsce, w którym zaczyna się życie, ten jasno oświetlony korytarz, w którym nie ma nic z tajemnicy, te osłabione ciała, ten zbolały, lecz jednocześnie dumny chód, tak poruszają się bohaterowie wojenni, wiedząc, że ich cierpienie ma sens, ten szpital wyciąga po mnie silne ręce, chodzę wśród wyczerpanych kobiet i czuję w biodrach pewność,

że nigdy nie będę jak one, nigdy nie będę kuśtykać po tym korytarzu zgięta wpół i szczęśliwa, nigdy nie będę miała drugiego dziecka. Były lata, kiedy jeszcze wierzyłam, że jakoś się między nami ułoży, że Udi w końcu da się przekonać, ale teraz jest dla mnie jasne, że to nie nastąpi, poraża mnie świadomość, że wszystko stracone, już nigdy nie dostanę drugiej szansy. Siadam skonana pod ścianą, jak położnica opadająca na ławkę ostatkiem sił, mnie też bolą szwy na dawnych, zainfekowanych ranach, które się nie chcą zabiżnić, naprzeciwko mnie siada kobieta w szlafroku, przysuwa sobie przezroczysty wózek, podrywam się natychmiast, odprowadza mnie obojętnym wzrokiem, który ciąży mi, jakby odkryła, że wcale nie jestem tym, za kogo się podawałam, więc biegnę do sali Eti, na końcu korytarza, przywołuję na twarz martwy uśmiech, to najtrudniejsza chwila, tak jest zawsze, czego właściwie mam im życzyć, jak mam im gratulować, kiedy poród zwiastuje rozstanie. Etuśka, wyrazy uznania, próbuję, słyszałam, że byłaś naprawdę dzielna, ona patrzy na mnie ponuro, nawet nie pytaj, to był koszmar, przyssał mi się do brzucha jak pijawka, ja głaszczę ją po kościstej ręce, to rzeczywiście jest okropne, ale po pewnym czasie się zapomina, ona dodaje, no mówię ci, jak pijawka, trzydzieści sześć godzin nie chciał wyleźć, nic nie pomagało, wywoływanie porodu i co tylko chcesz, tak cholernie bolało, że mało mnie nie wykończył, nie wiem, co mu zrobiłam, że tak się uczepił, i pytam, widziałas go już, a ona, o czym ty mówisz? W życiu na niego nie spojrzę, brzydzę się nim.

Ale Eti, błagam ją, to twoje dziecko, wyszło z ciebie, ona rzuca zimno, dlatego się go brzydzę, gdyby wyszło z ciebie, byłoby inaczej, dotarło? Jest zerem jak ja, nic nie jest warte, i przeciąga się z całkowitą obojętnością, pręży chude ramio-

na, odcina się od niego zupełnie. Strasznie chcę się już wynieść z tej nory, narzeka, być sama, bez waszego nadzoru, ja pytam, co wtedy zrobisz, mimo że znam odpowiedź, wstrzyknie sobie heroinę, będzie leżeć na swoim śmierdzącym materacu i czuć się królową świata, patrzę na nią ze smutkiem, twarz ma szerniałą, szyję pomarszczoną, to nie pierwsze dziecko, jakie oddaje, w młodości oddała już jedno, które ma dziś co najmniej dwadzieścia lat. Nie jest kurwą, jak twierdzi, sypia z różnymi facetami tylko po to, żeby zarobić na narkotyk, a jeśli wychodzi z tego niechciana ciąża, skutek uboczny stosowania niezbędnego leku, oddaje się dzieciaka i żyje się dalej. Myślałam, że jestem już na to za stara, śmieje się, biorę ją za rękę, wydaje się pozbawiona wieku, pozbawiona płci, czy w tej zgrubiałej skórze istnieje jakaś szczelina, czy zdarzają się jakieś przebłyski, i mówię, chodź, obejrzymy dziecko, musisz wiedzieć, z kim się rozstajesz, to ważne, żebyś zobaczyła, że to żywa, słodka istotka, nie potwór, ona wrywa się, daj mi spokój, Na'ama, nie chcę widzieć tej wrednej pijawki, więc ku własnemu zaskoczeniu ofiarowuję się, pójdę sama i potem ci go opiszę, a ona wzrusza ramionami, idź, jeśli nie masz nic lepszego do roboty.

Z ciężkim sercem wchodzę do sali noworodków, wózek stoi przy wózku, jak rekruci na musztrze, i przypominam sobie, jak przychodziłam tu do małej Noi, mam przed oczami drobną buźkę w kształcie serduszka, wygięte w podkówkę usteczka, kiedyś się pomyliłam, stałam zaniepokojona w środku nocy nad inną twarzyczką, dopiero po chwili spojrzałam na kartkę i odkryłam, że to nie moje dziecko. Widzę go, tam jest synek Eti, nie można się pomylić, taki podobny do matki, czarny, gniewny krasnalek, rączki mu drżą, nie tylko one, drży całe zakutane po czubek nosa ciało, siostra

wzdycha za moimi plecami, jest na głodzie, małe biedactwo, urodził się uzależniony, teraz przechodzi odwyk. Wszystko będzie dobrze, krasnalku, szepczę, gładząc pomarszczone policzki, wyciągniemy cię z tego bagna, zasadzimy na innym gruncie i rozkwitniesz, nagle rozpiera mnie duma, unoszę głowę wysoko, widzisz, zwracam się do Udiego w myślach, my ratujemy życie, to dziecko niedługo dostanie rodziców, którzy je wychowają z miłością, zatroszczą się o jego potrzeby, zamiast patrzeć, jak jego matka śpi z byle kim i daje sobie w kanał, będzie się bawić klockami lego, czytać książki i oglądać filmy animowane.

A co powiesz, jeśli w szkole średniej ulegnie namowom przyjaciół i zacznie brać heroinę, spiera się ze mną Udi, wyobraź sobie, że trafi prosto do nory swojej matki, może nawet to ona będzie go zaopatrywać, albo on ją, ja złoszczę się, wszystko się może zdarzyć, ale my mu dajemy szansę na lepsze życie, a gdyby został przy niej, jego los byłby przesądzony, i myślę o Noi, co by się stało, gdyby z przezroczystego wózecka zabrali cię inni rodzice, może inny ojciec nie upuściłby cię z mściwych, skłóconych rąk, inna matka nie zaraziłaby cię swoim poczuciem winy, nie skazałaby cię na beznadziejne wysiłki, żeby tę winę naprawić, Udi ma rację, wiedza to żałosne złudzenie, bielmo na ludzkich oczach. Głaszczę na pożegnanie drobną rączkę, on nagle mnie chwytając za palec z zadziwiającą siłą i zaczyna kwilić, co mi próbuje powiedzieć na moment przedtem, nim wyjmę drukarki z torbki, że mimo wszystko chce zostać z matką, która się go brzydzi, pielęgniarka podchodzi z butelką, jest głodny, biedaczek, podnosi go i uwalnia mój palec, oczy maleństwa są zamknięte, jeszcze się w ogóle nie otworzyły, więc czemu wydaje mi się, że patrzy na mnie, wymykam się z sali jak

zbrodniarka, wracam do Eti, która czekając na mnie, też leży z zamkniętymi oczami, podobieństwo jest niesamowite, nie da się go nie zauważyć, jeśli się będą spotykać na ulicy, ale dlaczego mieliby się kręcić po tej samej okolicy.

Etuśka, on jest naprawdę słodki, mówię, strasznie podobny do ciebie, ona macha tylko ręką z lekceważeniem, nic mnie to nie obchodzi, jak dla mnie, może być nawet podobny do ciebie, podaję jej formularze, przeczytaj najpierw, a ona warczy, zejdz wreszcie ze mnie, mam gdzieś, co tu jest napisane, mówiłam ci, nie chcę go, ja nie dam za wygraną, musisz przeczytać, Eti, to nie jest byle drobiazg, zrzekasz się praw do dziecka, musisz rozumieć, co to znaczy, ona złości się, to znaczy tyle, że jutro o tej porze będę wolna, ja nie poddam się, czytam jej na głos porażające słowa, ale te odbijają się od jej niewrażliwej skóry, potem bierze ode mnie długopis i podpisuje, prawie z zamkniętymi oczami, namotała niebieskich, atramentowych nitek na brzegu kartki i po sprawie, nawet kiedy idzie łatwo, jest ciężko, wdycham, przybita jej nieczułością, chociaż tak jest wygodniej, żadnych wahań, żadnych wyjaśnień, nie trzeba nikogo pocieszać ani dodawać odwagi. Wyciąga z szafki paczkę papierosów i pogania mnie, dobra, ruszmy się, odprowadzę cię do drzwi i zapalimy sobie, i kiedy mijamy salę noworodków, nawet nie patrzy w ich kierunku, przechodzi obok dziecięcej musztry bez ciekawości, bez poczucia winy, jakby to nie jej młode tam drżało, pragnąc jej mleka, jej miłości, i kiedy siadamy na ławce, nie wytrzymuję, Etuśka, nie warto by jednak było pójść na odwyk? Wiem, że to trudne, ale zobacz, jaką cenę płacisz, moglibyśmy ci pomóc, nie myślisz, że warto?

Zostaw mnie, Na'ama, wydmuchuje dym w moją stronę, nie mam do tego głowy, nic mnie już nie obchodzi poza

herą, tylko dla niej żyję, to jest moje dziecko, tylko ona mnie uszczęśliwia, i nagle z przepalonego gardła wydobywa się chrapliwy rechot, jestem zajęta, rozumiesz? Niańczy herc, jestem jej matką! Śmiech wprawia w drżenie fałdy pustego brzucha pod szlafrokiem, ściga mnie, kiedy się z nią rozstaję, czekając na windę, przyglądam się z zachwytem, niemal z zazdrością, jak zakłada nogę na nogę i dmucha siwym dymem w nos dziecku, które jutro porzuci, może racja jest po jej stronie, bo jutro o tej porze będzie leżeć na zapaskudzonym materacu i będzie królową świata.

## Rozdział dwunasty

Słońce, którego tak pragnęłam rano, teraz ściga mnie nienawistnie, grozi mi ze wszystkich lusterek samochodu, śledzą mnie trzy oślepiające słońca, trzy mordercze noże, nie mogę przez nie skręcić w lewo ani w prawo, ani się cofnąć czy wrócić do ośrodka albo do domu, mogę jedynie jechać dalej prosto, jak uprowadzona, do miejsca, które jest tylko moje, gdzie nie potrzeba się o nikogo troszczyć, jadę szybko, nim zmienię zdanie, i wyobrażam sobie widok nieba jaśniejszego dla mnie nad wierzchołkami drzew, kiedy leżę na trawie rozluźniona, wolna od głodu i pragnienia, nadziei i urazy.

Im dalej, tym drogi stają się węższe, a w oczach robi się bardziej zielono, nawet w samym środku lata przebłyskują tu czyste jeziora gajów cytrusowych, przyglądają mi się z zaciekawieniem, nie byłam tu od śmierci ojca, wcześniej też nie za często przyjeżdżałam, bo w efekcie zderzenia dorosłości z dzieciństwem ogarniało mnie zawsze przeczucie nieuniknionej katastrofy. Kiedy go odwiedzałam, natychmiast zaczynałam utykać, jakbym miała złamaną nogę, która źle się zrosła, ale dziś wracam z radością, bo to jedyne miejsce, jakie mi zostało na świecie, rodzice czekają tu na mnie z obiadem, siedzą naprzeciw siebie przy dużym stole



i spoglądają na zegar, gdzie ona się podziała, dlaczego ciągle jej nie ma. Właśnie wracam ze szkoły, ich rozstanie jeszcze nie rozerwało na strzępy mojego życia, na razie krąży nerwowo po pilnie strzeżonej zagrodzie dla niebezpiecznych pomysłów, czasem ryczy po nocach, ale ja nic nie słyszę, tylko późne rozmowy szakali budzą we mnie niejasne lęki. Jadę do domu wiejską czarną drogą, wśród plam gajów cytrusowych, nie uświadczysz tu samochodów, czasem wieczorem przechadzam się po niej boso, i chociaż jest sucha i twarda, czuję łagodne prądy pod asfaltem, ziemia oddaje mi resztki ciepła, kiedy wspinam się aleją gęstych dębów, nad którą wiecznie wiszą chmury, tu, na poboczu, zwykle odpoczywałam, zbierając żołądź, chowałam do kieszeni twarde owoce w kruchych czapeczkach.

Parkuję na dawnej plantacji gujaw, teraz zalanej asfaltem, staram się stanąć przodem do miejsca, gdzie rośło moje ulubione drzewo, to z czerwonymi, nabrzmiętymi słodyczą owocami, które lśniły wśród gałęzi jak lampki, biegnę do domu, zaczekajcie na mnie, mam, tato, nie jedzcie beze mnie, nie sprzątajcie ze stołu, nie zbierajcie talerzy, nie zgarniajcie okruchów, już wróciłam ze szkoły, zeszyty mam porządne, książki czyste, przypilnuję dzisiaj Jotama, żebyście mogli wyjść. To się stało tak nagle, nie miałam najmniejszych podejrzeń, matka zdawała się taka szczęśliwa, taka zadowolona z nas, ze swojej małej rodziny, taka piękna w kraciastym fartuchu w południe, kiedy kropelki potu zakwitały nad jej górną wargą. Wszyscy troje byliśmy w niej zakochani, mały Jotam, który stale trzymał się jej sukienki i płakał, kiedy się oddalała, ja, która ją podziwiałam, starając się naśladować każdy jej gest, i ojciec, znacznie od niej starszy, którego jedynym celem było jej dogodzić, nigdy się nie kłócili, zawsze

ze sobą rozmawiali spokojnie i grzecznie, wszystko wyglądało cudownie, aż okazało się, że jej to nie wystarcza, że żyć w ten sposób, codziennie gotować kurę i tłuczone ziemniaki, jeść obiad ze starzejącym się mężem, który ją nudzi, to dla niej za mało. Jest jeszcze młoda, chce użyć życia, być aktorką, śpiewać i tańczyć, nie chce gnić w tej zapadłej wsi, w starym domu, żałosnej chałupie Agencji Żydowskiej, jak go nazywała, właśnie przed nim stoję, wszystkie domy wokoło zmieniły się nie do poznania, jak dzieci, które dorosły i wystrzeliły wzwyż, rozrosły się wszcz, tylko on jeden bije w oczy ascetyczną skromnością. Oto szczątki naszego ogródka z samotną poincianą na środku, nazywałam ją drzewem urodzinowym, bo w szóste urodziny biegałam wokół niej jak szalona, czepiając się szorstkiego pnia, aż zakręciło mi się w głowie i wszyscy goście skleili się w jeden uśmiech z mnóstwem zębów i języków. W rękę trzymałam białą chusteczkę, którą dostałam w prezencie od sąsiada, i przepełniało mnie nieopisane szczęście, machałam nią z ożywieniem, jakbym była na pokładzie statku i żegnała się przed długim rejssem, nie mogąc przewidzieć, jak bardzo będzie niebezpieczny.

Teraz wyciągam się pod drzewem urodzinowym, jego gałęzie dzielą niebo na błękitne skrawki, poruszają się jak wodorosty, zmieniają nieustannie kształty. Tak lubiłam tu leżeć w ciemnościach, gwar domu dobiegał w tle jako kojący szmer, a ja nasłuchiwałam pod drzewem pieśni chmur, łagodnego, mrocznego chóru wysoko nade mną, melodii, w której nie ma smutku ani radości, nie ma spotkań ani rozstań, mijamy cię, śpiewały, ale będziemy tu po tobie, nigdy się nie urodzimy i nigdy nie umrzemy, niczego nie zapomnimy i niczego nie będziemy pamiętać. Chmury

wspinają się na siebie, prężą wypieszczone ręce, przeciągają się z rozkoszą w lektyce niebieskiej, połykają księżyc, za chwilę zwracają go bez uszczerbku, uwalnia się nienaruszony z ich uścisku, przytulają się jedna do drugiej i natychmiast się rozbiegają, rozpraszają po swoim królestwie bez najmniejszego lęku, przybierają i odrzucają formy, wyczarowują doliny i wzgórza, zatoki i ośnieżone szczyty. Prawie co wieczór wychodziłam do ogródka, nawet zimą, kładłam się na trawie, gapiłam w otchłanne niebo, obserwowałam niezmiennie intrygujące wypadki, które się na nim rozgrywały i nad którymi nie miałam żadnej kontroli, jakbym kiedykolwiek miała kontrolę nad tym, co się działo tu, na ziemi, w małym domku Agencji Żydowskiej, i powoli spływał na mnie spokój, cudowny i senny, niezwiązany z tym, co było dziś i co będzie jutro, to widocznie jest ta nieskończona świadomość, ta naga, promienna prostota, i teraz, przypominając ją sobie, wołam, żeby do mnie wróciła, próbuję ją jakoś zwabić, ale co mam jej do zaofiarowania i jak mogę jej zaufać, skoro akurat w momencie, gdy jej najbardziej potrzebowałam, zniknęła i nie przyszła więcej, porzuciła ten dom jak matka, tego samego dnia i o tej samej godzinie. Znowu usiłuję przywołać słowa usłyszane dziś rano, puść, mówiła, ucz się od chmur i od nieba, zanurz się w morzu spokoju, jaki masz w sobie, brzmiało to bardzo kusząco, chciałam to zrobić, ale nie ma we mnie żadnego spokoju, Zohara, przeciwnie, czasem odnoszę wrażenie, że wirujący wokół mnie świat ma go w sobie więcej niż ja.

Stoję zawstydzona przed zamkniętymi drzwiami mojego domu, ktoś go kupił wiele lat temu, ale nigdy się nie wprowadził, a dopóki jego pokoiów nie zajmą inni ludzie, pozostanie w nich nasza boleść, stąpająca po niestabilnych

płytkach, dotykająca śladu po barometrze, i gniew porzucenego domostwa. Idę po ich śladach, okrążam budynek, w którym mieszkało moje dzieciństwo, tu rosły dwie śliwy, jedna rodziła czerwone, druga żółte owoce, nazywaliśmy je mężem i żoną, bo z biegiem lat przylgnęły do siebie, końce gałęzi skrzyżowały się, tworząc splot tak gęsty, że nie można ich było rozdzielić, i tylko latem, gdy dojrzewały owoce, wiedzieliśmy, która gałąź należy do czerwonego, a która do żółtego drzewa, wspinaliśmy się na nie z wysiłkiem, zrywaliśmy ciepłe śliwki i ssaliśmy je jak landrynki, a tu, pod moim i Jotama oknem, stała kiedyś ogromna akacja, wiosną lśniła jak słońce, przyprószając nasze sny złotem. To balkon z widokiem na wschód, na błękitne góry, nanizane ciasno na horyzont jak sznur szafirów, ojciec siadywał tu po południu w krótkich spodenkach khaki, zakładał nogę na nogę, odchyłał się do tyłu i przełykając ciemne winogrona, przepowiadał pogodę, w szklach okularów odbijało się szczęście, a ja kucałam u jego stóp na tych schodach z całym naręczem kociaków. Zawsze rodziły się w tym gęstym krzewie, zjawiały się znienacka, bawiły się wśród paproci, ich ogonki tańczyły w plamach światła i cienia, ja czyhałam na nie na schodach, czekałam na pierwsze podskoki w stronę świata, kusiłam je spodeczkami śmietany, wachałam ciepłe, przesiąknięte zapachem mleka futerka. To balkon zachodni, tu, pod dachówkami, mieszkały rozgruchane gołębie, co wiecznie brzdziły podłogę odchodami, matka krzyczała, kiedy zrobisz porządek z tymi ptaszyskami, one znoszą choroby, pogoń je stąd, zanim pozarażają nas wszystkich, a ojciec patrzył bezradnie na gniazda, rozdarty między litością i chęcią zadowolenia matki. Czasem zbierał się na odwagę i zrzucał kilka z nich, potajemnie przenosząc jaja do innych, ale nigdy nie

zdołał przepędzić ptaków, dopiero kiedy odeszła, pierwszej nocy bez niej, rzucił się w jakimś szale na gniazda, powyrzucał je do ogrodu wraz z jajami i pisklętami, urządził istną masakrę, a wieść o pogromie rozeszła się wśród gołębi, tak że nie ośmieliły się wrócić, prawie trzydzieści lat minęło, a balkon pozostał pusty.

Dziwne, nikt tu nie mieszka, a jednak trawa jest świeża jak na grobie, którym dyskretnie opiekuje się cichy wielbiciel, tak, to był grób jego życia, błąkał się po opustoszałych pokojach, opłakując bez gniewu jej odejście, jakby przyznawał jej rację, jakby właściwie uważał, że na jej miejscu tak samo by postąpił. Zawsze myślałam, że gdyby odeszła z innym, byłoby mu łatwiej niż tak, kiedy go porzuciła dla wszystkich mężczyzn na świecie, nie oferując żadnego konkretnego obiektu jego złości, której i tak nie miał w sobie zbyt wiele, pozostawiając go pokonanego w walce, w której nie uczestniczył, nie w głowie mu były wojny, pragnął tylko spokoju i porządku, cichego życia bez niespodzianek, nawet pogoda nie była w stanie go zaskoczyć, ale jej się udało, akurat jej, która z taką radością wyrwała się z jego pomocą od zgorzkniałych, nieczułych rodziców i od dwóch młodszych braci, którymi się musiała opiekować, tak się cieszyła, że będzie mieć własny dom, własnego męża, a potem własne dzieci, kto by pomyślał, że to jej nie wystarczy.

Zaraz po jej odejściu na wąskiej ścieżce zjawiał się korowód niemłodych kobiet o grubych udach, usiłujących mu dowieść, że one się tym zadowolą, ale chciał tylko swoją krnąbrną dziewczynę, przy niej każda inna zdawała mu się natrętna i nudna jak on sam, a przecież nie chciał siebie, tylko ją, gotów był w każdej chwili przyjąć ją z powrotem, ale nie przysła, mimo że nic jej nie wychodziło od tamtej

pory, ani z tańcem, ani ze śpiewem, ani z grą, nie była wystarczająco młoda ani dość uzdolniona, okazało się, że tylko dla nas była gwiazdą, ale o dziwo nie załamała się, obnosiła się dumnie ze swoją klęską, z satysfakcją przypatrywała się zgliszczom swojego życia, jakby to, że miała odwagę ponieść porażkę, było jej największym sukcesem. Od lat zamierzam ją spytać, jak sobie radzi z dręczącą świadomością, że zmarnowała swój czas, i to za taką cenę, ale dziś jest zupełnie innym człowiekiem, tak szybko przeminęła jej uroda, jej marzenia, zmieniła się bardzo i mam wrażenie, że koścista staruszka o ziemistej, szerokiej twarzy nie wie nic o młodej kobiecie, która złamała mi życie, i nie ma sensu jej męczyć dawnymi pogłoskami na jej temat.

Znów mijam okno ich sypialni, próbuję zajrzeć do środka, wprawiam w drżenie kurtynę z kwiatów hibiskusa, omdlałych od upału, mam ochotę potrząsnąć zapuszczonymi drewnianymi żaluzjami, niech otworzą spieczone usta i wyjawią, co się właściwie działo tu, w tym pokoju, najmniejszym z pomieszczeń w tym domu, spali na rozkładanym łóżku, ona wyżej, na szerokim pościu, on u jej stóp na wąskim, co rano je składali, żeby móc się obrócić w tej klitce. Jestem bezsilna wobec sekretu żaluzji, to miejsce zawsze budziło we mnie niewymowną udrękę, przyprawiało o nieznośny ból gardła, ni z tego, ni z owego dobiega mnie koci lament, ze zdumienia aż otwieram usta, jak to możliwe, przecież nikt tu nie mieszka, jak się ten biedny zwierzak tam znalazł i jak teraz wyjdzie, kiedy wszystkie żaluzje są zapuszczone, a drzwi starannie zamknięte, znowu okrążam dom, próbuję zajrzeć do środka i nic nie widzę, dopiero z sypialni dochodzi ciche miauczenie i już czuję pewność, że to moja wina, że zapomniałam przed laty o kociaku, który w jakiś

cudowny sposób przeżył do dziś, a teraz błaga ostatkiem sił, żebym go uwolniła, i z przerażenia uciekam wąską ścieżką, ręka grzebie w torebce, gdzie kluczyki, byleby jak najszybciej wsiąść do samochodu i wynieść się stąd, po co w ogóle przyjeżdżałam, co tu komu po mnie, za to jestem potrzebna im dwojgu, Noa pewnie się martwi, czemu jeszcze nie wróciłam z pracy, już późno, on ją karci, zamiast uspokoić, myśl o nich, pozostawionych beze mnie w domu, prześladowe mnie przez całą drogę.

Ostry zapach smażonej cebuli wita mnie na schodach, wspinam się po nich niespokojna, mięśnie mnie bołą, jakbym przebyła powrotną trasę biegiem, znów sąsiadka z przeciwka z tym swoim gotowaniem, którego tak jej zazdroszczę, ale nie, zachęcająca woń dolatuje z naszej kuchni i łączy się z widokiem, który po raz ostatni oglądałam wyłączenie oczyma wyobraźni, Udi miesza coś na patelni dużą drewnianą łyżką, kiedy coś robi przy kuchni, zawsze przybiera pozę pełną rezerwy, stoi na jednej nodze, przydeptyując ją lekko drugą stopą, w samych majtkach i podartej niebieskiej koszulce, tyle lat mu trąbię nad głową, żeby ją wreszcie wyrzucił, ale odmawia, i słusznie, wygląda w niej jak chłopak, młodo i szczupło, wydaje się nagle znacznie młodszy ode mnie, i zdrowy, w mgnieniu oka uratowała go starożytna medycyna Wschodu. Noa stoi przy nim i kroje pomidory, pochyla się nad blatem, dolna warga ciąży jej ku dołowi, każdą rzecz robi z takim wysiłkiem, musi bardzo uważać, żeby nie stracić pomidora, nie skaleczyć się w palec, ale żrenice ma rozszerzone z radości, przyglądam im się w osłupieniu, jakbym przez pomyłkę trafiła do cudzej rodziny, tak często myślałam, że właśnie o takim widoku marzę, ale teraz patrzę oszołomiona, nie mogąc wydobyć głosu, jestem prawie

obrażona, zamiast się cieszyć, czuję się zbędna, o co tu chodzi, pędzę do nich z wywieszonym językiem, a okazuje się, że beze mnie radzą sobie znacznie lepiej.

Przyszłaś za wcześnie, mam, robimy ci niespodziankę, strofuje mnie Noa wesoło, podchodzę do kuchenki i patrzę mu przez ramię na patelnię, coś ci się przypaliło, Udi, zwęglone drobinki czosnku podskakują wśród twardych jeszcze kosteczek cebuli, ile razy mu tłumaczyłam, że czosnek należy dodawać dopiero kiedy cebula się zrumieni, ale nie przyjmuje tego do wiadomości, przekonany, że jego upór zwycięży i warzywa też dostosują się do niego, jak ja, jak Noa, i na widok szerniałych szczątków wpadam w szal, nigdy się nie nauczy, stoi jak bocian nad rozgrzaną patelnią, skrobie łyżką i zamiast się przyznać do błędu, zaczyna krzyczeć na Noę, jak zwykle zrzuca winę na kogoś innego. Co z tymi pomidorami, ile to trwa, nie widzisz, że zaraz się wszystko spali? Ona podaje pokornie wodniste plastry, nie wytrzymuję, Udi, cebula jeszcze nie gotowa, a czosnek jest już całkiem czarny, tyle razy ci powtarzałam, że trzeba najpierw wrzucać cebulę, a potem czosnek, nie wolno ich smażyć razem od początku.

On kuli się natychmiast, jakby go ktoś uderzył, patelnia drży mu w ręku, zaraz zamachnie się nią jak tenisową rakietą, ciśnie nią o podłogę i cała tłustawa breja się rozchlapie, już się zaczynam odsuwać, ciągnąc za sobą Noę, kiedy z hukiem odstawia patelnię na największy ogień, gotuj sama, skoro jesteś taką specjalistką, wrzeszczy, mam potąd twojego gderania, cokolwiek bym robił, uważasz, że robię to nie dość dobrze, i już znika w sypialni, trzaskając drzwiami, a ja biegnę za nim, żeby go jak najszybciej zakrzyczeć.



Jesteś po prostu stuknięty, słyszysz? Nie umiesz przyjąć jednego słowa krytyki, co ja takiego powiedziałam, tylko tyle, że najpierw się wrzuca cebulę, a potem czosnek, z tego powodu musisz wszystko popsuć? On już jest w łóżku, naciąga koc na głowę, ja popsułem? Ja? Wreszcie poczułem się trochę lepiej, próbuję ci zrobić niespodziankę, gotujemy ci obiad z Noą, a ty wpadasz z tą swoją cierpiętniczą miną i zamiast się ucieszyć, że w ogóle stoję na nogach, ciskasz się, że nie wrzuciłem cebuli przed czosnkiem? Myślałby kto, że popełniłem zbrodnię, spójrz kiedyś na siebie z boku, masz się za wielką świętą, uważasz, że wszyscy cię krzywdzą, a ja ci mówię, że w rzeczywistości jest zupełnie inaczej!

Patrzę ze smutkiem na koc, którym się przykrył, czarne i czerwone kwadraty pluja we mnie jego słowami, i mają rację, czy koniecznie musiały go uczyć gotować akurat w dniu, kiedy pierwszy raz wstał z łóżka, już się pochylałam nad nim, żeby go przeprosić, i w tym momencie rozlega się krzyk, mamó, coś się pali, więc rzucam się do kuchni, ogień już objął brzegi czarnej patelni, wszystko spalone, teraz i ja nie odróżniam cebuli od czosnku.

Zgłupiałaś, nie możesz wyłączyć gazu, wydzieram się na nią, masz prawie dziesięć lat, dziewczynki w twoim wieku gotują całe obiady, ona próbuje przekręcić kurek niezdarnymi palcami, omal go nie wrywa z kuchenki. Już wyłączyłam, nie widzisz, wrzeszczę, wybiegam na balkon, w mieszkaniu jest tyle dymu, że nie ma czym oddychać, ona za mną, z kolorowych oczu strzelają płomienie zielonej i niebieskiej nienawiści, upstrzonej żółtymi plamkami, po co w ogóle wracałaś, otwiera na mnie wielkie usta, było nam dobrze, dopóki się nie zjawiłaś. Pierwszy raz słyszę od niej podobne słowa, ale kiedy już padły, ogarnia mnie dziwne poczucie

ulgi, nieskrępowanej wolności, bez wątpienia znacznie łatwiej jest przyjąć coś takiego niż komplementy. Masz rację, szepczę, powinnam była tam zostać, leżeć na trawie i przyglądać się chmurom, zamiast się do was spieszyć, bo nikt tu nie potrzebuje moich poświęceń, i znowu poczucie winy dopada mnie jak dym, który wypełnia mieszkanie, chrypię i kaszlę, patrzę, jak popołudniowy skwar leje się z nieba na balkon, szkoda, że jeszcze nie noc, co zrobić z resztą dnia, który się wlecze za nami jak zraniona noga, trzeba ją obandażować, zająć się nią, a ja już nie mam na to siły.

Wydaje mi się, że przez chwilę dzwonił telefon, ale przestał, widocznie on odebrał, jego głos, dobiegający z daleka, mile mnie zaskakuje, od dnia, kiedy zachorował, w ogóle nie zwracał uwagi na uporczywy sygnał, już do nas idzie, toruje sobie drogę w dymie, siada przy mnie, ja kładę pojednawczo dłoń na jego kolanie i pytam łagodnie, kto to był, on odpowiada, Awner, miał jutro prowadzić grupę na Negewie, ale ma grypę, chce, żebym go zastąpił, a ja myślę urażona, ledwo zaczął dochodzić do siebie, znów przy pierwszej okazji od nas ucieka.

Ale ty musisz odpocząć, tato, mówi Noa błagalnie, jeszcze nie jesteś zdrowy, on oznajmia, to mi pomoże wyzdrowieć, muszę się ruszyć z domu, i wiem, że gdybyśmy teraz siedzieli przy obiedzie, który gotował, nie odebrałby tego telefonu, Noa też to wie, mierzy mnie oskarżycielskim spojrzeniem i rzuca, jestem głodna, może wyjdziemy coś zjeść. Idźcie same, opiera się Udi, chcę odpocząć, ja burczę, skoro masz siłę prowadzić jutro grupę, możesz zejść z nami do baru naprzeciwko, on wzdycha, ale nie protestuje, obserwuję u niego dzisiaj zawiązki powściągliwości, nie wyładowuje się na nas, co niby jest korzystne, a jednak budzi we mnie

dziwny smutek, podobnie jak koniec lata, bo chociaż narzekamy na upał, czujemy się dotknięci, kiedy musimy pożegnać chłodną słońce. Super, idziemy do baru! krzyczy Noa, ale na widok mojej zmartwionej miny jej zapal gaśnie, idę za nim do sypialni, krępujące pytanie trzepoce mi na końcu języka, kochasz mnie jeszcze, patrzę, jak wkłada na majtki krótkie spodenki, wiszą na obkurczonych udach jak dwie chorągiewki, powiewają przy każdym kroku, śledzę w napięciu jego ruchy, przecież tygodniami nie wychodził z domu, żeby tylko się nie rozmyślił albo nie przewrócił, bo nasze zaimprovizowane obchody jego powrotu do zdrowia spełzną na niczym.

Gdzie moje sandały, pyta, zaczynam ich wszędzie szukać, dawno ich nie potrzebował, gdzie się mogły podziać, nie ma ich w szufladzie w szafie ani pod łóżkiem, miotam się gorączkowo, jakby od tego zależało nasze życie, zaraz, jak one w ogóle wyglądały, pamiętam dwa brązowe, gładkie paski, on już się irytuje, przecież nie pójdę boso, opiera się o ścianę, widać, że ledwo stoi, jak jutro poprowadzi wycieczkę. Za chwilę wracam do łóżka, grozi, muszę odpocząć, przeczesuje palcami przetłuszczone włosy, Noa błaga, poczekaj, tato, biegnie do siebie, zaczyna przekopywać szafę, ja za nią, co ty wyprawiasz, dlaczego miałyby być w takim miejscu? Ona czerwieni się, bo kiedyś je schowałam, tylko mu nie mów, przysięgnij.

Ubrania fruwać w powietrzu, uciekają z pustoszejącej szafy, ja szepczę, zupełnie zwariowałaś, po co było je chować? Ona szlocha, kilka dni temu śniło mi się, że tata od nas odchodzi, więc mu zabrałam sandały, żeby nie mógł wyjść bez mojej zgody, nie pamiętam, gdzie je włożyłam, to było w środku nocy, ja gapię się bezradnie na sterty ubrań, nie ma

radę, kłątwa ciąży na naszej trójce, oto czym jesteśmy, trojgiem ludzi, nie żadną rodziną, nawet wyjść razem z domu nie potrafimy, rzucam się wyczerpana na jej łóżko, przyglądam się obojętnie jej wysiłkom, też stałam się powściągliwa, nie odpowiadam za to, co się tu dzieje, jestem tylko jedną z trzech osób, pamiętam, była taka zabawa w dzieciństwie, wyciągaliśmy przed siebie brudne ręce i wrzeszczeliśmy radośnie: jedno z trojga odpada!

Wierzę się niespokojnie, próbuję się jakoś umościć, co to za dziwne wzgórki, i pytam ją ze złością, co się dzieje z tym materacem, jest zupełnie nowy, a zobacz, jak się wybrzuszył, siadam, unoszę go i nie wierzę własnym oczom, patrz, Noa, co narobiłaś! Spod materaca zerkają na mnie dwa brązowe paski i grube, elastyczne podeszwy, jak w ogóle mogłaś tak spać, na jego butach, ona czerwieni się i szepcze, tylko nie mów tacie, pamiętaj, ja uspokajam ją, nic się nie martw, i macham sandałami z wymuszoną wesołością. Znalazłyśmy, Udi, obwieszczam, chodźmy, ale z salonu odpowiadają mi zgrzytliwe chrapnięcia, pochrapuje, jakby dwie piły piłowały jedna drugą na drobne kawałki, nie słyszy już ani mnie, ani siebie, bo zasnął na kanapie, długie, wąskie plecy przyglądają się nam niepewnie, a bose nogi garną się do siebie jak osierocone kociaki.

## Rozdział trzynasty

Czego ja szukam w tych krzakach, waham się przy bramie, już prawie wstukuję kod wejściowy, ale się wycofuję, idę w górę ulicy, wracam na moment do samochodu, jakbym czegoś zapomniała, próbuję dać jej szansę, niech mnie zawoła, niech wychynie nagle z jakiegoś kąta, tak, bez wątpienia to na nią czekam, o niej całą noc myślałam, nie o Udim, który spał dalej na kanapie w salonie, zwalniając nasze małżeńskie łóże, dawno przeze mnie opuszczone, przesiąknięte kwaśnymi wyziewami jego choroby, z trudem w nim zasnęłam, jakbym przypadkiem znalazła się w zapuszczonej kawalerce, myślałam tylko o niej, na złość Udiemu i Noi, których karałam w ten sposób, o jej zawstydzonym brzuchu, zranionych oczach i pogmatwanym losie, i im dalej w noc, tym wyraźniej jawiło mi się jej nieszczęście, pewnie nie może zmrużyć oka, targana bólem w łóżku pełnym nienawiści, jak mógł wyskoczyć z okrętu jej życia, porzucić ją na pastwę nieludzkiej decyzji, miałam nadzieję, że Jael już nie wróci, nie mogłabym jej pomóc, a jednak czekam na nią, przekraczam po raz kolejny pustą ulicę, rzekę wrzącego asfaltu, na której brzegach przycupnęły spragnione samochody, co ona robi, przecież nie ma się do kogo zwrócić, ja też ją zawiodłam. Trudno, nie pozostaje mi nic innego, jak wejść

do środka, naciskam niechętnie sekretne cyfry, jest już po śniadaniu, dziewczyny zbierają naczynia, z ich ubrań unosi się zapach sałaty z cytryną i tłustych omletów, w koszyczku znajduję ostatnią bułkę, łapię ją natychmiast, zanurzam ukradkiem w talerzu, którego nie zdążyły sprzątnąć, wypełnionym po brzegi niedojedzoną sałatą i małymi trójkącikami omletu, i wpycham szybko do ust, nie obchodzi mnie nawet, kto zostawił te resztki, jakby wszyscy w ośrodku byli moimi dziećmi, i widzę, że Chani uśmiecha się do mnie z zażenowaniem, zmieszana bardziej niż ja, że była naocznym świadkiem, jak rzucam się na odpadki niczym kot uliczny. To twój talerz, pytam, a ona potakuje niepewnie, jest dla mnie oczywiste, że kłamie, bo nie chce mnie zawstydząć, więc też uśmiecham się do niej, biorę do ręki trójkącik zimnego omletu, żeby się przekonała, że trwam przy swojej decyzji, zgodnie z tym, co im wbijam do głowy. Wydaje mi się, że błyszczy na nim gęsta ślina liany, ta wiecznie się ślini, ale muszę przełknąć pomimo rozpaczliwych protestów żołądka, i pytam ją z wysiłkiem, jak robótka, ona powiewa dumnie różową chmurką, za parę dni skończę, nie mogę urodzić wcześniej, ja mówię, świetnie, i głaszczę ją po ramieniu z roztargnieniem.

Z daleka dochodzi echem głos Anat, jest coraz bliżej, każe dziewczynom się pospieszyć, jedziemy do szpitala, nie mów, że nie pamiętałaś, ja oczywiście zapomniałam o tym, od czasu do czasu zawozimy je, jak zawozi się dzieci do zoo, żeby pokazać im sale porodowe i noworodki, one kręcą się po szpitalu smutne i ociężałe, brzuchami ocierają się o przezroczyste wózki, jakby próbowały powiązać namacalność śpiących w nich istot z tajemnicą kryjącą się w ich własnym wnętrzu.

Jak poszło wczoraj z Eti, pyta, prześlizgując się czystym błękitnym spojrzeniem po mojej twarzy, zupełnie gładko, odpowiadam, bez najmniejszego problemu, i wyjmuję z torebki podpisane dokumenty. Zanieś je Chawie, ponagla mnie, była zła, że nie wróciłaś tu wczoraj, więc pędzę do biura Chawy, podaję jej pokornie formularze z cennym podpisem, jak biedak, który składa nienasyconej bogini ofiarę z małego dziecka. Były problemy? pyta z zadowoleniem, ja bąkam, nie, poszło naprawdę łatwo, i natychmiast wychodzę, nim zdąży przeczytać w moich myślach, co sędzę na temat tego wątpliwego sukcesu, przesiąkniętego zapachem klęski, wiem, że zza grubych szkieleł śledzi z dezaprobatą moje kroki, a bruzdy zatroskania przecinają niespodziewanie jej czoło.

Na'ama, ktoś na ciebie czeka przy bramie, krzyczy Anat z jednego z wielu pokojów, ja pytam, kto taki, starając się ukryć radość, która tańczy we mnie, ona mówi, nie mam pojęcia, dzwonili z dołu, prosząc, żebyś zeszała, tylko się pospiesz, bo zaraz wyjeżdżamy, więc zbiegam z tupotem po schodach, to na pewno Jael, chce dać mi ostatnią szansę, tym razem muszę jej pomóc, nagle wiem doskonale, co powinna zrobić, powiem jej to wyraźnie, bez wahania, czasem w chaosie wątpliwości pojawia się taka chwila, w której nie wolno milczeć, trzeba działać, aby zapobiec nieszczęściu.

Ale przy bramie nikt nie czeka, rozglądam się wokół z nadzieją, na przeciwległym chodniku siedzi mężczyzna w niebieskiej koszulce z głową zwieszoną między kolana, momentalnie zrobił się upały, z trudem otwieram oczy, szukam jej po omacku, Jael, tu jestem, szepczę w niemą przestrzeń, nie bój się, mogę ci pomóc, i dopiero kiedy podchodzę bliżej, poznaję go, najpierw sandały, dwa brązowe paski,

które zaledwie wczoraj wznosiłam triumfalnie w górę jak puchar, potem koszulkę, którą od lat mu każę wyrzucić, Udi, wołam, usiłując nie okazywać rozczarowania i strachu, który zaczyna mnie ogarniać, skąd się tu wzięłeś, miałeś prowadzić grupę na Negewie?

On unosi szarą, spoconą twarz, wszystko zostało odwołane, szepcze, nie nie pamiętałem, ja siadam przy nim, nie bardzo rozumiem, czego nie pamiętałeś, chociaż zdążyłam się zorientować, że stało się coś niedobrego, on nigdy nie przerywał wycieczek w połowie. Zabrałem ich do Lachisz, chrypi, przez całą chorobę tęskniłem za tym miejscem, chciałem im przedstawić dzieje miasta, opowiedzieć o listach, które tam znaleziono, przecież znam je wszystkie na pamięć, i nagle wszystko zapomniałem.

Ale Udi, każdemu się zdarza, otaczam go ramieniem, staram się nie zwracać uwagi na buchającą od niego woń potu, trzeba chwilę odczekać i samo przejdzie, on na to, myślisz, że nie czekałem? Zarządziłem przerwę, oni usiedli coś zjeść, a ja poszedłem na spacer po wykopaliskach, próbując sobie przypomnieć, gdzie jestem, ale kiedy zebrali się wokół mnie, z powrotem wszystko zapomniałem, nie miałem pojęcia, co im powiedzieć, znów spuszcza głowę, już nigdy więcej nie poprowadzę wycieczki, nie wyobrażasz sobie, Na'ama, co to za upokorzenie, ja czuję nerwowy skurcz w żołądku, co z nim będzie, co będzie z nami, z czego będziemy żyć, ale natychmiast stwierdzam energicznie, nie czas teraz na decyzje, Udi, musisz się uspokoić, widocznie zbyt wcześnie wstałeś z łóżka, a on lamentuje, wiesz, co to znaczy odwołać wycieczkę, jak oni na mnie patrzyli, co my zrobimy, Noam, co to będzie?



Wstaję ociężale, podaję mu rękę i wlokę go za sobą jak nieposłuszne dziecko, które nie chce iść do przedszkola, resztki połkniętego ukradkiem omletu palą, jakby słońce go dosmażało, fala młodości podchodzi do gardła, tym razem się naprawdę załamał, jego ręka spoczywa bezsilnie w mojej dłoni, co z nim będzie, tak się zawsze chlubił świetną pamięcią, z dumą sypał datami, nazwami i nazwiskami, opisywał skomplikowane procesy historyczne, a teraz wzbierze w nim gorycz i wszystkich nas zaleje, już widzę, jak Noa i ja walczymy, by się utrzymać na powierzchni gęstego bagna jego zgorzknienia, wokół nóg oplatają się ciężkie wodorosty, ciągną nas w dół, nie mamy się czego uchwycić, jej włosy są czarne od błota, próbuję ją złapać za rękę ostatkiem siły, Nojeczko, nie toń, ale jej śliskie palce wymykają się jeden po drugim z mojej dłoni. To boli, Na'ama, Udi cofa rękę, ja otrząsam się z zamyślenia, pomagam mu wsiąść do samochodu, z westchnieniem siadam przy nim, nie mam siły wchodzić na górę, żeby ją zawiadomić, Anat zaraz sama odkryje, że zniknęłam, że musi się w tym strasznym skwarze wlec z dziewczynami beze mnie, kolejny dzień pracy przepadł, to razem dwa, jego i mój, oboje już wypadliśmy poza ramy zdrowego, normalnie funkcjonującego świata. Pędzimy szczelnie zamkniętym samochodem, nasze oddechy świszczą wśród zasuniętych szyb, byle do domu, ale co tam będziemy robić, co jeszcze nam zostało do zrobienia, kto nam pomoże. Co by nam teraz powiedziała lekarka z noworodkiem na ręku, czy to też dobre nowiny, czy to też jakaś szansa, myślę o niej z urazą, jakby była wszystkiemu winna, a potem z nagłą nadzieją, to właśnie musimy zrobić, zadzwonimy do niej, przyjdzie natychmiast, okadzi dom swoim czystym dymem, stworzy przynajmniej pozory aktywności. Jak dojedziemy do domu, zadzwonię po Zoharę,

mówię, pewna, że Udi się sprzeciwi, ale on przytakuje, właśnie o tym myślałem, i twarz mu się ożywia, kiedy po chwili dodaje, bo nie ujrzymy Azeki.

Kogo, pytam, on odpowiada, Azeki, wielkiej twierdzy w Judzie, to mój ulubiony cytat z listów z Lachisz, całe rano próbowałem go sobie przypomnieć i wreszcie się udało, niechaj Bóg sprawi, by pan mój posłyszał wieść o pokoju dziś i w tym dniu, dziś i w tym dniu ogni z Lachisz wypatrujemy wszystkimi znakami, jakie dał mój pan, bo nie ujrzymy Azeki. Słucham niechętnie, co mi po starożytnych listach, żeby tylko Zohara miała czas, żeby tu przyjechała jak najszybciej, zostawię go z nią, a sama wrócę do pracy, nie można w ten sposób dzień po dniu, i rzeczywiście jest wolna, skwapliwie przytakuje moim słowom, potwierdza chaotyczną relację, jakby się spodziewała właśnie takiego rozwoju wypadków, jakby wszystko szło po jej myśli, obiecuje zaraz przyjechać, on biegnie do łazienki, powtarzając pod nosem wersety odzyskane z niepamięci, jak chłopiec przed bar micwą, wbijający sobie do głowy ustęp z Tory, siada w wannie, zmywa z siebie upokorzenie, przyglądam się jego sterczącym kościstym kolanom, on otwiera oczy, zauważa mnie i na jego twarzy pojawia się wstydlivy, bezradny uśmiech. Czegoś w nim brakuje, stwierdzam, lustrując go z z troskaniem, jak okradziony dom, ale czego go pozbawiono, tak niewiele widać od zewnątrz, najważniejsze kryje się w środku, pod wybladłą okrywą skóry, niby wszystko w porządku, każda część ciała jest na swoim miejscu, a jednak brakuje czegoś, co je trzymało twardą ręką, wiem, płci, seksualność, która spajała go w jedno pragnienie, uparte i stanowcze, nagle rozwiązała się, utraciła nad nim kontrolę, a bez niej jest jakimś nieokreślonym tworem, niemal bezużytecznym. Czego teraz pragnie,

zawsze kiedy wchodziłam za nim do łazienki, w jego ciele zaczynał się ruch, jakby wiatr po nim przeszedł, jednak tym razem patrzy obojętnie, jak się rozbieram, i ani drgnie, zaraz wychodzę, mówi, ale wysuwam ostrożnie stopę, dotykam go lekko, siadam w wannie naprzeciw niego, jest miejsce dla nas obojga, Udi, już nie pamiętasz?

Moje białe, rozrośnięte biodra rozpierają ścianki wanny, spiętrzają wodę jak tama, aż ciśnie się za plecami, drzwi z mojej tuszy, on wcześniej nawet lubił, kiedy przybierałam na wadze, ale teraz wydaje się tego nie zauważać, czego pragnie, wokół jakiego celu jednoczy się jego ciało, może marzy o wyzdrowieniu, a może o czymś innym, jego ukryte pragnienie zagraża mi, bo nie mam w nim udziału, bo nie jest już ode mnie zależne, czym mam zapełnić pustkę po jego pożądaniu.

Namydłą się starannie, cały pokrywa się pianą, sięga do stóp, szoruje każdy palec, a nawet miejsca między palcami, jakby chodził po błocie, co pewien czas wydaje niezrozumiałe pomruki, pochłonięty sobą bez reszty, już pamiętam, oświadcza triumfalnie, do pana mego Jausza, niechaj Bóg sprawi, by pan mój posłyszał wieść o pokoju dziś i w tym dniu, dziś i w tym dniu, kimże jest sługa twój, jak nie psem, że pan mój wspomniał na swego sługę, sługa twój Hoszajahu posyła do swego pana Jausza, niechaj Bóg sprawi, by pan mój posłyszał wieść o pokoju, bo serce sługi twego boleje, odkąd tyś do niego posłał, i wiedz, że ogni z Lachisz wypatrujemy wszystkimi znaki, jakie dał mój pan, bo nie ujrzymy Azeka.

Kiedyś dokładnie pamiętałem, co jest napisane w każdym liście, teraz wszystko mi się pomieszało, mówi z przepraszającym uśmiechem, ja pytam, co to za listy, a on odpo-

wiada, ostraki z Lachisz? To pierwsze prywatne zapiski znalezione w Izraelu po hebrajsku, mniej więcej z czasów proroka Jeremiasza. A czemu oni nie widzą Azeki? udaję zaciekanie, on wyjaśnia ochoczo, Azeka to twierdza w pobliżu Lachisz, po drodze do Jerozolimy, prawdopodobnie została już wcześniej zdobyta przez Babilończyków, dlatego nie można w niej było zapalić stosów, więc ten, kto to pisał, musiał wypatrywać sygnałów świetlnych z Lachisz, i już wymachuje rękami, szkicuje mapę w rzednącej pianie, tu jest Lachisz, tu Azeka, tu niewielkie miasto warowne, z którego wysłano listy, a tu Jerozolima, która też wkrótce zostanie zdobyta i zburzona, siedzi w stygnącej kąpieli i z zapalonym wygłasza swój wykład, jakby stał właśnie na szczycie starożytnego telu, wszystko, co ominęło wycieczkowiczów dziś rano, przypada mnie, prywatny przewodnik udziela mi objaśnień, o które nie prosiłam, zmuszam się do słuchania, chociaż naprawdę niewiele mnie to obchodzi, mam ważniejsze sprawy na głowie, znacznie pilniejsze niż jakaś historia sprzed dwóch i pół tysiąca lat, ale on nie wyczuwa braku zainteresowania i opowiada dalej o jakimś proroku z Kiriat Jearim, którego przepowiednie wszelkich nieszczęść pozbawiały otuchy wojowników i lud w ostatnich miesiącach królestwa Judy, tak że król i jego ludzie postanowili go zabić, dlatego Hoszajahu, autor listów, błaga swojego pana, żeby zapobiegł tej tragedii. Woda wokół mnie już ostygła, na zewnątrz jest tak gorąco, ale ja drzę w wannie z zimna, jak na początku choroby, i pytam obojętnie, co się z nim w końcu stało, z tym prorokiem, on odpowiada, zdaje się, że uciekł do Egiptu, ale go sprowadzili z powrotem i zabili, wyobraź sobie, sądzili, że jeśli go usuną, świat zapomni o jego słowach, ja mówię, więc umarł, nie wiedząc, że miał rację, że jego

prorocstwo się spełniło, a Udi przytakuje, dopiero po upadku królestwa Judy można było odróżnić, kto był fałszywym, a kto prawdziwym prorokiem, wszyscy ci, którzy prorokowali pokój i pomyślność, okazali się oszustami, tylko Jeremiasz i ten drugi, któremu nikt nie wierzył, byli prawdziwymi prorokami.

Czemu tak cię interesują zmarli prorocy, pytam z wyrzutem, on odpowiada, interesuje mnie przeszłość, a przeszłość jest pełna umarłych, wśród nich zarówno prawdziwych, jak fałszywych proroków, ich kości się mieszają, pamiętasz opowieść o mężu Bożym, który przyszedł z Judy i zginął, bo stary prorok z Samarii przywiódł go do grzechu? Oni też w końcu spoczęli w jednym grobie.

Już szczękam zębami, ale on na nic nie zważa, tym razem przeszłość rozpala mu krew, a nie moje piersi, które unoszą się przed nim na wodzie jak tłuste ryby, pływają do góry brzuchem, zerkając jedynym okiem, wiecznie gonił za moją nagością, wyciągając po nią dziesiątki palców, zawsze gdy się kąpałam, wchodził za mną i próbował szczęścia, a ja irytowałam się, nie można się rozebrać w tym domu, bo zaraz to traktujesz jak zachętę. Ciesz się, że tak jest, syczał urażony, wolałabyś, żebym był oziębły? W skrytości ducha odpowiadałam, może i tak, ale teraz już nie wiem, co lepsze, zęby stukają o siebie, nie, to nie zęby, ktoś puka do drzwi, słysząc to tak wyraźnie, jakby pukał do drzwi łazienki. Pospiesznie wyskakuję z wanny, wkładam szlafrok, mam dziwne uczucie, jakby ktoś obcy chodził po domu, oglądał nas w naszej nagości, drzwi wejściowe ustępują ze zgrzytem, ciemna postać majączy na progu, zupełnie zapomniałam, że ją wezwałam, u mnie też krucho z pamięcią. Jak szybko się zjawiła, myślę ze zdziwieniem, nie ma co robić z czasem,

i podchodzę do drzwi, wejdz, Zohara, dziękuję ci, że przyszłaś, przyglądam się jej z zazdrością, skąpa sukienka opina się na szczupłym ciele, nikt by nie zgadł, że dopiero co urodziła, to ja w wyświechtanym szlafroku, z obwisłymi fałdami tłuszczu wyglądam jak po porodzie, ale nie ma sensu się spierać, bo trzyma w ramionach dowód, jasne małeństwo, którego rysy stopniowo stają się bardziej czytelne, jak starożytne, trudne do rozszyfrowania pismo, dziękuję, że przyszłaś, powtarzam, ja dla nikogo nie wyszłabym z dzieckiem na dwór w taki upał, pozwalam sobie na drobny przytyk, bo ciągle się zastanawiam, czym sobie zasłużyliśmy na jej oddanie, czy on rzeczywiście jest aż tak cierpiący.

Bo wcale nie wygląda na chorego, gdy stawia się w salonie ze spódniczką z ręcznika wokół bioder, ona obrzuca nas zaciekawionym spojrzeniem, zorientowała się, że wyciągnęła nas z wanny, a jednak nie wyczuwa zażyłości, to pewne, jesteśmy po prostu bardzo czyści, wymoczeni, wyszorowani, bez blasku cielesnej bliskości. Czarne oczy mierzą nas oboje z bezosobowym, wszechogarniającym współczuciem, kładzie córeczkę na kanapę, wznosi wokół niej mur z poduszek, mroczne, sięgające bioder pasma włosów pieszczą ciało niemowlęcia, jest dziś prawie piękna, trochę kanciasta, ale trudno od niej oderwać wzrok, każdy jej gest wpływa harmonijnie z poprzedniego ruchu. Nie sprawia wrażenia przejętej moją zawołowaną krytyką ani podziękowaniem, nie bierze tego do siebie, dociera do mnie nagle, nie zastanawia się, co każde moje słowo mówi o niej, tylko co mówi o mnie, nie przyszła po ocenę, przyszła pomóc.

To nie klęska, Ehud, wyjaśnia spokojnie, grzebiąc jednocześnie w torebce, wyjmuje małe, płóciennne woreczki, układa je na stole w równym rzędzie, nie traktuj tego jak klęskę

czy karę, wszystko, co ci się teraz zdarza, po prostu odzwierciedla przeszłość, on w zamyśleniu przeczesuje palcami włosy i pyta z nieśmiałym uśmiechem, co to znaczy? Jesteś teraz tym, czym byłeś, odpowiada Zohara, w przyszłości będziesz tym, co robisz teraz, rozumiesz? Skutki naszych czynów dojrzewają powoli, doganiają nas, kiedy już dawno zapomnieliśmy, co takiego zrobiliśmy, każdy zły uczynek wraca do nas, pozostawia po sobie cień, napełnia nas obrzydzeniem, ale te cienie należą do przeszłości, Ehud, ból, którego teraz doświadczasz, to kumulacja skutków, dojrzewanie owocu, znajdź ulgę w świadomości, że to już koniec procesu.

Jak to koniec procesu, dziwi się, może to dopiero początek, a ona się uśmiecha, to już zależy od ciebie, jeśli dziś zmienisz swoje skłonności, tym samym zmienisz przyszłość. Popatrz na swoje ciało, dodaje, jej oczy wędrują w dół po obnażonej piersi i zatrzymują się na czerwonym ręczniku, negatywne emocje gromadzą się w ośrodkach energetycznych, ziarna piekła kiełkują na podeszwach stóp, gdzie się zbiera złość, ziarna głodnych duchów dojrzewają u podstawy kręgosłupa, gdzie mieszka pożądliwość, ziarna zazdrości kryją się w gardle, popracujemy nad oczyszczeniem tych obszarów, jest to co prawda zabieg, który zazwyczaj przeprowadza się po śmierci, ale my nie będziemy czekać.

Jak to zrobić, wybucham, czuję się, jakbym się nie odzywała od wielu godzin, z trudem wyrzucam z siebie więznący w gardle głos, jak się oczyścić, jak się zmienić, to przecież tylko słowa, ona spogląda na mnie nieporuszona, jedynie poprzez cierpienie można się zmienić, cierpienie mobilizuje nasz potencjał duchowy, budzi nas ze snu, zmusza do uwolnienia mocy, która jest w nas. W miarę jak podążamy ścieżką duchowego rozwoju, nasze stare wyobrażenia o świecie

i o nas samych rozwiewają się, wyłania się zupełnie nowy obraz. Może zacząłeś zdrowieć, ale się nie zmieniłeś, zwraca się do niego z łagodnym wyrzutem, wyruszyłeś dziś rano na Negew, kierując się negatywnymi emocjami, musisz się zmienić teraz, inaczej zapłacisz wysoką cenę w przyszłości. Nie przesadzasz trochę, śmieje się Udi, w kim nie ma negatywnych emocji, ona otwiera szeroko oczy z udawanym zdziwieniem, ja przesadzam? Wiesz, jaki wpływ ma każda myśl, która kiedykolwiek zrodziła się w twojej głowie, każde słowo, które wypowiedziałeś, każde uczucie? Mówię o wpływie na pogodę, rośliny i zwierzęta, na ziemię i powietrze, nie tylko na innego człowieka, on lekko otwiera usta i milknie zawstydzony, puszczając ręcznik, ja patrzę w napięciu na poluzowany węzeł, zaraz opadnie na podłogę, ale szybko przenoszę wzrok na nią, patrzę tylko na nią, bo wiem, że i tak niczego przed nią nie ukryjemy.

Słyszałam gniew w twoim głosie, Na'ama, odwraca się w moją stronę, złościłaś się na niego, że ci dziś przeszkodził w pracy, złościsz się o te wszystkie tygodnie, musisz się oczyścić z gniewu, obudzić w sobie współczucie, nie litość, uczucie brutalne i wynikające ze strachu, ja bronię się natychmiast, zerkając na niego niespokojnie, po prostu się wystraszyłam, kiedy go zobaczyłam rano, nie jest łatwo żyć, kiedy prawie codziennie coś się komplikuje.

Musisz zrozumieć, że nie masz powodu się na niego złościć, powinnaś mu dziękować, przez swoje cierpienie budzi w tobie współczucie, daje ci najwspanialszy prezent, wiesz, że w Tybecie mówią, że żebrak, który nas prosi o wsparcie, czy schorowana staruszka potrzebująca pomocy mogą być Buddą w przebraniu, stojącym na naszej drodze, żeby obudzić w nas współczucie i doprowadzić do przemiany duchowej.



Przyglądam się bez przekonania chudemu, wrogiemu Buddzie w czerwonej spódniczce z ręcznika, nie ma w nim światła, unika mojego spojrzenia, kiedyś mrugaliśmy do siebie porozumiewawczo, obgadywaliśmy innych wzrokiem, wymienialiśmy sekretne uśmiechy, maskując swój sceptycyzm, ale teraz jesteśmy sobie obcy, jakbyśmy się nie spotkali nigdy przedtem, jak dwoje uczniów, którzy przypadkiem znaleźli się na korepetycjach u tej samej nauczycielki, i jedyne, co ich łączy, to jej wymówki.

Jak obudzić w sobie współczucie, pytam, ona odpowiada natychmiast, zawsze ma gotową odpowiedź, nie potrzebuje ani chwili do namysłu, spróbuj na niego spojrzeć tak, jak patrzysz na siebie samą, nie w roli męża czy ojca, zobacz w nim wolnego człowieka, takiego samego jak ty, z tym samym pragnieniem szczęścia i lękiem przed cierpieniem. Spróbuj sobie wyobrazić kogoś, kogo bardzo kochasz, w jego sytuacji, powiedzmy swoją córkę, zastanów się, co byś czuła w stosunku do niej, a potem przenieś na niego to uczucie, ja już odrzucam jej słowa, na Boga, nie mam nawet odwagi chcieć wyobrazić sobie Noę na jego miejscu, ona mówi uspokajającym tonem, popełniasz poważny błąd, Na'ama, myśląc o niej w ten sposób, możesz jej tylko pomóc się wyzwolić, po prostu wciąż nie rozumiesz, jakich cudów może dokonać współczucie, jest błogosławieństwem dla wszystkich, którzy mają w nim udział, dla tego, w kim się budzi, tego, kto je pomógł obudzić, i tego, wobec kogo je odczuwamy.

Znowu przyglądam się jej z nieśmiałym uwielbieniem, siedzi wyprostowana, wyciągając w naszym kierunku szyję, bo oboje stoimy, jedną ręką podtrzymuje plecki dziecka, jej włosy, poruszane ciepłym południowym wiatrem z bal-

konu, tworzą nad głową ciemną mgiełkę, głos wypływa z krtani świeży i wilgotny, czuję, że mogłabym jej słuchać wiecznie. Tak zapewne słuchali stroskani Judejczycy proctw niosących pociechę i zachętę, więc coś dziwnego, że chcieli uciszyć ponurego proroka, który swoimi groźbami mącił ich szczęście, o, córko mojego ludu, wdziej wór i tarzaj się w prochu, urządz sobie żałobę jak po jedynaku, gorzki lament, gdyż śmierć stanęła w naszych oknach, wkroczyła do naszych pałaców, tak, muszę to dla niej zrobić, rozplynać się we współczuciu, próbuję sobie wyobrazić Noę leżącą w łóżku bez ruchu, cierpiącą na tajemniczą chorobę. Nie, to nie współczucie budzi się we mnie, tylko wielki strach, już patrzę na zegarek, dziś wraca wcześniej, nie byłoby dobrze, gdyby zastała w domu Udiego, zrozumiałaby, że znów coś jest nie tak, rano ulżyło jej, gdy zobaczyła, że nasza znienawidzona rutyna wraca, muszę ją jakoś zatrzymać, pokręcić się z nią po mieście, i w jednej chwili ogarnia mnie nieufność, przetacza się po mnie jak zimowe słońce, które to chowa się, to wychodzi zza chmur, to zaciemnia, to rozjaśnia krajobraz, i patrzę z wrogością na woreczki w jej dłoni, wyjmuje z nich brązowe kuleczki, miniaturowe sarnie bobki, Dalajlama je pobłogosławił, mówi, a on ogląda je z zachwytem. Uciekam od nich, pełna podejrzeń, idę się ubrać, ściany sypialni tłumią ich rozmowę, puls wroga jest u ciebie silny, ostrzega go, to znaczy, że wkrótce spotkasz wroga albo że wróg już jest w twoim życiu, on odpowiada, zawsze są jacyś wrogowie, problem w tym, jak ich rozpoznać, przecież dopiero po fakcie było wiadomo, kto naprawdę zagrażał królestwu Judy, Egipt czy Babilonia.

Odbiorę Noę ze szkoły i pójdziemy coś zjeść, nie chcę, żeby cię zastała w domu z Zoharą, będzie się martwić,

mówię, on patrzy na mnie z niechęcią, marszcząc czoło, jakbym to ja była jego wrogiem, ona odzywa się, mogę wyjść, jeśli chcesz, chociaż wydaje mi się, że ciągłe ukrywanie nie ma sensu, jednak zrewanżowała się za szpileczkę, chociaż myślałam, że jej nie zauważyła, wcale nie ciągłe, odpowiadam, po prostu nie chcę jej martwić, to chyba też rodzaj współczucia?

Przelewają się przez bramę grupkami jak wzburzone, rozhukane fale, nawet przez zamknięte okna w samochodzie słyszę ich ryk, gdzieniegdzie rozpoznaję znajome twarze dzieci, które kiedyś, rok, może dwa lata temu, kręciły się u nas po domu, zamykały się z nią w pokoju przed telewizorem, co jakiś czas wpadały do kuchni, prosząc o coś do picia, dawałam im sok malinowy, a one zostawiały po sobie lepkie kałuże, mam ochotę zatrzymać je i zapytać, czemu przestaliście przychodzić, dlaczego ją odtrącacie, wróćcie do nas, przyniosę wam do pokoju całe tace soku, lody, colę, chipsy, co tylko zechcecie, bylebyście wrócili. Nie poznają mnie, nie wychodzą poza swój hałaśliwy świat, choćbym leżała bez ruchu na poboczu, nie zauważyliby mnie, już robi się ich mniej, wezbrany strumień wysycha, o, Szira i Meiraw, papużki nierozłączki, obie w króciutkich, prawie identycznych sukienkach, ale gdzie Noa, dlaczego akurat jej nie ma. Może wychodziła pierwsza i spóźniłam się, już zamierzam wracać do domu, kiedy ją widzę z daleka, co za ulga, szczęście prawie, nie jest sama, rozmawia z kimś, znalazł się ktoś, kogo obchodzi, co ona ma do powiedzenia, jest trochę wyższy od niej, zaraz, okrągłe okulary, przerzedzone włosy, kto to w ogóle jest, nie wygląda na dziecko, to dorosły, z kim ona się prowadzi. On mówi i mówi, wymachuje rękami z ożywieniem, ona milczy ze wzrokiem wbitym w ziemię,

zatrzymują się niedaleko ode mnie, ona uśmiecha się na pożegnanie i idzie dalej, on wsiada do sąsiedniego samochodu, ja gapię się na nią bezmyślnie, aż wreszcie przytomnieję, otwieram okno i wołam, Noa!

Tornister podskakuje na jej plecach, kiedy odwraca się do mnie, mama, skąd się tu wzięłaś, nie jesteś w pracy? Dokładnie o to samo zapytałam Udiego zaledwie kilka godzin temu, mamy dziś dzień niespodzianek, on zaskoczył mnie, a ja ją, tak to już jest w rodzinie, każde zdarzenie wywołuje reakcję łańcuchową, odpowiadam jej z wymuszoną wesołością, skończyłam dzisiaj wcześniej, więc przyszedłam cię zabrać na małe zakupy, zjemy coś w centrum handlowym i kupimy ci jakąś sukienkę, nie możesz łązić w tych szmatach. Ale ona nie podejmuje mojego swobodnego tonu, coś się stało, docieka, dlaczego skończyłaś wcześniej? Przygląda mi się nieufnie, ja mówię, nic się nie stało, Anat zabrała dziewczyny pokazać im noworodki, więc nie byłam potrzebna. Wsiada ze mną do samochodu, ja nie wytrzymuję i pytam, kto to był, ona bąka, Rami, nauczyciel historii, opowiadałam ci o nim, kiwam głową, pewnie opowiadała, a ja nie słuchałam, słuchanie ich obojga przychodzi mi z wielkim trudem. Taki młody? dziwię się, wygląda, jakby był prawie w twoim wieku, czego od ciebie chciał? Ona wierci się niespokojnie, a tak, nic specjalnego, ale przecież dobrze widziałam gwałtowną gestykulację, teraz moja kolej nie wierzyć, więc pytam, o czym z tobą rozmawiał z takim zapałem?

A tak, mamrocze Noa, znaczy wydaje mu się, że materiał mnie niezbyt interesuje, więc próbował mnie jakoś zaciekawić, znaczy pokazać, że to, czego się uczymy, jakoś się wiąże z naszym życiem, ja przypominam sobie surowy wykład Udiego nad pianą w wannie i mówię, tak? A to w jaki spo-

sób? Ona wykręca się, nie mam pojęcia, w ogóle nie zrozumiałam, o co mu chodzi. Przyglądam jej się podejrzliwie, obydwie nie do końca sobie wierzymy, modłę się tylko, żeby mi się nie zakochała w infantylnym belfrze od historii, przez brak kontaktu z ojcem wszystko się może zdarzyć. To co byś zjadła, pytam, ona rzuca, nie jestem głodna, chcę do domu, ja irytuję się, ale ja jestem głodna, ja też jestem żywym człowiekiem, czuję, że za moment mój krzyk przerodzi się w płacz, niepotrzebnie się wpędziłam w pułapkę, Zohara miała rację, nie ma sensu ukrywać, ona czuje, że coś się dzieje, ale uznaję, że już się nie można wycofać, dociskam gaz, zerkając na nią ukradkiem, głowę ma opuszczoną, usta jej drżą, jakby miała za chwilę zwymiotować, to nic, nie daję za wygraną, parkuję z piskiem opon pod centrum handlowym i wchodzę, słysząc za sobą niechętnie szuranie jej butów.

Kiedyś lubiła tu ze mną przychodzić, naciągać mnie na drobne prezenty, co jej się nagle stało, to jeszcze nie wiek dojrzewania, więc co jej jest, próbuję ją przytulić, ale cała sztywnieje, co się dzieje, Nojeczko? Ona mamrocze, nic, jestem zmęczona, chcę do domu. Przebijam się z uporem przez tłum szukający schronienia przed upałem, biorę ją za rękę, żebyśmy się nie pogubiły, wokół stoisk z jedzeniem wiją się beznadziejne ogonki, tylko w pizzerii na końcu jest miejsce, opadam wyczerpana na plastikowe krzeselko, wysuwam drugie dla Noi, żuję twardą, zimną pizzę, teraz rozumiem, dlaczego tu nie ma kolejki, nic nie jest przypadkowe, jej wrogie milczenie też nie. Jak było w szkole, pytam, ona rzuca od-ruchowo, jak umówione hasło, w porządku, ja nie poddaję się, co robisz na przerwach? Ona opuszcza wzrok, siorbie colę z butelki, a tak, schodzę na dół albo zostaję w klasie. Widziałam Szirę i Meiraw, mówię, ona na to bezbarwnym

tonem, i co? Ja szepczę, kiedyś byliście nierozłączne, zawsze i wszędzie szłyście we trzy, dlaczego to się skończyło? Ona wzrusza ramionami, usiłując zachować pozory obojętności, już nie pamiętam, znudziły mi się. Wprawdzie przyjemnie usłyszeć, że to był jej wybór, ale nie bardzo w to wierzę, pokłóciłyście się czy to się stało stopniowo? Już nie pamiętam, powtarza i znowu patrzy w podłogę, znad jej spuszczonej oczu wpatrują się we mnie gęste, zmierzwiłe brwi, pytam dalej, masz inne koleżanki, a ona odpowiada, jakieś tam mam, i nie wiem, czy okłamuje mnie, czy samą siebie, milknę pod wpływem nagłego ułucia smutku, nie mam pojęcia, co chciałam jej powiedzieć, chce mi się tylko płakać, położyć głowę na stole i rozbeczeć się bez przyczyny, co to znaczy wobec prawdziwych, wielkich zmartwień, to przecież pestka, to tylko moja Nojka, moje jedyne dziecko, ze znudzeniem przeżuwające pizzę, ma mleczną, delikatną cerę, kilka nowych piegów na zadartym nosku, złote loki puszą się wokół głowy jak aureola, moja Nojeczka nie ma mi nic do powiedzenia, ukrywa przede mną swoją samotność, nie pozwala mi się do siebie zbliżyć, jakby jedna z nas była poważnie, zakaźnie chora. Kiedyś byliśmy z sobą tak zżyte, chciała wyglądać jak ja, mówić jak ja, ubierać się jak ja, była moją miniaturową kopią, spacerowałyśmy za rękę po tym centrum handlowym, stawałyśmy przed wystawami i ona wybierała, co mam przymierzyć, czasem brałam tu wszystkie trzy, ją, Szirę i Meiraw, z radością trwoniłam na nie pieniądze, kupowałam im nalepki, wstążki do włosów, lody, cieszyłam się, słysząc ich okrzyki radości, a teraz ta cisza, którą rozsiewa wokół, wypełnia marmurowe przestrzenie, wydaje się, że gdziekolwiek spojrzy, odpowiada jej pełne napięcia milczenie.

Znienacka atakuje nas ryk syreny z tak bliska, jakby korytarzami centrum pędziła przerażona karetka, rujnując sklepy, tratując tłumy, już się rzucam, żeby się przed nią schronić, gdy się oddala, po chwili jej sygnał wtapia się w szum drogi szybkiego ruchu, Noa podnosi na mnie wzrok, prawda, że kiedyś byłam w szpitalu, jak byłam mała? Ja odpowiadam, siląc się na spokój, tak, dawno temu, miałaś dwa lata, pamiętasz to w ogóle? Ona mówi, niedokładnie, wiem tylko, że kupiliście mi lody na trawniku i zwymiotowałam je. Rzeczywiście, mogło tak być, chichoczę nerwowo, mimo że doskonale pamiętam każdą minutę tamtego dnia, ona pyta, co mi właściwie było, ja bąkam, a tak, nic poważnego, ale ona się tym nie zadowala, jeśli nic poważnego, to po co mnie zawieźliście do szpitala. Bo z początku to wyglądało groźnie, improwizuję, myśleliśmy, że to zapalenie opon mózgowych, ale potem się okazało, że nie, że zwykły wirus, ona patrzy na mnie z zawodem, wracajmy do domu, mam strasznie dużo zadane z historii.

Noa, zaczekaj chwilę, krzyczę do oddalających się pleców, chodź, kupimy ci jakąś sukienkę, ona burczy, nienawidzę sukienek, ale ja już wchodzę do sklepu i zaczynam przetrzucać wieszaki, co ci szkodzi przymierzyć, nie będziesz się tak odróżniać. Zobacz, wyciągam niebieską sukienkę w złote kwiaty, będzie ci wspaniale pasować do oczu, przymierz koniecznie, a ona na to, masz na sobie identyczną sukienkę. Będziemy bliźniaczkami, męczę ją, kiedyś chciałaś być do mnie podobna, ona krzywi się, ale podchodzi do mnie ciężkim krokiem, z obrzydzeniem łapie wieszak i znika w przymierzalni, odprowadzam ją zawiedzionym wzrokiem, kiedyś wchodziłam za nią, pomagałam jej się rozebrać, ale teraz nie mam odwagi, nagle dociera do mnie, że ona mnie

przeraża, jakby miny rozmieszczone w jej ciele miały wybuchnąć, kiedy się zbliżę, drzwiczki otwierają się, patrzę na nią z politowaniem, jak jej w tym nieładnie, po co ją zmuszałam, ma za grube nogi, plecy przygarbione, jest po prostu inna niż Szira i Meiraw, nie wystarczy jej ubrać w sukienkę, żeby była jak one.

I jak, pyta wesoło, ni z tego, ni z owego próbuje mnie zadowolić, świetnie, odpowiadam prędko, ale ona tupie nogami przed lustrem, wyglądam wstrętnie, jestem gruba i brzydka, i ucieka z powrotem do kabiny, sprzedawczyni podchodzi do mnie, sukieneczka leży na córce znakomicie, ja patrzę na nią z przygnębieniem, do czego to doszło, tak jak ja nie wierzę w ani jedno jej słowo, tak Noa nie wierzy mnie, kłamię jak ekspedientka w butiku, i kiedy Noa upokorzona wychodzi z przymierzalni, skryta pod koszulką Udiego, mówię, rzeczywiście nie wyglądałaś w niej dobrze, ona wybucha, bo w niczym nie wyglądam dobrze, mam ohydne ciało, ja obejmuję ją, dopiero zaczynasz dojrzewać, twoja sylwetka jest jeszcze nieuformowana, dopiero za kilka lat nabierzesz kobiecych kształtów, ale sama, podobnie jak ona, myślę z zazdrością o wiotkich, opalonych przyjaciółkach, Szirze i Meiraw, o ich prostych włosach i kolczykach błyskających w ich uszach jak słodkie tajemnice.

Teraz i ja chcę już wracać, nie mogę się doczekać, jesteśmy tu bezbronne i tylko w domu będziemy bezpieczne, ale w centrum handlowym gwałtownie zapada noc, jakby w samo południe zaszło słońce, ktoś krzyczy, nie ma prądu, klimatyzacja przeciążyła sieć i zrobiło się zwarcie, tłum szturmuje wyjścia, instynkt ucieczki jest równie silny jak wcześniej pragnienie schronienia się przed upałem, w sklepie na końcu korytarza wybucha pożar, ogień liże zachłan-



nie dziesiątki par włoskich butów, wokół rozchodzi się swąd spalonej skóry, trzymam Noę za rękę i ciągnę za sobą, dysząc i kaszląc, przepycham się i obrywam od innych, nacznie przekonuję się o słuszności starożytnej tybetańskiej przestrogi, mam najlepszy dowód, jak wielką moc ma każde wypowiedziane słowo, drobne kłamstwo wystarczy, by cały świat stanął w płomieniach.

Kiedy nareszcie z ulgą docieramy do samochodu, mówię jej, tata już jest w domu, wrócił wcześniej z wycieczki, ona podnosi głowę, nawet nie pyta o powody, pewna, że i tak niczego się ode mnie nie dowie, i mamrocze z radością, super, pomoże mi odrobić historię. Jesteśmy tak załamane tą wspólną rozrywką, że nawet on wydaje się oparciem, zaraz otworzy nam drzwi, rozładuje napięcie, wspinam się za nią po schodach, ale nogi Noi niespodziewanie zamierają na progu, jakby jej oczom ukazał się straszliwy obraz, stoję przy niej i widzę, że Udi krąży w kółko po pokoju, trzymając w ramionach niemowlę o jasnej cerze, dzieciak ma półprzymknięte oczka, mleko skapuje na ubranie Udiego z drobnutkiej bużki, a on kołysze maleństwo i szepcze, ćśś, ćśś, ćśś.

Zasnęła, udało mi się ją uspić, obwieszcza nam z głupawym uśmiechem, jakby to było jego największe życiowe osiągnięcie, ja rozglądam się wokół, gdzie jej matka, Noa krzyczy, a gdzie jej tata, czy ona w ogóle ma tatę? Zaraz ją obudzicie, ucisza nas Udi szorstko, godzinę mi zajęło uspianie jej, ja widzę, że Noi drżą usta, próbuję ją przytulić, ale wyrwa się, biegnie do swojego pokoju i trzaska drzwiami, jakby chciała-obudzić cały świat, a po chwili wypada stamtąd z krzykiem, co tu się dzieje, ktoś śpi w moim łóżku!

Prosiłem o ciszę, tak? strofuje ją Udi, nie możesz się liczyć z innymi? Rozwydrzona pannica! Natychmiast staję w jej obronie, jesteś taki nieczuły, jak ty się do niej odzywasz, córeczka Zohary porusza łysą główką i otwiera buzię, rozdierające krzyki, które kryły się w wątłym ciałku, wydostają się jeden po drugim, jakby ktoś grał na rogu, on obrzuca nas nienawistnym spojrzeniem, zaprzepaściłyśmy jego sukces, mamrocze jej uspokajające słowa na uszko, za późno, już nie zaśnie z powrotem, i jej matka też nie, potargana i rozespana ukazuje się na progu salonu, co się stało, pyta, pierwszy raz widzę, żeby coś zmąciło jej spokój, Udi skarży się, już mi zasnęła na rękach, ale zbudziła się, kiedy one weszły, Zohara podchodzi do niego, bierze małą, naprawdę nie musiałeś się z nią męczyć, ustaliliśmy, że mnie zawołasz, jeśli zaczniesz płakać, na pewno jest głodna, on mówi, lubię wygrywać z ich głodem, z Noą też tak chodziłem godzinami, żeby Na'ama mogła pospać, Noa patrzy na mnie, szukając potwierdzenia, tak było, mam? Ja odpowiadam, pewnie, wszystkie koszule taty miały białe plamy na ramionach, ona opuszcza wzrok, ta informacja zdaje się tylko pogłębiać jej smutek.

Jesteś głodna, moje słoneczko, Zohara sprawnie sadowi się na kanapie, wyjmując spod sukienki gładką śniadą pierś, zakończoną czarną brodawką, ja celowo gapię się na nią bezwstydnie, zdumiona białym strumieniem tryskającym z absolutnej ciemności, on też patrzy jak zahipnotyzowany, jakby nigdy nie widział karmiącej kobiety, nawet Noa, wszyscy troje bez skrępowania przyglądamy się jej w skupieniu, zupełnie jak w teatrze, gdzie nikt nie próbuje ukrywać zaciekawienia, przeciwnie, okazuje je, ona siedzi jak Amazonka na scenie, opuszczone ramiączko sukienki obnaża samotną, jędrną pierś, jej wzrok przykuwa ssącą buzia, a czoło

lśni od potu. Pewnie chce ci się pić, mówię, nalewam jej zimnej wody do szklanki, wypija ją łapczywie, znów czuję dla niej litość, była taka spragniona i nie miała odwagi poprosić, a przecież ją wezwałam, przyszła, żeby nam pomóc, i rzeczywiście pomogła, Udi sprawia wrażenie, jakby całkiem doszedł do siebie, ona już kładzie sobie małą na ramieniu i zwraca się do mnie z przepraszającym uśmiechem, zabieg wymagał tak silnych energii, że musiałam odpocząć, ledwo się trzymałam na nogach, w jednej chwili cała moja niechęć wobec niej znika, jasne, Zohara, nie musisz się usprawiedliwiać, bardzo ci dziękuję, że nam pomagasz, ona patrzy na niego, lepiej się czujesz, Ehud? A on odpowiada promiennie, tak, dużo lepiej.

Gdy widzę ją przy drzwiach z koszem na rękę, myślę z obawą, że chyba usuwa się już z naszego życia, usiłuję ją jakoś zatrzymać, może zostaniesz na kolację, proponuję, mimo że do wieczora daleko, ona mówi, teraz się spieszę, innym razem. Udi też podchodzi do drzwi i żegna ją łagodnym, wdzięcznym spojrzeniem, nie spiesz się tak ze zdrowieniem, napomina go ona z uśmiechem, pamiętaj, że twoja choroba ma pewien cel, nie poganiaj jej, patrzę, jak idzie po schodach, i nie wytrzymuję, to kiedy wpadniesz? Ona rzuca, w przyszłym tygodniu, tydzień mija i nie przychodzi, mija kolejny tydzień, ilekroć sobie przypomnę o jej nieobecności, targa mną niezrozumiały niepokój, jakby ktoś drwił sobie ze mnie, stawiając mnie przed niemożliwą do wyjaśnienia zagadką.

## Rozdział czternasty

Co rano, gdy wychodzę na dwór, upał oblepia mnie jak ciasne futro, którego nie sposób zdjąć, przypomina mi kostium zajaczka, otulający Noę od stóp do głów na jednej z zabaw purimowych, kiedy po wszystkim chciałam ją z niego uwolnić, okazało się, że suwak się zepsuł, skazując ją na pozostanie małym zwierzątkiem na wieki, Noa tupała nogami, nie jestem żadnym zajaczkiem, jestem dziewczynką, chcę być z powrotem dziewczynką, jej włosy zwilgotniały od potu, wreszcie musiałam rozciąć ukochane przebranie, skrawki futra zsunęły się i wyglądają u naszych stóp jak szczątki upolowanego zajęcia. Ale lepkiego powietrza wokół mnie nie można rozciąć, w nocy rozwieszam pranie i zdejmuję je rano wrzące, bielizna Udiego płonie mi w rękach, koszule, spodnie, nagle zauważam, że większość prania jest jego, po tym jak tygodniami nie zmieniał ubrania, nie pozwalał sobie uprać pościeli, opętała go niespodziewanie mania czystości, pralka napełnia się co dzień, jakbyśmy mieli w domu noworodka, piorę z radością, nie ma bardziej pokrzepiających dźwięków niż pełen wysiłku śpiew pralki, hymn świeżości i schludności, starannie wyżymanych dobrych intencji.

Prawidłowa, hałaśliwa przemiana materii w tym ciełe zwanym domem, w którym bije złożone z trzech ciasnych komór serce, trochę mnie uspokaja, siedzę w nocy wśród prania na balkonie, czasem brzeg sukienki czy śliskie prześcieradło muśnie moje włosy na delikatnym wietrze, towarzyszy mi w samotności, bo Udi już śpi, co wieczór kładzie się spać bardzo wcześnie, zaraz po Noi, oboje zbierają swoje udręki i zatapiają się w ciszy łóżek, którą zakłóca jedynie szum zmachanych, spoconych elektrycznych wiatraków.

W milczeniu zjadamy kolację, chłodnik, sałatkę, jajka na twardo, które studzę w lodówce, zrezygnowałam nawet z ulubionych tostów, żeby dodatkowo nie grzać kuchni. Ze też możecie jeść w taki żar, narzeka Udi, ale za każdym razem siada z nami, marszcząc czoło, obserwuje w skupieniu, jak obieramy jajka ze skorupki, jak siorbiemy łąpczywie zupe, jakby zbierał kolejne dane do tajemniczych badań naukowych, Noa przygląda mu się ostrożnie, czasem prosi go o pomoc w lekcjach, ja oczywiście ociągam się z wyjściem, próbuję podsłuchać, czy może wśród książek i zeszytów mówią coś jeszcze, coś, na co czekam od lat, ale ich rozmowa jest rzeczowa i beznamietna jak wszystko, co dzieje się teraz między nami, wydaje się, że żadne z nas nie ma odwagi czuć.

To nic, pocieszam się, i tak nie jest najgorzej, dość było tarć między nami, dystans też bywa dobry, chociaż czasami nocą, gdy siedzę sama na balkonie, przyznaję w duchu, że nic nas już nie łączy poza jakimś przejściowym zagrożeniem, jakbyśmy wszyscy troje znaleźli się podczas wojny w jednym schronie i wiedzieli, że gdy tylko się ona skończy, pójdziemy każde w swoją stronę, a jeśli się kiedyś spotkamy na ulicy, nawet nie mrugniemy okiem, żadne nie będzie

chciało pamiętać tamtych upokarzających dni. W tym upale krew zdaje się wrzeć pod cienką powłoką skóry, wyparowują z nas wszelkie więzy, zdarza się, że nawet na Noę spoglądam ze zdziwieniem, co ja mam z nią wspólnego, nie jest do mnie podobna, coraz bardziej się różni ode mnie, jakby na złość, jej ciało na moich oczach rozrasta się, nieokiełznane i pełne tajemnic, pewnej nocy woła mnie wystraszona, boli mnie tu, pod brodawką. Budzę się, zwlekam z kanapy ociężale, macam jej pierś zaspanymi palcami, co to, wyczuwam mały orzeszek, okrągły i twardy, jak z koszmarnych snów, próbując ukryć niepokój, szepczę, to nic takiego, Nojeczko, śpij, ale sama nie mogę już zasnąć, duszę się, gardło mam obolałe od przełykania twardych orzechów. Czy to to, czego nie mam odwagi nazwać, czy w piersi może pojawić się guzek, gdy samej piersi jeszcze nie ma, muszę ją wziąć na badania, nad ranem nie wytrzymuję, budzę Udiego, roztrzęsiona siadam na brzegu łóżka, on mamrocze przez sen, bzdury, pewnie biust jej zaczyna rosnać, ja macam swoje piersi, ani śladu orzeszków, nie przypominam sobie takiego bólu, rano, ledwo otwiera oczy, rzucam się na nią, macam ją ze strachem, tak, on chyba ma rację, biorę głęboki oddech, czuję, że po drugiej stronie też ukrył się drobniutki orzeszek, brodawki są opuchnięte, więc jej obwieszczam z radością, to nic, Nojeczko, nie ma się czym martwić, po prostu biust ci zaczyna rosnać, ale ku mojemu zdumieniu ona wybucha głośnym płaczem, nie sposób jej pocieszyć, jakbym jej przekazała najstraszliwszą nowinę, diagnozę gorszą niż jakakolwiek nieuleczalna choroba. Nie chcę cycków, wierzga nogami, żadna dziewczyna w klasie ich nie ma, po co mi to, będą się ze mnie śmiać jeszcze bardziej, ja głaszczę ją zmartwiona, rzeczywiście piersi tak wcześnie nie są jej potrzebne, ja w jej

wieku byłam całkiem płaska, teraz będzie miała coś jeszcze do ukrycia pod ubraniami Udiego, cała ulga i radość znika, wzywam go na ratunek, powiedz jej, że to naturalne, wytłumacz, że piersi są ładne, błagam go, a on mówi zimno, pewnie że są ładne, i nie mam wątpliwości, że oboje myślimy w tej chwili o tamtej jędrnej, gładkiej, zakończonej czarnym węgielkiem piersi.

Dni mijają, a ona nie przychodzi, czekam na nią z niejasną tęsknotą, z cichą nadzieją, to prawda, że zwykle budzi się we mnie niechęć, kiedy staje w progu, ale w myślach kocham ją prawie, jest ciepła, mądra i miłosierna, wyobrażam ją sobie, jak siedzi i karmi córeczkę, której mlaskanie zlewa się ze świergotem ptaków, z miauczeniem kotów w jedną symfonię odgłosów wszechświata. Myśl o niej daje mi miłe poczucie bezpieczeństwa, jeśli znów coś się popsuje, ona wróci i nam pomoże, powoli zaczynam się martwić, że nie przychodzi, może ją uraziłam, może coś jej się stało, nie wiedziałam, że do tego stopnia jestem od niej uzależniona.

Co z Zoharą, pytam pewnego wieczoru, on odpowiada, dobrze, dzwoniła kilka dni temu, powiedziałem jej, że wszystko w porządku. To nie przyjdzie? pytam znowu z zawodem, on mówi, raczej nie, zajmuje się swoją małą, a tu już nie jest niezbędna, to prawda, przyznaję niechętnie, więc czemu się czuję zdradzona, i rzucam z wyraźną pretensją, która nawet dla mnie jest zaskoczeniem, ta mała ma w ogóle ojca? Nie mam pojęcia, wzrusza ramionami obojętnie, co za różnica, ja odpowiadam, dla mnie to rzeczywiście żadna różnica, ale dla niej to z całą pewnością ma znaczenie, on mówi, nie bądź taka pewna, zawsze ci powtarzałem, że twoje poglądy na temat rodziny są przestarzałe, i znów wstrząsa mną zadawniony gniew na niego, ale się opanowuję, ostatnio nie

sposób się z nim kłócić, nie wykazuje ochoty ani zainteresowania, ani miłości, którą mogłaby się karmić kłótnią. Jest cichy, zrównoważony, na nic się nie skarża, o nic nie prosi, obchodzimy się na palcach, traktujemy się całkiem inaczej niż przez całe życie, wcześniej spalaliśmy się w urazach, żalach, frustracjach, ja zawsze byłam bardziej skłonna do pojednania, więc próbuję to przyjąć za dobrą monetę, chociaż chwilami dręczą mnie różne obawy, a wtedy natychmiast uspokajam samą siebie, on po prostu próbuje się zmienić, odciąć się od dawnych wzorców, oczyścić z negatywnych emocji, może to tak jak z przeszczepem, teraz przechodzi etap, kiedy w nowym narzędziu nie ma czucia, żadnych emocji, ale wkrótce dobre emocje się przyjmą i wszystko będzie jak najlepiej.

Wnoszę ze sobą to otępienie, kiedy co rano wchodzę do ośrodka, dziewczyny rozkładają się na kanapach, wyciągają przed siebie opuchnięte nogi, gapią się na mnie obojętnie, i tylko Chani wita mnie radośnie pewnego ranka, skończyłam sweterek, woła, wymachując mi przed oczami różowym obłoczkiem. Jaki piękny, mówię z zachwytem, po prostu doskonały, ona gładzi swój brzuch, moja córeczka też będzie taka, będą do siebie pasować, pamiętaj, że po porodzie sama go jej założę, i wyciąga z kieszeni różową aksamitkę, i sama jej zrobię koczek, liana, dotychczas milcząca, wybucha śmiechem, co za kretynka, nawet nie wie, że dzieci się rodzą bez włosów, wybij sobie z tej durnej głowy koczek, Na'ama, kup jej lalkę, zwraca się do mnie, jej jest potrzebna lalka, którą można przebierać i czesać, a nie dziecko, ja odpowiadam, liana, dlaczego robisz jej przykrość, każda z was ma swój sposób, żeby zachować kontakt, Chani przytula się do mnie, właśnie, będę ją mogła poznać po tym sweterku, tylko



zobaczę jakieś dziecko na ulicy, będę się za nim rozglądać. Twój dzieciak będzie miał tysiąc innych swetrów, parska liana drwiąc, będzie bogaty, to będzie jego najgorsza szmata, Chani ma już łzy w oczach, szmata? To ma być szmata? Wymachuje sweterkiem nad głową jak ofiarnym kogutem, ja byłabym szczęśliwa, gdybym jako niemowlak dostała taki sweter, w życiu nie miałam nowych ubrań, tylko stare ścierki po siostrach, liana nie odpuszcza, ty ciągle jesteś niemowlakiem, powinnaś zanieść dzieciaka swojej matce, żeby go wychowała jako twoją siostrę, a Chani wzdryga się, też coś, ona do nikogo nie ma cierpliwości, tylko bije i wrzeszczy, a ja chcę dla mojej córeczki dobrej matki.

Skąd wiesz, że będzie dobra, drażni się z nią liana, myślisz, że gdzie forsa, tam serce? Ja się wtrącam, nie martw się o to, przecież dokładnie sprawdzamy adopcyjnych rodziców, to ludzie bardzo pragnący dziecka, mają w sobie mnóstwo miłości i cierpliwości, liana krzywi się z niedowierzaniem, robią was w trąbę, nie macie pojęcia, jacy są naprawdę. Jeśli tak myślisz, czemu sama oddajesz dziecko, pyta Chani, liana triumfalnie obwieszcza, bo mam gdzieś tego bachora, dotarło? Gnojek wepchnął mi się do brzucha, o zgodę nie pytał, załatwił mnie na cacy, przez niego nie zostanę modelką, ja staram się opanować, żeby nie parsknąć śmiechem, też sobie wymyśliła, żeby zrzucić winę na dziecko, ale Chani nie wytrzymuje, zaśmiewa się do rozpuku, mało się nie udusi, ty, modelką? Z twoją figurą, z twoją paskudną gębą? Klepie się po brzuchu z uciechy, a liana krzyczy, zamknij ryj, dziwko, jeszcze pożałujesz tego śmiechu.

Popędzam je na górę, na zajęcia szkoły rodzenia, i idę poszukać nowej, rodzice ją wczoraj przywieźli, całą opuchniętą od bicia, nie chcą więcej o niej słyszeć, wrzeszczeli,

ani o arabskim bękarcie, którego nosi w brzuchu, zastają ją w łóżku, śpi, przyglądam jej się ze smutkiem, pierwsze dni są najtrudniejsze, wyrwanie ze znanego środowiska, bolesny kres zaprzeczania, naprawdę lepiej przeczekać ten czas we śnie, wchodzę do biura napisać kilka oświadczeń, powoli zstępuje na mnie spokój, sytuacja wydaje się wracać do normy, chyba już mogę odetchnąć. Jestem w stanie się skupić, zachować właściwy dystans, szczęście, że Jael nie przyszła, za bardzo się przejmowałam jej losem, kto wie, co się z nią stało, może tamten mężczyzna w końcu do niej wrócił i razem wychowują dziecko, do oczu już napływają mi łzy radości, czuję nawet żenującą zazdrość, jak im będzie dobrze, jak dobrze było nam leżeć w małżeńskim łóżu, gdy jasne ciało Noi błyskało między nami, pochylaliśmy się i delikatnie podgryzaliśmy miękkie stopki, pachnące jak bliźniacze sobotnie chały, ona wierzgała nóżkami, zanosila się srebrzystym śmiechem, teraz, kiedy wchodzę do domu, spoglądam z jawną wrogością na jej stopy, ukryte w grubych skarpetach i adidasach, a ona pyta natychmiast, gdzie tata? Ja wzruszam ramionami, nie mam pojęcia, pewnie wyszedł na spacer. Czasem włóczy się trochę po dworze, ćwiczy nogi, wraca zamyślony, ale zdrowy, nie narzeka, że coś go boli, zdecydowanie powinnam zadzwonić do Zohary, naprawdę go uratowała, Udi zjawia się wreszcie, ja mówię, chodź, zadzwonimy do Zohary, trzeba jej podziękować, to nieładnie, że przypominamy sobie o niej tylko, kiedy jest nam potrzebna, on marszczy czoło, chcesz jej dziękować? Za co? Co znaczy za co, pytam zdziwiona, patrz, jaki jesteś zdrowy, jak świetnie chodzisz, już zapomniałeś, że przeleżałeś w łóżku kilka tygodni? On odpowiada chłodno, to wcale nie jej

zasługa, myślisz, że mi pomogły morały i błogosławieństwa Dalajlamy?

Jego niewdzięczność w stosunku do niej napełnia mnie obrzydzeniem, demonstracyjnie idę po telefon, zaraz, gdzie jest jej numer, był tu, na lodówce, ale znam go chyba na pamięć, wystukuję kolejne cyfry niepewnie, Zohara, tu Na'ama, co słyszać, odpowiada, ale jej głos brzmi drętwo, niecierpliwie, może się obraziła, że nie dzwoniłam wcześniej. U nas wszystko w porządku, obwieszczam jej ze wzruszeniem, chciałam ci podziękować, Udi wraca do siebie, jestem pewna, że ona powie, nie miał wrócić do siebie, tylko się zmienić, ale Zohara milczy, wyraźnie nie ma ochoty ciągnąć tej rozmowy i tylko ja jeszcze próbuję, trudno mi się z nią pożegnać. Jak córeczka, pytam, ona mówi, w porządku, ja proponuję nieśmiało, zajrzyj z nią kiedyś do nas, miałaś przyjść na kolację, obiecałaś, ona nawet nie czeka na koniec zaproszenia, dobrze, wpada mi w słowo, przy okazji zajrzemy, więc odkładam z zawodem słuchawkę, nie wiedząc, czym wytłumaczyć jej oschłość.

Mówiłem ci, że nie ma sensu do niej dzwonić, prowokuje mnie Udi, ja irytuję się, naprawdę nie jesteś dla mnie wzorem w kwestii stosunków międzyludzkich, czułam potrzebę, żeby jej podziękować, a jeśli Zoharze się to nie podoba, jej sprawa, otwieram ze złością lodówkę, znów się skończyły warzywa, siedzi po całych dniach w domu, mógłby coś kupić, ale nie przyjdzie mu to do głowy, wszystko muszę robić sama po pracy, warczę na niego, dlaczego nie zrobiłeś zakupów, przecież kręciłeś się godzinami po dworze, nie ma nic na kolację, on odpowiada, i tak nie jestem głodny, ja wybucham, wspaniale, a my? Nie możesz myśleć tylko o sobie,

czy tego chcesz, czy nie, stanowisz część rodziny, on udaje głupiego, to znaczy, że muszę być głodny wtedy, kiedy wy?

To znaczy, że musisz myśleć o potrzebach innych, krzyczę, wieczorem jada się kolację, to chyba nie jest takie trudne, on burczy, ty i te twoje mieszczańskie poglądy, ja wydzieram się wściekle, skoro masz inne poglądy, sam troszcz się o rodzinę, dzieci powinny jeść kolację, ludzie, którzy pracują cały dzień, robią się głodni, a on wrzeszczy, no to jedzcie swoją zasną kolację, przeszkadzam wam w czymś? I szybko wychodzi z domu, trzaskając drzwiami, ja siadam w kuchni oniemiała, co w końcu takiego powiedziałam, czy proszę o zbyt wiele, mam nadzieję, że Noa nas nie słyszała, jej pokój jest zamknięty i ryczy w nim telewizor. Teraz ja też już straciłam apetyt, można się obyć bez kolacji, bez warzyw, bez chleba, można i bez niego, opieram się o lodówkę, agregat szumi za moimi plecami, ile mi czasu zostało, zanim ona wpadnie do kuchni i spyta, kiedy coś zjemy, niewiele, ale ten czas jest mi potrzebny po prostu po to, żeby posiedzieć w spokoju, posłuchać brzęczenia lodówki, i kiedy po kilku minutach on wchodzi z siatkami, wzruszam się, jakbym dostała wspaniały prezent, natychmiast jestem gotowa się z nim pogodzić, jednak nie jest taki najgorszy, widocznie już wcześniej coś go zdenerwowało, może telefon do Zohary, nie chciał, żebym z nią rozmawiała, nie ma nawet sensu pytać dlaczego, najważniejsze, że zamiast przeprosin już kroi warzywa na sałatkę. Dobrze, że wrócił, dobrze, że nie muszę sama siadać do stołu z ponurą Noą, jednak ona jest smutna, nie wiedzieć czemu, a on wciąż spięty, zuje starannie, szczęki unoszą się i opadają z nieprzyjemnym chrzęstem, nie mogę się doczekać chwili, kiedy oboje znajdą się w łóżkach, tak ciąży mi ich obecność, usiądę wtedy na balko-

nie wśród pachnącego prania, czasem pogłaszcze mnie pusty rękaw, bo on wpycha do pralki także zimowe ubrania, sztruksowe spodnie, koszule z długim rękawem, swetry.

Wśród wilgotnych oparów biorę głęboki oddech, jaka przyjemna nocna cisza, wreszcie nie ma mnie co rozczołować, nagle patrzę, koszula i spodnie idą w moją stronę, jakby wyrosły im ręce i nogi, to ręce i nogi Udiego, on wewnątrz swojego ubrania, tak przywykłam o tej porze oglądać puste nogawki i rękawy, że wpatruję się w niego z niedowierzaniem i z zachwytem, nim zdążyłam zapytać, czemu nie śpi, dzwoni telefon, dziecinny płacz rozlega się w słuchawce, Na'ama, ja pytam, Chani, co się stało? Już urodziłam, szłocha, jak tylko wyszłaś, zabrali mnie do szpitala, ja wołam, gratuluję, jak poród? Ona nawet nie dziękuje, jakby nie to było ważne, i mówi przez łzy, mój sweterek, liana mi go spruła. Jesteś pewna? pytam ze zgrozą, skąd wiesz? Ona opowiada, przed chwilą go wydaję z torebki, żeby ubrać moją córeczkę, a tu zamiast swetra sprute nitki, tyle z niego zostało, zamorduję tego potwora, ja przerywam jej, uspokój się, Chani, przyniosę ci jutro taki sam sweter, znajdę podobny, obejdę wszystkie sklepy, a ona wrzeszczy, nie znajdziesz, nie ma drugiego takiego swetra, sama go zrobiłam na drutach, bez niego nie oddam córeczki, nie oddam jej, słyszysz? W życiu nie miałam nic swojego, nie dam jej sobie odebrać, ja błagam, uspokój się, Chani, zaraz do ciebie przyjdę, porozmawiamy o tym, znajdziemy jakiś sposób, najważniejsze, że dobrze się czujesz, że masz już za sobą poród. Zupełnie wytracona z równowagi spoglądam na Udiego, jedna z dziewczyn spruła drugiej sweter, który tamta sama robiła, próbuję mu streścić cały dramat, ta liana, wiedziałam, że trzeba mieć na nią oko, podrywam się i dodaję, jadę do

szpitala, ale on wciąż stoi przede mną, zagradzając mi drogę, ładnie pachnie, nie wychodź, prosi, muszę z tobą porozmawiać.

Niepewnym krokiem zbliża się do mnie niespodziewane szczęście, on chce ze mną porozmawiać, ma mi jeszcze coś do powiedzenia, przez tyle wieczorów czułam się tak niepotrzebna, kiedy znikał za zamkniętymi drzwiami sypialni, a teraz usiądziemy jak kiedyś na balkonie, będziemy popijać zimne piwo i palić papierosy, pogłodzi mnie po udach, chłodne palce wkradną się pod sukienkę, znów będę całować piękne czoło, palmy w jego oczach, tęskniłam za tobą, Udi, wyszepeczę mu prosto w usta, jego język spłynie słodyczą, odda mi wilgotne słowa, ja za tobą też, a jednak mówię, muszę wyjść, nie na długo, będę za niecałą godzinę, ale on się upiera, niedługo idę, ja na to, porozmawiamy, jak wrócisz, poczekam na ciebie, a on oznajmia cicho, ja nie wrócę.

Dlaczego, pytam naiwnie, wybuchła jakaś wojna, z której się nie wraca? Wpatruję się w niego jak córka w ojca zmobilizowanego w-środku nocy, on odpowiada, Na'ama, odchodzę, ja gapię się na niego, nadal nie rozumiejąc, skąd odchodzisz? On mówi, wyprowadzam się z domu, odchodzę od ciebie, już dłużej nie mogę, widocznie zaczynam drżeć, bo chwyta mnie mocno za ramiona, uspokój się, Na'ama, tak będzie lepiej dla nas, dla ciebie też, zobaczysz, męczymy się tylko ze sobą, ja bąkam, ale dlaczego, przez te warzywa? Przez kolację? To nie będziemy więcej jadać kolacji, nie potrzeba. Nie przez warzywa, przyciąga plastikowe krzesółko i siada naprzeciw mnie, przez chwilę mam wrażenie, że też drży, a jednak nie, wydaje się opanowany, błady, ale zdecydowany, nigdy nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy, znam go ponad dwadzieścia lat, a takim go nie

znałam, na jego twarzy rysuje się delikatność i podłość zarazem, jak u szczególnie niebezpiecznego zbrodniarza, szczęki poruszają się z chrzęstem, kiedy mówi, co on tam mówi, ledwo słyszę, wygłasza gotową przemowę, najwyraźniej od dawna ją ćwiczył przed lustrem w zamkniętym pokoju, ale ja tonę w chmurach wełny z bestialsko sprutego swetra, włóczka okręca się wokół szyi, jak mogła jej to zrobić, tyle tygodni pracy, całe swoje nieszczęście wplotła w różowy kubraczek, a teraz wszystko sprute, ostatecznie i nie do naprawienia, on krzyczy, czy ty mnie słyszysz, posłuchaj mnie, Na'ama, próbuję spojrzeć na niego, ale głowa chwieje się i opada, jakbym miała skręcony kark, widzę tylko ściśnięte kolana, wielkie, okrągłe orzechy rzepek. Co go obchodzi, czy słyszę, niech wygłasza swoje przemowy do kogo innego, niech chodzi po pustych ulicach i prorokuje drzewom i kamieniom, on mówi, posłuchaj, Na'ama, potrzebuję zmiany, unosi mi delikatnie brodę, w głowie pełno mam stalowych gwoździ, że też jego szczupłe dłonie są w stanie ją podnieść, on ciągnie dalej, wiem, że ta choroba to znak, dostałem ostrzeżenie, które ma głęboki sens, dużo czasu zajęło mi zrozumienie, co oznacza, ale dziś nie mam wątpliwości, że muszę dokonać zmian w swoim życiu.

A skąd wiesz, jakich zmian, szepczę, przynajmniej tak mi się zdaje, ale on mówi, nie krzycz, i puszcza moją brodę, która natychmiast opada, mamroczę do białych kolan, dlaczego akurat to ma być ta zmiana, a nie coś wręcz przeciwnego, on odpowiada, myślałem nad tym wiele miesięcy, wiem, że nie ma innego wyjścia, nasz układ jest chory, między nami są same napięcia, same negatywne emocje, ciągle cię rozczarowuję, rozczarowuję Noę, nie zniosę tego dłużej, nie chcę przeżyć kolejnych czterdziestu lat w cieniu twojej złości,

ja momentalnie podnoszę głowę, jak na sprężynie, i krzyczę, nie chcesz rozczarowywać, więc odchodzisz, zamiast spróbować to naprawić? W ten sposób rozwiązujesz problem?

Niektóre rzeczy są nie do naprawienia, mówi, trzeba się z tym pogodzić, przecież nie chodzi o spruty sweter, który można zrobić od nowa, coś się zepsuło u samych podstaw naszego związku, nie zdołaliśmy tego naprawić, nie obwiniam cię o to, oboje jesteśmy winni, ale ty możesz tak dalej żyć, a ja nie, i nagle ziewa szeroko, odsłaniając zasieki ostrych zębów, ja patrzę na miazdzące moje życie szczęki i nie wytrzymuję, zaczynam płakać, jak może ziewać w takiej chwili, pokazał mi dosadnie, jak niewiele dla niego znaczę, a przecież byłam dla tego mężczyzny wszystkim przez dwadzieścia pięć lat, ćwierć wieku. Już mnie nie kochasz, szlocham, on odpowiada, nie kocham naszego życia, swojego życia, muszę je zmienić, ja pytam, ale co ze mną, co z twoją miłością? On szepcze, nie czuję jej, odkąd zachorowałem, przestałem ją czuć, ja tonę we łzach, co zrobię bez jego miłości, jak będę bez niej żyć, nie umiem z niej zrezygnować, muszę spróbować obudzić ją na nowo. Dlaczego akurat ta zmiana, dlaczego chcesz wstać i wyjść, może stąd wyjedziemy we troje, rzucimy wszystko, zaczniemy od nowa w innym miejscu, takiej zmiany ci potrzeba, Udiczku, sprzedamy mieszkanie i wyniesiemy się stąd, nie będziesz już musiał prowadzić wycieczek, będziesz mógł spokojnie dokończyć doktorat, i już daję się ponieść idyllicznej wizji, pokrzepiam się, on nie odmówi, na pewno go przekonam. Czy nie rozumiesz, Udi, mówię stanowczo, prawie bez emocji, że to jak z tym proroctwem, w twoim wnętrzu odzywają się różne głosy, sam nie wiesz, czemu wierzyć, jaką wybrać drogę, dopiero po fakcie wiadomo, kto był prawdziwym, a kto



fałszywym prorokiem, rzeczywiście mamy problemy, ale jak mogło ci przyjść do głowy, że je w ten sposób rozwiązesz, że powinienes uciec, wszystko zostawić i odejść, to przecież żałosne, niczego tym nie naprawisz. Jak w ogóle mogłeś pomyśleć, że jesteś wolny i możesz iść? Ja nigdy nie czułam się wolna, nigdy nawet nie rozważałam takiej ewentualności, było dla mnie oczywiste, że tylko od wewnątrz można naprawić nasz związek, i ty też się przekonasz, że tak właśnie trzeba zrobić, że to cię uzdrowi. Nigdy się nie uporałeś z tym, co ci się przydarzyło z Noą, ciągnę żarliwie, z każdą chwilą pewniejsza słuszności moich sądów, wolałeś się targać w błocku oskarżeń i poczucia winy niż odbudować związek z nią i ze mną, czas, żebyś to wreszcie zrobił, Udi, uwierz mi, ja cię najlepiej znam, nie daj się zwieść, nie wstępuj na drogę destrukcji, to może się skończyć nieszczęściem, Noa tego nie zniesie, boję się nawet o tym myśleć. Zaciskam palce na jego ręce, nie obchodzi mnie, że się poniżam, że go błagam, Udi, wiem doskonale, że się mylisz, posłuchaj mnie, daj się przekonać, zmiana musi wyjść z naszej rodziny, odczekaj kilka miesięcy, odejść zawsze można, ale on gwałtownie wrywa rękę, opanowanie opuszcza go, sama widzisz, dlaczego nie mogę z tobą żyć, wybucha, wiecznie chcesz dominować, nie mogę tego wytrzymać, tylko ty wiesz najlepiej, co należy zrobić, wydaje ci się, że zawsze masz rację, a wszyscy poza tobą się mylą, więc może się mylę, krzyczy, może popełniam błąd, ale to moja pomyłka, mój błąd i ja za niego zapłacę.

Ty zapłacisz? wrzeszczę, dobrze by było, gdybyś to tylko ty płacił, ale co ze mną, co z Noą, nie dociera do ciebie, czym jest rodzina? Wszyscy są powiązani, wszyscy płacą wysoką cenę, myślisz, że się odetniesz od tego? Przestań mnie

wreszcie pouczyć, wścieka się Udi, przestań się posługiwać Noą, żeby mnie ukarać, przecież mnie nie przykujesz do siebie kajdankami poczucia winy, nie zamierzam poświęcić życia dla nienasyconej bogini, którą nazywasz rodziną, moje cierpienie nie przynosi nikomu korzyści, na pewno nie tobie i nie Noi. Czuję, że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie, muszę się ratować, skąd według ciebie wzięła się moja choroba? Nic się nie zdarza bez przyczyny, rozchorowałem się z gniewu, przez to, że nie ośmielałem się złościć na ciebie, kierowałem gniew przeciw sobie, karałem się, bo jak można się złościć na taką świętą jak ty, ja nie wierzę własnym uszom, ty się gniewasz na mnie? Jeszcze masz czelność się na mnie złościć? Całe życie oddałam tobie i Noi, od lat cię kryłam, wiecznie cię wyręczałam we wszystkim, gdyby ludzie chorowali z gniewu, już bym dawno umarła. Nigdy cię nie prosiłem, żebyś mnie kryła, krzyczy, nie prosiłem, żebyś się dla mnie poświęcała, nie zmusisz mnie, żebym dla ciebie poświęcił resztę życia, gnił w tym więzieniu z powodu poczucia winy, muszę się odciąć, uciec, umrę, jeśli to będzie dalej trwało, a ja wrzeszczę ochryple, odciąć się? Jak chcesz się odciąć od swojej córki? On mówi, już od lat nie mam z nią o czym rozmawiać, a wszystko przez ciebie, wiecznie mnie sprawdzasz, nadzorujesz, nie masz pojęcia, jaką szkodę wyrządziłaś mojemu związkowi z Noą, ja krzyczę, szkodę? Ja tylko próbowałam coś uratować.

Nie wątpię, że miałas dobre chęci, wdycha, ale wyszło źle i nie wiem, jak to naprawić, Noa jest już duża, nie musi się ze mną widywać dzień w dzień, a ja potrzebuję czasu, żeby się zastanowić, jak ułożyć nasze kontakty, patrzę na niego w napięciu, nie wiem, co odpowiedzieć, a boję się, że jeśli zamilknę, on wstanie i wyjdzie, póki tu jest, mam jeszcze jakąś

nadzieję, muszę go zmęczyć gadaniem, wtedy zostanie na noc, ja położę się przy nim, będę go trzymać z całej siły i może znów mi się uda namówić go przez sen na seks, jak wtedy, po powrocie ze szpitala, rano zrozumie, że tu jest jego miejsce, że musi zostać z nami. Żrenice Udiego miotają się niespokojnie w wąskich klatkach oczu, blade wargi są zaciśnięte, kurczowo się siebie czepiają, zasiałam w nim wątpliwości, stwierdzam z zadowoleniem, w tym momencie on wstaje, zaczyna pospiesznie zrywać pranie, ten prorodzinny czyn podnosi mnie na duchu, daj spokój, mówię, zrobimy to jutro, ubrania jeszcze nie wyschły, i wtedy zauważam, że zdejmuje ze sznurów tylko swoje rzeczy, swetry, koszule z długim rękawem, więc nie zamierza wracać, szykuje się na zimę, czuję, że krew brutalnie uderza mi do głowy jak gęsta lawa, mam wrażenie, że oczy, policzki, wargi, nos toną w płonących czerwonych jeziorach, szarpię wciąż wilgotne ubrania i ciskam mu w twarz, teraz rozumiem, wrzeszczę, nie obchodzi mnie, że pobudzę sąsiadów, zaczekałeś, aż ci upiorę wszystkie lachy, a teraz sobie idziesz, ty gnojku, ty bydlaku, ty żałosny tchórz, wyprałam ci całą szafę, a kiedy skończyłam, odchodzisz, on syczy przez zaciśnięte wargi, zamknij się wreszcie, ty żmijo, ty kutwo, akurat to cię martwi, że pralka się zużyje? Ja ryczę, martwi mnie, że ja się zużyłam, że zmarnowałam na ciebie tyle czasu, miałam dwanaście lat, kiedy się mnie uczepiłeś, dziś mam prawie czterdzieści, teraz sobie przypomniawszy, żeby odejść? Jak byłam młoda i ładna, nie miałeś na to odwagi, a teraz się wybrałeś? Ty egoisto, ty wyzyskiwaczu, krzyczę, z furią zrywając ze sznurów resztę prania, co mi wypadnie z rąk, to depczę, jak możesz mi to robić, jakim prawem, nagle ci się zachciało nowego życia? Myślisz, że jesteś na wczasach, że możesz robić,

co chcesz? Wiesz, na co wszystko ja miałam ochotę, z czego dla tej rodziny zrezygnowałam?

Teraz masz na to czas, syczy, ja wydzieram się, teraz? Dziękuję ci bardzo! Dla mnie jest już za późno, nie mam siły zaczynać nowego życia, a ty też go beze mnie nie zaczniesz, słyszysz? Dotąd wszystko robiliśmy razem, nie zaczniesz beze mnie, łapię go za ramiona, ręce same sięgają do szyi, mogłabym go udusić, jestem zdolna do najgorszego z wściekłości, ale on mnie odpycha, uspokój się, mówi zimno, wiem, że ten wybuch go odstręcza, ale nie dbam o to, pewnie powinnam była grzecznie usiąść, założyć nogę na nogę, wysłuchać jego przemowy i pożegnać się z nim z godnością, może wtedy miałby ochotę wrócić, ja tymczasem szaleję jak zwierzę, wierzgam i przeklinam jak dziewczyny z ośrodka, kiedy im się odbiera dziecko, ono jest moje, krzyczą, ja też wrzeszczę, jesteś moim mężem, nie możesz mnie zostawić, i nagle w ferworze kłótni staje mi przed oczami niemy, pożółkły obraz sprzed lat, mały pokój, w nim dwoje dzieci, krótko obcięte włosy, splecione ręce, i przypominam sobie, jak wypisywałam mu swoje imię na płatkach uszu, a gdy litery się startły, starannie je poprawiałam niebieskim długopisem, on poddawał się chętnie, powtarzając ze śmiechem, nie musisz tego robić, Noam, jestem twój na zawsze.

Jego palce zadają mi taki ból, że puszczam szyję, ręce opadają, wlokę się jak posłuszny psiak do sypialni w ślad za nim i za stosami prania, wyjmuję z szafy plecak, zaczyna nieporadnie składać ubrania, zawsze się w końcu łamałam i mu pomagałam, teraz też podchodzę do łóżka i zaczynam składać koszule, jedną po drugiej, on patrzy na mnie zmieszany, czuł się lepiej, kiedy krzyczałam i wyklinałam. Dokąd pójdziesz, pytam, on odpowiada, jeszcze nie wiem, najpierw

wyjadę na południe, potem zobaczę, muszę sobie parę spraw spokojnie przemyśleć, pobyć trochę ze sobą, to nic poważnego, próbuję się pocieszać, po prostu wyjeżdża jak zwykle na wyprawę, za parę dni wróci i wszystko się ułoży, nawet nie powiem Noi, ale on mówi, zostawiłem Noi list, chciałem jej parę spraw wyjaśnić.

List? Znów się we mnie gotuje, ty chyba oszalałeś, zrzuć jej bombę na głowę, a ja mam przyjąć na siebie wybuch? Powinieneś z nią porozmawiać, zobaczyć, jak zareaguje, nie zostawiać list i uciekać, on rzuca krótko, nie jestem w stanie, robię to po swojemu, ja krzyczę, co znaczy nie jestem w stanie, za bardzo sobie pobłażasz, musisz być w stanie, on warczy, jak ty będziesz się wyprowadzać, zrobisz wszystko wzorowo, i tak masz mnie za nieudacznika, co nawet odejść nie potrafi. Na tym właśnie polega różnica między nami, wrzeszczę, że ja bym nie odeszła, nie mogłabym nagle wstać i wyjść, jakbym nie miała żadnych obowiązków, nawet nie mówisz, dokąd idziesz, jak cię znaleźć, gdyby coś się stało, a on oznajmia, zadzwonię za kilka dni powiedzieć ci, gdzie jestem.

Patrzę, jak ubrania znikają w czeluściach pękatego plecaka, najpierw sztruksowe spodnie, które kupiłam zimą w sklepie naprzeciwko, potem piękna koszula dżinsowa, przyniosłyśmy mu ją z Noą na ostatnie urodziny, sweter w pasy, miał go na sobie tamtego ranka, gdy chmura mu pękła nad głową, jak może odejść, gdy każde ubranie jest naznaczone, i znowu ogarnia mnie furia, nigdy ci nie wybaczę, oświadczam, mając świadomość, że się ośmieszam, przecież jego nic nie obchodzą moje uczucia, w tym cała rzecz, nie mam już nad nim władzy, gdyby się mną przejmował, toby mnie nie porzucał, zgodnie z przewidywaniami on nic

sobie nie robi z mojej deklaracji i karmi dalej głodny plecak, nową, pokrytą kurzem Biblię, której nigdy nie otwiera, zostawia, żeby tu ze mną zbutwiała, zastanawiam się gorączkowo, co mu jeszcze powiedzieć, muszę wymyślić coś, co w nim wywoła niepewność, co sprawi, że zostanie na noc, i nagle dociera do mnie, że słowa straciły moc, że ja ją utraciłam, że nic, co powiem, nie zmieni okrutnego, bezlitosnego postanowienia, które nigdy mi nie powstało w głowie, którego się nigdy nie obawiałam. Po tylu latach, gdy jednym słowem mogłam wywołać w nim gniew, strach, rozkosz, nadeszła noc, gdy mimo gróźb, oskarżeń i błagań niczego nie zmienię, a skoro to zrozumiałam, opada mnie mordercze zmęczenie, znużenie śmiertelnie chorego człowieka, który nie ma już nawet siły nad sobą płakać, więc odsuwam zbędne ubrania, które nie dostały się zaszczytu trafienia do plecaka, i kulę się przy nich, zamykam opuchnięte powieki, wydaje mi się, że śpię, a jednocześnie wsłuchuję się w jego kroki, znajome szuranie, które wkrótce ucichnie, stanie się niespotykane jak ślady wymarłego zwierzęcia, czy ktoś pamięta stąpanie dinozaurów po oblodzonych pustkowiach kuli ziemskiej, jest dla mnie tak niepojęte, że niedługo rozlegać się będą w tym domu tylko moje albo jej kroki, mam ochotę podzielić się z nim swoim zdziwieniem, unoszę głowę i szepczę, Udi, ale on odpowiada obrotem klucza w zamku, i wyskakuję z łóżka, biegnę do drzwi, ciężko dysząc, niemożliwe, żeby wyszedł w ten sposób, bez uścisku, bez pocałunku, nawet kiedy wyjeżdżał na tydzień, całował mnie na pożegnanie, a co dopiero teraz, kiedy odchodzi na zawsze, naciskam klamkę, ale drzwi są zamknięte, mój klucz pewnie się poniewiera gdzieś na dnie torebki, nie mogę biec za nim po schodach, nie mogę go ciągnąć z powrotem, jak to się

czasem zdarzało podczas naszych kłótni, więc pędzę na balkon, zaczekaj, próbuję krzyknąć, nie powiedziałam ci najważniejszego, ale z mojego gardła wychodzi tylko ochrypyły szept.

On już pnie się w górę ulicą, wysoki i zawzięty, jak nieustrudzony turysta z wielkim worem na plecach, za moment zniknie mi z oczu, nawet jeśli stanie się coś okropnego, nie będę go mogła złapać, muszę go zatrzymać, ale głos skrzypi tylko, kiedy wołam za oddalającym się plecakiem, i w jednej chwili ogarniam ogrom tragedii, w co się ubierze Noa, przecież chodzi wyłącznie w jego koszulkach, więc krzyczę, zostaw kilka koszulek dla Noi, że też o tym nie pomyślałam wcześniej, ale ulica jest pusta, ani śladu Udiego, nie słysząc jego energicznych kroków, mam przed sobą jedynie drzewa, cienie bzu chińskiego, topoli, cyprysów, nocą mogą odechnąć, wyzwolić się na krótki czas spod władzy słońca-despoty. Za kilka godzin ujarzmi je na nowo, ale na razie spiskują przeciwko niemu szeptem, spoglądam nieprzytomnie na opustoszałą ulicę, która przebija na wylot moje serce, i czuję rozdzierający ból, dokąd on się tak spieszy o tej porze, jak zamierza w środku nocy dotrzeć na południe, najprostsze rzeczy są dla mnie tajemnicą, nagle nic o nim nie wiem, a przecież przez lata przywykłam wiedzieć wszystko, ten zwrot jest tak radykalny, tak nieoczekiwany, jakby ktoś ze mnie krew wytoczył, opieram się o balustradę, w gardle rodzi się suchy szloch, skowyt psa potraconego przez samochód, Udi, nie odchodź, szczekam w pustkę, wróć do mnie, nie mogę bez ciebie, Udi, Udiczku mój, wróć.

Dokładnie w tym miejscu siedziałam, czekając na wschód słońca, tu zobaczyłam Zoharę, jak w białej sukience biegła nam na ratunek, po co tak się starałam go wyleczyć,

już lepiej by było, gdyby na zawsze został więźniem swojej choroby, i wzdrygam się na myśl o nieuniknionym świecie, Noa obudzi się rano i co jej powiem, jak jej spojrzę w oczy, muszę znaleźć ten list, ukryć go przed nią, aż się trochę otrząsnę, wlokę się do jej pokoju, tak długo stałam przechylona przez balustradę, że nie mogę się wyprostować, idę zgięta jak jaskiniowiec, wpadam do środka nerwowo, depczę po stertach ubrań, wyrzuconych na dywan zeszytów, gdzie ten przeklęty list. Słyszę, że Noa wzdycha, obraca się we śnie w moją stronę, ma taką ładną, spokojną twarz, śliczne oczy są zamknięte, usta rozchylone w nieobecnym uśmiechu, jeszcze nie wie, że rano jej życie pęknie na dwoje, pewność, że znam całą okropną prawdę o jej życiu, a ona nie, jest wstrząsająca, wydaje mi się, że stoję nad nią jak Bóg nad śmiertelnikami, nie tylko wiem, jestem także winna, mogłam temu zapobiec, lecz tego nie zrobiłam, drżącymi palcami przeszukuję jej biurko, tyle papierów, gdzie ten list przeklęty, muszę go schować, chcę, żeby jutro wstała i poszła jak zwykle do szkoły, mogę to ciągnąć co najmniej przez tydzień, zanim się zorientuje, tymczasem może on zmieni zdanie. Nic nie widać w ciemnościach, więc wracam do kuchni i szukam latarki albo świeczki, co za dzień, niczego dziś nie mogę znaleźć oprócz pudełka zapalek, które jedna po drugiej opalają mi palce i opadają czarne i nic nieważące na dywan, zaraz podpalę pokój, ale to nic, najważniejsze, żeby ten list się spalił, żeby przepadł bez śladu, na biurku go nie ma, może czatuje na nią wśród ubrań na dywanie, czy zadał sobie trud, żeby włożyć go do koperty, czy też chodzi o zwykłą kartkę, i pełzam po podłodze, macając na chybił traft, nagle Noa siada gwałtownie, co się stało, mamo, ja podnoszę się, nic takiego, Nojeczko, śpij. Co tu robisz,



dopytuje się, ja odpowiadam, tylko cię przyszedłam przykryć, ona się kładzie z powrotem, pachnie ogniem, szepcze, śniło mi się, że nasz dom się spalił, ja zbieram zapałki i mruczę, śpij, śpij.

Nie ma innego wyjścia, jak czekać na brzask, zakradnę się tam jeszcze raz o świcie i znajdę go bez trudu, pocieszam się, jakbym w ten sposób mogła przekreślić okrucieństwo wyroku, wracam do łóżka, zwijam się znowu w kłębek wśród jego spłowiałych ubrań, drzę jak obdarta ze skóry, płonę od chłodu, jestem szerniałą, wypaloną do końca zapałką, rozsypuję się w proch pod nogami, wyciągam ręce, szukam jego długich kości, włosów wprawianych w taniec przez wentylator, leżał całymi dniami z głową na tej poduszce i knuł swój zbrodniczy spisek. Walę pięściami w materac, nieprzytomna z nienawiści, jak mogłeś mi to zrobić, Udi, nienawidzić ciebie to nienawidzić mojego życia, mnie samej, Noi, przecież łączą nas nierozzerwalne więzy, a ty rzucasz się na nie, wbijasz w nie ostre nożyczki, ćwiartujesz nasze wspólne zwłoki, rozrzucaś wokół jak zmasakrowane członki ofiar wypadku, nie sposób się nawet domyślić, co należało do kogo, tyle mi zostawiłeś w swoim łożu boleści, szarpie z gniewem poduszkę, wbijam w nią dzwoniące z zimna zęby, czuję zapach jego policzków i włosów, i śliny wypływającej z ust we śnie, ni z tego, ni z owego widzę małego Danielka, syna Geuli, kiedy go zabieraliśmy do domu dziecka, błagał, żeby mu co rano przynosić poduszkę, na której spała, wtulał się w nią z całych sił, ssał ją jak kociak, jakby była nasiąknięta mlekiem, i nagle atakuje mnie głód, sięga na samo dno pustego ciała, więc wyskakuję z łóżka, biegnę do kuchni, zaglądam do lodówki. Są tam warzywa, które zostawił mi na pamiątkę, pomidory, ogórki, papryka, ale one nie ujmą się

za mną, trzymają jego stronę, a ja szukam czegoś ciepłego i przyjaznego, co mnie utuli od wewnątrz, znajduję mleko i płatki, zaczynam gotować owsiankę, mieszam niemrawo w rozpalonym garnku, jestem taka zmęczona, ale nienawisć nie da mi zasnąć, będzie mnie budzić co chwilę jak wrzaskliwe niemowlę, teraz jest dla mnie jasne, że już nigdy nie zmrużę oka, z trudem przewlokę się dzień za dniem przez resztę życia.

Stojąc nad bulgocącym garnkiem, próbuję się doliczyć, ile czasu minie, nim będę się mogła pożegnać z tym życiem, ciążącym mi jak kara, przed którą nie ma ucieczki, co najmniej dziesięć lat, stwierdzam z rozczarowaniem, aż Noa będzie miała dwadzieścia, i znowu złoszczę się na nią, że przez nią muszę żyć dalej, przetrwać kolejne noce bez snu, inaczej mogłabym zaraz napełnić brzuch tabletkami i prze-rwać tę torturę, bo jak można żyć, gdy nas odarto z miłości, on dokładnie to zrobił, zdarł ze mnie cienką skórę swojej miłości, chociaż nie zawsze ją czułam, wiedziałam, że istnieje, przecież obrotów Ziemi też się nie czuje.

Znowu czuję swąd, może zostawiłam nadpaloną zapałkę w pokoju Noi i zaraz dom stanie w ogniu, ale nie, to tylko owsianka, która przywarła do dna, nie umiem nawet zrobić głupiej kaszy, próbuję ją, ma obrzydliwy, czarny smak, jakbym łykała żarzące się węgle, ale co tam, byle napełnić brzuch, jem prosto z garnka, wdychając gorzką parę, całe usta stają się jedną wielką raną, ból oparzenia zagłusza tam-ten ból, poczuć go, jeśli przestanę, więc nie przestaję, już skrobię dno, aż nie zostaje nic do wydrapania, i wlokę się do łóżka, może sytość mnie uśpi, bo muszę spać, ręce niepewnie sięgają między nogi, a może to mnie uspokoi i uda mi się zasnąć, ale kiedy dotykam splecionych włosów, kędzierzawej

bródki, kudłatego, odtrąconego zwierzaka, który wydyma wargi z urazą, zalewa mnie fala mdłości, to jest jego, nie moje, to mi go przypomina, przypomina mi jego palce, język, i biegnę do łazienki, nachylam się nad sedesem, wyrzucam z siebie płonącą kaskadę, jak smok plujący ogniem nienawiści w tych, co go przyszli zgładzić.

## Rozdział piętnasty

Więcej tu nie nasika, zawiadamiam rozdziawioną muszlę, która dzień w dzień, rok w rok łykała jego płyny, patrzyła na niego pokornie, gdy stał nad nią z obnażonym członkiem, lejąc w jej gardziel pienisty, żółty strumień, będzie miał inną muszlę i do niej będzie lał, już czuję, jak moja uraza miesza się z jej urazą, nie sposób ich oddzielić, z urazą kafelków nad umywalką, szyby zbitej podczas jednej z kłótni, jej rys opatrzonych taśmą, ręczników na wieszakach o napiętych szyjach, całego porzuconego domu, mebli, które od lat zamierzam wymienić, zakurzonych dywanów, niezliczonych przedmiotów, jakie z biegiem lat zgromadziliśmy, potrzebnie i bez potrzeby, a nad nimi wszystkimi króluje dumnie uraza Noi. Jak orkiestra czujnie wpatrzona w każdy gest surowego dyrygenta, tak my kierujemy wzrok w stronę pokoju pogrążonego w ciemnościach, skąd pachnie dymem, jakby spała w nim niedźwiedzica, która straciła młode, jakby groziło nam, że się zbudzi, wyprostuje na całą wysokość swojego bólu i nas rozniesie.

Spod półprzymkniętych powiek spoglądałam na zegarek, ledwo godzina minęła, odkąd wyszedł, a skoro sześćdziesiąt minut tak się wlecze, jak minie cała noc, następne noce, całe

życie, wstaję z truciem, jak zabić ten czas, jak sprawić, by przyszedł sen i mnie pocieszył, może gorący prysznic by mi pomógł, ale silny strumień rzuca mnie na plastikową zasłonkę, omal nie zwała mnie z nóg, opieram się o nią niepewnie, tak lubiłam się tu kąpać w ciemnościach, zmywać ślady naszej miłości, on wchodził, posyłał mi uśmiech, którego nie mogłam zobaczyć, tylko chłonać moką nagością, a teraz z obrzydzeniem polewam wodą ciało, którego on miał dosyć, co mnie właściwie z nim łączy, to Udi pośredniczył zawsze między nami, to on je kochał, a teraz, bez niego, to ciało jest mi obce, wzdrygam się na samą myśl, że miałabym namydlić kłującą pachę, która przechodzi w ciężką pierś, brzuch, który kiedyś był płaski, a teraz jest obwisły, pełne uda, wielki strach między nimi, i wreszcie stopy, płaskie, kacze, które nas zawsze skłócały, bo ja szłam powoli, a on biegł przed siebie, kieruję na nie strumień wrzącej wody, podskakują śmiesznie jak na rozpalonym piasku, nie mnie to nie obchodzi, ich ból nie jest moim bólem, to pieczenie też nie ma związku ze mną, tylko z gardłem, między bólem u szczytu i u spodu ciała jest tylko chwiejne, zdradliwe rusztowanie, zardzewiałe gwoździe, plamy upokorzenia, którego nie usunie żadne mydło, jak mógł sobie pójść, po prostu wstać, włożyć plecak i wyjść, jakby był wolny, jakbym była obiektem na zakurzonej mapie, który można spokojnie opuścić, wyschniętym korytem, przez które przeszedł w poszukiwaniu prawdziwej rzeki, zabrał z sobą wszystko, co miałam, co sądziłam, że mam. Gdybym tylko wiedziała, gdzie jest, poszłabym do niego zaraz, nawet się nie wycierając, przekonałabym go, zagroziłabym mu, bo przecież to, co zrobił, to jawne bezprawie, nie za takie rzeczy wsadzają

do więzienia, nie można bezkarnie porzucić żony i córki po tylu latach.

Czasami czekał na mnie z rozpostartym ręcznikiem, otulał mnie jak niemowlę, nie przyszło mi do głowy, że to się może skończyć, że nawet tę odrobinę luksusu mi odbiorą, z poranionego gardła znowu wyrwa się płacz, zdawało się, że już odszedł, ale wraca, czyha na mnie w pościeli, bo zostałam sama, bez tarczy i bez obrońcy, łatwa zdobycz, miękki, śluzowaty ślimak bez skorupy, nakrywam się wilgotnym ręcznikiem, sen nie przyjdzie, nie doznam ani chwili łaski, nie przyjdzie, ale widocznie w końcu przyszedł, a nawet został zbyt długo, bo ktoś szepcze, mam, już późno, otwieram oczy, widzę nad sobą bladą twarz Noi, siadam gwałtownie, niemal zderzając się z nią głową.

Co z listem, myślę w popłochu, nie zdążyłam go zniszczyć, czy już wie, wpatruję się w nią badawczo, wydaje się zmartwiona, ale zwykle tak wygląda ostatnio, jej oczy jak dwa winogrona na talerzu rozbiegają się na boki, odwraca ode mnie wzrok i idzie do pokoju, wstaję z trudem, całe ciało boli, jakbym spędziła noc na zapasach, twarz mam opuchniętą, w ustach gorycz i suchość, chcę tylko dalej spać, wysłać ją do szkoły i wrócić do łóżka, ale jeszcze nie jest ubrana, siedzi w piżamie, przerośnięta dziewczynka, cała w miśsiach i pajacykach, próbuję ją wybadać, Nojeczko, wszystko w porządku? Ona nie odpowiada, wie, nie ma wątpliwości, niestety znalazła przede mną ten przekłętą list, więc wlokę się do kuchni i robię sobie kawę, patrząc na opustoszały dom, Udiego nie ma, nie da się ukryć, słońce już naciera na balkon, wbija w niego ostre promienie, krzyżuje go, oświetla wszystkie kąty, roznosi ponurą wieść o jego nieobecności.

Noa, chodź jeść, chrypię, stawiając pusty talerz przy jej krześle, ona przychodzi bosą, wiesz, że nie, szepcze, ja pytam, co nie, ona mówi, nie jest w porządku, pokaż mi list, odpowiadam że źle skrywaną niecierpliwością, ale ona zdecydowanie kręci głową, wyrzuciłam go. Co ci napisał, pytam, nalewam sobie kawę drżącymi dłońmi, ona bąka, nie zrozumiałam dokładnie, że musi wyzdrowieć gdzie indziej, że musi coś zmienić w swoim życiu, że kocha mnie, w jednej chwili objawia mi się jej wielka przewaga nade mną, dopada mnie brutalna zazdrość, on ją kocha, wprowadź na swój niedoskonały sposób, ale kocha ją, a mnie nie, mnie już nie kocha, i natychmiast wybucham, dlaczego wyrzuciłaś list, skoro go nie zrozumiałaś, wyjaśniłabym ci, a ona odpowiada, specjalnie, żeby ci go nie pokazać. Ale dlaczego, krzyczę, co ci szkodziło, że bym go zobaczyła? Był do mnie, nie do ciebie, syczy z tą samą żalosną dumą, jaką ja czułam wczoraj, kiedy powiedział, nie wychodź, chcę z tobą porozmawiać, ja jak głupia odpowiedziałam, porozmawiamy później, nic nie rozumiałam, ona chyba też nie rozumie, po raz pierwszy wymierza we mnie ostrze wrogości, zamiast się wspierać w obliczu wspólnego losu, kłócimy się jak żebraczki o ostatnią kromkę chleba, a jednak ze zdumieniem stwierdzam, że łatwiej znoszę jej wrogość niż miłość, popędzam ją, jedź, już późno, bez trudu rezygnuję ze szczerzej rozmowy, ona przeżuwa bułkę z zaskakującym apetytem, kilka razy dolewa sobie mleka, dziś rano wszystko, co robi, wydaje mi się dziwne, ale nie wnikam w to, byleby tylko już wyszła, dała mi kilka godzin' na oprzytomnienie. Musi wyzdrowieć gdzie indziej, powtarzają usta białe od mleka, najważniejsze, żeby wyzdrowiał, prawda? Tak, potwierdzam, prawie mu jestem wdzięczna za to mgliste sformułowanie, ona już otwiera

drzwi, żegna się ze mną oschłym: pa, mamó, ja całuję ją w czoło i szybko zamykam za nią, trzy razy głośno przekręcam klucz w zamku, żeby tylko się nie rozmyśliła, niech idzie do szkoły i zostawi mnie samą.

Pospiesznie zapuszczam żaluzje, likwidując uparte prześwity, i rzucam się na łóżko, gdzie czeka na mnie wilgotny czarny dół, tylko w nim mogę odetchnąć, rozprostować obolałe kości, jedyne, czego pragnę, to zostać tu cały dzień, nie musieć się o nikogo troszczyć, to mój plac zabaw, tylko tu jestem bezpieczna, rodzice nie pozwalają mi się stąd ruszać, bo za płotem jest ruchliwa ulica, a nie ma mnie kto przypilnować, zostałam bez opieki, potworny strach nachylił się nade mną, przygważdża do łóżka nadgarstki, miażdży mnie, dyszy mi w usta cuchnącym oddechem. Co teraz ze mną będzie, nigdy nie byłam sama, zawsze z nim, przeciwko niemu, pod nim, nad nim, naprzeciw niego, za nim, zawsze oceniałam siebie, porównując się z nim, a teraz, kiedy zniknął z obrazka, mój świat zadrżał w posadach, za chwilę opustoszały obrazek roztrzaska się na moich oczach o podłogę jak cenny barometr ojca i życia mi nie starczy na zebranie odprysków, będę pełzać jak wtedy, w dniu mojego wesela, pod łózkami, goniąc srebrne kocięta rtęci. Powinna byłam odwołać ślub, to był znak, powinna byłam wyjść za kogoś, kto by mnie nie opuścił w środku życia, kiedy nie jestem dość młoda, by założyć nową rodzinę, ani dość stara, żeby umrzeć.

Próbuję sobie przypomnieć innych mężczyzn, ale bezskutecznie, pamięć podsuwa tylko zamazane sylwetki, bo przecież na żadnego nie miałam odwagi spojrzeć, patrzyłam na życie tylko jednym okiem, drugie ze strachu sklejała żółtawa ropa. Czego się bałam, czego tak bardzo nie chciałam



zobaczyć, cieni świata czy jego blasków, zrezygnowałam z przyjaciół, z przyjaciółek, z następnego dziecka, przez moment czuję pewność, że gdybym je jednak miała, wszystko by było inaczej, zostalibyśmy we trójkę, Noa, ja i maleńki bobasek, troje to już rodzina, dwoje to jej wybrakowana imitacja, i czuję przy sobie nienarodzone niemowlę, tłusciutkie, mięciutkie ciało nieudolnie próbuje się na mnie wdrapać, garnie się do piersi, głaszcze mnie po włosach, obracam się w jego stronę, zdaje mi się, że leżymy na plaży, grzeje mnie gorący piasek, zakrywa po czubek głowy, Udi wyłania się z morza, strząsa na mnie wodę ze słonych włosów i śmieje się, zobacz, co ci przyniosłem, wyciąga ręce, ale mnie razi słońce, nie widzę, co w nich trzyma. Co to, pytam zupełnie oślepią, on mówi, jak to, nie widzisz? Nie widzisz, jak bardzo cię kocham, ja krzyczę, uważaj na dziecko, żeby nie pobiegło do wody, ono niczego się nie boi, Udi odpowiada ze śmiechem, jakie dziecko, tu nie ma żadnego dziecka, tylko ja i ty, bo zawsze cię będę kochał, nie wierz, jeśli ci powiem, że jest inaczej, ja krzyczę z radości, tarzam się w piasku jak wielka kotka, nie przeszkadza mi, że jestem ślepa, najważniejsze, że zawsze mnie będzie kochać. Jak miło to słyszeć, szepczę, bo właśnie mi się śniło, że przestałeś mnie kochać, nie masz pojęcia, jak płakałam, morze wezbrało od moich lez, a on parska lekceważąco, w uszach dzwoni mi jego śmiech. Przestań, mówię, to nie jest zabawne, ale on nie przestaje, dzwoni za zamkniętymi drzwiami, budzę się błyskawicznie, już dwunasta, telefon dzwoni natarczywie, pewnie ktoś z pracy mnie szuka, zapomniałam ich zawiadomić, lepiej nie odbierać, ale może to Udi, może wyłoni się ze snu i z rozbawieniem spyta, jak mogłaś uwierzyć, że cię przestałem kochać, podnoszę słuchawkę i milczę z nadzieją,

nieznany, wrzaskliwy głos pyta, pani Na'ama? Pani córka jest chora, proszę ją szybko zabrać do domu. Kto mówi, co jej się stało? niemal gryzę słuchawkę, ona skrzeczy, dzwonię z sekretariatu, ma prawie czterdzieści stopni, dałam jej paracetamol, ale gorączka nie spada, już od godziny próbuję panią złapać, wrzucam na siebie spraną podomkę, wybiegam tak, jak stoję, nie czesząc się, nie myjąc twarzy, złana nadmorskim potem, z półprzymkniętymi oczami przemierzam ulice oślepione słońcem.

Noa leży w fotelu w sekretariacie, policzki ma czerwone, oczy płoną jak u chorego z miłości, jej przerośnięte ciało skurczyło się w jednej chwili, przytulam ją, całuję rozpalone skronie, już jej dałam następną tabletkę, donosi sekretarka, ale to nic nie pomogło, jak umarłemu kadzidło, chichocze, rozmazując ciemną, prawie czarną szminkę. Ktoś ją badał, pytam, nie macie tu pielęgniarki? Ona mówi, ma pani pecha, akurat dziś jej nie było, i przygląda mi się podejrzliwie, wszędzie pani szukaliśmy, nie przyszła pani do pracy, a w domu nikt nie odbierał, ja mamroczę, musiałam coś załatwić, ale wścibskie, mocno umalowane oczy taksują z niedowierzaniem wyświechtaną sukienkę, rozczochrane włosy, opuchnięte powieki, i kulę się pod jej spojrzeniem, jest dla niej oczywiste, że tej nocy zostałam porzucona, że ma przed sobą kobietę bez mężczyzny, bez racji bytu, którą każdy może poniżyć.

Chodź, Nojeczko, jedziemy do domu, próbuję ją zachęcić, jakby nasz dom był bezpiecznym i przywracającym zdrowie miejscem, ale ona podnosi na mnie błyszczące oczy i zaczyna płakać, nie mogę chodzić, nie mogę ustać na nogach, sekretarka się wtrąca, cały czas była naprawdę dzielna, ale jak przyszła mama, to zaraz lecą łezki, prawda, kochanie?

Lubimy martwić mamę, ja pochylam się, żeby ją podnieść, byle stąd wyjść jak najszybciej, Noa mnie chwyta za szyję, jej ręce przerażająco bezsilnie zwisają mi na plecy, jak racice ustrzelonego zwierzęcia, jest gorąca i ciężka, podtrzymuję ją i z trudem posuwam się naprzód, mam wrażenie, że mój kręgosłup zaraz się rozsypie, przemieni się w miąłki żwir pod tym brzemieniem, i lamentuję w duchu, Udi, spójrz, co się stało, pomóż mi, już dłużej nie mogę, zaraz się przewrócę.

Stojące pod ścianami dzieci patrzą na nas w milczeniu, ustępują nam z drogi z przerażającym respektem, co sobie myślą, że ona nie żyje? Ze już tu nie wróci? Korytarz nie ma końca, tak jak nasza samotność, nie ma tu nikogo prócz mnie, mojej chorej córki i naszego ciężkiego nieszczęścia, posuwamy się w stronę wyjścia przygięte do ziemi jak objuczone zwierzę, ta rozpacz odziera mnie z wszelkich przejawów człowieczeństwa, kiedyś mnie obchodziło, jak wyglądam, jak brzmię, teraz stękam głośno, cieknie mi z nosa, nie dbam o nic, byle dotrzeć do samochodu, złożyć chorą Noę na tylnym siedzeniu, ale nie dam rady, stopy mi się rozplaszczają pod naszym wspólnym ciężarem, zaraz upadnę na środku korytarza, zmienimy się w bezładny stos ludzkich członków, i w tym momencie słyszę krótkie, pospieszne kroki, łysy chłopiec podbiega do mnie, wołając, proszę zaczekać, pozwoli pani, że pomogę, nie mam nawet siły odwrócić głowy w jego stronę, to nie chłopiec, jest po prostu niski, przypominam go sobie, to ten nauczyciel historii. Wrywa mi jej nogi, dolna część ciała Noi już należy do niego, ciągnie ją w tył jak taczkę, nieznaczna ulga uwydatnia jeszcze ból, który się we mnie nagromadził, łapię ją za ręce, gonię za nim prędko, żeby jej nie rozerwać na dwoje przez brak

koordynacji. Gdy docieramy do samochodu, nie mogę złapać tchu z wysiłku, on wślizguje się sprawnie na tylną kanapę, wciąga ją za sobą i ku mojemu zdumieniu zostaje tam z jej nogami na kolanach, ja układam jej głowę na siedzeniu, znowu dotykam czoła, oddycha ciężko, oczy ma zamknięte, jakby było jej najzupełniej obojętne, co się z nią dzieje. Dziękuję, mówię i czekam, aż sobie pójdzie, trudno mi znieść jego obecność, ale on nie rusza się z miejsca, jak ją pani wniesie po schodach, więc powtarzam, dziękuję, nie pomyślałam o tym, po drodze się zastanawiam, skąd on wie, że u nas nie ma windy, tylko schody, że nie ma mi kto pomóc, on odzywa się cicho, jakby wyczuł moje zdziwienie, Noa mi powiedziała dziś rano, ja pytam napastliwie, co powiedziała, on odpowiada, że jej tata się wyprowadził z domu, i kiedy słyszę te słowa z ust kompletnie obcej osoby, ten fakt nabiera dla mnie mocy, jakby go właśnie podano w radiowym wydaniu wiadomości.

On też ją tak wnosił, kiedy była małeńka, bo zawsze zasypiała w samochodzie, trzymała go za szyję zaspana, ale dumna, i szliśmy po schodach w milczeniu, wzajemnie się uciszając, żeby jej całkiem nie zbudzić i mieć trochę czasu dla siebie, on kładł ją na łóżku, ja zdejmowałam buciki, prędko zamykaliśmy drzwi i dopiero wtedy zapalaliśmy światło, a jeśli natychmiast nie rozległ się słodki płacz, oddychaliśmy z ulgą, jak niewolnicy, którym niespodziewanie trafiła się chwila wytchnienia, nalewaliśmy sobie piwo czy po kieliszku wina, czasem wychodziliśmy na balkon, a czasem siedzieliśmy objęci w salonie, potajemnie tęskniąc za nią, ale teraz jest zdana na krótkie łapska łysielca, który waży chyba niewiele więcej niż ona, jednak nie mogę być dziś wybredna, trzymam się tuż za nimi, żeby ją złapać, jeśli mu się

wyśliźnie, on stawia kroki niepewnie, twarz ma zaróżowioną z wysiłku, ale jakoś idzie. Pospiesznie wskazuję mu drogę do pokoju Noi, jak smętna przewodniczka wybitnie krótkich wycieczek, zrzuca na łóżko swój rozpalony ładunek i ociera pot z czoła, na palcu błyszczy obrączka, wygląda na zupełnie nową, jakby ożenił się najdalej wczoraj, nachylam się nad Noą i szepczę, jesteśmy w domu, a ona jęczy, chcę spać, boli mnie głowa.

Spij, całuję czerwony policzek, jak wstaniesz, poczujesz się lepiej, zdejmuję jej buty, przykrywam ją cienkim kocem, to nic takiego, pewnie grypa, próbuję się pocieszać, on idzie za mną do kuchni, bierze sobie szklankę i nalewa wody z kranu, zapomniałam mu zaproponować coś do picia, ale sobie poradził, ciągle wydaje mi się, że już tu kiedyś był, okrągłe, jasne jak u dziecka oczy wędrują bez ciekawości po mieszkaniu, zapraszam, żeby usiadł, bo czuję się nieswojo, kiedy tak przede mną stoi, zwłaszcza że jest ode mnie niższy i patrzę na niego z góry, on mówi, muszę lecieć, zaraz zaczyna się lekcja, a jednak się ociaga, co też go zatrzymuje, lituje się nade mną, olśniewa mnie nagle, stałam się jedną z tych, nad którymi ludzie się litują, i nie mam nawet siły udawać, że wcale taka nie jestem. On już podchodzi do drzwi drobnym kroczeniem, chwytając klamkę i zwraca się do mnie konfidencjonalnym szeptem, Noa to szczególne dziecko, dziękuję, mówię ze znużeniem, jakby mnie uraczył banalnym komplementem, po czym przytomnieję i pytam, pod jakim względem, on sili się na górnolotność, okręty pełne skarbów spoczywają na dnie jej duszy, trzeba jej pomóc je stamtąd wydobyć, ja wtrącam, a jeśli nie ma jej kto pomóc, on odpowiada, to wszystko się zmarnuje.

Więc stara się pan jej pomóc, obdarzam go kwaśnym uśmiechem, on mówi, nie, niezupełnie, tylko z nią czasem rozmawiam na przerwie, kiedy widzę, że jest samotna, próbuję ją ośmielić, szkoda mi jej, jest taka zamknięta, stale ma się na baczności, ja wtrącam, może strzeże swoich skarbów, żeby ktoś jej ich nie odebrał, ale jego słowa zwiększają jeszcze moje przerażenie, chcę, żeby już sobie poszedł z tą swoją przesadną troską, niech się lepiej martwi o żonę, nie o moją Noę, dziękuję za pomoc, rzucam, on kiwa głową, gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić, Noa ma mój numer, ja mówię, oczywiście, mimo że nie zamierzam z niego korzystać, czuję się skrępowana w jego towarzystwie, mam wrażenie, że on zna Noę lepiej niż ja i to mnie dręczy, wpędza w poczucie winy, ale kiedy wychodzi, znów czuję się opuszczona, zostałam sama z dzieckiem, którego ojciec się wyprowadził, co ze mnie za matka, nie umiałam go utrzymać w domu, uciekł ode mnie, nawet nie wiem dokąd. Gdybym chociaż wiedziała, jak go wezwać na pomoc, posiedziałyby przy chorej córce, pomacał jej czoło, zajrzał do gardła, narodził się ze mną, co robić, i wracam zdruzgotana do jej pokoju, złote loki piętrzą się na poduszce, zasłaniają kochaną buzię, śpij, mój skarbie, szepczę, wyśpij się dobrze i obudź się zdrowa, ale ona siada gwałtownie na łóżku, drżącym palcem wskazuje drzwi, jakby zobaczyła zjawę, kto to, woła, krzywi się i wybucha histerycznym śmiechem, kto przyszedł, ja obejmuję ją, nikogo tu nie ma, Nojeczko, czego się przestraszyłaś, ona opada z powrotem na poduszkę, wiele w ustach okrucy sylab, jakby cofnęła się do niemowlęctwa.

Majaczy od gorączki, myślę ze strachem, trzeba jej szybko obniżyć temperaturę, biegnę po paracetamol, wypycham jej dwie tabletki do buzi, potem woda, ona posłusznie

połyka, pęka mi głowa, mamrocze, nic nie widzę, wtedy dociera do mnie, że to nie zwykła grypa, próbuję sobie przypomnieć objawy zapalenia opon mózgowych, jak to było, coś z szyją, macam jej kark i szepczę, pochyl głowę, ona krzyczy, nie mogę, głowa mi się nie rusza, ja odchodzę od zmysłów, pędzę do telefonu, powtarzam jak modlitwę numer Zohary, tylko jej ufam, tylko ona nam może pomóc.

Odbierz wreszcie, błagam ją w duchu, miażdżąc słuchawkę w morderczym uścisku, wreszcie odbiera, jest jakaś rozmamłana, jakbym ją obudziła, gdzie się podział rzeński ton, który znam, Zohara, Noa jest chora, krzyczę, przyjdź ją zbadać, strasznie cię proszę, ona się waha, jej głos brzmi dziwnie, jest tak słaby, że ledwo go słychać. Teraz nie bardzo mogę, wymawia się, ale ja nie daję za wygraną, morze łez wzbiera we mnie gwałtownie i zalewa słuchawkę, Zohara, tylko przyjdź i powiedz, co mam robić, boję się, że to coś poważnego, ona nie odpowiada, co jej się nagle stało, zawsze przychodziła tak chętnie, jakby tylko czekała na zaproszenie, a teraz odburkuje z niezadowoleniem, dobrze, postaram się przyjść, jakby droga z jej do naszego domu wydłużyła się nagle i stała pełna niebezpieczeństw. Wracam do Noi zdezorientowana, paracetamol ledwo podziałał, kładę jej na czoło wilgotny ręcznik, zaraz przyjdzie lekarka, szepczę, ona płacze, chcę tatę, zadzwoń do taty, czuję, jak moje serce zastyga z żalu, schodzi z niego kaleczący lodowiec, tata jest na wycieczce, mówię, nie mogę do niego zadzwonić, na pewno sam zadzwoni, jak tylko znajdzie telefon, ona stęka, obrzękłe, urywane sylaby dźwięczą w każdym jej oddechu.

Kładę się przy niej na wąskim łóżku, przytulam ją, drżąc ze smutku, jak mogłam sądzić, że przyjęła to lekko, że skoro poszła do szkoły, wszystko jest w porządku, a ja mogę

spokojnie rozpamiętywać swoją urazę, swoją stratę, co mnie teraz obchodzą moje sprawy, na niczym mi już nie zależy, gotowa jestem na ochotnika zostać sama do końca życia, byle ona znów była zdrowa, tylko tego chcę. Bliskość trawionego gorączką ciała sprawia, że mam wrażenie, że ja też płonę, pod cienkim kocem przykładam do niej moje lęki i śluby, jej ogień sięga po mnie, jakbym wstąpiła na stos, wkrótce obie umrzemy zapomniane, opuszczone, przecież nie potrafimy bez niego żyć, powinnam to była wiedzieć, zawsze żyłyśmy tak, jakbyśmy nie mogły bez niego, będziemy się razem spalać, aż zgaśniemy cicho jak ogniska dogasające przed świtem, i wtulam się w nią, to ona jest matką, a ja córką, ona słońcem, a ja księżycem, gotowa jestem zasnąć i nie obudzić się więcej, gdy w domu rozlegają się energiczne kroki. Wrócił, myślę uradowana, usłyszał jej wołanie, nie jest zdolny odejść naprawdę, też nie potrafi żyć bez nas, wszyscy jesteśmy chorymi organami jednego ciała, ale nie, zbliża się do nas smukła postać, nawet kiedy się jej spodziewam, zaskakuje mnie swoim przyjściem.

Jak Noa, pyta, wciąż pełna rezerwy, ja wstaję z łóżka i szepczę, ma wysoką gorączkę, silny ból głowy, sztywny kark, nie jest z nią dobrze, w ogóle wszystko jest złe, dodaję zdruzgotana, Udi się wyprowadził, ona tego nie zniesie, i ja też, po prostu wstał i wyszedł, nawet nie mówiąc dokąd, wszystko przez tę przeklętą chorobę, szlocham, rezygnując z resztek godności, chcę tylko osunąć się w jej ramiona, trzepotać w nich jak jej córeczka, ona patrzy na mnie w skupieniu, bez zdziwienia, to naturalne, że tak się czujesz, szepcze, ale można się czuć inaczej. Inaczej? To też ma być szansa? pytam napastliwie, a ona odpowiada, oczywiście, przecież strata wiąże się z poczuciem ulgi, wyobraź sobie, że pewnego



dnia wchodzisz do domu i widzisz, że został okradziony, złodzieje zabrali ci wszystko, nic nie zostało, nie ma nawet sensu próbować przywracać tego, co było. Twoja rozedrgana świadomość nagle znika, myśli cichną, odczuwasz głęboki spokój, przeżywasz niemal chwilę łaski. Już rozumiesz, że walka skończona, że jest bezcelowa i musisz z niej zrezygnować, bo nie masz innego wyjścia, tracisz wszystko, ale zyskujesz wielki spokój. Rozejrzyj się, Na'ama, szepcze, ściany domu się wałą, lecz dzięki temu odsłania się przed tobą krajobraz, którego nie mogłaś zobaczyć przez tyle lat, słucham jej z narastającą rozpaczą, wygłasza jak automat swoje głupawe morały, co mnie one obchodzą.

Przede wszystkim zobacz, co z Noą, przynaglam ją, trudno uwierzyć, że kiedyś chciwie spijałam jej z ust każde słowo, ona podchodzi do ciężko dyszącego łóżka, obrzuca je nieprzeniknionym spojrzeniem, bez duchowego żaru, który tak w niej kochałam, jej ręce wędrują z powagą po majaczącym cieple, spróbuj się schylić, pochyl głowę, nie podkurczając nóg, szepcze, a Noa wrzeszczy, to boli, zostaw mnie, Zohara puszcza ją błyskawicznie, w takich warunkach nie mogę jej zbadać, mówi, sztywny kark rzeczywiście może wskazywać na zapalenie opon mózgowych, ale nie mam jak się upewnić, musisz ją wziąć do przychodni albo do szpitala, patrzę na nią z zawodem, a miałam do niej takie zaufanie, byłam pewna, że tylko dotknie Noi i ta natychmiast będzie zdrowa, gdzie jej cudowne moce, gdzie wonny dym kadzideł, gdzie pocieszające rewelacje, bez tego wszystkiego jest tylko zwykłym człowiekiem, chudym, ciemnym, bezradnym.

Przykro mi, szepcze, ucieka z pokoju pospiesznie, ja za nią, czekając z przyzwyczajenia na jej werdykt, spiczasta

broda jest tak blisko, że zaraz mnie skaleczy, przy narodzinach wraz z nami przychodzą na świat nasze troski, mówi powoli, tak cicho, że muszę się do niej przybliżyć jeszcze bardziej, żeby usłyszeć, jest taka starożytna tybetańska opowieść o kobiecie, której jedyny syn zachorował i umarł, więc błąkała się po ulicach z jego zwłokami na rękach i prosiła każdego napotkanego człowieka, żeby jej pomógł przywrócić go do życia. Wreszcie pewien mędrzec powiedział jej, że jedyną osobą na świecie, która może dokonać tego cudu, jest Budda, więc poszła do niego, złożyła ciało syna u jego stóp i opowiedziała mu swoją historię. Budda wysłuchał jej i rzekł: jest tylko jeden sposób, by ukoić twoje cierpienie, musisz się udać do miasta i przynieść mi ziarno gorczycy z domu, którego nigdy nie nawiedziła śmierć. Kobieta natychmiast pobiegła do miasta, chodziła od domu do domu, ale nie znalazła żadnego, którego śmierć by nie nawiedziła. Kiedy obeszła wszystkie domy w mieście, zrozumiała, że nie zdoła spełnić żądania Buddy. I co zrobiła, pytam ze zgrozą, Zohara mówi, pożegnała się z ciałem syna, wróciła do Buddy i poprosiła, by ją nauczał, zrozumiała, że życie to morze cierpień dla nas wszystkich, a jedyny sposób, by się z nich wyzwolić, to wstąpienie na drogę wiodącą ku wolności.

Czego ty ode mnie chcesz, po co te przerażające opowieści, wybucham, przedtem milczałam w napięciu, wierząc na-  
iwnie, że ta historia się dobrze kończy, jaka znów wolność, mam chorą córkę, mąż mnie porzucił, a ona odpowiada, pamiętaj, że to najważniejsze momenty w życiu, w takich chwilach bramy Oświecenia są dla ciebie otwarte, spadłaś z wielkiej wysokości, ale dotknęłaś prawdy, upadek nie jest tragedią, tylko szansą na znalezienie oparcia w sobie, na zrozumienie, że w ostatecznym rozrachunku nic nie jest złe ani

dobrze, więc nie ma sensu popadać w skrajne emocje. Musimy żyć bez przywiązania i bez gniewu, deklamuje, dążyć do doskonałej równowagi, nie czepiać się kurczowo szczęśliwych przeżyć, nie załamywać z powodu zasmucających zdarzeń, nie pozwalać, by w nas mieszkwały silne emocje, nieważne, dobre czy złe, słucham jej niecierpliwie, z narastającym wzburzeniem, nad którym już nie panuję, co wtedy ze mnie zostanie, przerywam jej bezceremonialnie, emocje to wszystko, co mam, chcesz, żebym się wyrzekła uczuć, żebym była twarda jak gład? Wiedz, że ci się nie uda, to naprawdę potworne, co mówisz, wybucham, jak mogłam tego wcześniej nie widzieć, co znaczy bez przywiązania, mam pozwolić swojemu dziecku umrzeć, ono cierpi, a ja będę patrzeć na chmury? Co jest wart cały ten spokój, o którym opowiadasz, skoro osiąga się go za cenę uczuć? To po prostu kolejny krok w stronę śmierci, wy tam w Tybecie umieracie z radością, bo u was między życiem a śmiercią nie ma wielkiej różnicy, ale mnie to nie odpowiada, rozumiesz? Jestem gotowa czuć smutek, bo dzięki temu odczuwam szczęście, nigdy, przenigdy się tego nie wyrzeknę.

Ona przygląda mi się, nie kryjąc niezadowolenia, jej aksamitne oczy mrocznieją, jesteś w błędzie, Na'ama, nie każę ci zaniedbywać córki, mówię o wewnętrznej wolności, czy wiesz, że w Tybecie matki wysyłają dzieci do szkół do Indii, rozstają się z nimi na długie lata, czasem nawet na zawsze, ale robią to w zgodzie ze sobą, bo uważają, że nie fizyczna obecność, tylko bliskość duchowa jest najważniejsza, ja pytam, co chcesz przez to powiedzieć, rozmawiasz ze mną o Noi czy o Udim, wyjaśnię ci innym razem, mówi, jesteś teraz bardzo wzburzona, a ja już muszę wracać, nakarmić moją córeczkę, ja patrzę, jak pod bluzką niewielkie piersi

nabrzmiwają mlekiem, wstydę się swojego wybuchu, ją też zdołałam skutecznie do siebie zniechęcić, zostawia mnie z chorym dzieckiem i pędzi do swojego zdrowego maleństwa, nawet nie zauważyłam, że przyszła bez niego, nagle ma go kto przypilnować, odprowadzam ją do drzwi, z progu mieszkania mam widok na rozpalony salon, wydaje się, że słońce rozsiadło się na suficie i pluje na niego żarem, i w tym momencie staje mi przed oczami tamten obraz, ledwie kilka tygodni temu weszliśmy z Noą po schodach i na widok Udiego, który wędrował po pokoju z jasną istotką w ramionach, kołysząc ją i szepecząc, ćśś, ćśś, ćśś, zadrżały pod nami nogi, i naraz wszystko staje się jasne.

## Rozdział szesnasty

„Zerwij się, zerwij się, powstań, Jeruzalem, któreś piło z ręki Pana kubek jego gniewu, wychyliło do dna kubek odurzającego napoju! Nie było wśród wszystkich jego synów, których urodziło, takiego, który by je poprowadził, nie było wśród wszystkich synów, których wychowało, takiego, który by je ujął za rękę. Podwójny to cios, który cię dotknął - kto okaże ci współczucie? Spustoszenie i grabież, głód i miecz - jak mam cię pocieszyć? Gdyż Pan uzna cię znów za małżonkę, niegdyś porzuconą i strapioną w duchu. Bo czy można wzgardzić małżonką poślubioną w młodości? - mówi twój Bóg. Na krótką chwilę porzuciłem cię, lecz znów cię zgromadzę w wielkiej miłości. W przystępie gniewu zakryłem swoją twarz na chwilę przed tobą, lecz w wiecznej miłości zlitowałem się nad tobą, mówi Pan, twój Odkupiciel”<sup>4</sup>.

Leżę na dywanie przy jej łóżku, jak wyczerpana suka wśród ogryzionych kości, przy mnie księga, której nie zabrał, a w niej starożytne wersety, wspólny los nas łączy w tę przerażającą noc, wszystkie trzy, gniewna księga,

<sup>4</sup> Księga Izajasza 51,17-19 i 54,6-8. Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z wydania Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Warszawa 1975. (Wszystkie przypisy od tłumaczki.)

wstrząsana falami pasji i pociechy, chora dziewczynka, kryjąca na dnie duszy zatopione okręty, i ja, wzgardzona małżonka poślubiona w młodości, przestałyśmy być potrzebne. Efraim otoczył mnie kłamstwem, a dom Izraela fałszem, kto by uwierzył, że taki będzie koniec naszej miłości, koniec, który jej towarzyszył od dnia, gdy się zrodziła w zenicie naszego dzieciństwa, który włókł się jak ogon za słowami kochania, pragnienia i zazdrości, czyhał pod łóżem małżeńskim, czekając na właściwą chwilę, nikt z naszych gości weselnych, towarzyszących nam w naszym życiu, by nie uwierzył, że przyjdzie obca kobieta i odwróci bieg rzeki, zdoła skierować na siebie strumień jego uczucia. Brutalne legiony światła najechały Ziemię, nie oszczędzając żadnej tajemnicy, wszystko stało się jasne, teraz rozumiem, co oznaczały częste, niby to bezcelowe spacery, ściągnięte brwi przy stole, co wieczór jadłyśmy kolację, a on przyglądał się nam rozbieranym wzrokiem, wędrował niespokojnie z pokoju do pokoju jak szpieg na terytorium wroga, już wiem, dlaczego tak wcześniej zamykał na noc drzwi i znikał za nimi, nieuchwytny, na moment mnie to pociesza, może tak nawet jest lepiej, prawie potrafię zrozumieć, dlaczego mnie porzucił, był chory, pomogła mu, sama omal się w niej nie zakochałam, w jej mrocznym spokoju, w zaskakującej mądrości, mając nas dwie do wyboru, też bym ją chyba wybrała, zrozumienie przynosi ulgę, już wolę je od niekończących się domysłów, ale natychmiast się oburzam, co go z nią łączy, to kompletnie obca osoba, a my dorastaliśmy razem, jest dla mnie nie tylko mężem, ale całą rodziną, wszystkimi wspomnieniami, nie mam nic oprócz niego. Dlaczego mi nie powiedział prawdy, ukrywał ją tyle tygodni, co warte są słowa, jakie w ciągu tych lat wymienialiśmy, miliony słów, przechodzą-

cych z ręki do ręki jak monety przy podejrzanej transakcji, skoro zataił najważniejsze. Przyjęłabym to ze zrozumieniem, powiedziałabym, to naturalne, że czasem budzi się w nas nowa miłość, mnie też to się zdarzyło, długo temu zaprzeczałam, teraz jestem gotowa się przyznać, a jednak nie wpadłam na pomysł, żeby odchodzić, było dla mnie oczywiste, że się powinnam wyrzec tej miłości, zresztą przyszło mi to bez trudu, ale nawet tego od ciebie nie oczekuję, chcę tylko, żebyś został z nami, nie pozbawiał nas swojej przyjaźni. Może zwolnimy jeden pokój dla niej i dla jej córeczki, będziemy żyli razem, wspólnie ją wychowamy, byle się nie rozstawać, ale zaraz zmieniam zdanie, tego sobie życzysz, po tylu latach wyrzeczeń chcesz teraz zrezygnować nawet z jego miłości, byleby zostać razem? Nie płaczcie nad tym, co umarł, i nie żałujcie go, płaczcie rzewnie raczej nad odchodzącym, bo już nigdy nie wróci i nie zobaczy swej ziemi rodzinnej.

Noa płacze przez sen, więc siadam, dotykam jej czoła, wdychając opary gorącego oddechu, jej choroba przygniata mnie i przeraża, nie będę miała wyjścia, rano biała karetka zaparkuje pod naszym domem, mężczyźni w błyszczących kurtkach otworzą drzwiczki na oścież, załadują osłabione ciało na nosze, ledwie kilka miesięcy temu towarzyszyłam Udiemu w tej drodze, lato dopiero się zaczynało, to była tylko przymiarka do tego, co mnie czeka rano, ale na razie jest jeszcze moja, jeszcze się jej nie wyrzekam, siłą mojej i jego miłości próbuję ją uleczyć, on musi wrócić tej nocy, jeśli dzisiaj nie wróci, to już nie wróci wcale, ten dom przestanie być jego domem, to dziecko - jego dzieckiem, moje ciało nie będzie już jego ciałem, w miejscu, gdzie go kochałam, pojawia się szpetne blizny, na zawsze nas rozdziela kolczaste zasieki,

jeśli nie wróci, gdy ona tak cierpi, opieram głowę o łożko, płacę przy rozpalonym ramionku Noi, nim wstanie świt, on się mnie wyprze po trzykroć.

Ona wyciąga spoconą rękę, z rozczarowaniem dotyka mojej twarzy, gdzie tata, szepcze, chcę tatę, niezdrowy zapach unosi się z jej buzi, swąd spalonej do cna owsianki, która przywarła do garnka, tata przyjdzie najszybciej, jak będzie mógł, mówię i wychodzę prędko, ona umrze bez niego, nie wytrzyma, i szukam telefonu w mroku, zadzwonię tam, powiem Zoharze, żeby natychmiast przyszedł, bo jego córka umrze, już zaczynam wykręcać numer, jak dla mnie, cały świat może nie spać, nie obchodzi mnie, że wszystkich pobudzę, najważniejsze, że uratuję swoje dziecko, ale kiedy odbiera i słyszę jej zaspany głos, rozłączam się, słowa się rozbiegają po całym domu, nie mogę go zmusić, będzie musiała wyzdrowieć bez niego, nie może być od niego tak bardzo zależna, i siadam na balkonie, chłodne powiewy nakłuwają upalną powłokę nocy, przedstawienie skończone, nagle to zrozumiałam, kurtyna się podarła, scena rozsypała, teraz wiem, gdzie są granice moich możliwości, straciłam moc, nie mogę już upiększać dla niej świata. Przez lata trwoniłam siły na te daremne próby, aby ukryć pęknięcia i rysy, dwoiłam się i troiłam, z roku na rok było mi coraz trudniej, a teraz nadeszła chwila, której się obawiałam, gdy nie sposób niczego ukryć, bo prawda, bezwzględna jak ogień, z sykiem obraca wniwecz obsadzone z trwogą w sercu rabatki złudzeń. Podnoszę się ciężko, wracam do jej pokoju, gęsta i dokuczliwa ciemność przesłania bladą twarz i znieruchomiałe włosy, nim się zdążę rozmyślić, szepczę jej w sen pękniętym głosem, tata się wyprowadził, Noa, przyjdzie dopiero, kiedy



zechce, zadzwoni, jak mu będzie wygodnie, czas, żebyśmy przestały czekać.

Ale wczesnym błękitnym rankiem, kiedy dom jest jeszcze spowity świetlistym królewskim płaszczem, wydaje mi się, że słyszę uporczywe pukanie do drzwi, otrząsam się z niespokojnego snu, „oto sprowadzę ich z ziemi północnej i zgromadzę ich z krańców ziemi. Są wśród nich ślepi i chromi, brzemiennie i rodzące razem, powrócą tu w wielkiej gromadzie. Oto przyjdą z płaczem, a Ja wśród pocieszenia poprowadzę ich i zawiodę do strumieni wód drogą prostą, na której się nie potkną, gdyż jestem ojcem dla Izraela, a Efraim jest moim pierworodnym”\*. Pokrzepiające wersety, które czytałam nocą, stają przy mnie, wykrzykując radośnie, jak umarli w dniu zmartwychwstania, powstrzymuj swój głos od płaczu, a swoje oczy od łez, z trudem prostując plecy, dźwigam się z dywanu i biegnę przygarbiona do drzwi, serce mi wali dziko, mój Udi do mnie wrócił, nie może odejść naprawdę, tworzymy jeden naród, nawet jeśli jesteśmy dwoma różnymi królestwami, zawrzemy teraz nowe przymierze, odpuszczę bowiem jego winę i nigdy nie wspomnę jego grzechu. Czemu puka, zamiast sobie otworzyć, w jedną noc z domownika stał się gościem, gdzie ma swój klucz, podchodzę do drzwi, wypełnia mnie absolutne szczęście, od dnia narodzin niczego nie pragnęłam bardziej niż jego dzisiejszego powrotu, marzyłam, by przyszedł o świcie wybawić Noę z choroby, a mnie z mojej zgryzoty, byśmy znów byli rodziną, celowo przeciągam chwilę, kiedy puka do drzwi, nieśmiało, delikatnie, ze skruchą i żalem, otwórz mi, moja siostró, moja przyjaciółko, moja gołąbko bez ska-

\* Księga Jeremiasza 31, 8-9.

zy! Gdyż moja głowa pełna jest rosy, moje kędziory pełne nocnej wilgoci, aż nagle pukanie ustaje, więc przekręcam klucz prędko, żeby się nie rozmyślił, żeby mi się nie wymknął, i wtedy moje piekące z niewyspania oczy zwięzają się gwałtownie na widok starych pleców, schodzących powoli po schodach, odwracającej się do mnie ciemnej, pomarszczonej twarzy w czarnych przeciwsłonecznych okularach, rozdziawiam usta z jękiem zawodu, wydaje mi się, że otwierają się coraz szerzej, aż wargi pękają jak podczas porodu, wielkie rozczarowanie rozdziera mnie, jego nieprzyjście jest dla mnie jeszcze silniejszym wstrząsem niż odejście, całe ciało ugina się w obliczu klęski, gdy wołam, mamó, co tu robisz.

Przyszedł ci pomóc, mówi, schody niosą ją do mnie z powrotem, wyciągam do niej ręce z otchłani, w którą osuwam się bez końca, zaskoczona jak dziecko, chwytam ją za kolana, mamó, nie odchodź, proszę, zostań z nami, dlaczego się ubierasz, dlaczego się malujesz, po co zakładasz buty na obcasie, jej kolana biegają z pokoju do pokoju, a ja, zaplątana w nie, próbuję im jakoś przeszkodzić, mamó, zostań, tata bez ciebie jest taki smutny, my też, zostań z nami, i już czuję jej ręce na włosach, nie mogę, mówi, nie mam innego wyjścia, zobaczysz, że będzie dobrze, dla wszystkich tak będzie lepiej, jednak nie było lepiej dla nikogo, dla niej samej na pewno nie, czy w jej uszach też brzmiały w tamtym momencie podstępne słowa fałszywego proroctwa, głos wzywający, by wstać i iść? Teraz jej głos jest ochrypły od papierosów, gdy mówi, mierzwiąc mi włosy, musisz je zacząć farbować, zobacz, ile siwych włosów ci nagle wyrosło.

Wcale nie nagle, bąkam, po prostu dawno mnie nie głaskałaś, wspieram się o nią, z trudem się podnoszę i widzę

zakrzywiony dziób, który rozwiera się z wygłodniałym uśmiechem, czarne ptaszydło rozpościera skrzydła, składa je i rozkłada na moich oczach, wymachuję rękami, chcąc je przepłoszyć, przecież nie jestem całkiem martwa, krzyczę, zostaw mnie, nie wolno mi jeszcze umrzeć, matka przytula mnie, dość, przestań płakać, no proszę, nawet nie zauważyłam, że płaczę, i wtedy w głębi domu podnosi się krzyk bardziej mroczny niż trzepot posępnych skrzydeł, tato?

To nie tata, wołam i biegnę do jej pokoju, który wypełniają niezdrowe wyziewy, ona siedzi, z upiornym uśmiechem wskazuje na drzwi, oczy ma wybałuszone i mętne jak u kukły, tata wrócił, krzyczy, i zaraz opada na łóżko, jakby się wystraszyła własnego głosu, opuszcza głowę na poduszkę, zapada w niespokojny sen, ciężko dysząc. Lekarz był, pyta matka surowo, ja mówię, niezupełnie, ona krzyczy, co ty próbujesz udowodnić, dlaczego nie wzywasz lekarza, czekasz na powikłania, żeby móc mu pokazać, że poza wszystkim ją zamordował? Ja wrzeszczę, nie potrzebuję pouczeń, potrzebuję pomocy, powiedziałaś, że przysłaś mi pomóc, i dopiero wtedy pytam, jak się w ogóle dowiedziałaś?

Udi do mnie dzwonił, w jej głosie pobrzmiwa nutka źle skrywanej dumy, skąd, pytam w napięciu, ona mówi, powiedział, że jest na południu, zdaje się, że w Arawie, prosił, żebym przy was była, ja znowu się unoszę, wiedział, że Noa jest chora, wspominał o tym? Nie mam pojęcia, wzrusza ramionami, słabo go było słychać, lecz ja wpatruję się w nią z niedowierzaniem, mam wrażenie, że wie znacznie więcej, niż jest gotowa przyznać, więc waruję przy niej, spragniona ochłapów informacji, jak głodny pies przed garnkiem pełnym mięsa, z którego nie potrafi zdjąć pokrywki.

Idzie do kuchni, ja wlokę się za nią, wpatrując się z uwagą we wzór na terakocie, byle na nią nie spojrzeć, od lat patrzę gdzieś obok, unikam jej wzroku, tyle mam do ukrycia, nieskończoną złość na nią, radość z jej nieszczęścia i żal nad jej urodą, nad jej życiem, strach, że będę jak ona i że będę jak on, jak ojciec, wydaje się, że tej nocy stanęło wreszcie w jedną, kołyszące się nad moją głową od dzieciństwa, i oto rozstrzygnięcie, jednak jestem jak on, znalazłam się ostatecznie po stronie porzuconych, tych, którzy cierpią, nie tych, którzy zadają cierpienia, zranionych, nie tych, co ranią, tutaj jest moje miejsce i czas się przyzwyczaić do tej myśli. Na samym początku życia nic tego nie zapowiadało, Udi z upodobaniem oczerniał moje geny, jesteś równie perfidna jak twoja matka, wmawiał mi, w końcu mnie rzucisz, jak ona rzuciła jego. Przez tyle lat pokornie starałam się udowodnić, że wcale taka nie jestem, że może mi zaufać, że jestem wierna, a teraz prawda wyszła na jaw, to on, który był zawsze poza wszelkimi podejrzeniami, okazał się zdrajcą, więc wygrałam, a właściwie przegrałam, i ogarnia mnie wstyd, że pokonała mnie własna matka, okazała się lepsza, ona jest piękną kobietą łamiącą męskie serca, ja jej córką ze złamanym sercem, nie mogę dłużej ukrywać hańby, kładę głowę na kuchennym stole, tak strasznie mi wstyd, mam, na pewno wydaję ci się tak samo żałosna jak ojciec, ona mówi łagodnie, ależ nie, mylisz się, Noam, prawie ci zazdroszczę, lepiej być porzuconą niż porzucającą, ze zdziwieniem podnoszę głowę, stare okrucieństwa wgniotły mi się w policzki, tworząc na szlaku łez wilgotną karawanę, co ty pleciesz, żałuję, że to nie ja odeszłam, szkoda mi każdego dnia, który spędziliśmy razem, że też mu pozwoliłam podjąć decyzję za mnie, przecież na tym polega cała różnica, ona na to, czasem jest

znacznie wygodniej, kiedy ktoś decyduje za nas, a ja złość się, co za bzdury, nie wiesz, o czym mówisz, mamó.

Wierz mi, Noam, tłumaczy, że ten, za kogo ktoś inny zdecydował, dochodzi do siebie znacznie łatwiej niż ten, kto podjął decyzję, ty szybko się pozbierasz, będziesz sobie mogła pozwolić na lepsze życie, a on będzie się musiał uporać z całym ciężarem odpowiedzialności, z wątpliwościami, poczuciem winy, sam jeszcze nie wie, co go czeka, zobaczysz, że ty się otrząśniesz znacznie wcześniej, ale mnie ta jej wizja wydaje się czystą fikcją, przecież widziałam go i słyszałam, był zimny i opanowany, ma się świetnie, ja za to jestem w rozsypce, jednak udało jej się mnie zaskoczyć, patrzę na nią spod oka, zawsze mi potrafiła w głowie namącić, tak że w końcu przestałam się starać ją zrozumieć, wszystko u niej było na opak, pozbawione logiki, i wyglądało na to, że kiedy jest szczęśliwa, jest najniešťczęśliwsza, i odwrotnie, od lat jej unikałam, tymczasem on naślał ją na mnie tego chorego poranka, nadal zdalnie kieruje moim życiem, zmusza mnie, żebym siedziała z nią w kuchni z twarzą usianą piegami z chleba, porzucona i gniewna jak mała dziewczynka, i pytała, dlaczego mi to zrobiłaś.

Ona milczy przez chwilę, utkwivszy w drzwiach jasne oczy, jakby się spodziewała, że ktoś jej przyjdzie z pomocą, ale natychmiast się opanowuje, wcale nie tobie, nie zrobiłam tego przeciwko tobie, tylko dla siebie, nie uważam tego za jakąś zbrodnię, matki też mają prawo do życia. Z całym szacunkiem dla dzieci, dodaje z wysiłkiem, jakby próbowała przekonać samą siebie, że ma słusność, nie trzeba zaraz popełniać dla nich samobójstwa, ja czuję, że twarz mi blednie, zupełnie jak twarz ojca, kiedy go strofowała, i pytam, nazywasz samobójstwem zostanie z tatą? Nie przesadzasz trochę,

jak można porzucić takiego męża? Ona na to, przestań, Na'ama, rozmowa o tacie nie ma w tej chwili sensu, ale ja się upieram, skoro już odważyłam się spytać, nie pozwolę się zbyć byle czym. Właśnie że ma, chcę zrozumieć, jak mogłaś dać sobie prawo do porzucenia mężczyzny, który tak cię kochał, jedyne, czego pragnął, to widzieć cię szczęśliwą, być z tobą i z waszymi dziećmi, po pracy wracał do domu, dźwigając pełne siaty, i zaraz brał się do zmywania naczyń, gotował, czytał nam bajki, był prawdziwym aniołem, o nic się nigdy nie gniewał, nigdy cię nie oskarżał, co sobie wyobrażałaś, że ci się należy coś więcej, z Bogiem we własnej osobie chciałaś spać w jednym łóżku?

Myślisz, że życie z aniołem to rozkosz, cedzi ona z niechęcią, kto żyje z aniołem, sam staje się potworem, on był zbyt dobry, aż nieludzko szlachetny, zawsze mi ustępował, nie można było się na niego złościć, wciąż mi próbował dogadzać, doprowadzał mnie tym do szaleństwa, to było przerażające, jakby chciał odpokutować jakąś zbrodnię, rozumiesz? Ja kręcę głową stanowczo, nie, nie rozumiem! Cemu tak trudno ci było po prostu przyjąć od niego to, co dobre, dlaczego wierzysz tylko w zło, ona cierpliwie tłumaczy, posłuchaj mnie, Na'ama, mnie też zrozumienie tego zajęło lata, z początku nie mogłam uwierzyć we własne szczęście, ale z biegiem czasu poczułam, że przy nim zwariuję, że ten świętoszek się nade mną znęca, ja obruszam się, znęca? O czym ty mówisz, on nie był w stanie skrzywdzić muchy, pamiętasz, jak było mu żal biednych gołębi? Ona na to, mówię o sprawach ukrytych, każdy święty szybko się zmienia w świętego męczennika, jego też to spotkało, a mnie razem z nim, sam był tak czysty, że ja zdawałam się przy nim skalana, obsadził mnie w roli oprawcy! Potrząsam głową z obu-

rzeniem, nie wierzę własnym uszom, jak możesz go oskarżać, gadasz zupełnie jak zakompleksieni faceci, obwiniający kobiety o wszystkie swoje braki.

Wiesz, co to znaczy kłaść się do łóżka z trupem, kochać się z trupem, napada na mnie matka, nie było w nim krztyny życia, więc go zaczęłam szukać poza domem, nie miałam wyjścia, a on nawet o to nie miał do mnie pretensji, przeciwnie, zdawało mi się, że w głębi duszy się cieszy, że może żyć moim życiem. Bo cię kochał, był z tobą szczęśliwy, szepczę błagalnie, on i my z nim, dopóki nie odeszłaś, niszcząc wszystko, ona mnie chwyta za rękę, kurczowo trzyma się tej rozmowy, w którą wdała się tak niechętnie, jakby weszła do zapuszczonego pokoju, zaczęła go sprzątać i nie mogła przestać, co znaczy był szczęśliwy, kiedy ja byłam nieszczęśliwa, to była bezduszość, nie szczęście, on mnie w ogóle nie widział, mało, że przy nim cierpiałam, to jeszcze czułam się winna, że psuję wszystko, że nic mnie nie cieszy, a przecież tak naprawdę chciałam tylko żyć i nic więcej, musiałam się ratować i wierz mi, że nie dla kariery odeszłam, tylko po prostu żeby być człowiekiem. Wiesz, co znaczy człowiek? To dobro i zło jednocześnie, ale on wszystko, co dobre, zarezerwował dla siebie, mnie obciążając całym złem, tyle że nasze role niewiele miały wspólnego z prawdą, to był po prostu jeden wielki fałsz, słuchając jej, pochylałam głowę, zamykam oczy, jakby mi opowiadała bajkę przed snem, wspaniałą historię, przy której bez problemu usypiam, głowa opada, wydaje mi się, że obie stoimy na podwórzu przed starym domem, ja trzymam w ręku dwa kocie noworodki, jeszcze brudne i ślepe, ona krzyczy, zostaw kocięta, przez ciebie matka ich nie zechce i zdechną, nie wolno dotykać takich malutkich kociaków, więc je upuszczam ze strachem, wołając

w jej stronę, nie kupuję tych twoich opowieści, przez wzgląd na dzieci można żyć nawet ze zbyt dobrym człowiekiem, to nie tragedia, ona spuszcza wzrok, powieki jej drżą, myślałam, że beze mnie będzie wam lepiej, że wam tylko przeszkadzam, przecież on był dla was takim wspaniałym tatą.

Ale kiedy odeszła, przestał być naszym tatą, pogrzyżył się w swoim żalu tak dalece, że zapomniał o naszym istnieniu, ocean smutku pochłonał całe oddanie dzieciom, jakby go nigdy nie było, więc ona ma rację, a ja przez te wszystkie lata złościłam się tylko na nią, teraz też trudno mi rozstać się z tą złością jak z płaszczem w niepewną pogodę, zapala papierosa, przyglądam się jej kościstym palcom, zmarszczki nad górną wargą zbiegają się wokół jasnej pałeczki, jej gesty są wciąż uroczyste, jakby w każdej sekundzie obserwowały ją setki oczu, mimo oznak starości i piętna choroby wrzodowej nadal robi wrażenie w eleganckiej, zdobionej haftem sukience, ależ wtedy była piękna, rzucała się na nas, rozdając wilgotne pocałunki, jak wiatr zimowy, co znika i powraca, i knuła swój niebezpieczny spisek.

Może ja też byłam za dobra, wiecznie starałam się udowodnić, że nie jestem jak ona, uciszyć łęki Udiego, ale po tamtym poranku to stało się niemożliwe, reszta była już tylko niekończącą się pokutą za niepopołnione grzechy, i nagle wraca do mnie najpiękniejszy poranek w moim życiu, po raz pierwszy ośmielam się w ogóle tym wspomnieniem cieszyć, nie pojmuję, dlaczego tam nie zostałam, przy wielkim oknie, wsłuchując się w pierwszy deszcz, dlaczego pochopnie wybrałam pogoń za Udim, ten zbędny, trwający prawie osiem lat pościg, żeby go zadowolić i ułagodzić, przecież powinnam była zostać, niechby sam doprowadził do końca wojny, które ze sobą toczył, sam podjął swoje decyzje,



ale ja stawiałam się przed nim natychmiast, by wchłonąć jego frustracje, ochoczo przyjęłam karę, zanim zdążyłam zgrzeszyć, goniąc za nim, okazywałam słabość, poczucie winy, defetyzm, i właśnie to mu pomogło odejść ode mnie dziś w nocy. Wiesz, że on kogoś ma, że mnie porzucił dla innej? pytam cicho, a ona wzrusza ramionami, w jej śniadej twarzy rozbłyskują niebieskie oczy, nieważne, to bez znaczenia, bo tak naprawdę dla siebie cię porzucił, ja mówię, wiesz, że kilka lat temu chciałam od niego odejść, ale w końcu zostałam, wiesz, że był ktoś, kto mnie kochał? Ona głaszcze mnie po ramieniu, zapewniam cię, Noam, że jeszcze cię ktoś pokocha, mnie jednak zdaje się teraz zupełnie nierzeczywiste, że był taki mężczyzna o kręconych włosach, który mnie kochał na tyle, żeby mnie nie ograniczać. Pamiętam, jak ukląkł, nachylił się do moich ud, ja na moment dotknęłam jego karku, on podniósł na mnie wzrok, jedno oko miał szare, drugie niebieskie, a w obojgu oczach smutek, co wtedy obiecywał, co próbował powiedzieć, i łkam, zamiast z nim zostać, cieszyć się jego miłością, pobiegłam przeprosić Udiego, odebrać Noę, na powrót wszystko sklecić, ale po tamtym poranku nic już z tego nie wyszło.

Wcześniej też nie było różowo, stwierdza ona, ja się oburzam, nieprawda, nie pamiętasz, jak nam było wspaniale po urodzeniu Noi, jacy byliśmy szczęśliwi, zanim zepsułam wszystko, ale ona się śmieje, twoim zdaniem było wspaniale? On był przecież zazdrosny jak dziecko o twoją uwagę, domagał się od ciebie opieki, przypomnij sobie, jak zachowywał, kiedy Noa się urodziła, ja mówię ze zdumieniem, co ty pleciesz, natychmiast się w niej zakochał, godzinami ją nosił na rękach, kąpał ją, wstawał do niej w nocy, a ona odpowiada, to też był element rozgrywki, chciał cię poniżyć,

pokazać, że nawet w tym cię przewyższa. Przesadzasz, mammo, ona przyznaje, no, może trochę, przecież nie żyłam z wami, ale bywałam tu wystarczająco często, żeby wiedzieć, że już przed upadkiem Noi były problemy, ja słucham jej w otumanieniu, jak podejrzenie dobrych wiadomości, źródło tych informacji nie może być wiarygodne, to przecież oczywiste, nagle odnoszę wrażenie, że ogień wędruje po domu, otwiera na mnie paszczę, dyszy, fala gorąca zbliża się do mnie i słaby głos dopytuje się, jakim upadkiem? Oddycham z ulgą, Noa zdrowieje, już stanęła na nogi, opiera się wprawdzie o ścianę, ale wzrok ma przytomny, ciekawe, jak długo tu jest, co słyszała z naszej rozmowy, matka spuszcza oczy, musiała przecież wiedzieć, że tu idzie, jednak mówiła dalej, wyciągam do Noi ręce, biorę ją na kolana, jej ciało jest takie wiotkie, niemowlęce, czuję w piersiach miłe mrowienie, jakby zbierało się w nich uzdrawiające mleko, zaraz rozepnę bluzkę i nakarmię ją, przytulam ją mocno i szepczę, wypadłaś tacie z rąk, miałaś wtedy dwa lata, sprzątaczką zapomniała na dole wiadra z wodą i to ci uratowało życie.

## Rozdział siedemnasty

Żyjemy jak w czasie wojny, gdy wszyscy mężczyźni są zmobilizowani i nadstawiają karku na froncie, a na tyłach zostają jedynie kobiety i dzieci, mieszkamy we trzy w jednym domu, który zmienił nie do poznania swój charakter, wydaje się, że nigdy nie powstała w nim noga mężczyzny. Na noc odstepuję matce nasze małżeńskie łóżce - już samo to określenie mnie zasmuca, i rozkładam w salonie kanapę, starą towarzyszkę mojej samotności, bo przecież na długo przedtem, zanim się wyprowadził, mnie odtrącił, kanapa rozwiera szeroko włochate ramiona, wciąga mnie w kolejną noc męki, wydaje się, że słońce wciąż zalewa żarem betonową skorupę nad głową, promienie palą w ciemnościach, rysują na skórze tatuaże zazdrości. Oto on w jej łóżku, to ciało wyrosłe w moich objęciach kopuluje bezwstydnie z jej węzowym ciałem, długim i giętkim, ja stukam go w plecy, pozwólcie mi spać przy was, nie zostawiajcie mnie samej, obiecuję, że nie będę patrzeć, tylko zróbcie mi trochę miejsca, ale on jest nią tak pochłonięty, że nie zwraca na mnie uwagi, trudno mi sobie wyobrazić jego wygląd w takim momencie, bo zawsze byłam zbyt blisko, za mocno zamykałam oczy. Trudno mi go zobaczyć z boku, domyślam się jedynie czułości, która się w nim

uwalnia w chwilach intymności, rzadkie, zaskakujące ciepło pieści skórę jak w dżdżysty dzień promień słońca, próbuję sobie przypomnieć, jak on się kocha, ściągam go w myślach na kanapę, jak w ogóle się uprawia miłość, jak sięgają ręce, jak rozwierają się wargi, jak się otwiera ciało, skurczone w sobie, zaciśnięte, jak się staje ten cud, daleko mi do miłości, tak daleko, że nawet w wyobraźni nie umiem jej zobaczyć, tyle nocy leżałam tu sama, gdy on był w sąsiednim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, dlaczego nie wśliznęłam mu się do łóżka, jak mała dziewczynka pod kołdrę rodziców, gdy przyśni jej się straszny sen, dlaczego się nie umościłam w jego ciele, jak teraz ona, wpycha mu do ust czarną, wezbraną mlekiem pierś, a on ssie i ssie, i walę w materac, on jest mój, mój, nie wolno mu pić z piersi innej kobiety, ale okropną wizję zastępuje już nowa, jeszcze gorsza, ilekroć zamykam oczy, widzę ich w wielkim łóżku, a między nimi niemowlę, i trzęsąc się z wściekłości, szybko zapalam światło, to niemożliwe, on nie położyłby się do łóżka z cudzym dzieckiem, nie zdradziłby swojej córki, a wtedy znowu powraca tamten obraz, Udi z jasnym maleństwem w ramionach krąży po salonie i szepcze ćśś, ćśś, ćśś.

Kroki ojca w podobny sposób orały czarną ziemię moich nocy, wciąż słyszałam je w całym domu, gdy usiłowałam zasnąć, ściągnąć sen jak latawiec na cienkiej nici, no chodź, spłyn na mnie wreszcie, a kiedy już prawie go miałam, nie pękała pod apatyczną ojcowską stopą i wyciągałam przed siebie małe, zmęczone ręce, aby jakoś powiązać zerwane szczątki. Noc w noc przeklinałam matkę, życzyłam jej wszystkiego, co najgorsze, żeby została sama do końca życia, żeby się zestarzała jak najszybciej, żeby zbrzydła, i te życzenia spełniły się co do joty. Mój braciszek budził się z płaczem, chcę do

mamy, robiłam więc w łóżku miejsce pulchniutkiemu ciążku, które kurczyło się z każdym dniem, nikt poza mną nie zauważył, że przestał jeść, że przestał się uśmiechać, nie płacz, mówiłam mu, jutro jedziemy do mamy, ale gdy przychodziła nas zabrać, uciekałam daleko w gaje cytrusowe, nie mogłam się przyzwyczaić do nowego mieszkania, do miasta, nie mogłam też zostawić ojca, chociaż był tak pochłonięty swoim żalem, że ledwo zauważał, że przy nim jestem. Wieczorem wołałam go na kolację, patrzyłam, jak macza w kefirze kromkę suchego chleba i żuje wolno, niczym we śnie, nie pojechałaś do mamy, pytał, ja mówiłam, postanowiłam zostać z tobą, mimo że o to nie prosił, może mu nawet ciążyła moja obecność. Kiedy już mi się zdarzyło do niej trafić, nienawisć stygła, łatwiej było ją nienawidzić z daleka niż z bliska, i teraz, gdy mam ją przy sobie, gdy śpi w sąsiednim pokoju, też spływa na mnie dziwny spokój, subtelne uczucia, kryjące się dotąd w piwnicach, w gołębnikach, na strychach, ukazują się nagle moim oczom. Przez lata nie ulegałam pokusie, odmawiałam kochania morderczynie mojego ojca, nawet po jego śmierci, tylko Noą się z nią dzieliłam, nigdy sobą, z satysfakcją patrzyłam, jak życie jej upływa na oglądaniu starych filmideł w telewizji, aktorek, od których kiedyś była ładniejsza, każdy to mówił, a teraz po raz pierwszy uchyliłam dla niej drzwi swojego świata, nie zastanawiała się długo, weszła natychmiast i jest, z połączenia żalu i akceptacji, opanowania i dumy kreuje nową, nieznaną mi postać smutnej, szacownej wdowy, nie brutalnej zabójczynie, moja złość na nią i tak karleje wobec wściekłości na Udiego, która też staje się coraz bledsza, też się powoli męczy.

Zmuszam się do myślenia małymi kroczkami - tylko o najbliższej chwili, nie o reszcie życia, całkowicie się

skupiam na zdrowieniu Noi, która powoli rozstaje się z chorobą jak z kochankiem, z wielkim trudem odrywa się od niej, wypłtuje z pożegnalnego uścisku. Przez większość czasu śpi i nawet kiedy się budzi, sen jej towarzyszy, siedzi przy niej w kuchni, gdy przełyka parę łyżek rosołu, odrobinę letniej herbaty i wraca do łóżka lunatycznie. Obserwuję ją jak podejrzanego pakuneka na przystanku, znieruchomiała ze strachu, przyglądam się ugiętemu pod jej ciepłym ciężarem materacowi, skotłowanej pościeli, jasnym piórom włosów, mam przeczucie, że pewnego dnia całkiem inna osoba podniesie się z tego łóżka. Jest mi bardzo na rękę to jej sennemilczenie, tak się boję, że mnie wciągnie w swój smutek, dziwię się, że moja matka ciepło i naturalnie przyjmuje jej krótkotrwałe przebudzenia, pewnej nocy, gdy ścielę kanapę, podchodzi do mnie z niezapalonym papierosem i mówi, robisz dziecku krzywdę, przestań się nad nią litować, to przez tę litność nie możesz na nią patrzeć, ja potakuję w milczeniu, ma słuszność, dręczy mnie ta świadomość, ale co na to poradzę, jak mam się przestać litować, jak przestać się martwić, kto przestał się o nas martwić, ten nas przestał kochać, prawda? Tak to już jest z miłością.

Ona ciągnie, wiesz, czego potrzeba twojej córce? Poczucia, że jest kochana, niepotrzebnie ją chronisz, litujesz się nad nią, boisz się jej - czy potrafisz ją po prostu kochać? Kulę się pod jej spojrzeniem, w surowej, ziemistej twarzy błyszczą młode, irytująco żywe oczy, wbijam wzrok w ścianę za nią, gdzie ja i Jotam, zastygli w niezdarnym uścisku, wyglądamy ze starej, zakurzonej fotografii, ja pochylam się nad nim, podaję mu ciastko, on się uśmiecha, za nami widać dom, złudny azyl z czerwoną dachówką, i odpowiadam, chyba naprawdę nie umiem kochać, miłość to luksus, na

który można sobie pozwolić wyłącznie, kiedy wszystko jest w porządku, czyli w praktyce nigdy. Spoglądam z żalem na swojego braciszka o buzi wyrazistej jak twarz Noi, jego kochałam naprawdę, pomrukiwał w moich ramionach jak niedźwiadek, ja byłam wilkiem i razem dokazywaliśmy w wysokim łóżku matki, aż stało się łóżkiem ojca, zapadało się pod nim coraz niżej, wreszcie Jotam omal nie zniknął w tej pułapce, i nikt tego nie zauważał, tylko ja go próbowałam ratować, może wtedy miłość zmieniła się w krzyk strachu, już mam jej wykrzyczeć w twarz to wszystko, ty za to potrafisz kochać, myślałby kto, ale jaki w tym sens, Udi zawsze w ten sposób odbijał mi piłeczkę, jakby płonęła mu w rękach, bez chwili namysłu, nagle z niejakim zdziwieniem przypominam sobie, że kiedyś był tu Udi, kaśliwy, spięty, jego wąskie, rozbiegane oczy uprawiały nieustanną gonitwę po trójkątnej twarzy, teraz nie ma go tu, i przez moment mnie nie obchodzi, gdzie jest. Nerwowe, męczące oczekiwanie na jego powrót zastąpiła dziwna obojętność, bo mam dziecko i muszę nauczyć się je kochać, z dala od jego cienia, od raniącej, gderliwej zazdrości, i patrzę raz jeszcze na fotografię, nie mieliśmy pojęcia, co kryje się pod czerwoną dachówką, ale czy to było złe, co jest złego w złudzeniach, po co podtykać dzieciom prawdę pod nos i mówić, jakoś sobie z nią radźcie.

Lata, gdy żyliśmy w kłamstwie, były dla nas znacznie lepsze od lat prawdy, odzywam się wreszcie, spójrz, jak nam było dobrze, czy to nie mogło potrwać dziesięć lat więcej? Ona pochyla głowę, jej wciąż ciemne włosy, ciasno zebrane w kucyk, naciągają zniszczoną skórę wokół oczu, myślisz, że nie próbowałam? Przecież najłatwiej jest kłamać, ale to nie jest słuszne, nawet dziecko nie może żyć w złudnej

rzeczywistości, ja oponuję, Jotam by mógł, nic innego nie robi od tamtej pory, jak statek widmo tuła się po świecie, kompletnie sobie nie radzi, może z Noą będzie podobnie, ona odpowiada, Noa sobie poradzi świetnie, ma dobrą matkę, lepszą, niż ty miałaś, mnie aż przechodzi dreszcz, czuję się dziwnie z tym jej ponurym komplementem, mówię, chodźmy spać, mamó, a ona przyciąga mnie do siebie i wodzi delikatnie rękami po mojej twarzy, jakby była ślepa, jej palce pachną perfumami i papierosami, i kładąc się na kanapie, myślę o tym, że on nigdy nie głaskał mnie po twarzy z taką powagą, z tak absolutną uważnością, i może tego też nie powinnam się była wyrzekać.

A to dopiero początek ciepłej, mętnej strugi niechęci, która wzbiera gdzieś w głębi mnie, przerywa wszelkie tamy, i chodzę po domu ciężka od wstrętu, uraza rzuca się we mnie i kopie jak nienarodzone dziecko, jak mogłam mu pozwolić zawładnąć moim życiem piędź po piędzi, jak mogłam rzucić studia, by się uchronić od jego męczącej zazdrości, zrobiłaś już licencjat, zrządził, gdzie będziesz się pętać po uniwersytecie, jakbyś nie miała w domu niemowlaka, jak mogłam zrezygnować z przyjaciół, był przekonany, że koleżanki mnie podburzają, na każde spotkanie z nimi szłam zapłakana, bo nieodmiennie wszczynał kłótnię tuż przed moim wyjściem, dosłownie przy samych drzwiach, i tak z wolna przywykłam do samotności, tylko ja i on, potem Noa, i praca, do której też odnosił się sceptycznie, pogodziłam się z życiem w więzieniu, bez pokus i bez wzruszeń, prawie je polubiłam, uznałam, że skoro tak łatwo mi przyszło zrezygnować, widocznie nie były to rzeczy istotne. Dla czego wygodnie mi było wyrzec się mojej siły i poddać jego woli, zawsze silniejszej od mojej, jeszcze przed tamtą winą,



którą wyciskał do cna, jak sok z pomarańczy na chore gardło Noi, już wcześniej nieustannie przeproszałam, że żyję, bałam się swojej urody, zamiast się nią cieszyć, co z niej teraz zostało, niewiele w stosunku do tego, czego mi jeszcze potrzeba na resztę życia. Sama myśl o reszcie życia przeraża mnie tak dalece, że ją odpędzam kopniakiem, dajcie mi spokojnie przeżyć tę godzinę, a potem następną, która czai się za nią, by ją natychmiast przekreślić, każda godzina przekreśla tę, co ją poprzedziła, każdy nowy dzień wymazuje swojego poprzednika, tylko w tym celu nadchodzą, oferują nam z uniżeniem siebie, dni, których nie pragniemy, bo nasz dom jest zamknięty, nikt nie wchodzi i nikt nie wychodzi, tylko matka idzie czasem do sklepu, drzę, słysząc jej kroki na schodach, obrót klucza w zamku, szelest plastikowych torebek na stole w kuchni, ale tylko przyglądam się jej i milczę, wszystkie trzy głównie milczymy, jedynie najniezbędniejsze słowa wydostają się z wyschniętych ust z wysiłkiem, jak korki z wąskiej butelki, które woła się skruszyć w jej wnętrzu niż pokazać się w pełnym świetle. Milczy nawet pralka i telefon, a jeśli już ktoś zadzwoni, najczęściej z pracy, ona oświadcza stanowczo, że jestem chora, nawet mnie przekonała, kładę się spać z niejasnym przeczuciem nadciągającej choroby, która się waha, co atakować, gardło czy brzuch, głowę czy plecy. Udi, wróć, wróć, mamroczę, nad ranem on odpowiada na moje modły, zawsze wchodzi na palcach do mrocznego pokoju, budzi mnie z ciężkiego snu i rzuca mi prezenty, zazwyczaj przynosi buty, trzy pary jednakowych sandałów i dwie pary kapci, dla siebie, nie dla mnie, pytam, po co to wszystko, przecież dopiero co kupiłam ci sandały, on śmieje się wesoło, jest tak uszczęśliwiony, że nie chcę mu zepsuć humoru i śmieję się razem z nim

z tego dziwnego żartu, co za wspaniały plon, w jedną noc pięć par butów, a rano, po przebudzeniu, czuję zawód, który stopniowo się zmniejsza, z początku mnie wypełniał bez reszty, aż skóra się napinała jak powłoka balonu, ale powoli rozprasza się po domu, wymyka przez szpary w żaluzjach i są chwile, gdy zarażona radością budzika myślę, wreszcie nikomu nie przeszkadzam, co za ulga.

I kiedy w nocy czuję na twarzy zdyszany oddech, powtarzam, on wrócił, wrócił, a jednak odwracam głowę, nigdy nie potrafiłam zasnąć twarzą w twarz z nim, patrząc mu w oczy spod zamkniętych powiek, naraz słyszę szept Noi, tak dużo spałam, że już nie mogę, robię jej miejsce w łóżku, ona wtula się we mnie, otacza ją zapach choroby, mimo że czoło ma już letnie, nie gorące, przez moment odnoszę wrażenie, że ziemia drży, aż zauważam, że to jej ciało, wciśnięte w moje, dygocze pod naporem płaczu, po co tu przyszła, złoszczę się, znowu mi chce dokuczyć, skąd mam wziąć siłę, żeby ją uspokoić, nagle czuję, jak spływa na mnie przyjemna rezygnacja, może wcale nie muszę jej uspokajać, tylko po prostu z nią być, opłacam ją ramionami, mój płacz splata się z jej płaczem, szlochamy razem jak dwie siostry, które po stracie rodziców zostały same na świecie.

Ale my mamy matkę. Rano budzi nas zapach mocnej kawy, świeżej sałatki i jajecznicy, od kilku dni nic nie jadłyśmy, rzucamy się na stół, chichocząc jak dwie przyjaciółki, które nocą wyznały sobie najskrytsze tajemnice, matka spogląda na nas z satysfakcją, patrzyła tak czasem na mnie i na Jotama, Noa przytula się do niej i widzę, jak są do siebie podobne, nie w kolorycie, ale z rysów, szczodrych i szlachetnych, te same wysokie kości policzkowe i pięknie wykrojone wargi, jak jej ładnie w kolorowej piżamie, z niedbale zebranymi

włosami, miło być jej siostrą, odrzucić trud matczyny, tę niekończącą się udrękę, po jedzeniu szykuję Noi kąpiel i siadam na sedesie, zerkając na jej ciało, które po tym tygodniu wygląda całkiem inaczej, dziecinne sadełko stopniało od gorączki, jest teraz długa i szczupła, na piersiach wyrosły dwa nowe, twarde stożki, moczy włosy, aż wyciągają się do połowy pleców, i mówi, wchodź, jest miejsce. Nie, co ty, bronie się, brałam prysznic w nocy, ale zaraz zdejmuję koszulę i wchodzę, moje ciało też stało się lżejsze, siedzimy kolano w kolano, przyjemnie zakłopotane, prawie się nie dotykamy, tylko gorąca woda przenosi pieśczęty, pospieszne całusy i śmiechy, jej obecność sprawia, że spływa na mnie nieznaną spokój, nie jestem sama, mam córkę, tym razem ta świadomość nie potęguje, lecz przytępia ból samotności. Miło jest czuć podwodne prądy między nami, reakcję na jej ruchy, w kuchni matka zmywa naczynia, jak w naszym starym domu co sobotę, zaraz otuli każdą z nas wielkim ręcznikiem, chyba odbiera telefon, mówi, tak, już jest zdrowa, i ze słuchawką w rękę wchodzi do łazienki, podaje ją Noi uroczyście, ja się zanurzam z głową, jak w mykwie, nie mam ochoty chwycić strzępków ich rozmowy, i niewyraźnie słyszę, jak Noa ze wzruszeniem relacjonuje Udiemu swoją chorobę jak bohaterski czyn, dodając nowe szczegóły w trakcie opowieści.

To kiedy się zobaczymy, tato, pyta na koniec, jakby się spodziewała medalu za odwagę, a potem kiwa głową, podaje mi wilgotną słuchawkę, on mówi łagodnym tonem, Na'ama, tak mi przykro, nie wiedziałem o jej chorobie, ja oddycham z ulgą, nic więcej nie chciałam usłyszeć, mam absolutną pewność, wolną od wszelkich podejrzeń, że gdyby wiedział, toby przyszedł, i cieszę się, że brzmi, jakby dzwonił

z daleka, że dzieli nas szmat ziemi, więc wcale się nas nie wy-  
parł, po prostu go tu nie było, nie ukrył się w jej mieszkaniu,  
może nawet nie dla niej mnie porzucił, znowu ta wyobraź-  
nia, wybujała i niebezpieczna. Najważniejsze, że wyzdrowia-  
ła, mówię, a co u ciebie, gdzie jesteś, on odpowiada, jeszcze  
na południu, za parę dni wrócę i przyjdę odwiedzić Noę,  
dobrze, nie ma problemu, obdarzam słuchawkę uśmiechem,  
ale nagle drętwieję i wypuszczam ją z ręki, widzę, jak się od-  
wraca i schodzi na dno wanny jak łódź podwodna, bo wyda-  
ło mi się, że gdzieś na obrzeżach miękkiego i budzącego po-  
czucie dotkliwej straty głosu dosłyszałam daleki,-stłumiony  
płacz niemowlęcia.

## Rozdział osiemnasty

A ósmego dnia przerywamy żałobę i wychodzimy na świat, wypaczony nie do poznania, pod naszymi nogami otwiera się stromy krater, ogromna paszcza, zamarła w przerażliwym ziewnięciu, wyprzedza nas o krok, gdziekolwiek byśmy poszły, jeden ruch i znikniemy w jego otchłannym wnętrzu. Schodzimy po schodach, trzymając się za ręce, nie zważając na prowokacje porannego słońca, matka macha nam na pożegnanie z przesadnym ożywieniem, jakbyśmy się miały przez wiele lat nie zobaczyć, Noa wspiera się na mnie, niepewnie stawia stopy, jedyna koszulka, jaką jej zostawił, turkocze na niej jak czarna flaga, przestrzega ją surowo przed każdym krokiem.

Zegnam się z nią przy bramie, przytulam ją z biciem serca, jakby to był jej pierwszy dzień w szkole, ruszam w swoją stronę i im bardziej się oddalam od niej, tym większa ogarnia mnie pustka, zdaje mi się, że z dawnego ciała zostały same ścianki, a wszystko, co między nimi, wyszło. Tak wyglądał nasz basen tam, na wsi, pod koniec lata, kiedy spuszczano z niego wodę, Jaron, syn sąsiadów, skoczył raz w twarde, złudny przestwór na głowę, potem przeleżał cały rok bez ruchu, w kołnierzu ortopedycznym, wszyscy mówili, że musiałyby się zdarzyć cud, żeby stanął z powrotem na nogi.

Zakradałam się tam nocami, przy pełni księżyca, wspinałam na bramę i z góry obserwowałam odmieniony basen, który, zakopany w ziemi jak szczątki starożytnego kananejskiego miasta, w wieńcu mrocznych cyprysów, spoglądał na mnie z majestatycznym smutkiem, niepomny radosnych wrzasków dzieci w przejrzystej wodzie, złotych odblasków pod ich palcami, arbuzów pękających na trawie od słodyczy. I ja kiedyś zapomnę błogie, intymne pomruki przed zamknięciem oczu, miłe leniuchowanie w sobotnie poranki, gdy snuje się rodzinne plany na weekend, nawet najdrobniejsze gesty, echo męskiego pulsu na materacu, obecność drugiego człowieka, choćby pełnego wrogości, chroniącą mnie przed samą sobą, sprowadzającą się do świadomości, która wydaje się teraz nieznosnie droga, że jeśli się pośliznę w łazience w środku nocy, ktoś usłyszy, jak padam, wszystko to odejdzie w niepamięć z czasem, a ja stanę się zimnym skamieniałym nagrobkiem pewnej małej rodziny, liczącej wszystkiego trzy dusze, która kiedyś istniała, ale przestała istnieć.

Mija mnie biegiem młoda kobieta, pot spływa jej po twarzy, ma mężczyznę czy nie, próbuję zgadnąć, przez moment wydaje mi się, że gdyby miała, lśniłaby jej nad głową błyszcząca aureola, jak królewska korona, ja, która tę koronę uznałam za część mnie, która już jej nie czułam, teraz aż za dobrze czuję jej brak, jak to się stało, że mi ją zdarto z włosami i skórą. Palcami sztywnymi od urazy macam skronie, wlokę się noga za nogą po schodach, zaraz mnie wezwie Chawa, będę musiała jej opowiedzieć, nawet jeśli nie będę chciała, wyciągnie to ze mnie i wykorzysta przeciwko mnie, nie mam wątpliwości, dam jej kolejny powód, żeby mnie lekceważyć, bo jestem żoną, która obrzydła swojemu mężowi. Bezgłośnie jak złodziej wchodzę do eleganckiego ośrodka, dziewczyny, pochłonięte śniadaniem, nie zauważają mnie,

części z nich nie znam, tydzień w tym miejscu to wieczność, Chani już nie ma i ku mojej radości liany też, kiedy o nich myślę, dopada mnie mroczne wspomnienie tamtej nocy, gdy spruto różowy sweter, gdy legło w gruzach moje życie, i żeby się nie przewrócić, chwytam się poręczy, dociągam się z trudem na drugie piętro, byle się ukryć w biurze, gdzie nie ma żywego ducha, skąd ten szmer tłumionego płaczu, który się za mną wlecze, dotykam ust, by się upewnić, że nie dochodzi z mojego gardła, tak jest mi znany, wydaje mi się, że słyszę własne łkanie na widok oddalającej się w górę ulicy sylwetki. W zagubieniu zaglądam do pokoiów, obchodzę je kolejno, wreszcie natrafiam na gmatwaninę rąk i nóg, wystających ze zmiętej pościeli pod oknem, skupionych ze smutkiem wokół sterczącego brzucha, widzę spuszczoną głowę, na niej czerwone, krótko obcięte włosy, źrenice zranionej Bambi rozszerzają się z zaskoczenia, wstrząśnięta siadam przy łóżku i szepczę, co tu robisz, Jael, nie miałam pojęcia, że u nas jesteście.

Jestem tu od tygodnia, szlocha, dostaję obłądu bez ciebie, bałam się, że nigdy nie wrócisz, ja biorę ją za rękę, dużo o tobie myślałam, miałam nadzieję, że wszystko się ułożyło, ona wzdycha, nic z tego, on nie zamierza opuścić rodziny, a ja sama nie wychowam dziecka, nie chcę być dwudziestoletnią samotną matką, nie mam nikogo do pomocy, i nagle słyszę siebie mówiącą pospiesznie, Jael, ja ci pomogę. Ona siada powoli, patrzy na mnie w zdumieniu, już się nie mogę wycofać, więc się uśmiecham niepewnie, zresztą nie ma powodu się wycofywać, nawet Udi ma teraz pod opieką niemowlę, dlaczego nie miałabym pomóc tej wspaniałej dziewczynie, która od pierwszej chwili podbiła moje serce, już sobie wyobrażam, jak Noa się ucieszy, jak się zmobilizujemy dla

tego dziecka, będziemy spacerować z nim w wózek, będziemy dla niego ogrzewać dom w zimie, położymy je na dywanie w salonie, na samym środku, będzie się uśmiechało i wierzało nóżkami, nie będziemy już czuły braku, nie będziemy w ogóle myśleć o Udim, bo maleńkie życie będzie rosło na naszych oczach i w nim znajdziemy pociechę, raduj się, niepłodna, która nie rodziłaś! Wykrzykuj radośnie i wesel się, gdyż zapomnisz o hańbie swojej młodości i nie będziesz pamiętać opłakanego stanu twojego wdowieństwa, ale ona, oszołomiona, opada z powrotem na łóżko, nieznoszący sprzeciwu głos Chawy wypełnia korytarz, więc wstaję pospiesznie i mówię, muszę iść na zebranie, zobaczymy się potem.

Siedzę przy stole konferencyjnym spięta i milcząca, jak podwójny agent, słucham z obawą opinii o jej sytuacji i możliwościach, o przyszłości płodu, który się z nikim nie liczy, mam wrażenie, że dwie drogi życiowe ciągną się przez cały blat jak dwa równoległe tory, któż to wie, który pociąg dotrze do celu szybciej, mój palec błądzi wokół nich niespokojnie, że też nikt nie pomyśli, że istnieje pośrednie wyjście, nikomu nie wpadnie do głowy, że mogę go wychować razem z nią, dla nich istnieją tylko skrajności, beznadziejne wybory, jak ten między śmiertelną chorobą a wypadkiem drogowym. Wędrujący po stole palec wraca do mnie czysty, krztyny kurzu nie ma u Chawy, która zwraca się do mnie znienacka, Na'ama, co ty o tym myślisz, ja mamroczę, trudno powiedzieć, jest jeszcze wcześnie, popracuję z nią do porodu, a potem się zobaczy, staram się mówić z opanowaniem, chociaż nagle wydaje mi się, że oszalałam, albo że wcześniej byłam szalona, a teraz odzyskałam zdrowie, ale Chawa nie spuszcza ze mnie wzroku, jej oczy widzą wszyst-



ko, dobrze się czujesz, pyta zniecierpliwiona i natychmiast dodaje, zajdź do mnie, kiedy zebranie się skończy.

Idę za nią, zaciskając wargi, byle się nie rozpłakać, byle zachować godność, ona pyta, to co się stało, miałaś jakieś nieprzyjemności, ja mówię, Noa była chora, baliśmy się, czy to nie zapalenie opon mózgowych, celowo mówię: baliśmy się, mimo że liczba mnoga więźnie mi w gardle, tężeje między zębami, jakbym się ośmieliła posłużyć tytułem szlacheckim, którego mnie już pozbawiono, ale ona lekceważąco macha ręką, co jeszcze się stało, Na'ama?

Udi się wyprowadził, mówię, ku własnemu zdziwieniu nie płaczę, jakbym powiedziała, chamsin się skończył, ona z powagą wstaje ze swojego łóżka, na którym ledwo usiadła, moje gratulacje, woła radośnie i ściska mi rękę, jakbym ją zawiadamiała o swoim zamażpójściu, to najlepsza rzecz, jaka ci się mogła przydarzyć, jaka się może przydarzyć każdej kobiecie, a tobie w szczególności, bałam się, że się nie odważy, naprawdę mnie mile zaskoczył, podsumowuje spokojnie i wraca na chwiejne siedzisko, przygniata je swoim ciężarem, ja gapię się na nią jak głupia, nie liczy się z ludźmi na tyle, żeby robić takie przedstawienie po to, by mi dodać otuchy, widocznie rzeczywiście tak myśli, i pytam niepewnie, co w tym dobrego, a ona dziwi się, nie wiesz? Wreszcie będziesz się mogła zająć sobą, postawić siebie na pierwszym miejscu, od lat skaczesz wokół niego, chronisz jego uczucia, bierzesz na siebie jego problemy, najwyższa pora z tym skończyć.

Ale kim ja właściwie jestem, Chawa? Mój drżący głos rozbrzmiewa wśród ścian gabinetu, jak ma mi być dobrze ze sobą, skoro nawet on się ode mnie odwrócił, jak mam postawić siebie na pierwszym miejscu, gdy czuję się odtrącona, poniżona, żałosna? Ona macha ręką lekceważąco, znów

mierzysz siebie jego miarą, i to bez odrobiny pomyślunku, skoro on odszedł, to znaczy, że ty nie jesteś nic warta? A może jest właśnie odwrotnie? Może to on nie jest w stanie zawrzeć całej twojej wartości, może się czuje przy tobie niedoskonały i winny, żyje w nieustannym lęku, że go porzucisz? Sposób, w jaki kobiety interpretują odejście, jest wielkim uproszczeniem, odszedł, czyli już mnie nie kocha, a ja nie jestem nic warta, tymczasem rzeczywistość jest znacznie bardziej złożona, wiesz przecież, że nie próbuję cię pocieszać, kiedy trzeba, bez ogródek mówię przykre rzeczy.

Patrzę wzruszona na twarz, która nie jest już młoda i nigdy nie była ładna, nagle stała mi się tak droga, może ona ma rację, oby, zazwyczaj ją ma, mądra Chawa, nieprzewidywalna, byłam pewna, że wyjdę od niej pięć razy bardziej upokorzona, tymczasem wychodzę niemal dumna i lekkim krokiem idę do swojego biura, nawet jeśli będę w to wierzyć przez jedną minutę dziennie, będzie to już punkt zwrotny, może idea, którą we mnie zasiała, wzrośnie i w końcu będę wierzyć przez cały dzień, a może i przez całą noc, i wtedy pojawi się szczęście. Już sobie wyobrażam siebie szczęśliwą, mgliste wspomnienie tańczy mi przed oczami jak motyl, muszę tylko wyciągnąć rękę, wystarczy go raz schwytać, a nigdy mi nie ucieknie, uśmiecham się, szeroki uśmiech nie znika mi z twarzy, nawet gdy słyszę pukanie i nieznajomy mężczyzna staje w progu. Przyglądam mu się ze zdumieniem, niewielu mężczyzn pojawia się w tym miejscu, a jeśli już, to ojcowie o złamanym sercu albo młodzi mężowie, zranieni i wściekli, ale takiego jak ten, bruneta w modnej koszuli, z zaczesanymi do tyłu włosami, nigdy tu nie widziałam, próbuję się pozbyć głupawego uśmiechu, który nie schodzi mi z warg, ten facet jest pewnie przekonany, że ma przed

sobą szczęśliwą, pogrążoną w samozachwycie kobietę, muszę go wyprowadzić z błędu, ale szybko się okazuje, że to jakaś grubsza pomyłka, bo on mierzy mnie niepewnym wzrokiem i pyta, szukam pani Chawy, czy to pani? Mój uśmiech zmienia się w prawdziwy śmiech, wydaje mi się strasznie zabawne, że ktokolwiek mógł mnie wziąć za nią, i grucham, chciałabym nią być, przez całe życie chcę być Chawą, a on mówi zaskakująco miękko, jestem pewny, że Chawa chciałaby być panią.

Nic podobnego, zaprzeczam mile połączana, kiedy pan ją zobaczy, zrozumie pan, że nie ma pan racji, jest z siebie całkiem zadowolona i nie chce być nikim innym, on odpowiada, obiecuję to sprawdzić, jeśli mi pani zdradzi, gdzie jej szukać, podekscytowana odprowadzam go pod same drzwi, zerkam na jego twarz ukradkiem, z profilu już nie jest tak ładny, jakaś orla drapieżność zaburza linię brody i nosa, jednak nie wracam do siebie, tylko biegnę do łazienki, nerwowo spoglądam w lustro i tu miłe zaskoczenie, ta czerwona włóczka upiększa mnie, przydaje bladej cerze subtelного mlecznego blasku, a włosy, które umyłam rano, błyszczą jak złote nici. Może Chawa ma rację i to wszystko rzeczywiście wyjdzie mi na dobre, już wyglądam znacznie lepiej niż przed tygodniem, w tym momencie przypominam sobie, że ona jest teraz z nim, czego' od niego chce, czego on chce od niej, jest za młody na ojca ciężarnej, czego szuka w tym ponurym miejscu, chociaż on też sprawiał wrażenie smutnego, zawstydzonego, nie przyszedł tu bez powodu, i wracam do pokoju, zostawiając otwarte drzwi, żeby widzieć, jak będzie wychodził, może uda mi się go zatrzymać, siedzę cała spięta, wgapiając się z niechęcią w papierzyska spiętrzone na biurku, aż słyszę, że idzie. Już mnie mija, lekko się przygarbił, orli

profil sposepniał, jakby dotarły do niego złe wieści, ale twarz łagodnieje, kiedy ją ku mnie zwraca, i mówi z lekkim uśmiechem, jednak wołę panią, a ja dziękuję mu z taką egzaltacją, jakbym w życiu nie otrzymała większego komplementu, i natychmiast jej bronię, to surowa, ale mądra osoba, trzymam się tego tematu, bo na razie nie bardzo mamy o czym rozmawiać poza jedną wspólną znajomą, którą dziś pierwszy raz widział, kto wie w jakiej sprawie.

Mądrość po fakcie nic nie pomoże, wzdycha, ja odpowiadam pospiesznie, ale zawsze jesteśmy i po fakcie, i przed faktem, nie? On milczy, opiera się o futrynę ciężko, jakby trudno mu było ustać na nogach. Co pana do nas sprowadza, pytam, z miejsca gotowa przyjąć na siebie jego rozliczne problemy, jak ciężarówka do wożenia gruzu, która zrzuciła swój ładunek i tęskni za nowym, on mówi, wielka głupota albo pech, czasem nie sposób ich rozróżnić, przyglądam mu się z sympatią, przecież i u mnie tak było, wielka głupota albo brak szczęścia sprawiły, że w środku życia zostałam porzucona. Ku mojemu żalowi on nie siada na wolnym krześle i nie zwierza się w odpowiedzi na moje pytanie, poprzestaje na tym zdawkowym stwierdzeniu, ale też nie wychodzi, w zamyśleniu lustruje pokój i wyraz oczekiwania na mojej twarzy, wydaje się nie mniej zaskoczony niż ja, że znalazł się w takim miejscu, otwiera usta, już ma powiedzieć coś, co odmieni moje życie, gdy w jednym z pokoiów wybucha znajomy płacz, przetacza się po schodach i trafia do jego uszu, on błędnie, jakby groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo, nie żegna się i biegiem ucieka, stoję przy oknie, kompletnie zaskoczona, i widzę, jak wypada z bramy, sadzi wielkimi krokami, dopada do srebrnego auta i dopiero wtedy się zatrzymuje, z widocznym przerażeniem zwraca

piękną twarz w stronę naszego ośrodka, jakby za chwilę miał mu runąć na głowę cały budynek ze wszystkimi mieszkankami.

Nie wytrzymuję, wpadam do pokoju Chawy bez pukania, zamykam za sobą drzwi i zdyszana opieram się o nie, ona niespiesznie zdejmuje okulary do czytania, Na'ama, mówi z naciskiem, co się znowu stało, wyglądasz na zdenerwowaną, ja już rozumiem, że ukrywanie nie ma sensu, szkoda zachodu, i z uśmiechem podlotka wypalam, co to za facet? Ona wzdycha, lepiej nie pytaj, masz dość problemów, ja upieram się, kto to był, muszę wiedzieć. Ojciec tej nowej, tej, co na ciebie ciągle czekała, mówi, ja dziwię się, ojciec Jael? Nie wyglądał mi na jej ojca, a ona macha gniewnie ręką, przecież nie powiedziałam, że to jej ojciec, tylko ojciec jej dziecka, a ponieważ wiadomo, kto jest ojcem, musimy mieć jego podpis na zgodzie na przekazanie dziecka do adopcji, zadowolona jesteś?

Ani trochę, rzucam z zawodem, nie fatygując się nawet, żeby zamknąć za sobą drzwi, jak mam być zadowolona, przecież on jest dla mnie stracony, wracam do siebie, po drodze próbuję sobie przypomnieć, co mówiła mi o nim Jael, pamiętam wyraźnie jedno, że nie odejdzie od żony, ostatnio tylko jeden mężczyzna bez trudu porzucił żonę i tak się składa, że był to akurat mój mąż, tego faktu nie sposób upiększyć, nawet stosując teorie Chawy. Może ją poślę, żeby i jemu powiedziała, że musi zrobić tę przysługę swojej żonie, że to najcudowniejszy prezent, jaki może jej podarować, ale nawet jeśli posłucha, zmieni się życie Jael, a nie moje, mojego życia chyba nikt już nie zmieni, należy teraz tylko do mnie, na dobre i na złe, a jednak w tej krótkiej chwili, gdy stał u mnie w pokoju, oparty o ścianę, coś między nami

zaszło, na pewno się nie mylę, w połowie drogi między drzwiami a biurkiem mój ból pocałował jego ból, i widzieliśmy to oboje. Oboje mamy na czole to samo piętno smutku, który spadł na nas nagle i nas zaskoczył, mimo że spodziewaliśmy się go przez całe życie, bo w głębi serca już nie wierzyliśmy, że przyjdzie, mieliśmy nadzieję, że go zamienimy na tysiące drobnych zmartwień, i to zaskoczenie nas połączyło tak mocno, że ciągle czuję w pokoju jego skonsternowany oddech, znowu podchodzę do okna, wspominam jego spojrzenie, srebrzystą drogę samochodu, byle jak najdalej stąd, i na myśl o straconej szansie ból kęsa mnie w szyję, a kiedy odwracam głowę, w pokoju stoi ona, brzuch niemal zasłania jej twarz, oszpeconą już opuchlizną ostatnich dni przed porodem, i szepcze, on tu był, prawda?

Tak, mówię, był u Chawy, wiesz, że musiał wyrazić zgodę na adopcję, ona z westchnieniem siada przede mną na krześle, czerwona z oburzenia, dlaczego nie przyszedł się ze mną zobaczyć? Przecież wie, że tu jestem, ja na to, rzeczywiście możesz się czuć urażona, ale widocznie jest mu ciężko, ona wybucha, jemu jest ciężko? A co ja mam powiedzieć? Musiałam się odciąć od całego świata, przyjść do ośrodka, ukryć się tu jak trędowata, tyle miesięcy morduję się z tą ciążą, to takie niesprawiedliwe, że za jego błąd ja muszę płacić. Jaki błąd, pytam nieśmiało, próbując maskować żywe zainteresowanie, ona odburkuje, dobrze wiesz jaki, obiecał, że będzie uważać, powiedział, że mam mu zaufać, a teraz się zachowuje, tak jakbym mu to zrobiła na złość, ja myślę o śniadym mężczyźnie, o jego błyszczących oczach pod ściągniętymi gniewnie brwiami, o twarzy ni to ciepłej, ni to surowej, i ogarnia mnie żenująca tęsknota, gdy sobie uświadamiam, że ona z nim spała, widziała go bez białej koszuli, bez staran-

nie wyprasowanych spodni, całował ją, pieścił, kochał się z nią, i już jestem gotowa jej zazdrościć, chociaż tak bardzo czuje się skrzywdzona.

Nie rozumiem go, lamentuje, przecież wiem, że mnie kochał, ta ciąża wszystko zepsuła, nie rozumiem, dlaczego nie chce się wyprowadzić z domu i zamieszkać ze mną, dlaczego nie może kochać mojego dziecka, jak kocha własne dzieci, o które tak się troszczy, dlaczego nie zostawia tej swojej durnej żony, ja czuję, że mnie rani każdym słowem, każde jej zdanie dowodzi, o ile mój Udi jest gorszy od tego mężczyzny, jaka szczęśliwa jest durna żona, której nie chce zostawić, przecież ja jestem teraz po jej stronie, po stronie żony poślubionej w młodości, a nie młodej kochanki, i wyznaję cicho, Jael, nie powinnam ci tego mówić, jeśli Chawa się dowie, natychmiast mnie zwolni, ale nie dalej jak tydzień temu zostawił mnie mój mąż.

Podnosi rękę do ust i patrzy na mnie w osłupieniu, złożoność całej sprawy spada na nią jak rój komarów, drugą rękę kładzie na brzuchu, wsłuchując się w niemej rozpacz w ciche szmery, odgłosy płodu, tylko on jeden jej nie zdradził, podchodzę do niej, kładę dłoń przy jej dłoni, przykro mi, szepczę, moja historia jest tu bez znaczenia, spróbuj tylko zrozumieć, że na tym etapie życia niszczymy coś na każdym kroku. Mam dość liczenia się z nim, burczy ona, tym razem wolno mi być egoistką, dla mnie też życie już nigdy nie będzie proste, ja mówię, to prawda, ale on najwyraźniej nie odejdzie od żony, więc bądź realistką, pytanie brzmi, czego mimo wszystko możesz od niego oczekiwać. Ona wgapia się we mnie zdumiona, jakby nigdy się nad tym nie zastanawiała, kiwa głową jak w modlitewnym transie, żeby był przy mnie, baka, żebyśmy razem zdecydowali, co zrobić z dziec-

kiem, tymczasem on mnie unika, nie odpowiada na moje telefony, pomyśl sama, był tutaj i nawet do mnie nie zajrzał, gdy sobie przypominam jego pospieszną ucieczkę, kiedy usłyszał jej płacz, wstyd mi za niego, pochylam głowę, zamykam oczy, bliskość jej brzucha, nowego życia, budzi we mnie żal i tęsknotę, z oddali słyszę jej głos, Na'ama, musisz mi pomóc. Po to tu jestem, mówię, ale wiesz, że to trochę potrwa, ona szepcze, chcę, żebyś z nim porozmawiała, wyjaśniła, że nie może mnie kopnąć jak psa, że jest odpowiedzialny za to, co się stało, nie dam rady bez niego, to najtrudniejsza decyzja w moim życiu, nie przejdę przez to sama, ja deklamuję, nie jesteś sama, jesteśmy przy tobie, ale ona nie daje za wygraną, proszę, Na'ama, zadzwoń do niego, przynajmniej spróbuj, mam przeczucie, że on cię posłucha. Niewiarygodne, zdumiewam się, dziewczyna oszalała, sama pcha mnie w jego ramiona, ona wstaje zdecydowanie, bierze z biurka kartkę i skrobie coś pospiesznie, to jego numer w pracy, spróbuj, proszę cię, i zaraz opuszcza pokój, zostawiając mnie z białą plamą, podchodzę do biurka i widzę, że jest tam napisane: Micheasz Bergman, i siedem cyfr mieni się przy nazwisku.

Nie zadzwonię, tak się nie robi, mam jej pomóc odnaleźć siłę w sobie, nie prosić, żeby się nad nią zlitował, a jednak to imię hipnotyzuje mnie, Micheasz, jest za jasne dla niego, obce, nie znam żadnego Micheasza. Wpadłeś, Miki, kiwam głową współczująco, powtarzając w myślach jego numer, złośliwy płód zagraża twojemu życiu, jesteś śmiertelnie zagrożony, i kiedy zmagam się z sobą nad telefonem, ten zaczyna dzwonić, podnoszę słuchawkę, przez moment nie rozpoznaję najlepiej znanego głosu w świecie, ponurego, przy-



kurzonego, może z powodu nowego, lekko przepraszającego tonu, Na'ama, to ja, mówi, jak się miewasz?

Jak mogłam nie poznać Udiego, to tak, jakbym nie rozpoznała własnego głosu, on ciągnie dalej, wróciłem, i szybko dodaje, wróciłem z wyjazdu, żebym nie pomyślała, że padnię z powrotem w moje ramiona, ale nim zdążę się pomylić, w moich uszach rozbrzmiewa echo pocieszających prośb, powtarzanych przy łóżku Noi, „twoje słońce już nie będzie zachodziło, a twój księżyc znikał, gdyż Pan będzie twoją wieczną światłością i skończą się dni twojej żałoby””, ależ się wtedy modliłam, żeby usłyszeć jego głos, a teraz jestem pusta jak opróżniony basen, jeśli spróbuje we mnie wskoczyć, skreśli kark.

Gdzie jesteś, pytam, on odpowiada, niedaleko, Awner zostawił mi klucze i wyjechał na miesiąc, przyjmuję jego słowa z ulgą, chociaż mam pełną świadomość, że jest ona złudna, że prawda objawiła mi się kilka dni temu i nic jej nie przekreśli, nawet jeśli Udi nie mieszka z nią i z jej dzieckiem, to już do nich należy, on pyta, o której Noa dziś kończy, chcę ją odebrać ze szkoły, ja mówię, niedługo, za piętnaście druga, a on, odprowadzę ją wieczorem do domu, dobrze? Ja bąkam, jasne, nie ma problemu, i nie odkładam słuchawki, chociaż już go w niej nie ma, oczyma wyobraźni widzę jej radość przy bramie, uśmiech, rozlewający się aż po koniuszki włosów, uścisk serdeczny i pełen niedowierzania, ale ja nie mam udziału w ich radości, chociaż wszystko tym dwojgu oddałam, niemal całe życie, a teraz pójda coś zjeść, może na film, latami go zamęczałam, żeby ją gdzieś zabrał beze mnie, poświęcił jej trochę czasu, nie sądziłam, że tak to się skończy.

\* Księga Izajasza 60,20.

Moja głowa opada na biurko całym ciężarem, mam wolne popołudnie, nie jestem nikomu potrzebna aż do wieczora, przez tyle lat byłam im nieodzowna, rozdarta jak stara ścierka między nią a nim, a teraz jestem zbędna, tak się przyzwyczaiłam być potrzebna, że nie wiem, co zrobić z czasem, który nagle okazał się wolny, to nowa dziedzina wiedzy, będę ją musiała poznać jak obcy język, zastanawiam się, co będę robić do wieczora, znów patrzę na białą plamę, jasny punkcik na mrocznym niebie mojego biurka, i nie wytrzymuję, wykręcam numer w pośpiechu, żeby się nie rozmyślić, i zaskakuje mnie, że on odbiera osobiście, pan Micheasz Bergman? pytam, a on oświadcza dumnym, rzeczowym i energicznym tonem, przy telefonie. Mówi Na'ama, spotkał się dziś rano w ośrodku, z ulgą czuję, jak otwiera się na mnie, słyszę to w jego głosie, aaa, cieszy się, pani nie-Chawa, ja przyznaję z uśmiechem, tak, nie-Chawa, on pyta, w czym mogę pani pomóc?

Oddycham niespokojnie w słuchawkę, czyta we mnie jak w otwartej księdze, przecież teoretycznie to ja jemu mam pomóc, szybko przechodzę do bardziej oficjalnej rozmowy, chciałam z panem omówić sytuację, zajmuję się Jael, on wzdycha cicho, co zrobię, jeśli odmówi, ale on odpowiada, okej, nie-Chawo, chętnie z panią przedyskutuję sytuację. Kiedy, rzucam niecierpliwie, on pyta, ma pani czas po południu, ja mówię natychmiast, tak, przecież chodziło mi tylko o to, żeby mieć jakieś zajęcie, on dodaje, u was czułym się niezręcznie, spotkajmy się w kawiarni, niedaleko ośrodka jest takie miłe miejsce.

Będziemy się zachowywać, jakbym pani budował dom, zaczyna od progu, jeszcze nim usiadł koło mnie, uśmiecha się łobuzersko, jakbyśmy się mieli po prostu dobrze bawić,

jakby los jej i dziecka nie leżał przed nami na stole, wyciąga z aktówki dużą kartkę, ja z ciekawością patrzę na proste linie, tworzące prostokąty i kwadraty, i czytam, salon, WC dla gości, gabinet, pokój dziecinny, sypialnia, wszystko jest jasne, uporządkowane, bezpieczne. Piękny dom pan buduje dla mnie, wzdycham, chciałabym, żeby powstał naprawdę, chciałabym być ustawioną życiowo damą, która nie ma innych zmartwień niż uzgadnianie z przystojnym architektem wielkości ubikacji dla gości, podoba się pani, pyta z radością, ja mówię, bardzo, i zerkam w stronę sypialni, on też tam spogląda, wyjmując ołówek z kieszeni, rysuje duże łóżko w rogu, a przed nim szafę, palce ma precyzyjne, jakby mu w nie wszczepiono linijkę, przy łóżku stawia niewielką toaletkę, jakiej nigdy nie miałam, moje nieliczne kosmetyki od zawsze poniewierają się na pralce, podskakują przy wirowaniu, a nad toaletką umieszcza owalne lustro. Czy takie lustro wystarczy, pyta, ja odpowiadam, tak, on pyta dalej, co z oknem, pani na pewno lubi mieć dużo światła, ja przytakuje, on wybija w ścianie podłużny otwór, prawie po samo łóżko, po czym przygląda się z satysfakcją, czy czegoś brakuje, ja najpierw mówię, niczego, a potem, wszystkiego, bo przypominam sobie, że to się nie dzieje naprawdę.

Jak wygląda pani sypialnia, pyta on ze współczuciem, i myślę o zapuszczonej klitce z szafą wtłoczoną w ścianę, o wypełzłym czerwonym dywanie w serca, relikcie mojego dzieciństwa, o zdjęciu starego, krytego dachówką domu pod leniwymi chmurami, o łóżku zakupionym wiele lat temu od rozwiedzionej pary, widzę na nim Udiego, rozchyła usta z nieśmiałym westchnieniem, długie nogi są martwe, jak tamtego ranka, gdy straciły moc, i kiedy wracam do niego myślami, czuję się, jakbym zdrowiała z nieuleczalnej choro-

by, każdy wie, że to niemożliwe, że z tego się nie wychodzi, ja też wiem, że to jedynie krótkotrwałe wytchnienie, lecz wszyscy zgodnie udają, że wyzdrowiałam, kto kogo oszukuje, już nikt tego nie wie, boję się, że zaraz zapyta, z kim dzielę łożę, ale on milczy, prześlizguje się wzrokiem po mojej dłoni, obrączka jeszcze tam jest, cienka i zmatowiała, wreszcie rzuca, czy ma pani duże lustro w sypialni, ja odpowiadam, nie, nawet małego nie mam, teraz rozumiem, mówi i kiwa głową z powagą. Co pan rozumie, pytam, on się uśmiecha, kiedy panią zobaczyłem rano, pomyślałem, że nie ma pani pojęcia, jaka pani jest piękna, teraz już wiem dlaczego, bo nie ma pani lustra, ja chichoczę, dokładnie to samo powiedział mi mój malarz wieki temu, raz na dziesięć lat jakiś mężczyzna zagląda do mojego życia, informuje mnie, że jestem piękna, i znika. Komplement potrafi sprawić, że łatwiej się oddycha, wydaje się, że w jednej chwili cały świat się zmienia, nawet mój żal wydaje się nagle piękny, rozsiadam się swobodniej na krześle, nie ma przecież ponętniejszego widoku niż piękna, smutna kobieta, może jedynie piękny, smutny mężczyzna, taki jak ten, którego mam przed sobą, właściwie powinnam się na niego gniewać, być po jej stronie, ale pragnę go, to jasne dla mnie i dla niego, nie ma sensu tego ukrywać.

Kiedy podają kawę, ze stolika znikają salony, w których nigdy nie zamieszkamy, on rzuca, proszę mówić, zapala papierosa i wpatruje się we mnie wzrokiem pełnym poczucia winy, niby oczy ma ciemne, prawie czarne, ale prześwieca przez nie przyćmiony blask, jakby gdzieś w tyle głowy paliła mu się żarówka, która go od wewnątrz rozjaśnia, z otwartych ust też wyziera jej pocieszające światło, on wskazuje na swoje ucho, słyszę panią, a nawet słucham, zauważam, że

uszy ma zaskakująco małe, przyklejone do głowy jak wystraszone ślimaczki, wreszcie udało się znaleźć w nim jakąś niedoskonałość. Nerwowo biorę od niego papierosa, co się ze mną dzieje, nie jestem w stanie słowa z siebie wydusić, on się uśmiecha, co z panią, Na'ama, coś takiego w życiu by się nie przydarzyło Chawie, jestem pewny, że zawsze wie, co powiedzieć, ja śmieję się z zakłopotaniem, znów wraca nasza jedyna wspólna znajoma, chociaż właściwie mamy jeszcze jedną, tę, w której imieniu tu przyszłam, którą powinnam reprezentować. Co mu powiedzieć, waham się, żeby odszedł od żony jak mój mąż, zranił dzieci, jak Udi zranił Noę, on wzdycha, pozwoli pani, że pomogę, zazwyczaj tego nie robię, ale coś w pani sprawia, że mam na to ochotę, wyręcę panią i sam przedstawię sytuację, powinna mi pani powiedzieć, że postępuję jak świnia, że nie wolno mi zostawić Jael samej w tych okolicznościach, że ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało, że powinienem ją wspierać, wychować z nią to dziecko, którego nie chciałem, a ja pani odpowiem, że ma pani rację, ale po prostu nie mogę.

Jak to nie mogę, zmieniam ton błyskawicznie, wy, mężczyźni, jesteście tak rozpieszczeni, kto was w ogóle pyta, co możecie, są rzeczy, które trzeba zrobić, mogę, nie mogę, nikogo to nie obchodzi, on pochyla głowę, byłam pewna, że będzie się bronił przez atak, jak Udi, ale jest inny, czuję się tak strasznie winny, że nie mogę na nią patrzeć, bąka, taka słodka, piękna dziewczyna, zrujnowałem jej życie, przyglądam mu się i w wyobraźni widzę Udiego i Noę ściskających się pod bramą szkoły, on się od niej odsunął, bo czuł się winny, a ja, zamiast go wesprzeć, jeszcze spotęgowałam w nim to poczucie, z tym większą ciekawością pytam, ale jak można przed tym uciec, przecież nawet jeśli nie będzie pan jej

widzwał, będzie się to za panem wlokło, a on odpowiada, zdziwi się pani, potrafię się odciać. Dlaczego w takim razie mnie nigdy się to nie udaje, pytam z dziecinnym zdziwieniem, ale natychmiast milknę, pokrywając pretensję kolejnym pytaniem, znacznie poważniejszym, dlaczego nie załatwiliście tego w zwykły sposób, dlaczego nie zawiózł jej pan na aborcję, on wzdycha, czy pani wie, ile się nabłagałem, groziłem jej, nic nie pomogło, ja zamawiałem wizytę, ona odwoływała, wierzyła, że w ten sposób zmusi mnie, żebym odszedł od żony.

Co takiego? Umyślnie zaszła w ciążę? wykrzykuję zdumiona, on mówi, nie, jasne, że nie, ale gdy to się stało, nie potrafiła się wyrzec tej szansy, nie obwiniam jej, to z miłości, ale nie muszę pani przekonywać, że miłość może być przekleństwem, uśmiecham się z goryczą, nie obchodzi mnie, skąd to wie, bardzo mnie natomiast obchodzą różnice w ich wersjach, i grożę mu palcem, ona twierdziła, że to pan nie mógł się zdecydować, wahał się pan, aż było za późno na aborcję, teraz z kolei on przywołuje na twarz gorzki uśmiech, to wierutne kłamstwo, wiedziała od początku, że nie chcę tego dziecka, że nie zostawię żony, powiedziałem jej, że jeśli nie będzie wyjścia, uznam je i będę płacić alimenty, ale nigdy z nią nie zamieszkam, przysięgam, co do tego ani przez chwilę nie miałem wątpliwości. Proszę mi wierzyć, mówi błagalnie, zrobiłem wszystko, żeby z tym skończyć, póki był na to czas, raz już ją wiozłem do lekarza, ale mi wyskoczyła na światłach, nie ma pani pojęcia, co to był za obłąd, goniłem ją po ulicach, mało nie wpadliśmy pod samochód, sam nie wierzyłem, że coś takiego mnie spotyka.

Słucham go z zamkniętymi oczami, serce tak rwie się do niego, że trudno mi na niego patrzeć, przywykłam być

po stronie kobiet, ale teraz zatarły się jakiekolwiek granice, ból jest tym samym bólem, nawet jeśli dźwiga się go inaczej, zwyczajny ludzki pech nie czyni rozróżnienia między mężczyzną a kobietą, i znowu myślę o Udim, co też by zrobił w takiej sytuacji, ale natychmiast przypominam sobie, co już zrobił, gdyby chociaż porzucił mnie dla dziecka, ale nie, zostawił mnie dla kobiety z niemowlęciem, którego nie jest ojcem, i kiedy otwieram oczy, widzę, że on przygląda mi się z zaciekawieniem, zwilża językiem usta i szepcze, o czym pani myślała. Nagle wszystko zaczęło się łączyć w jedną całość, mówię z wahaniem, zrozumiałam, jak bardzo wszyscy jesteśmy powiązani, to powinno nas zbliżać, a jednak nas od siebie odstręcza, on odpowiada przyjaźnie, mnie nie odstręcza, czuję bliskość w stosunku do pani od chwili, gdy zobaczyłem rano uśmiech w pani smutnych oczach, proszę nie dać się zwieść pozorom, zazwyczaj niełatwo nawiązuję bliskie kontakty, ja wyjaśniam, nie mówiłam o panu i o mnie, chodziło mi o rodzaj ludzki, on powtarza z przekąsem, aha, ludzki rodzaj, to już pani działka, ja się na tym nie wyznaję, umiem tylko budować domy.

Albo je niszczyć, mówię, żałując tego natychmiast, on zaciska wargi, gwałtownie wyciąga z kieszeni portfel, spłoszyłam go, zaraz zapłaci i wyjdzie, ale on zamiast banknotu wyjmuje dziwną rodzinną fotografię, podaje mi ją, zazwyczaj na tego rodzaju zdjęciach wszyscy skupieni są w jednym miejscu, na podwórzu przed domem albo przy stole, wpatrują się w puste nakrycia, tymczasem tu są w ruchu, jakby bawili się w berka. Z jednego końca zdjęcia uśmiecha się do mnie śniady chłopiec, z dołeczkami w policzkach, nieopodal stoi dziewczynka w sukience na ramiączkach, z włosami posplatanyimi w mnóstwo cienkich warkoczyków,

z drugiego końca wybiega wysoka kobieta w szortach, typ zdecydowanie męski, próbuje ich złapać, ja oczywiście koncentruję się na niej, śmiało wyciąga przed siebie opaloną nogę, ma duże niebieskie oczy i ładną buzię, ale męska fryzura i szerokie ramiona robią niemiłe wrażenie, spodziewałam się po nim zupełnie innej żony. Jestem od niej ładniejsza, stwierdzam ze zdziwieniem, jednak ona ma jego, a ja nie mam nic, i znowu przypatruję się zdjęciu, energiczny ruch nogi wydaje się pozbawiony sensu, ona i tak nie ma szans do nich dotrzeć, no ale w końcu jakie to ma znaczenie, najważniejsze, że na wszystkich twarzach maluje się spokój i zadowolenie, i tylko on, fotograf, zadowolony nie jest, znów nerwowo zapala papierosa, rozumie pani, naciska, a ja pytam, co mam właściwie rozumieć?

Dajemy sobie wolność, mówi, to jedyny sposób na wspólne życie, ona nigdy nie pyta, gdzie byłem, ja też o nic nie wypytuję, z biegiem lat uwolniliśmy się i od prawdy, i od kłamstwa, ona wie, że wracam do domu, bo chcę się zobaczyć z nią i z dziećmi, nie dlatego, że muszę, i to jej wystarczy, mnie też, nauczyliśmy się wierzyć w czyny, żyjemy bez win i oskarżeń, nie babrząc się w swoich duszach, i tak wychowujemy dzieci, w naszej rodzinie dla każdego jest miejsce, w miarę jak mówi, narasta we mnie upokorzenie, jakby miał w ręku lustro i pokazywał mi w nim moje życie, z gruntu błędne, stłamszone pod ciężarem win, żalów, dawnych związków, połączenie więzienia i sali tortur, gdzie każdy jest jednocześnie strażnikiem i aresztantem, ofiarą i oprawcą. Między mną a nim staje nagle absolutna obcość, co mnie z nim łączy, z nim i z tym gładkim wystąpieniem wyborczym, na krótką chwilę smutek przeniknął do jego serca, ja wdarałam się za nim, tą samą szczeliną, ale on w krótkim



czasie odpędzi go i powróci do wygodnego, prowadzonego rozumnie życia, a ja wrócę do mojego, on znowu zwilża wargi, nie chciałem pani urazić, mówi, bardzo przepraszam, ja zwieszam głowę, to nie pan, tylko rzeczywistość, wie pan, jak to z nią jest. On sięga ręką do mojego podbródka, unosi twarz ku sobie, jakby ustawiał lusterko, nie wiem, co robić, rzuca, prześlizgując się językiem po zębach, nie powinienem był zaczynać, ale ona była taka słodka, specjalnie zostawała dłużej w biurze, a kiedy wszyscy poszli, naradzała się ze mną w różnych sprawach, prowokowała mnie, więc zabawiłem się trochę, nie sądziłem, że wynikną z tego takie komplikacje.

Zapomniał pan, skąd się biorą dzieci, strofuję go, on wzdycha, Na'ama, niech mi pani da spokój, czy pani wie, że przypominam sobie tamten raz każdej nocy, przeklinam samego siebie, że się nie powstrzymałem, jeden zasrany raz, cały dzień kręciła się przy mnie w króciutkiej sukience, bez majtek, i kiedy zostaliśmy sami, usiadła mi na kolanach, ja szukam prezerwatywy, przegrzebałem całą szufladę, w końcu machnąłem ręką, trudno, wróćmy do kawalerskich metod, a tu trach, stało się, nie ma nocy, żebym nie myślał o tym, ja spuszczałem skromnie oczy, czemu mnie wtajemnicza jak jakąś powiernicę, ale już sama zaczynam to sobie wyobrażać, brzmi bardzo podniecająco, choć skutek jest opłakany, i uświadamiam sobie, że właśnie w tym celu opowiedział mi wszystko ze szczegółami, wcale nie jak powiernicy, tylko jak kobiecie, którą w ten sposób uwodzi, daje mi do zrozumienia, że tak naprawdę jest wolny, więc jeśli się przy nim pokręcę bez bielizny, wszystko się może zdarzyć. Przez moment mnie to denerwuje, co mu strzeliło do głowy, tylko tego mi brakowało, ale gdy na niego patrzę, natychmiast mu

wybaczam, nie sposób się na niego złościć, przecież otwarcie stawia sprawę, właściwie czemu nie, też jestem teraz wolna, nie tylko porzucona, opuszczona, istnieje jeszcze ta druga, ekscytująca, nieznana strona.

Spoglądam na zegarek z ostentacją, on pyta ze śmiechem, zostało nam jeszcze trochę czasu na omówienie sytuacji? Ja potakuję w milczeniu, od lat nie czułam takiego poruszenia, on przysuwa się bliżej, mam okazję się przyjrzeć jego twarzy, skórę ma zgrubiałą i szorstką, zupełnie jak portfel, leżący na stoliku między nami, chce pani ją omawiać tutaj czy może tam, gdzie się wszystko zaczęło, możemy tam pojechać choćby zaraz, ja szepczę, dobrze, nagle odrzucam wahanie i wątpliwości, idę za nim jak zaczarowana, pierwszy raz w życiu nie zastanawiam się, co to będzie i za jaką cenę, po prostu idę za mężczyzną, którego ledwo poznałam, moje ciało się budzi do życia, nowe prądy przechodzą przez nie, może w ten sposób, za sprawą obcego mężczyzny, to ciało, będące dotychczas wyłączną własnością Udiego, z powrotem stanie się moje, i nie myślę o Noi, o Udim czy o Jael, tylko o jego uwodzicielskim uroku, emanującym z każdego ruchu. Proszę jechać za mną, poleca, to niedaleko, więc wsiedam do samochodu i jadę jak uwiązana na grubej linie, on jest lawetą, ja uszkodzonym samochodem, on mnie holuje, a ja nie mogę sobie pozwolić na niezdecydowanie.

Zatrzymujemy się pod niewielkim, zadbanym budynkiem, na schodach witają mnie kolorowym uśmiechem dwa kwiatki w doniczkach, wchodzę za nim do eleganckiego, a co więcej, pustego biura, dziś krócej pracujemy, wyjaśnia, to zawsze był nasz dzień, ja parskam śmiechem, wszystko, co mnie mierziło latami, wydaje się nagle zabawne i podniecające, nawet myśl o tłuszczyku, który wychynie spod ubrania,

żenujący jak kradzione ciuchy, o wyziewach ciała, prywatnych do rozpacz, które tylko Udi może kochać, już mnie nie trapi, przeżywam teraz coś, co innym kobietom przytrafia się w młodości, i jest to znacznie mniej straszne, niż sądziłam, o wiele prostsze.

Dotyka mojego ramienia mimochodem, kieruje mnie do pokoju, wysłanego od ściany do ściany jaskrawoczerwonym dywanem, dokładnie w odcieniu mojej bluzki, i szepcze mi w ucho, kiedy cię zobaczyłem rano, wiesz, co sobie pomyślałem? Ja kiwam głową, bo wiem doskonale, co powie, pomyślałem, że tak bym chciał cię zobaczyć na tym dywanie, ciebie i te twoje piękne, złote włosy, przyciska się do mnie i gładzi mnie po głowie, jest tak blisko, że wargami dotyka policzków, zamieram na moment, jego usta zaraz zakryją moje i wszelkie ślady potraw, jakie dziś jedliśmy, i słów, jakie wypowiadaliśmy, się wymieszają, dziwne, że jeden niewielki narząd pełni tak wiele zadań, należało stworzyć specjalne usta tylko do całowania, nie mam ochoty się stykać z resztkami sylab i śniadania, on dyszy mi w ucho, nie uciekaj, Na'ama, nie martw się, jeśli się boisz, nic nie będziemy robić, chcę cię tylko zobaczyć na dywanie. Patrzę zmieszana na dywan pod moimi stopami, jak się tam dostać, ale on siada zwinnie i ściąga mnie na dół, precyzyjnie układa moje ciało, zwieńcza swój szkic, rozsypując włosy wokół twarzy, przy jego promiennej niewinności i entuzjazmie zastrzeżenia znikają, jego zachwyt nade mną wydaje się przesadny, ale jest tak kojący, spływa słodyczą snu na jawie, złudnym lukrem, nad którym nie ma sensu się zastanawiać, bo przecież jest nieprawdziwy, można go tylko lizać, aż lukier się skończy i zostanie samo ciasto, mdłe i nagie, ale nie zważam na to, dość się namartwiłam o przyszłość, zawarłam z nią tyle tajnych pak-  
tów, tylko ja je respektowałam, teraz niech ona się martwi.

O nic cię nie pytam, mówi, patrząc na mnie rozświecłym wzrokiem, ale możesz mi wszystko powiedzieć, próbuję się uśmiechnąć, jednak mała łezka już płami czerwień dywanu, kiedy wyznaję, mąż mnie porzucił dokładnie przed tygodniem, a po chwili, ze wstydem, nigdy nie byłam z innym mężczyzną, lecz jego to nie zraża, głaszcze mnie delikatnie, opuszkami palców, wróci do ciebie, szepcze, obiecuję ci, sama zobaczysz, gotowa jestem mu uwierzyć, dotykam jego twarzy, nawet z bliska jest piękny, chociaż już nie taki młody, nie przypuszczałam, że zmarszczki między gniewnymi brwiami są tak głębokie, ale uśmiech, wrażliwy i ciepły, przywiera do moich warg, pozwól mi cię kochać, szepcze mi w usta, w zapadający wieczór, w spływający na pokój łagodny, letni mrok, z którego unosi się lekki zapach świeżych owoców, rozgrzane śliwki, ledwo zerwane z drzewa, rozpuszczają się w ustach jak cukierki, gdy obiera mnie z ubrań ze słodkim współczuciem, jesteś taka biała, opowiada mi, masz taką gładką skórę. Bez koszuli wydaje się cięższy, moje ręce, przywykłe do chłopięcego ciała Udiego, ze zdumieniem obmierzają jego plecy, ale w dotyku jest miły, przyjmuję go bez zastrzeżeń. Jakie to proste, dziwię się, uprawiać seks z mężczyzną kompletnie obcym, bez tych wszystkich żalów, osadów wspólnego życia, że też nie przyszło mi na myśl, że tylko obcego człowieka można naprawdę kochać.

Pod drażniącym dotykiem jego palca dreszcz przeszywa mnie po cebulki włosów, aż te kiełkują z wyschniętej gleby czaszki, nie wstydz się, szepcze, pokaż, jaka jesteś naprawdę, ja staję się coraz lżejsza, jakbym właśnie zrzuciła ogromny balast, worki pełne prowiantu, pozbyła się wszystkiego, co miałam, na moment przedtem, nim okręt pograży się w odmętach, teraz nie mam nic do stracenia, zostałam sama, mogę spokojnie śledzić wędrówkę jego palca, ten spoczywa

na moment w moich ustach, liżę go chciwie jak kotka, i kryje się przede mną w głębinach mojego ciała, szorstki język sunie po szyi, jest już całkiem nagi, klęczy przede mną, nogi ma krótkie jak karzeł, przyciąga mnie, w rozedrganiu przyjmuję gorący członek, niesiony potężną falą, zaraz się złamię, rozpadnie na kawałki, jak wielki barometr ojca u moich nóg, w dniu ślubu, słyszę, jak on woła zdyszany, nie uciekaj, Na'ama, czuję, że mi się wymykasz, ja mówię, jestem z tobą, on chwyta mnie za ramiona, potrząsa mną zawiedziony, nie, nie ma cię, i natychmiast staram się go zadowolić, udowodnić, że jestem, otaczam go ciasnym kręgiem, rodzącym następne kręgi, coraz węższe, jak na tarczy strzelniczej, a w samym środku tkwi jego członek, jest zniewalający, nic tego nie zmieni, ani smutek mojego ojca, ani zdrada Udiego, ani ból Noi, tylko to się liczy, i z dziką swobodą odrzucam do tyłu głowę, podnoszę semafor dla lukrowanych wagonów, nadjeżdża rozkosz, tort w kształcie kolejki, który upiekłam na drugie urodziny Noi, trzy wspaniale, czekoladowe wagony, nawet ich nie zdążyła spróbować przed swoim upadkiem.

Więc to ci chciałem powiedzieć o sytuacji, oświadczają on nagle głośno, wzdrygam się, słysząc ten ton, jakby ktoś włączył mu w krtani mikrofon, biała koszula wraca już na ramiona, twarz przybiera wyraz zmieszania, jak buzia dziecka, które dostało prezent na pocieszenie, bo stało się coś złego, i nie wie, czy się martwić, czy cieszyć. Rozumiesz mnie, prawda? niemal miażdży mi barki, przespałem się z nią trzy razy na dywanie, cztery razy na tym krześle, ze dwa-trzy razy na biurku, z chęcią ci zademonstruję przy sposobności, no, może coś pomiąłem, i co, czy to znaczy, że zaraz mam się z nią żenić? Że powinienem opuścić dzieci, rozbić rodzinę, którą kocham, sama powiedz? Jakiej ceny wymaga się ode

mnie za tę drobną przyjemność, przecież jej nie zgwałciłem, nawet jej nie uwiodłem, a kiedy zaszła w ciążę, robiłem wszystko, żeby załatwić ten problem, to ona nie chciała, złożyłem już oświadczenie, że uznam dziecko albo przekazę do adopcji, czego jeszcze ode mnie chcecie, żebym ją kochał? Przykro mi, ale do tego mnie nie możecie zmusić, nie pozwolę wam kontrolować moich uczuć, ja jestem zaskoczona tą nagłą zmianą tonu, ale nie przestraszona, on ma w sobie jakąś łagodność i wiem, że nie jest groźny, patrzę na jego koszulę, zapinaną silnymi palcami, jak on to robi, że po całym dniu pozostaje idealnie biała, sięgam po jego dłonie, przyciskam do ust paznokcie, wydaje mi się, że każdy paznokieć ma maleńką buźkę i wszystkie uśmiechają się do mnie nieśmiało, jak jego twarz, która też przybliżyła się do mnie, i kładę sobie na piersi jego głowę, gładzę gęste, pachnące włosy, szepcząc, nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Prowadzę samochód w ciemnościach, nagle śmieję się na głos, bo kiedy do niego wsiadałam, on rzucił, wiesz, że Chawa w życiu by na to nie poszła, dlatego powiedziałem, że wolę ciebie, ja roześmiałam się, biedna Chawa, nie ma pojęcia, co traci, odjeżdżając, widziałam w lusterku, że za mną patrzy rosły mężczyzna, wdzięczny za niespodziewane rozgrzeszenie, ale w miarę jak zbliża się dom, zmuszam się do myślenia o Jael, biedna dziewczyna, wcale jej nie pomogłam, za to pomogłam sobie, w sposób tak dziwny i nieoczekiwany, że nikt z tych, którzy mnie znają, by nie uwierzył, ja sama ledwo wierzę, że mnie to spotkało, że wreszcie się odważyłam dokończyć to, co zostało przerwane przez pierwszy deszcz w tamtym mieszkaniu pod chmurami, jakby na tym naprawdę polegał mój grzech, jakby dosięgła mnie kara za to, że nie pozwoliłam sobie wtedy zostać z nim, a teraz, gdy to się stało, grzech został całkowicie wymazany.

Kiedy wchodzę do domu, oni siedzą w salonie, spięci i milczący, matka, Udi i Noa czekają na mnie jak zatroskani rodzice na marnotrawną córkę. Tylko Noa ośmiela się spytać, gdzie byłaś, mamó, ja odpowiadam lekko, miałam różne spotkania, Udi patrzy na mnie, z trudem się powstrzymuje, żeby mnie dawnym zwyczajem nie przesłuchać, tydzień go nie widziałam, udręka w nim jakby narosła, za to fizycznie się skurczył, oczy ma zaczerwienione, jakby od tamtej pory nie spał, matka mówi, cudownie wyglądasz, Na'ama, zerkając na niego ukradkiem, mam ochotę powiedzieć jej, ty wyglądałaś tak samo, kiedy wracałaś ze swoich spotkań, przyglądałaś się nam ze zdziwieniem, jakbyś nie pamiętała, czego od ciebie chcemy i kim jesteśmy, ale milczę, wydaje mi się, że wszyscy się sprzysięgli, by zniszczyć moją skromną radość, nie dopuszczę do tego, nie wolno mi na to pozwolić. Noa, lekcje zrobione? zmieniam zdecydowanie temat, a ona kręci głową, jak było do przewidzenia, zamyka się w swoim pokoju, matka bąka, zrobię coś do jedzenia, i znika w kuchni, a Udi podnosi się powoli, zamotany we własne myśli, staje przede mną, mówiłem, że tak będzie dla ciebie lepiej, szepcze, czuję na twarzy rozbiegane oczy i taję wobec jego bezsilności, a więc to jest szczęście, latami go szukałam w krainie przyjaźni i łaski, tymczasem się okazało, że ukrywa się w szparach między zwycięstwem a potężniejszą od niego klęską, w szczelinach między całkowitą pustką a wspomnieniem, które się w nią nieustannie wsacza, szczęście to widok starego wroga skutego grubym łańcuchem, nie wolno mu już zapytać, gdzie byłam i co robiłam, nie wolno tropić obciążających poszlak, po chwili na schodach słysząc ponure kroki i pozostaje po nim tylko natrętne pytanie, na które odpowiedź czyha na niego od zawsze.

## Rozdział dziewiętnasty

W nocy ona staje nade mną jak nieruchomy, choć oddychający posąg dziecka, ja otwieram i natychmiast zamykam oczy, przewracam się na drugi bok, opalona noga kobieca wdziera się śmiałym wymachem do łóżka, kopie mnie prosto w krocze, tak postępują żony, by utrzymać przy sobie mężów, i tylko ty o swojego nie walczysz, brak ci odwagi, a może uznałaś, że nie warto, on tak przynajmniej uważał, powtarzał to w każdej rozmowie od serca, ilekroć wpadaliśmy w ten potrzask, ty mnie tak naprawdę nie chcesz, myślisz, że zasługujesz na coś lepszego, nie jesteś ze mną z miłości, tylko ze strachu przed samotnością, ale ja nigdy go nie słuchałam, czekałam na swoją kolej, by dać upust potokowi oskarżeń, co uniesie jego pretensje jak suche patyki, i przypominam sobie pełne urazy spojrzenie, którym mnie żegnał na schodach, nie minął tydzień i już mnie zdradziłaś, wyrzekłaś się mnie szybciej, niżbym przypuszczał.

Chłodne prądy powietrza błędzą po moim łóżku, stykają się niepewnie z ciałem, jak pod koniec kąpieli pod prysznicem, gdy woda jeszcze jest gorąca, lecz skóra już dostrzega kryjącą się za nią zimną groźbę, i po raz pierwszy czuję, że chyba to ciężkie lato zbliża się do końca, siadam, rozglądam



się w poszukiwaniu koca, i wtedy widzę ją znowu, ma zamknięte oczy, śpi na stojąco podczas tej dziwnej warty, czego pilnuje z takim oddaniem, dotykam jej ręki, Nojeczko, jesteś lodowata, wejdź do łóżka, a ona wybucha, tata mnie nie kocha. Zmarzłaś, obstaję przy swoim, w nocy zrobiło się zimno, a ona powtarza swoje, wiem, że on mnie nie kocha, więc przyciągam ją z gniewem, zawsze mi musi przeszkodzić, ledwo zdążyłam zasnąć, co jej takiego zrobiłam, że się nade mną znęca, i dopiero wtedy docierają do mnie jej słowa, nie odpowiadam, bo co mam jej powiedzieć, może ma rację, nie mam pojęcia, kogo on kocha. Prawie ze mną nie rozmawiał, ciągnie ona, ledwo mnie słuchał, tylko cały czas patrzył na zegarek, jakby ktoś na niego czekał, ja przytulałam ją z wymuszoną czułością, dziki gniew atakuje mnie zamiast spodziewanej fali litości, jestem wściekła na niego i na nią, mam ochotę uciec przed nimi, niech sami rozwiązują swoje problemy. Noa, daj pospać, burczę, przecież nie odpowiadam za twojego ojca, nie mam pojęcia, co się z nim dzieje, wiem tylko, że ja cię kocham, ale kiedy milknie skruszona, przez moment powątpiewam, czy tak jest rzeczywiście, jak on to powiedział, zapinając guziki białej koszuli, nie zmusicie mnie do miłości, i chowam twarz w poduszkę, przyznaję, mam dość kochania, chcę tylko, by ktoś dał mi miłość, nie biorąc ode mnie nic w zamian.

Ale kiedy znajduję ją przy sobie rano, głaszczę słone policzki, na których są wyrysowane ścieżki nocnych łez, bezbarwne i lepkie jak ślimacze ślady, ona otwiera oczy, obwiedzione koronką długich rzęs, i mówi, jestem jego córką, on musi mnie kochać, ja przerywam jej, pora wstawać, Nojeczko, już późno, nie roztrząsaj tego przez cały czas, myśl o innych rzeczach, a kiedy wychodzi, z ustami w podkówkę,

pełna frustracji, wzdycham głęboko, tak chętnie mi opowiada, jaka jest biedna, ale muszę ją z siebie zepchnąć, żeby móc ją kochać, przecież kiedy biorę na siebie jej bolączki, tracę siły i mogę jedynie wrazić jej zaciśnięte pięści litości. Już stoimy w drzwiach, kiedy on dzwoni i pyta oschle, jesteś jeszcze w domu, jakby poranne rozmowy przez telefon były naszym odwiecznym zwyczajem, jakbyśmy noc po nocy jedno przy drugim nie spali, tak, jeszcze jestem, mówię, chociaż właśnie miałam wychodzić, i poganiam Noę, niech idzie piechotą, mam przeczucie, że on chce wrócić, przechadzam się po mieszkaniu, obdarzając triumfalnym uśmiechem przedmioty, które były świadkami mojego poniżenia, jeśli wracać, to do zupełnie innego życia, powiem mu, żyć jak dorośli, jak niezależni partnerzy, którzy wybrali siebie nawzajem, a nie jak wystraszone dzieci, uwieszone na sobie z nienawiścią, ale kiedy wchodzi do domu, czuję głęboko pod skórą jątrzący ból straty, on był twój, a teraz już nie jest, płaczcie rzewnie nad odchodzącym, stoi przede mną w dzinsowej koszuli i w brązowych sztruksach, wysoki i obcy, o twarzy wyrzeźbionej z precyzją nadmiernie oszczędną, wręcz bezlitosną. Przyszedłem wziąć kilka rzeczy, wyjeżdżam, obwieszcza, ja przeklinam go, zaciskając wargi, znowu wygrałeś, zawsze byłeś ode mnie śmielszy i okrutniejszy, przez jeden szczęśliwy dzień sądziłam, że cię pokonałam, teraz mnie będziesz poniżał tygodniami, myślałam, że mogę stawiać warunki, okazuje się, że nawet opowiedzieć o nich nie mam komu, wydaje mi się, że czuję wzmożoną siłę grawitacji, twarz mi się zapada, ciągnie za sobą kąciki ust, potem ramiona, piersi w przepoconym staniku, drżące kolana, w dół, w dół, bo on mnie znowu porzuca, kiedy już zaczęłam wierzyć, że chce wrócić, durna Chawa, jak mogła mnie łudzić, że tak będzie

dla mnie najlepiej, znów wlokę się za nim z pokoju do pokoju, zgrzytając zębami ze złości, nie płaczcie nad tym, co umarł, i nie żałujcie go, płaczcie rzewnie raczej nad odchodzącym, bo już nigdy nie wróci i nie zobaczy swej rodzinnej ziemi.

Dokąd wyjeżdżasz, do Tybetu? sonduję go nieudolnie, on cedzi, coś w tym rodzaju, ja wykrzykuję zdumiona, tak nagle? Nic wczoraj nie mówiłeś, on ucina, zdecydowałem się w nocy, nie mogę tu dłużej zostać, ja szydę, to kolejne proctwo? On powtarza, coś w tym rodzaju, ale wiem, że to raczej kara, wyczuł, że byłem z innym, i chce się zemścić, jakim w ogóle prawem, co za tupet, wiem, że nie jedziesz sam, oznajmiam jego plecom, on nie reaguje, ciągnie z balkonu drabinkę, przystawia do szafy w sypialni i wspina się na jej zaśnieżone szczyty. Z niechęcią spoglądam na jego kształtne stopy, palce wyglądające spod pasków brązowej skóry w posłusznym skosie, tuż pod moim nosem, i przez chwilę wydaje mi się, że on nie odchodzi naprawdę, tylko pomaga mi zdjąć ubrania zimowe, że to nasza rutyna, cykliczna, uspokajająca, przecież lato wreszcie się kończy, dziś w nocy pojawiły się pierwsze tego oznaki, więc nieco wcześniej niż zwykle przygotowujemy się do zimy, ale on nie pozwala trwać temu złudzeniu, gdzie położyłaś moją niebieską wiatrówkę? gdera, jakby wciąż było moim obowiązkiem pomagać mu, gdy jego rolą jest znikać, nie mówiąc z kim i dokąd, i szepczę do stóp, stojących na ostatnim szczebelku, wyjeżdżasz z Zoharą, prawda? A jego palce kurczą się w jednej chwili i chowają pod pasek, przyznając się do winy.

Jadę z nią, ale to nie to, co myślisz, rzuca pospiesznie w głąb szafy, kładę rękę na szczeblach drabiny, za chwilę nią potrząsnę, jak trzęsie się pniem drzewa, żeby strącić owoce,

a on spadnie obity na podłogę i nigdzie nie pojedzie, z nikim, ale to przecież już było, już leżał tu obolały i uwiązany, i wszyscy przez to cierpieliśmy, muszę pozwolić mu odejść, pójść w swoją stronę, jak niewielką mam nad nim władzę, jak łatwo mu się zwrócić przeciwko mnie, przecież im szybciej usunę się z jego życia, tym prędzej zobaczy je takim, jakie jest. Tyle lat pozwalałam, żeby mnie wykorzystywał, by ukryć się przed samym sobą, żeby obwiniał mnie, oczyszczając jednocześnie siebie, przekształcał każdą rzecz w nasz prywatny konflikt po to, by móc ciskać we mnie błotem swojej frustracji, byle tylko nie patrzeć na siebie, przysięgam, to się więcej nie zdarzy, i żeby czym prędzej usunąć się z jego życia, wychodzę z pokoju, on się zjawia po kilku minutach, z niebieską kurtką, wełnianą czapką i grubymi skarpetami w rękę, ja milczę, bo nagle zrozumiałam, że im więcej powiem, tym on powie mniej, widzę, jak sięga za lodówkę po torebkę, pakuje swoje rzeczy, dziwne, że jeszcze pamięta, gdzie są torebki, kran też odnajduje bez trudu, nalewa sobie wody i siada koło mnie, to nie to, co myślisz, mówi, nie kocham jej tak, jak kochałem ciebie, to coś zupełnie innego, ona po prostu daje mi żyć, przyjmuje mnie takim, jaki jestem, niczego ode mnie nie oczekuje, nie próbuje mnie wychowywać.

Trudno mi znaleźć pociechę w tych subtelnościach, zwłaszcza że mnie ogłuszył czasem przeszłym, kochałem ciebie, kochałem, im bardziej się stara mi to wyjaśnić, tym bardziej się oddalam, nie siedzę już przy nim na kanapie, tylko go obserwuję z olbrzymiego dystansu, jaki bezwiednie przebyłam w ostatnich miesiącach, widzę, że znowu błądzi, ucieka przed problemami, ulega urokowi łatwych rozwiązań, i on to nazywa zmianą? Znowu patrzy na siebie oczyma

drugiej osoby, znów będzie się nad nią znęcał, żeby siebie ukarać, jaki jest słaby, tylko siłą słabości rządził mną całymi latami, ale nie wolno nic mówić, nie mogę go uratować, on mnie też nie ocali, każde z nas ma swój los, mimo że tyle lat przeżyliśmy w jednym domu, że mamy jedno nazwisko i jedno dziecko, wyciągam do niego rękę z ogromnej dali i muskam go po włosach, zdaje mi się, że jest moim synem, że ja go urodziłam i tylko ja mogę go kochać, nie wiedzieć czemu wolę go kochać, przez moment widzę finał tej osobliwej podróży, przecież im dalej ucieknie, tym mniejsza szansa, że coś zdoła naprawić, ale nie ma sposobu, żeby go zatrzymać, jakby był lunatykiem na wąskiej balustradzie, pogrążonym w transie dzieckiem, spadnie, jeśli spróbuję go z niej sprowadzić. Przyglądam mu się ciekawie, poznaję go na nowo, nie jest już moim mężem ani ojcem Noi, tylko niemłodym, nieszczęśliwym mężczyzną, usiłującym poprawić swoje życie, rzadkie włosy bezsilnie opadają na czaszkę, wzrok ma spuszczonego, wargi ściągnięte, nawet wysokie kości policzkowe, na których rozpięta jest cała twarz, zapadły się pod skórą znużone, ręce ściskają kurczowo torebkę ze skarpetkami, niebieską wiatrówką i wełnianą czapką, jakby to była ostatnia rzecz, jaka mu została na świecie, przyglądam się suchym dłoniom i widzę je na brzuszku maleńkiej Noi, łaskocze ją po żebrach, aż Noa się zachłystuje ze śmiechu, a ja strofuję go, zostaw ją, śmiech w nadmiarze jest niebezpieczny. Jak dziecko, pytam cicho, on odpowiada, staram się, ona jest taka maleńka, dodaje z przeproszającym uśmiechem, ja spuszczam głowę, dawanie przychodzi mu tak łatwo, gdy nie jest obowiązkiem, cały opór znika, jest mała, nie ma jeszcze oskarżenia w oczach, nie trzeba uciekać na kraj świata przed jej wzrokiem, okazuje się, że tylko z obcym

mężczyzną łatwo jest się kochać, że łatwiej wychować cudze dziecko, co ze wszystkimi latami, w ciągu których sądziliśmy inaczej, kto nam zadośćuczyni za to, że były tak żałosne.

Opanowana jak rzadko, analizuję jego słowa, nigdy nie miałam możliwości tego zrobić, wiecznie w defensywie, skupiałam się na konsekwencjach i znaczeniu jego wypowiedzi dla mnie, i nagle to przychodzi, ledwie o kilka miesięcy za późno, kiedy już na nic się nie zda, w każdym razie nie nam dwojgu, on wstaje, patrzę na prążki na jego sztruksowych spodniach, które prostują się jak przebudzone ze snu, i przypominam sobie, że razem je kupowaliśmy, zeszłej zimy, w dniu jego urodzin, snuliśmy się we troje między wieszakami, i myślę z niepokojem, że zbliżają się urodziny Noi, pod koniec miesiąca kończy dziesięć lat, chcę mu przypomnieć, żeby jej złożył życzenia, napisał albo zadzwonił, ale tylko suchy kaszel wydobywa się z mojej krtani, to przecież nie mój interes, to sprawa między nią a nim. Mówiłaś coś, pyta, ja szepczę, nic, szczęśliwej drogi, omiatam przelotnym spojrzeniem jego twarz, lekko pachnie kurzem, samotnym ogniskiem na pustkowiu, on ściska pod pachą torbę, posyła mi krzywy uśmiech, i kiedy patrzę, jak schodzi po schodach, nie mogę się nadziwić, że życie jest walką żywiołów między dwojgiem ludzi, gdy jedno się wycofuje, cała walka się kończy, wygasa z bolesnym sykiem, jakby nigdy nie miała celu ani sensu, a ja zawsze wierzyłam, że jest od nas silniejsza, że nas przetrwa, że zawsze będziemy najemnikami w tej wojnie, która nie ma końca.

Na zakręcie mignęły mi jeszcze jego wąskie plecy, chyba stanął, waha się, ale ja go nie wołam, wprawdzie idziemy tą samą ulicą, ale nasze życia rozdzieliły się całkowicie, nie walczę o niego, odpuszczam jak niebo, obserwuję w niemym

zachwycie odpływające chmury, tyle lat próbowałam załatać rozdarcie między nami, zszywałam je niezręcznie grubymi nićmi, co tylko pogłębiało przepaść, teraz uświadomiłam sobie, że nie to było celem, że szło o to, by nauczyć się żyć ze skazą, zaprzyjaźnić się z brakiem, nie upiększać, lecz pełną piersią chłonać brzydotę, spoglądać z góry na jalowość życia i odnaleźć w niej sens, bo cóż pozostaje po rezygnacji z walki, której trudniej się wyrzec niż miłości, nic, tylko przeraźliwa pustka, próbujesz ją przegnać nocą, a rano jest jeszcze większa, i trzeba z tym żyć, kiedy on znika za zakrętem, na moment tracę oddech, to koniec, nie do wiary, że to się skończyło przed końcem życia, lecz tak się stało, co nie oznacza, że rzeczywiście musiało się stać, nawet tym się nie można pocieszać, po prostu stało się, prawdopodobnie można było temu zapobiec, jak większości katastrof, tyle że teraz jest już za późno.

Ona czeka na mnie przy wejściu do ośrodka, obniżonym brzuchem napiera na pręty furtki, kiedy mnie widzi, woła, Na'ama, jak to zrobiłaś? Ja wpadam w popłoch, jak co robiłam, ona wyjaśnia, jak ci się udało go przekonać, ja pytam z obawą, do czego? A ona mówi, żeby był ze mną, żeby mi pomógł, zadzwonił rano, obiecał, że wpadnie do mnie po południu. Świetnie, Jaelciu, oddycham z ulgą, ale lepiej na tym nie buduj, on nigdy ci nie da tego, czego byś chciała, zawsze będziesz musiała polegać tylko na sobie, ona mówi, nieprawda, wierzę, że on się zmieni, ja mierzwię niesforną czuprynę, nic podobnego, zmienić możesz najwyżej siebie, a i to z trudem, ona patrzy na mnie z zawodem, więc ze mną nie zamieszka? Nie wychowamy razem dziecka? Ja odpowiadam, nie, przyjdzie cię czasem odwiedzić i będzie tak czarujący, że nie będziesz mogła pokochać nikogo innego, i to też

długo nie potrwa, musisz sobie zaplanować życie bez niego. Ale będzie przychodził na jego urodziny, pyta ona, ja myślę o urodzinach Noi, może jednak powinnam mu była przypomnieć, ale jaki w tym sens, co nie wychodzi od niego, nie ma dla niej wartości, siadam tuż przy niej na schodach, przekłute urodziny, co komu po nich, nawet jeżeli odda dziecko, będą ją prześladować, co będzie robić w tym dniu rok po roku, piec torty: tort-miś, tort-zajaczek, tort-pociąg - i sama je zjadać? Sama zdmuchiwać świece, dorastając z nim razem w dwóch różnych miastach, w dwóch różnych domach?

Kopie od rana, mruczy Jael, kładąc rękę na brzuchu, coś mi próbuje powiedzieć, nie mam pojęcia co, gdybym tylko wiedziała, co jest dobre dla dziecka, ja mówię cicho, żeby nikt nie usłyszał tej herezji, sama nie wierząc, że z moich ust wychodzą podobne słowa, przecież wiesz, co jest dla niego najlepsze, miej odwagę to przyznać, Micheasz nie ma tu nic do rzeczy, to sprawa między tobą a twoim dzieckiem, uprzedzam cię, jeśli je oddasz, nigdy się nie otrząsniesz, ona wzdycha, bez przerwy o tym myślę i ciągle nie wiem, jak to rozwiązę, szczęście, że mogę się zastanawiać jeszcze dwa tygodnie, ale kiedy wstajemy, wydaje bolesny okrzyk, wydaje się, że płód w jej brzuchu woła, patrz, wody odchodzą.

Stoi i płacze, cała zmoczona, jakby się wykąpała w ubraniu, ja biegiem wpadam do środka, odeszły jej wody, zawiadamiam Anat zdyszana, zabieram ją do szpitala, ona szybko pakuje torbę, jesteś pewna, że chcesz w tym uczestniczyć, pyta, zazwyczaj to jej zadanie, ja mówię, tak, nie ma problemu, próbując ukryć wyjątkowe, nieetyczne zaangażowanie. Mam do kogoś zadzwonić, dopytuje się, ja grzebię w torebce, wydaję białą karteczkę i sapię, do tego pana, jestem tak



podniecona, jakbym sama zakładała nową rodzinę w miejscu tej, która mnie zawiodła.

Ona wyciąga się na tylnym siedzeniu, zupełnie jak tydzień temu chora Noa, zrobiłam ze swojego małego samochodu prowizoryczny ambulans, który wchłania jęki i bóle, za każdym razem kto inny z tyłu cierpi, ja jednak zmierzam do celu, prowadzę powoli, prawie w tempie marszu, ale posuwam się naprzód, mówię jej, już dojeżdżamy, Jael, nie martw się, ja ci pomogę, a ona lamentuje, zimno mi, jestem kompletnie przemoczona. Choć z nieba leje się żar, ja włączam ogrzewanie, za moment samochód stanie w ogniu, ale ona wciąż drży, szczeka zębami, ja ledwo dyszę, z rozpaczą przełykam wrzący pot, który spływa mi z czoła na zaschnięte wargi, dokucza mi coraz silniejsze pragnienie, otwieram usta, mam wrażenie, że z nieba dzbankami się leją letnie, mętne wody płodowe, przełykam je z wdzięcznością, topniejącym z gorąca oczom zdaje się, że oddalamy się od zabudowań miasta, wjeżdżamy na pustkowie, szukam Udiego, jest dla mnie jasne, że się tu ukrył, muszę go póki czas zawiadomić, że nowe dziecko już puka do skrzypiących drzwi przedśionka naszych serc, co mu powiemy, jak je powitamy, ale wokoło nie ma żywego ducha, tylko ogniska płoną przy drodze, Arawa się stroi w żółtawe kwiaty o zapachu palonego mięsa, zalatuje od nich swąd **ofiar** z ludzi, maleńkich jednodniowych istot.

Kiedy na wpół zemdlone wchodzimy na oddział, przypomina mi się, jak pielęgniarka spytała, w czym mogę pomóc, a Udi odpowiedział, niech pani tylko wyjmie dziecko i zaraz sobie pójdziemy, tym razem pytania są zbędne, bo wszystko widać jak na dłoni, niski brzuch i mokre ubranie, więc natychmiast ją porywają, prosząc, żebyśmy zaczekała na

korytarzu, chodzę w tę i z powrotem, pijana nagłym szczęściem, cały świat zdaje się czekać ze wstrzymanym oddechem na maleństwo, które ma się urodzić, wyciąga wielkie ramiona akurat do tego niechcianego przez nikogo dziecka. Stoję przy oknie, zamykam oczy, w znajomy do obrzydzenia miejski pejzaż znów wkrada się absolutna pustka, łyse góry pęcznią w ziemi jak rakowate narośle, wystawiają z niej przykurzone orle nosy, niespodziewane wyspy zieleni u ich podnóży zwiększają tylko wrażenie ogólnego zapuszczenia. Niebiańska ręka naciąga z całej siły niewydarzone pagórki, wypiętrza je w góry soli, błyszczące jak lodowce, Udi, dokąd jedziemy, gdzie jesteśmy, ale fotel kierowcy jest pusty, kierownica obraca się sama, wiedzie mnie w głąb zbiegających się górskich łańcuchów, murów Arawy, nagle spomiędzy bladych, pędzonych wiatrem krzaków wyłania się jego postać, co za samotność, szepcze, nie masz i nigdy nie miałaś pojęcia, jaki jestem samotny.

Ktoś kładzie mi na ramieniu ciężką rękę, ledwo się wczoraj poznaliśmy i już oczekujemy dziecka, szepcze, jego uśmiech łaskocze mnie w policzek, Miki, już jesteś? wołam z zachwytem, on oświadcza z niewinną miną, postanowiłem, że spełnię każdy twój rozkaz, ja się śmieję, naprawdę? Dlaczego? Tak sobie, odpowiada, żeby ci sprawić radość. Ale, Miki, karcę go, przecież przyszedłeś nie do mnie, tylko do Jael, a on burczy, nie bądź taka zasadnicza, jedno drugiego nie wyklucza, nie można zadowolić dwóch kobiet za jednym razem? Ja śmieję się znowu, tak bardzo się różnimy, że to aż zabawne, on nie pozwoli nikomu zrujnować sobie życia, ja sama się o to proszę, na pewno wspaniale jest z nim być, ale przypominam, sobie, że nawet o nią nie spytał, niewiele go obchodzi, że ona cierpi za ścianą, jego miłość jest

urokliwa, lecz ulotna, i porównuję go z wiecznie spiętym, poważnym Udim, ale jego miłość też przeminęła, co za różnica, czy trwała dwa dni, czy dwa dziesięciolecia.

Wychodząca z sali położna przygląda się nam ciekawie, może pani już do niej wejść, mówi, ale ja wolę wysłać jego, idź pierwszy, to jej bardziej pomoże, a kiedy znika w środku, niepewnie ciągnąc za sobą nogi, korytarz pustoszeje, siadam na brudnym krześle, subtelna materia tka się z dochodzących zza ściany odgłosów, z jej bolesnymi jękami splata się jego uspokajający ton, szybki puls noworodka grzmi w tym wszystkim jak wyrocznia z nieba, kto wychowa to dziecko, kto będzie pchać jego wózek, kto będzie wstawał w nocy, kiedy zapłacze, na pewno nie ja, czemu przyssałam się do ich życia, przecież zrobiłam swoje, sprowadziłam go tu i mogę odejść, a nawet muszę, próbuję wstać, ale spływa na mnie wielkie zmęczenie, jakbym nie spała od lat, opieram się o ścianę i zamykam oczy. W bliskości nowego życia, nowej rodziny, powstającej w cierpieniu, uspokajam się jak małe dziecko, które wie, że ktoś czuwa nad jego snem, ja, noc w noc leżąca bezsennie we własnym łóżku, teraz na plastikowym krzeselku w ruchliwym korytarzu zapadam w głęboki sen, do moich uszu dobijają się strzępki rozmów i krzyków, śmiechów, wyrzutów, jęków, odgłos pospiesznych kroków, lecz nic nie przeszkadza mi tak, jak niegdyś oddech Udiego przy moim boku, jak światło jego nocnej lampki, wydaje mi się, że jestem rozpieszczoną córeczką podstarzałych rodziców, mieszkającą z licznymi braćmi, siostrami, ojcami, matkami w wielkim domu, gwarnym, dobrym, dostatnim i kipiącym życiem. Mój ukochany brat podchodzi do mnie i głaszcze mnie po włosach, przywiera do moich ust wargami, wpycha język do środka, gorzko-słodki marcepan

zaczyna się rozpuszczać, ssę go powoli, żeby się nigdy nie skończył, czuję, jak się otwiera ciało, tu, na tej ławce przespaliśmy się z nim na oczach wszystkich, jesteśmy przecież jedną rodziną, nagle słyszę zbliżające się kroki, on zostawia moje mokre wargi, siada przy mnie i pochyla głowę, kładę mu dłoń na ramieniu, jak ona, pytam, jakby chodziło o zdrowie naszej córki, a on odpowiada, w porządku, już się urodził.

Przyjmij moje gratulacje, mówię ze wzruszeniem, on patrzy na mnie sceptycznie i wzdycha, skoro ci na tym zależy, ja pytam, ile waży, do kogo jest podobny, on parska śmiechem, chyba do mnie, ale na razie waży trochę mniej, ja mu wtóruję wesoło, ogólne przełamanie barier wprawia mnie w dziką radość, odkąd rozpadła się moja rodzina, mała i zamknięta, wydaje mi się, że wszystko mnie dotyczy, wszystko do mnie należy, to dziecko też jest moje, i ten mężczyzna, i młoda kobieta tam w środku, gotowa jestem dodać jeszcze Noę do wspólnego majątku, chętnie się nią podzielę, przecież w ten sposób niesie się ulgę cierpiącemu światu, lecz jego rany, w końcu to dzięki mnie on był z nią podczas porodu, chyba się nie wyrzeknie dziecka, w którego narodzinach uczestniczył. Przez chwilę dręczą mnie wątpliwości, ciekawe, co Chawa by powiedziała na te innowacje, ale natychmiast je odganiam, kto nie zaznał smutku, ten nie wie, jak go złagodzić, podnoszę się z trudem, zanurzam palce w jego włosach, przeczesuję je przyjemnie intymnym gestem, zjrzą do nich, mówię, on rzuca żartobliwie, tylko nie utknij tam na wieki, praca czeka, ja pytam zdziwiona, jaka praca? Przecież buduję ci dom, odpowiada, jeszcze nawet nie skończyliśmy omawiania projektu, i wchodzę do sali z promiennym, przeznaczonym dla niego uśmiechem, zdumiona jego umiejętnością cieszenia się życiem.

Gratulacje, Jaelciu, nachylam się i całuję ją w policzek, czuć od niej mokry zapach, intensywną woń krwi i delikatnych kobiecych tkanek wewnętrznych, łudząco podobną do tej, która towarzyszyła Zoharze, a teraz Udiemu, ona obrzuca mnie umęczonym spojrzeniem, mąż do ciebie wrócił? Ja mówię, nie, dlaczego, ona - tak tylko pytam, wydajesz się taka szczęśliwa. Po prostu się cieszę, że wszystko dobrze poszło, wyjaśniam pospiesznie, ona jęczy, to było straszne, myślałam, że umieram, było gorzej, niż mogłam sobie wyobrazić, ja głaszczę ją po ręce, wciąż podłączonej do kroplówki, ale poród trwał krótko, niepełne dwie godziny, czasami to się ciągnie przez cały dzień. Może łatwiej jest cierpieć, kiedy się pragnie dziecka, mnie to było naprawdę niepotrzebne, szepcze, rozglądam się wokół, gdzie on jest, muszę go zobaczyć, ona wyjaśnia, wzięli go na badania, zaraz wróci. Próbowaliśmy go karmić, pytam z ożywieniem, zerkając ukradkiem na widoczny spod szlafroka dekolt, ona tłumaczy się, niezupełnie, to nie dla mnie, kładąc rękę na piersiach w obronnym geście. Z początku jest trudno, mówię, ale po paru dniach się przyzwyczajasz, musisz spróbować, ona wzdycha ciężko, oczy ma czerwone z wysiłku, a twarz, różowa i miękka jak jej szlafrok, przypomina mi egzotyczny kwiat, który kiedyś widziałam, kwiat o wyglądzie człowieka.

Skąd mam wiedzieć, czy to początek, czy koniec, wybuch nagle, wcale nie jestem pewna, czy za kilka dni on jeszcze będzie ze mną, nie wiem, czy zaczynać go karmić, rozumiesz? Nie podejmam decyzji, czy będę go wychowywać, ja wpadam w popłoch, nie pozwolę jej zniszczyć mojej nowej rodziny, odrzucam zdecydowanie nieśmiałe znaki zapytania, które uczono mnie stawiać, i oświadczam stanowczo, niemal surowo, co to znaczy, sądziłam, że masz już jasność,

Micheasz był z tobą przy porodzie, uzna dziecko, nawet jeśli nie będzie z wami mieszkał, pomoże ci finansowo, ja też ci pomogę, nie będziesz sama, moja córka może go czasem przypilnować, twoi rodzice też w końcu przywykną do tej myśli, to będzie trudne, ale wierz mi, że znacznie trudniej jest oddać dziecko, to by cię prześladowało przez całe życie. Już sama nie wiem, szłocha, jeszcze go nie znam, nie potrafiłabym go nawet rozpoznać w sali noworodków, mogę stąd jutro wyjść jak gdyby nigdy nic, trochę diety i tyle, wrócić na studia, zapomnieć o wszystkim, może za kilka lat, przy sprzyjających okolicznościach, rzeczywiście założę rodzinę, teraz nie mam siły wychowywać dziecka, to naprawdę nie dla mnie, ale ja nie daję za wygraną, muszę przecież zapobiec najstraszniejszemu z błędów, teraz ci się wydaje, że nie masz siły, bo jesteś osłabiona po porodzie, zobaczysz, dziecko cię wzmocni, będziesz się dalej uczyć, poradzisz sobie, zastanów się tylko, jaki masz wybór, będzie ci się zdawało, że każde niemowlę na ulicy to twój syn, potem każde dziecko, każdy chłopak, to będzie cię prześladować całe życie, a kiedy założysz rodzinę, będziesz jeszcze bardziej cierpieć, bo wtedy zrozumiesz, co zrobiłaś, i nie będziesz mogła sobie wybaczyć, pomyśl tylko, że ilekroć zobaczysz Micheasza, będzie was dręczyć wspomnienie dziecka, które mogliście razem kochać.

Ale ja nie zamierzam go więcej widywać, oświadcza ona z niechęcią, mnie krew odpływa z twarzy, dlaczego, przecież był z tobą podczas porodu, tak jak chciałaś, nie pozwalałam zdeprecjonować swojego osiągnięcia, ona mówi, i właśnie kiedy go tutaj zobaczyłam, otworzyły mi się oczy, zrozumiałam, że on mnie mierzi, że jest odpychający, zawsze myślałam, że trudno się zorientować, co on właściwie czuje, teraz

wiem, że po prostu nie jest zdolny do żadnych uczuć, potrafi tylko się bawić, nie był ze mną naprawdę, tylko tak jakby, mam dość tego tak jakby, ja słucham jej ze zdumieniem, wydaje mi się, że jestem na zebraniu rodziców i słyszę o swoim synu złą opinię, poważne ostrzeżenie, które i mnie dotyczy, a przecież wciąż czuję w ustach jego marcepanowy smak, akurat wchodzi lekarz, wyprasza mnie, wydaję z torebki jakąś kartkę i zapisuję swój domowy numer, zadzwoń do mnie, jeśli ci będzie czegoś potrzeba, mówię, przyjdę wieczorem albo jutro.

Szybko stamtąd uciekam, widzę go w końcu korytarza z filiżanką kawy w ręku, jasna cholera, wyklina, oparzyłem się, nalewają tu kawę do plastikowych kubków, które się roztopiają w rękach, ja sięgam po kubek z wrzątkiem, on mi go powierza jak w jakimś dziwnym obrzędzie, nagle gorąco sprawia mi nawet przyjemność, przypomina jazdę do szpitala, straszną i uroczystą, łykam chciwie lurę bez smaku, on mówi, daj sobie z tym spokój, chodźmy na prawdziwą kawę, ja patrzę na niego z rezerwą, nie mam czasu, Miki, muszę wracać do pracy, już prawie południe, wyrok, który na niego wydała, spada na jego głowę jak gołębie odchody, wilgotne i poniżające. Jeszcze nie podsumowaliśmy sytuacji, próbuje znowu, daj mi godzinę swojego cennego czasu, zrób to dla dziecka, wreszcie ulegam, idę z nim bez słowa, miotając się między niechęcią do niego a niechęcią do niej, która ją czuje do niego, i tak skołowana znów jadę za jego samochodem, jak szybko prysła harmonia w mojej nowej rodzinie, w pewnej chwili wydaje mi się, że go zgubiłam, i sama nie wiem, czy czuję smutek, czy ulgę, ale on czeka wiernie na skrzyżowaniu, macha do mnie i szybko skręca w zupełnie nową ulicę, która wygląda na świeżo wyasfaltowaną, ktoś rozpotał

przed nami czarne smoliste kobierce, staruszek z puszką farby w ręku maluje z wysiłkiem białe pasy. Gdzie jesteśmy, nigdy tu nie byłem, wzdłuż ulicy wznoszą się blade kamienne domy, kilku już założono czerwone czapki dachów, ale większość ma gołe, łysę głowy i szeroko rozwarte oczy, chore szkielety, on oszalał, po co mnie przywiozł na ten opustoszały, nagi plac budowy, bez krztyny cienia, bez jednego drzewa, nic tylko zryta, wykorzystana ziemia, rusztowania na rusztowaniach, wielkie żurawie, a wokół wystraszone kamieniste wzgórza, czekające na swoją kolej.

On zatrzymuje się na końcu ulicy, jeszcze niepokrytej asfaltem, przy na pół wykonczonym budynku, ja otwieram okno, to porwanie, pytam, coś w tym rodzaju, odpowiada ze śmiechem, wyciąga mnie z samochodu, wlecze za sobą do środka, nagle pojawia się za mną ogromny pies i obszczekuje mnie głośno, aż się wzdrygam, kurczę pod wpływem bólu kostki, za którą mnie zaraz chapnie, należy ci się, myślę, dostaniesz za swoje, ale pies momentalnie zmienia się w nieszkodliwą maskotkę, łasi się do nóg Micheasza, złakniony pieszczot. Spokój, Eliaz, rzuca Micheasz stanowczo i zerka na mnie ukradkiem, zadowolony, że może się popisać władzą nad bestią, jak można nazwać psa Eliaz, wchodzę za nim na klatkę schodową o ścianach z gołego betonu, wąskie deski zastępują stopnie, chwytamy się lin, które nieprędko zamieniają się w stabilne poręczce, przez chwilę gotowa jestem uwierzyć, że jesteśmy młodym małżeństwem, które sprawdza postęp robót w swoim nowym domu, głęboko się zastanawia nad każdą klepką. Schody kończą się eleganckimi drzwiami, on wyjmuje z kieszeni pęk kluczy, otwiera je przede mną szeroko, rozglądam się wokół ze zdziwieniem, z tego całego spustoszenia wyłania się idealny domek dla



lalek, całkowicie umeblowany, nawet misa czerwonych jabłek stoi w salonie na stole. Co to jest, pytam, kto tu mieszka, ty? On parska śmiechem, na jakim ty świecie żyjesz, to mieszkanie pokazowe, nigdy w takim nie byłaś? Ja potrzebuję głowę, wędruję jak zahipnotyzowana po pokojach, oferujących mi tyle piękna, to pokój Noi, tu sypialnia, a przy niej jeszcze jeden umeblowany pokój dla dziecka, czyj on będzie, nie mam przecież kogo w nim umieścić, i momentalnie przygasam, obecność dziecka, którego nie urodziłam, sprawia, że nie mogę oddychać, gdzie mnie do tego idealnego domu, gdy sama jestem tak daleka od ideału, i wracam do salonu z widokiem na łagodne wzgórza, w którym siedzi Micheasz, pali, dopytuje się z dumą, podoba ci się? Ja to zbudowałem. Potakuję w milczeniu, przypominając sobie, że ona go już nie chce, bo nie jest zdolny do uczuć, po prostu się lubi zabawić. Co tu robimy, pytam, skrzep wrogości odrywa się i rusza w podróż po moim ciele, on odpowiada, nie sądzisz, że w naszym wieku należy nam się odrobina prywatności, czy może wolisz bara-bara pod pokojem pielęgniarzek, ja mówię, nie wiem, czy w ogóle mam ochotę na bara-bara, nie znoszę tego określenia. Daj spokój z semantyką, szepcze, pozwól mi kochać twoje ciało, podnosi się, ciągnie mnie za rękę do ogromnej sypialni, nazywa ją jednostką rodziców, co za groźnie brzmiące, niemal żołnierskie słowa. Robiłaś to kiedyś w mieszkaniu pokazowym, pyta, ja mówię, nigdy w życiu, i nie ma szans, żeby to się stało, on się uśmiecha pod nosem, nie bądź taka harda, już ja cię rozpracowałem, nawet sobie nie wyobrażasz, do czego jesteś zdolna, pobędziesz ze mną miesiąc i sama siebie nie poznasz, ja stoję zagubiona przed wspaniałym łóżkiem, pokrytym warstewką kurzu cieniutką jak muślin, co przydaje jednostce rodziców

upiornego klimatu, nawet jego czarne włosy pokrywają już jasne drobinki, jakby się posunął w latach.

Miki, mówię cicho, iskając mu z kurzu włosy, dziś urodziło ci się dziecko, pamiętasz o tym? On się śmieje, mam wyjście? Pewnie, że pamiętam, a ty jesteś moim prezentem, należy mi się prezent, ja na to, ty sam jesteś dzieckiem, nic ci się nie należy, czas, żebyś coś z siebie dał, a nie znowu coś dostał. Ale przez cały poród o niczym innym nie myślałem, burczy, wyobrażałem sobie, jak cię tu przywiozę i dasz mi prezent, wiesz, że tylko dla ciebie tam poszedłem, ja wdycham, Jael miała rację, tylko ja ciągle się myślę co do ludzi, siadam na brzegu łóżka z rezygnacją, widzę, jak jego ramiona się poszerzają, twarz olbrzymieje, w miarę jak zbliża się do mnie, szczerzy potężne kły w wielkim uśmiechu, wydaje mi się, że zaraz zaszczeka, że wydobędzie z siebie szaleńcze ujadanie psa Eliasza. Zostaw mnie, odpycham go, on się obraża, co się z tobą dzieje, myślałem, że uczcimy razem narodziny mojego syna, z kim chcesz, żebym świętował, z żoną? Znów opalona noga wbija mi się prosto w krocze, czemu płaczesz, dziwi się, obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze, będę przychodził odwiedzać dziecko, będę płacił alimenty, jestem nawet gotów się z nią czasem przespać, jeśli ci na tym zależy, czego jeszcze chcesz ode mnie? Ja spoglądam przez okno, prawie niedostrzegalny ruch uschłej gałęzi napełnia mnie smutkiem, to wcale nie gałąź, tylko ostry, pokryty rdzą pręt żelazny, naprawdę niebezpieczny, nie wiem dokładnie, czego chcę, ale na pewno nie tego, bo to, co się dzieje między nami, jest niewytłumaczalnie żałosne, żałosne jest dziecko, którego nikt nie chce, jego zbyt młoda matka, noga, która nigdy nie dotrze na drugi koniec zdjęcia, i mówię, Miki, nie widzisz, że to wszystko jest chore? Nie powinnam była tu

z tobą przychodzić, nie powinnam była z tobą spać wczoraj, w życiu tak nisko nie upadłam.

Odsuwa się ode mnie, niemiła zmarszczka zaznacza się na jego twarzy, daj spokój z tą bigoterią, wszystko nam wolno, jeśli gotowi jesteśmy za to zapłacić, zapłacę swoją cenę, kiedy moje dzieci odkryją, że urodził im się brat z innej matki, kiedy moja żona się dowie, to nie jest łatwe, ale ja nie narzekam, decyduję się na takie życie, najważniejsze, że nie jest nudno, kiedy cię wczoraj zobaczyłem z tym twoim głodnym uśmiechem, pomyślałem, że jesteś taka jak ja, nie sądziłem, że się tak prędko poddasz. Ale, Miki, mówię cicho, nie mam pojęcia, czy jestem taka jak ty, czy taka jak ja, spędziłam tyle lat z jednym mężczyzną, zamknięta w naszym życiu, mój świat się zawęził, widziałam siebie tylko w jego kontekście, nie jako samodzielną istotę, wiesz, ilu pytań nie miałam nawet okazji sobie zadać? On przygląda mi się z powątpiewaniem, wreszcie odzywa się, słuchaj, kiedy mi wczoraj powiedziałeś, że mąż cię porzucił, pomyślałem, że jest kompletnym durniem, ale teraz go całkowicie rozumiem, ja czuję, że policzki mi płoną, jakby ktoś w nich zapalił całe pudełko zapalek, ty go rozumiesz? Co to znaczy?

Wysłuchaj mnie, zanim się obrazisz, napomina mnie Miki, więc czekam, co mi powie, jakby od tego zależało całe moje życie, ale on się ociąga, otwiera usta i natychmiast zamyka, więzi słowa za murem zębów, spójrz, jak próbujesz dominować, mówi z wysiłkiem, wykonując szeroki gest ręką, jakby dowód krył się tu, w tym pomieszczeniu, w którym nikt nie mieszka, masz w głowie jakiś model i uparcie włączasz do niego nas wszystkich, nawet mnie, Jael, ledwo poznanych ludzi, wydaje ci się, że jesteś wzorowa, w związku z czym należy ci się wzorowe życie, ale nikt nie jest wzorowy,

a jednak życie się nam należy, co więcej, wolno nam się nim cieszyć, mnie i tobie, i twojemu mężowi, ma prawo żyć bez nieustannego poczucia winy, że nie jest wzorowym mężem czy wzorowym ojcem, czy Bóg wie czym, nie wiem, czego od niego żądałaś, bo ty też nie jesteś doskonała, co zresztą ma pewne plusy, wolno ci być zazdrosną, nienawidzić, kłamać, zdradzać, nawet sprzeniewierzyć się na moment zasadom swojej szlachetnej profesji, o ile będziesz szczerza wobec siebie, nie będziesz z siebie robić takiej świętej, rozumiesz, o co mi chodzi? Patrzy na mnie i dodaje ze śmiechem, no, znakomicie, zamieniliśmy się rolami, zobaczmy teraz, jak się zabierzesz do budowy takiego domu.

Patrzę na kurz wirujący w powietrzu, niedługo pokryje nas jak stare meble w zaczarowanym zamczysku, martwe sprzęty, będące niegdyś żywymi, ułomnymi ludźmi, i zalewa mnie fala tęsknoty za Udim, aż trudno mi złapać oddech, mam wrażenie, że pięść zaciśnięta głęboko w moim ciele otwiera się nagle, obwieszcza darowanie długów, że gęsto zapisane notesy na krótką, błogosławioną chwilę są darte na strzępy, podnoszę się szybko, jakby on czekał na mnie w domu, mam mu powiedzieć coś ważnego, pilnego, co go niezwykle ucieszy, gdzie zostawiłam torebkę, ale gdy ją znajduję, nieruchomieję, bo mój dom jest pusty, pomyslnie wieści będą musiały zaczekać, tymczasem zostaję ze złymi, z obcym mężczyzną, poruszającym się niespokojnie na łóżku, rozpląszczonym bezradnie jak kaleka zbity z nóg, zupełnie jak tamtego ranka Udi. Daj rękę, prosi, więc wyciągam ją, żeby mu pomóc się podnieść, ale on siłą przyciąga mnie do siebie, chcesz się wzorowo popieprzyć? pyta z ożywieniem, jakby pierwszy raz wypowiadał te słowa, ja mówię, niezupełnie, on się śmieje, widzę, że jesteś obrażona, pozwól, że ci to

wynagrodzę, ja odpowiadam, nigdy nie zdołasz tego zrobić, on wydmuchuje mi do ucha ciepłe powietrze, aż czuję dreszcz rozkoszy, wynagradzam ci, wiodąc cię na pokuszenie, musisz grzeszyć, żebyś mogła sobie wybaczyć.

Już wczoraj zgrzeszyłam, burczę, on mówi, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałaś, ja zaczynam chichotać, jego urok łagodzi niemiłe słowa, gromy wśród ścian sypialni pozabawionej wszelkiej historii, nikt się tu przed nami nie śmiał, jesteśmy pierwsi jak Adam i Ewa, śmiech przechodzi w jęki rozkoszy, gdy podwija mi długą spódnicę, toruje sobie drogę, tym razem zdecydowanie, rzeczowo, jakby zamierzał wyjaśnić konkretną sprawę, ja trzymam go za szyję, jest gościem w moim życiu, uświadamiam sobie nagle, wpadł z krótką wizytą, nie można go zatrzymać, zresztą po co miałabym to robić. Co się stało, pyta, odwraca mnie gwałtownie, patrzę na jego szeroką twarz, która zachodzi mgłą, więcej się nie zobaczymy, szepczę, on oponuje, dlaczego, to zależy tylko od ciebie, ja kręcę głową z uporem, łzy płyną mi z oczu, trzeba iść dalej, samej, żaden mężczyzna nie wypełni tej próżni, bo nie powstała z odejściem Udiego, istniała zawsze, a ja na to pozwalałam, to ja wybrałam jego, nie siebie, już u zarania młodości, żeby roztrwonić na niego siły, odwrócić uwagę ode mnie samej w sobie, od tego wszystkiego, co pogrzebane we mnie żywcem, błaga o zmiłowanie. Co w tym dziwnego, że mnie porzucił, skoro sama się odwróciłam od siebie, wiele lat wcześniej, i było to nie mniej okrutne porzucenie, jego odejście było właściwie już tylko konsekwencją, patrzę na rozchylone usta, na białe zęby, zmarszczki między oczami, wryte precyzyjnym skosem, jak starożytne pismo hebrajskie, już nigdy nie będę próbować wyczytać swojej przyszłości z jego twarzy, zmiennych kolei losu z fal

rozkoszy, które się po niej przetaczają, ta pułapka już nie jest dla mnie. Muszę cię zostawić głodną, śmieje się Micheasz, żebyś przyszła znowu, zrzuca mnie z siebie gwałtownie, ale ja wtulam się w niego, nietrwałość tej chwili napełnia mnie lepką, hałaśliwą żądzą, zrywam z niego koszulę, czekoladowe ramiona rozpadają się jak wieża z klocków, jaki jest sens je budować, skoro każda się musi zawalić, im będzie wyższa, tym upadek będzie boleśniejszy, więc biorę tę przypadkową przyjemność i nią się zadowalam, to i tak więcej, niż mi się należy, nic mi się nie należy, i bardzo dobrze, jak słodko jest się uwolnić od brzemienia poczucia słuszności, jak miło jest się poddać, podnieść do góry ręce, żyć w absolutnej harmonii z niedoskonałą rzeczywistością.

Rzucam się na jego brzuch z nagłym apetytem, liżę nagie ciało, ciepłe i namiętne, nasze zęby się spotykają, gryziemy się z całej siły, ząb za ząb, udawanie nie ma sensu, tylko ból niesie pocieszenie, jego zęby wędrują po mojej nodze, poniżej szczupłej kostki, gdzie w wyobraźni czułam ukąszenie psa, rozchodzi się dreszcz rozkoszy. Rozpycha moje uda, robiąc miejsce dla swoich palców, języka, mam wrażenie, że próbuje rozerwać mnie na dwie części, dlaczego ze mną śpisz, pyta niespodziewanie, uspokajając dłońią ruchliwe zwierzątko u wrót mojego ciała, no, mów wreszcie, nalega, nie będę czekał cały dzień, syn mi się dziś urodził, mam żonę i dzieci, ja szepczę, tak sobie, bez żadnego powodu, on uśmiecha się z zadowoleniem, zamyka bujnym członkiem usta jęczącemu zwierzątku, powinnam się rozpłakać, zamiast tego wybucham dzikim śmiechem, w życiu nie pozwoliłam sobie nic zrobić bez powodu, sądziłam, że jestem przeznaczona do wznioślejszych rzeczy, on dyszy nade mną, nagie wzgórza za oknem zabarwiają mu twarz nikłą poświa-

ta, niepokojącym odbitym blaskiem księżyca w samym środku dnia, tak sobie, szepcze mi w usta, to lubię, nagle nie-ruchomieje, błednie gwałtownie, jak Udi w czasie choroby, po czym z głębokim westchnieniem opada na moje piersi, nieźle, chrypi, szybko się uczysz, Na'ama, jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

Zaraz wstaniemy, pozbieramy zmęczone kości jak przedmioty porozrzucane po domu, strzepniemy pokazową narzutę, na cztery ręce zaścielimy łóżko, rozdzielimy gmatwaninę ubrań, splątanych w apetyczną, kolorową masę, pozostawimy nową dzielnicę na łasce spychaczy, młotów, dźwigów o długich cieniach, przy drzwiach on jeszcze szepnie, kiedy mąż wróci do ciebie, przeprowadźcie się do nowego domu, chętnie wam go zaprojektuję, zobaczysz, jaką ci zbuduję sypialnię, a ja odpowiem, nie wróci, po co miałyby to robić.

## Rozdział dwudziesty

Czeka na mnie czy tylko przypadkiem stoi w progu ośrodka, jak groźna odźwierna, niezgrabne ciało spowija odświętna czarna sukienka, okulary powiększają jej oczy, Na'ama, rzuca pospiesznie, jakby moje imię budziło w niej wstręt, trzeba jechać po podpis tej nowej, a ja wpadam w popłoch, Jael? Jak to po jej podpis? Przecież postanowiła wychować swoje dziecko!

Naprawdę? udaje zdziwienie, krzywi wargi w kwaśnym uśmiechu, skąd wiesz? Ja bąkam, powiedziała mi po porodzie, przecież byłam przy niej, głos Chawy znów rzuca się na mnie, przygważdża mnie całą, od słabych stóp po czubek głowy, otumanionej słońcem, ona ci powiedziała? Czy może ty powiedziałaś jej?

Rozmawialiśmy o tym, odpowiadam wykrętnie, nie myślisz, że w jej przypadku to było dość oczywiste, ona przerywa mi, jej obwisłe policzki drżą jak u wygłodniałego buldoga, naprawdę nie ma znaczenia, co ja myślę, Na'ama, ale też nie ma znaczenia, co ty myślisz, naszym zadaniem jest pomóc tej dziewczynie zrozumieć, co ona o tym myśli, zapomniałaś?

Nie zapomniałam, ale chciałam jej bardziej pomóc, bąkam i nasuwam cieżniej okulary słoneczne, zaraz łyzy, moi



przebrzydli wrogowie, zewrą przeciwko mnie przezroczyste szyki, bezlitośnie zdradzając wszystko, co usiłuję ukryć. Pomóc bardziej to w rzeczywistości pomóc mniej, oświadcza Chawa stanowczo, nadmierne utożsamienie się jest destrukcyjne, przecież nie na tym polega nasza rola, musisz się umieć utożsamić, a jednocześnie zachować dystans, inaczej nie sposób się nimi opiekować, twoje utożsamienie się z nią przyniosło opłakane skutki, bo wynikało z niewłaściwych przesłanek, próbowałaś ją wykorzystać, żeby rozwiązać swój problem, nie pomagałaś jej, tylko sobie.

Wpatruję się oniemiała w zaskakujący dekolot Chawy, mam go pod samym nosem, biaława skóra, usiana różowymi piegami jak u niemowlaka, starzeje się w ukryciu, nie oglądając słońca, jakże różna od szorstkiej faktury jej dłoni, i mówię grobowym głosem, nawet jeśli masz rację, ona nie może oddać tego dziecka, muszę iść do niej, spróbować naprawić szkodę, ale Chawa wyciąga silną rękę i zagraża mi drogę, przykro mi, Na'ama, wyraźnie prosiła, żeby cię nie przysyłać, nie chce się z tobą widzieć, żądała, żebym tylko ja przyszła. No dobrze, patrzy z zadowoleniem na lśniący złoty zegarek, jestem spóźniona, zaczekaj na mnie, chcę jeszcze z tobą porozmawiać, i już wychodzi za bramę, ja zostaję, czerwona jak burak, odprowadzam ją gniewnym wzrokiem, to po to się tak wystroiła? Drepcze jak gęś na wysokich obcasach, wcisnęła fałdy tłuszczu w wieczorową sukienkę ze śmiesznym dekoltem, żeby zobaczyć, jak Jael, młoda, kapryśna dziewczyna, popełnia największy błąd w życiu, którego nigdy sobie nie wybaczy.

Słyszę, jak ostentacyjnie zapala silnik, cofa w moją stronę, może pojedę za jej nowoczesnym wozem, nie mam nic do stracenia, nie pozwolę Jael podpisać formularzy, ale

wciąż mnie blokuje jej ręka, stanowcza jak opuszczony szlaban, omal mnie nie przewraca na schodach, to ja popełniłam największy błąd w moim życiu, jak mogłam jej coś sugerować, narzucać Jael swoje zdanie, przecież w ten sposób tylko ją źle nastawiłam do siebie, przez to, co powiedziałam, co zrobiłam, a zwłaszcza przez to, o czym się jeszcze nie dowiedziała. Chciałam przecież jak najlepiej, a wyszło samo zło, może zresztą wcale nie miałam dobrych intencji, może ją prowokowałam, żeby i ona, jak ja, została z niczym, próbowałam zarówno żyć jej życiem, jak uczynić je pustym, zabrałam jej mężczyznę i jeszcze wyciągam rękę po dziecko, tylko przeze mnie odda je do adopcji, dzisiaj podpisze dokumenty, jutro wróci do dawnego życia, jak ona to ujęła, trochę diety i tyle, po wszystkim. Ja też mogłam oddać Noę, tak mi z nią było ciężko w pierwszych miesiącach, dzień za dniem, noc za wyczerpującą nocą, rezygnacja za rezygnacją, aż nic ze mnie nie zostało, pusta, wyschnięta skorupa, czasem na dnie karceru zmęczenia, nudy, depresji śniłam o wolności, przychodzą życzliwi ludzie, wyciągają do mnie ręce, błagając, daj nam ją, ty się wyzwolisz i ona zazna szczęścia, przekazuję im jej drżące ciało i czekam na ciszę, święty spokój, teraz nic tylko spać, spać, nim zdążyłam jej pożałować, budził mnie natarczywy płacz, więc nigdzie nie poszła, zostanie tu na wieki, jest kamieniem na moim sercu, z dnia na dzień coraz cięższym, nasze kłótnie okalają jej skronie jak wieniec. Okaż jej trochę czułości, strofowałam go, poświęć jej więcej czasu, on się buntował natychmiast, nie mów mi, co mam robić, znalazła się wielka święta, żeby mi dawać nauki, a ona tylko traciła na tym, stopniowo pozbawiana wszystkiego, co stanowiło jej majątek. Miałeś rację, Udi, nie jestem wielką świętą, dlaczego tak mi zależało, żebyś ją

kochał, jeśli nie dlatego, byś pokrył niedostatki mojej miłości, niepewnej, zgasłej, przecież to od niej uciekłam do mieszkania na poddaszu, od jej nieustannych żądań, od kurczego uścisku jej rąk na mojej szyi, siedziałam tam, skąpana w podziwie, nurzałam się w samouwielbieniu, całkowicie o niej zapominając. Jaką rodzinę zbudowałam, wzniosłam dom na fundamencie z pustaków, jak mogłam wierzyć, że będzie trwała, wstaję z trudem, wspierając się o pręty bramy, tu pierwszy raz zobaczyłam Jael, jej sarnie, wpatrzone we mnie ufnie oczy, nie chciałam jej zrobić krzywdy, chciałam tylko, żeby kochała swoje dziecko, bo ja nie potrafiłam kochać mojego. Mija mnie rozpędzony samochód, oddycham z ulgą, to jeszcze nie Chawa, ale niedługo wróci, z impetem przekroczy furtkę, ściskając w ręku podpisane formularze i jakąś bezdzielną parę spotka wielkie szczęście, zaczekaj na mnie, powiedziała, chcę z tobą porozmawiać, ale ja nie zaczekam, muszę przedtem odbyć inną rozmowę, z samą sobą, codziennie mnie dopadają zaskakujące nowiny, od których pęka serce, jakby mnie otaczali prorocy, głoszący słowo Boże, zbyt wiele nowych prawd wyszczerza na mnie zęby, gdybym je mogła okiełznać, jak Micheasz swojego psa na pustym placu budowy.

Niepewnie otwieram drzwi ośrodka, Anat spogląda na mnie z troską, prowadzi zajęcia grupowe, wszystkie dziewczyny są dziś spokojne, na tablicy ogłoszeń wisi kartka z ich porządkiem dnia, co mnie z tym wszystkim łączy. Mijam je szybko, idę na górę, wchodzę do swojego gabinetu, otaczają mnie przesłodzone zdjęcia, drażnią się ze mną, hipokryzja aż bije w oczy, wokół same portrety pięknych kobiet w ciąży, trzymają się za brzuchy i spoglądają w okno pogodnie, jak ja to znosiłam przez te wszystkie lata, i z obrzydzeniem

zrywam ze ściany fotografie, drę je na strzępy, na jednym ze skrawków piszę list do Chawy i kiadę go na jej biurku, szybko, nim się rozmyślę.

W szafie znajduję reklamówkę, wsypuję do niej zawartość szuflad, jak niewiele się w nich zebrało przez tyle lat, kilka listów od naszych dziewczyn, wysłanych po opuszczeniu ośrodka, nieliczne zdjęcia niemowląt w ramionach dumnych matek, wyłącznie dzięki tobie jestem mamą, napisała mi jedna z nich na odwrocie, przeraża mnie jednoznaczność tych słów i ich potencjalne groźne przeciwieństwo. Bez pożegnania kieruję się do drzwi, obrzucam ostatnim spojrzeniem dziewczyny otaczające Anat i ich żałosne, niebezpieczne brzuchy, ona, chłopięca, bezdzietna, jest wśród nich uwięziona, nagle złość na nią zaostrza się jak włócznia, ty pierwsza mnie opuściłaś, syczę, kto ci pozwolił mnie tak surowo osądzać, nigdy nie byłaś moją przyjaciółką, skoro tak mnie potraktowałaś, otwieram szeroko furtkę, porzucam swój dom jak Udi, z jedną plastikową torebką, odchodzę po tylu latach z prawie pustymi rękami. Prędko wsiadam do samochodu i jadę, nie wiedząc dokąd, byle tylko być w ruchu, podlegać jasnym regułom, stawać jak wszyscy na czerwonym świetle, zwalniać, kiedy dzieci przechodzą. To droga do szpitala, zaledwie wczoraj pędziłam nią jak po pożar z Jael na tylnym siedzeniu, rodzące się niemowlę pukało do wrót jej ciała, do bram świata, a ja jak odźwierna walczyłam z zasuwami, dziś nie mam tu czego szukać, ona siedzi w różowym szlafroku i podpisuje papiery, na zawsze się wyrzeka rodzinnego dziecka, a wszystko przeze mnie, przez to, że zachciało mi się rodziny.

Słońce nad moją głową staje w ogniu, płonie, by nigdy nie spłonąć, wydaje się, że mu wyrosły ogniste ręce i nogi,

i z całej siły tłuką mnie po głowie, usiłuję się bronić, puszczam kierownicę, samochody za mną trąbią zniecierpliwione, uciekam przed nimi, skręcam w boczną uliczkę, nie do wiary, w roztargnieniu trafiłam do jego pracowni, auto Micheasza spokojnie kotwaczy na krawężniku, siedzą z nim różni ludzie, chodzą po czerwonym dywanie, planują swoje domy, on rozkłada przed nimi obiecujące szkice, zupełnie obojętny na los najmłodszego syna, nie minie dzień, a zapomni o nim, i o niej, i o mnie, tam też się nie zatrzymuję, tylko zwalnim na moment, i podróżuję dalej przez umęczone miasto, ulice znajome i nudne jak ludzie, których kiedyś spotkałam i którym dziś nie mam nic do powiedzenia, mijam je szybko, żeby mnie tylko nie rozpoznały, nie zawołały, to Na'ama. Wjeżdżam w tamtą ulicę, długą i krętą, latami nie odważyłam się w nią zapuścić, nawet w myślach, dokładnie na samym zakręcie stoi jego dom, pochylony jak wieża z klocków, wzniesiona na dywanie przez dzieci, zatrzymuję się przy nim, gapię na czarną jezdnię, asfalt, świeżo wylany, zakrył ślady mojego biegu, panicznego pościgu za Udim, tylko we mnie wszystko wciąż jest na wierzchu, zachowane w stanie tymczasowym do bólu, trwa w niekończącej się agonii, w oderwaniu od unicestwiającego wybawienia na drodze śmierci.

Wysiadam z samochodu, spoglądam w górę, na szczyt budynku, gdzie to zdradzieckie okno, które ujawniło moją nagość, moją hańbę, bije od niego ostry blask, załamuje się w nim samotny promień słońca, długi i wąski jak miecz niebieski, w zdumieniu wpatruję się w ten obraz, co w ogóle można zobaczyć z ulicy, najwyżej zatartą sylwetkę, nieidentyfikowalną postać, co on zobaczył tamtego ranka, pejzaże własnego wzburzonego umysłu, rubieże swojej duszy, a ja,

jak tresowane zwierzę w cyrku, skacząc przez płonącą obręcz jego świadomości, padłam mu do nóg, czekając na karę, jak na nagrodę. On nic nie widział, jak mógł zobaczyć, to ja wszystko wyznałam, nim zdążył zapytać, zdradziłam się lekomyślnie, dając mu ogromną władzę, bo wystraszyłam się własnej mocy.

Tak właśnie zapamiętałam te schody, wysokie i kręte, potykają się na nich podniecone nogi, wracam do ciebie, najdroższy, z pustymi rękami, tak się bałam ciebie pamiętać, że cię nie zapomniałam, tak się bałam ciebie kochać, że utraciłam zdolność do miłości. Co mu powiem, kiedy otworzy mi drzwi z pędzlem w ręku, skrywając zaskoczenie w zmrużonych oczach, pokaż mi tamten obraz, poproszę, pozwól mi choćby przez moment widzieć siebie piękną.

Staję pod jego drzwiami, próbując uspokoić oddech, zawsze były gładkie, tajemnicze, teraz ktoś przybił do nich wizytówkę, Na'ama, jest na niej napisane ozdobnymi zawijaszami, otwieram szeroko oczy, przez chwilę myślę, że to list przeznaczony dla mnie, kto wie, ile lat tu czeka, dotykam go ze wzruszeniem, próbuję oderwać od drzwi, ale tabliczka trzyma się mocno, niczego nie skrywa, jest na niej tylko moje imię. Widocznie się wyprowadził, już tu nie mieszka, jakaś Na'ama zajęła jego miejsce, moje miejsce, nie mogę uznać jej istnienia, wydaje mi się, że to muszę być ja, i bez wahania pukam do drzwi, coraz mocniej, jakby ktoś w środku spał i jakby mnie poproszono, żeby go zbudzić, ale najłżejszy szmer nie dochodzi z małego mieszkania, które tak lubiłam, Na'ama nie otwiera, chwiejnie schodzę po schodach z rosnącym rozczarowaniem, rzucam się na skrzynkę pocztową, Na'ama Korman, jest na niej napisane, nie ma co, to nie ja, zwykły zbieg okoliczności bez żadnego znaczenia.

Powoli jadę do domu, koła stękają pod ciężarem mojego pustego życia, co jest cięższe, worek pierza czy worek żelaza, ani to, ani to, najcięższy jest worek pustki, wchodzę do dusznego mieszkania, kieruję się prosto do łazienki, jakbym wróciła z męczącej podróży, cała brudna, nalewam wody do wanny i zanurzam się w niej aż po cebulki włosów. On mnie nie widział, mogłam uniknąć tego nieszczęścia, sama je na sobie sprowadziłam, zaślepiona poczuciem winy, jak mogłam nie rozumieć tego, co tak oczywiste, że nie można zobaczyć z ulicy osób stojących przy oknie, byłam pewna, że skoro ja go poznałam, to i on musiał rozpoznać mnie, nie rozumiałam, że ja i on to dwa odrębne byty, że choć jesteśmy mężem i żoną, zupełnie inaczej doświadczamy życia. Przerażona wolnością, która mi się objawiła wśród farb i płócien, wybrałam jego terror, wolałam zapłacić cenę zastraszenia niż cenę wolności, odpłaciłam mu za to bezgranicznym, paraliżującym gniewem, jak idealnie się dobraliśmy, któż inny tak doskonale uwięziłby mnie w sobie, któż inny tak dobrze jak ja pomieściłby jego słabości, czterema pilnymi rękami rujnowaliśmy sobie życie, w cudownej harmonii, podczas gdy Noa, jak zagubiona uczennica, przyglądała się temu, mrużąc zielone, winogronowe oczy.

Jaką przyjemność czerpałam przez te wszystkie lata z wyolbrzymiania krzywd, które mi wyrządził, nawet go zachęcałam, żeby mnie ranił, aby móc zaznać w pełni ich oczyszczającej mocy, posługiwałam się Noą, żeby mu zatruć życie, osądzałam go, wzmacniałam w nim poczucie winy, odpłacałam mu moim terrorem, zamaskowanym dobrymi intencjami, nie pouczaj mnie, mówił, nie jesteś taka święta. Gdyby tak można było usunąć z życia winę, tę sekretną, podstępłą doradczynię, której pobudki są zawsze zbrodnicze, nie

padać pod ciężarem drugiej osoby, tylko spoglądać każde z innego końca zdjęcia, pochylam głowę, schodzę pod wodę, nie zamykając oczu, w głębinach wanny kryją się rafy koralowe, nieskończone bogactwo, można się też nie wynurzać, zlekceważyć płuca, zignorować tęsknotę ciała za następnym oddechem, to pierwotne pragnienie, silniejsze od pożądania, od chęci rodzenia dzieci, pragnienie oddychania bez żadnych korzyści w zamian, życia, aby oddychać, nie aby kochać, nie aby wychować dzieci, nie aby odnosić sukcesy, nie aby realizować cele wyższe. Wysuwam głowę nad wodę i biorę długi wdech, zaskakująco szczęśliwa, pijana wilgotnym powietrzem, podnoszę nogę, przyglądam się pobłażliwie pięciu niedbale rozmieszczonym, krótkim palcom, które cieszą się ze spotkania z twarzą, to radość ze zjednoczenia początku i końca, tyle mi tylko zostało, zwyczajne ciało, które lubi oddychać, cała reszta to luksus, nie ma znaczenia, czy ten lub inny mężczyzna je kochał, porzucił, Ziemia też ledwo odczuwa kroki tych, co po niej chodzą, pochłonięta wyłącznie procesem zachodzącym w głębi, pod cienką powłoką, pełzaniem wrzącej magmy, powolną, odwieczną wędrówką kontynentów, tęskniących, by się ponownie połączyć.

Owinięta ręcznikiem podchodzę do szafy, wyciągam w roztargnieniu szary kostium, spodnie i żakiet, tylko raz go miałam na sobie, gdy jechaliśmy do szpitala, wydaje mi się, że przeszedł zapachem tamtego poranka, pachnie zaskoczeniem i lękiem, a jednocześnie skrytą nadzieją na zmianę, i ku mojemu zdumieniu znów się w nim mieszczę, ciało tworzy w nim urzędową, jednolitą całość, tak że trudno je zranić, rozczesuję mokre włosy, skrapiam się perfumami, jakbym się wybierała na ważne spotkanie, chociaż dręczące



napięcie nie towarzyszy tym przygotowaniom. Upiększam się z przyjemnością, ciesząc się ciałem, które znowu się z sobą skontaktowało, i kiedy wychodzę w żar południa, nie jestem pewna, dokąd się udaję, podążam za strzępkami rozmów, pozostawionych na ulicy, za resztkami przyjacielskiego uśmiechu, i nagle się okazuje, że jestem przy tamtej kawiarni, latami nie miałam odwagi wejść do środka i tylko przechodząc obok, rzucałam w jej stronę nieśmiałe, ukradkowe spojrzenia, a teraz otwieram drzwi, ależ się tu zmieniło, czarne stoliki ślizgają się po lśniącej marmurowej podłodze, ślad nie został po ciężkich, niemodnych meblach, które się nie próbują podobać i na tym polega ich urok, po ścianach krytych boazerią, które wchłonęły zalotne, czułe słowa. Zamawiam lampkę czerwonego wina, mimo braku widocznych powodów do świętowania, straciłam męża, a teraz pracę, lata wysiłku poszły na marne, jednak wesołe prądy budzą mnie do życia, rozluźnienie stawia na nogi, więc zamawiam kolejny kieliszek, już kręci mi się w głowie, świat oglądany przez szklaną taflę budzi zaufanie, samochody płyną ulicą jak krew w tętnicach, a ludzie, jak krew w żyłach, wędrują chodnikami. Na świat zstąpił ład, skromny, osiedlowy, już się wydaje, że nawet dla mnie znajdzie się jakieś miejsce, gdy zauważam, że zbliża się do mnie znajoma postać, powolne kroki burzą porządek, bo ciężko jej wejść pod górę, idąca za nią para musi zwolnić i w końcu się rozdzielić, by ją obejść osobno, ona tego nie zauważa, pochłonięta snieniem na jawie, spojrzenie utkwiła w punkcie, gdzie jezdnia styka się z chodnikiem, porusza ustami, szkoda, że nie mogę usłyszeć jej mamrotania. Wstaję, przyciskam się do szklanej ściany, żeby przyjrzeć się z bliska tej wysokiej, zaniedbanej dziewczynce o nieoszlifowanej urodzie, jej stopy w roztargnieniu

kierują się prosto na jezdnię, ale ona natychmiast się otrząsa, wraca na swoją ścieżkę, patrzę na oddalające się lekko zgarbione plecy, nie do wiary, że jest między nami bliski związek, mieszkamy razem, czasem nawet śpimy w jednym łóżku, już prawie znika mi z oczu, gdy przypominam sobie, żeby ją zawołać, wydaję z siebie pijacki okrzyk, wolny od wszelkich zahamowań, ona odwraca się zaskoczona, podchodzi do mnie nieufnie, mamó, co ty tu robisz? Nie jesteś w pracy? Dlaczego się tak elegancko ubrałaś?

Kładę jej rękę na ramieniu, prowadzę ją do stolika, ty też skończyłaś dziś wcześniej, a ona mówi, tak, przecież to koniec roku, zaczęły się wakacje. Dla mnie też właśnie się zaczynają wakacje, oświadczam wesoło, dziś rzuciłam pracę, ona pyta, naprawdę, dlaczego, i zaraz dodaje ze strachem, nie będziemy miały pieniędzy, z czego będziemy żyły, ja uspokajam ją, nie martw się, dostanę odprawę, a potem coś się znajdzie, ona powtarza, dlaczego, mamó, ja wzdycham, to zabrzmiało banalnie, ale żeby móc się zajmować innymi, muszę najpierw zająć się sobą. Ona pieści mnie rozumnym spojrzeniem, to nawet logiczne, mamó, ja się śmieję, tak, bo banały zazwyczaj brzmią najbardziej rozsądnie, i szybko zamawiam jej tost i colę, przyjemnie tak z nią siedzieć, opalenizna podkreśla bogactwo oczu, jak dwie buteleczki kolorowego piasku z Ejlatu, i sympatyczny, zabawny nosek, i wargi, takie ładne, kiedy się uśmiecha. Co będziemy robiły w wakacje, pyta, ja już myślę ze strachem, co mogę jej zaproponować, koledzy z klasy na pewno objadą kraj i świat całym rodzinami, nigdy nie uda mi się z nimi konkurować. Będziemy chodzić na basen, odpowiadam niepewnie, oglądać filmy, czytać książki, może pojedziemy na północ, do tego hotelu, gdzie kiedyś byłam z tatą, tam jest bardzo miło,

a ona woła, super, pojedźmy tam! I natychmiast milknie, przyglądając mi się z obawą, radość przysiadła się do naszego stolika nieśmiało i obie uważamy, żeby zbyt głośną rozmową nie spłoszyć tego rzadkiego gościa.

Z przyjemnością obserwuję jej chaotyczne ruchy, już upuszcza widelec, patrzy na mnie przymilnie, zaraz potem na bluzce ląduje pomidor, policzki pokrywają się okruchami tostów, jest taka śmieszna i słodka, kiedy je, z naiwną pewnością, że naprawdę jej się należy ta przekąska, że zawsze będzie pod ręką, żuje z naturalnym wdziękiem, gdy je, czuje się chciana. Dojadam po niej z radością, ruszamy do domu przytulone jak para wracająca ze szczególnie udanej randki w ciemno, po drodze ona bąka, niedługo mam urodziny, ja sztywnieję, tak, rzeczywiście, jak chcesz je obejść? Zrobię przyjęcie, mówi, zaproszę całą klasę, będziemy grać w gry, których się uczyliśmy na zielonej szkole, jej zapał sprawia, że czuję się rażniej, widocznie lepiej sobie radzi z rówieśnikami, nie mam odwagi spytać, żeby nie zdradzić się ze strachem.

Nie ma problemu, Nojeczko, odpowiadam, jest jeszcze mnóstwo czasu, ale czas płynie szybko, bywa, że ze zdumieniem przypominam sobie, ile kiedyś potrafiłam zrobić w ciągu jednego dnia, bo teraz dni umykają jak śliskie, nie-me, nieuchwytne węgorze. Budzimy się późno, zazwyczaj ja trochę wcześniej, przynoszę ze sklepu warzywa i świeże bułeczki, przygotowuję śniadanie, Noa ogląda telewizję, czasem przyłączam się do niej, patrzę z zazdrością na zadbane twarze na ekranie, sława strzeże ich jak pies pasterski, przecież ktoś, o czym istnieniu wie tylu ludzi, nie może tak po prostu zniknąć, z nami jest inaczej, wydaje się, że nikt nie odczuje braku, jeśli któregoś ranka się nie obudzimy. Może

jedynie moja matka, wiodąca nieopodal swoje puste życie, czasem zaprasza nas na kolację, przygląda nam się w milczeniu, zaciskając usta w wianuszkę zmarszczek, pozwala nam się przyjaźnić bez przeszkód. W południe idziemy na basen, nurkujemy naprzeciw siebie z otwartymi oczami, refleksy słońca drgają między nami, pod nogami rozwijają się piękne niebieskie dywany, czasem koledzy z klasy machają do Noi leniwie, widzę, jak podchodzi do nich bojaźliwie, próbuje się włączyć do zabawy, ale jej bose stopy dość szybko wracają do mnie zrezygnowane, i zaciskam wargi, nie pozwalałam, by mi to zmaciło spokój, mam wrażenie, że zamknęłam bramy i otoczyłam się ciasnym murem, nie tak jak kiedyś, gdy moje granice były jak sito, każdy lęk przez nie przechodził i mógł swobodnie zamieszkać w mojej duszy. Teraz prawie nie mnie nie porusza, tylko na widok niemowlęcia w wózku dopada mnie strach, jakbym zobaczyła ducha, przyglądam mu się z zapartym tchem, czy to aby nie mały adoptowany Miki, dławii mnie wielki smutek, chowam się za gazetą czy książką, co się z nią teraz dzieje, jak sobie radzi ze stratą, i gdy myślę o swoim udziale w jej nieszczęściu, znów się pogrążam w rozpacz, ale z całych sił walczę, by się wydobyć na powierzchnię, zbyt wiele surowych osądów atakuje mnie z zewnątrz, nie wolno mi ich przyjmować tak pośpiesznie, muszę je w sobie zważyć, nie da się żyć inaczej.

Rozmawiamy raczej niewiele, tyle słów zostało już wypowiedzianych, trzeba pozwolić im opaść na dno, nim ciśnie się w wodę nowe kamienie, na razie poprzestajemy na tym, co tworzy się między nami, na cichym, spokojnym braterstwie, jej problemy są oczywiste dla mnie, a moje dla niej, ale staramy się istnieć poza nimi, nie skaczemy już w ogień, jak miałyśmy w zwyczaju, tylko stoimy na skraju wielkiego

pożaru, uważając na iskry. Chwilami przychodzi mi na myśl, że te puste dni są najszczęśliwsze w moim życiu, bo prawie nic nie czuję, jakbym leżała na fotelu dentystycznym z rozdziawionymi ustami po zastrzyku znieczulającym, wiedząc, że eksplodują we mnie bomby bólu, ale nie odczuwając ich mocy, wydaje mi się, że jeśli je zignoruję, one w rewanżu oszczędzą mnie.

Więc tak wszyscy żyjecie, to jest ta wasza wielka tajemnica, tego mnie próbowała nauczyć Zohara, tym się próbował ratować Udi, wszyscy niefrasobliwie chodzą boczными ścieżkami i tylko ja się zaparłam, żeby czuć wszystko, wędrować na płaskich stopach samym środkiem gościńca, nie pominać żadnego odcienia, otrzeć się o zraniony rdzeń czucia, i zastanawiam się, co Udi by powiedział na tę moją nową, uśpioną egzystencję, zuchwały bunt przeciw tyranii wzruszeń, myślę, o czym bym mu opowiedziała, gdyby teraz był przy mnie, o dziecku, oddanym przez matkę z mojej winy, o tym, że zamknęły się za mną bramy ośrodka, ale zaraz sobie przypominam, że on by nie słuchał, przecież u nas wszystko zmieniało się w wojnę, każde moje potknięcie dowodziło, że on jest lepszy, każdy sukces stawał się narzędziem walki, nigdy nie uznawaliśmy w sobie niezależnych istot, mających prawo do własnego życia, do porażek, do złego humoru, wszystko się sprowadzało do ciasnego kręgu naszego związku, patrzyliśmy na siebie z tak bliska, że nic nie widzieliśmy, a mimo to byliśmy sobie obcy, musiał wyjechać aż do Tybetu, żeby poczuła, że jest mi drogi, i kiedy Noa pyta, o czym myślisz, mam, odpowiadam, a tak, właściwie o niczym.

Czasem myślę, że to milczenie jest dobre tylko dla mnie, chyba powinnam zachęcić ją do rozmowy, dziwne, że nie

wspomina o nim, jakby nigdy nie miała taty, ale nie mogę się przemóc, okazuje się, że jest takie słowo: nie mogę, tyle lat uważałam, że mogę wszystko, co muszę zrobić, a jednak nie, wygodnie mi z naszym milczeniem, na razie to wystarcza, aż pewnej nocy wchodzę do jej pokoju i widzę, że nie śpi, siedzi na łóżku, trzymając na kolanach pomiętą kartkę. Co tam masz, Nojeczko, pytam, ona mówi, list, który zostawił mi tata, zanim odszedł, ja natychmiast milknę, kiedyś omal nie podpaliłam domu, żeby zdobyć ten świstek, a teraz wydaje się zbędny, nieistotny, nie czuję potrzeby, żeby go przeczytać. Myślisz, że z nim wszystko w porządku, pyta ona, ja odpowiadam szybko, pewnie, czemu miałoby być inaczej, ona ciągnie, ale nie dzwoni, to trochę dziwne, może coś mu się stało, kładę rękę na rozczochranej głowie, Nojeczko, wolisz się o niego martwić niż się na niego złościć, wolno ci się na niego gniewać. Może naprawdę coś mu się stało, skąd wiesz, że nie, nie poddaje się, zasiewając we mnie niepokój, tak że nie mogę zasnąć, sięgam po Biblię, leżącą potulnie po jego stronie, może mnie też zostawił list, ukryty wśród wersetów, kartkuję księgę, gdzie pocieszające prorocтва, które trwały przy mnie jak chór przyjaciółtek, czemu się przede mną chowają, nagle rzucają się na mnie kąśliwe słowa, budzą we mnie wspomnienie niewybaczalnej zniewagi, co on wtedy powiedział, w kwitnącym ogrodzie, w ostatnich godzinach wiosny, w jednej z rzadkich chwil naszego szczęścia, jeśli w ogóle można nazwać szczęściem tę kruchą, przytłaczającą istotę. Nie wolno mi wchodzić z tobą do hotelu, nie wolno mi jeść ani pić, ani wracać drogą, którą przyszedłem, muszę stąd uciec, nim ktoś mnie przywiedzie do grzechu, jak tamtego męża Bożego, nagle objawia mi się całe okrucieństwo opowieści, która tak go przerażała, historii

męża Bożego, który przyszedł z Judy do Betelu, przepowiedział spalenie ołtarza i zburzenie skalanego miasta, Bóg zabronił mu spożywać tam chleb, pić wodę i wracać drogą, którą przyszedł, ale stary prorok z Betelu umyślnie go przywiódł do grzechu, ja także jestem prorokiem, jak ty, okłamał go, anioł Boży nakazał, bym cię sprowadził do mego domu, nakarmił i napoił. Mąż Boży, który był głodny i spragniony, dał się skusić, uwierzył mu, a kiedy siedzieli przy stole, jedząc i pijąc, posłyszeli głos Pana, zwłoki twoje nie spoczną w grobie twoich ojców, i rzeczywiście, kiedy ruszył z powrotem, w drodze napadł nań lew i zagryzł go, a stary prorok pogrzebał go w Betelu, prosząc swoich synów, aby go pochowali obok: przy jego kościach złożcie moje kości.

Odkładam Biblię ze złością, zbuntowana przeciwko gorzkiemu losowi męża Bożego, który nie przeszedł próby, skąd mógł wiedzieć, że go oszukano, jak odróżnić słowo Boże od kłamstwa, z całą wyrazistością staje mi przed oczami postać Udiego, który klęczy wśród drzew i wygłasza prorocstwo, przepowiada zburzenie naszej małej rodziny, nie wie, że na progu domu już czeka na niego fałszywa prorokini, jej włosy to jadowite węże, śliski język spływa słowami otuchy, zbyt mocno go trzymasz, mówiła, miażdżysz go jak grudkę ziemi, musisz odpuścić, ale gdy tylko odpuściłam, schwyciła go, powlokła za sobą, rozkruszając nas wszystkich na szary miął. Macam prześcieradło niepewnie, przez moment wydaje mi się, że leżą przy mnie na łóżku jego długie kości, pograżone we śnie, nie wolno ich budzić, ale same wstają, raczą mnie pożegnalnym tańcem, wśród ukłonów i dygów wydają suche trzaski, i tłumię krzyk, on tam umrze, w dalekim Tybecie, jego zwłoki nie spoczną w grobie jego ojców, nigdy więcej go nie zobaczę, fałszywe proroctwo wywabiło go

z domu podstępnie, muszę zmienić swoje życie, powiedział, dostałem ostrzeżenie, skąd mógł wiedzieć, że poddano go próbie, wyskakuję z łóżka, wychodzę na balkon, patrzę na ciłą ulicę, kostium kąpielowy ocieka mi nad głową, pachnie wilgotnym kurzem, jak ziemia po pierwszym deszczu.

Stąd patrzyłam, jak się oddala z plecakiem na ramionach, tu próbowałam go zatrzymać, miotając przez zachrypnięte gardło kamienie obelg, jak to się stało, że w jednej chwili w kwitnym hotelowym ogrodzie z kochanka zmienił się w zaprzysięgłego wroga, zdusił nowo narodzone szczęście, aż zaczynam powoli rozumieć, on nie zgrzeszył, więc nie zasłużył na karę, nie jadł, nie pił, nie wrócił do naszego pięknego pokoju, do kuszącego, wielkiego łóża, usłuchał słowa Bożego dla dobra nas wszystkich, aby nie skalać naszego małego królestwa, może to była ta próba i przeszedł ją, więc co z tego, że wyjazd skończył się rozczarowaniem, może całkiem inna logika stanowi sedno zdarzeń, które nami wstrząsnęły, przewrotna, głębsza, bo jeśli on kiedyś wróci, to tylko inną drogą, jako inny człowiek, i idę z powrotem do sypialni, szybko kartkuję księgę, nie mogąc się doczekać spełnienia proroctwa, wprawdzie zwłoki męża Bożego krywa ziemia, ale to nie odbiera mocy jego słowom, oto król Jozjasz zgromadził już wokół siebie dom Izraela, oczyścił kraj z wszelkiego grzechu, kazał zbezcześcić palenisko, znajdujące się w Dolinie Synów Hinnoma, aby już nikt nie oddawał swego syna czy swojej córki na spalenie dla Molocha, i zebrać kości z grobów i spalić w Betelu na ołtarzu, ale kości męża Bożego, który przyszedł z Judy, nie tyka, pozwala im się połączyć z kośćmi starego samarytańskiego proroka.

Staje mi przed oczami spustoszone królestwo Izraela, usiane ruinami ołtarzy i świątynek na wyżynach, świadczą-



cych o jego winie, niepokorni mieszkańcy zostali wygnani, przymuszeni do ucieczki z kraju, z zajętych przez obcych domów, jak Udi, który wędruje wśród obcych krajobrazów, z cudzym dzieckiem na plecach, i zastanawiam się, czy jest w nim jakiś inny Udi, którego nie znałam, którego przez tyle lat nie dostrzegłam, może przy mnie usychał, a przy niej kwitnie, wyobrażam sobie ten rozkwit ze ściśniętym sercem, widzę, jak odchyła głowę ze śmiechem, ona patrzy na niego z zachwytem, ale to przecież jest nierzeczywiste, jak szczęście wiosennych kwiatów na przyhotelowych łąkach, niepoddających się, niegodzących się z losem, każącym im przez krótką chwilę wzbudzać zachwyt, a potem związać się w małe, ukryte pod ziemią cebulki. Wstrząsa mną fala współczucia, kiedy chory i udręczony leżał na tym łóżku, nie potrafiłam mu współczuć, a teraz, kiedy jest zdrowy, silne nogi niosą go w dal z nową kobietą u boku, przepełnia mnie to uczucie, widzę, jak napręża serce do granic możliwości, daremnie próbując połączyć dwa oddalające się brzegi zbyt wąskim pomostem, nim się obejrzy, spieniony nurt poniesie jego szczątki, a wtedy poczucie winy wyskoczy jak głodny lew i rzuci się łapczywie na niespodziewaną królewską ucztę, i zostaną z niego tylko nędzne resztki, niepokojąca pamiątka po tym, co kiedyś było i nigdy nie wróci. Chciałeś być kochany, szukałeś pojednania, ale dopóki uciekasz, nie zaznasz spoczynku, a jedynie krótkiego snu zbiega, tylko stawiając czoło strażnikom swojej duszy, będziesz mógł być szczęśliwy albo nieszczęśliwy, ale to będzie twoje nieszczęście czy szczęście, nie Noi, nie moje, ja już nie mieszcę się na tym zdjęciu, nie widać na nim nawet koniuszka mojej stopy, nagle współczuję Zoharze, bo jeszcze nie wie, że trzyma w ręku szczątki zburzonego królestwa, kim jestem, żeby

ją obwiniać, przecież sama zbłądziłam, wyrwałam z ramion matki jednodniowe dziecko. Zamykam Biblię i kładę na poduszce, która kiedyś była jego, nigdy nie znajdę niosących pocieszenie, uspokajających wersetów, ale gdy prawie zasypiam, inne proroctwo powraca w pamięci natrętnie, jak ostatnie słowa konającego człowieka, „oto Ja pošę wam proroka Eliasza, zanim przyjdzie wielki i straszny dzień Pana, i zwróci serca ojców ku synom, a serca synów ku ich ojcom, abym, gdy przyjdę, nie obłożył ziemi kłatwą”\*.

Mam wrażenie, że ledwo zasnęłam, ale pokój jest już zalany światłem, przez jedną wąską szparę w żaluzji wciska się całe słońce, Noa wskakuje mi do łóżka, obudź się wreszcie, mam, jutro są moje urodziny, a jeszcze nic nie kupione, więc wstaję, ubieram się ociężale, wciąż męczy mnie niezrozumiały los męża Bożego, skąd mógł wiedzieć, że go okłamano, przecież Pan może przemówić nawet ustami oślicy. W roztargnieniu kupuję chipsy, balony, modelinę, wycinanki, różne naklejki i kilka płyt, bez których się nie da, jak twierdzi Noa, w domu puszczamy je po kolei, w ciszę mieszkania wdzierają się jazgotliwe, rytmiczne dźwięki, początkowo mi przeszkadzają, ale powoli spływa na mnie ulga, jakby to przestał być mój dom i jakbym za nic, co się w nim dzieje, nie odpowiadała. Ona od czasu do czasu zerka ukradkiem w kierunku telefonu, który milczy uparcie, myślisz, że tata będzie pamiętał o moich urodzinach, pyta wreszcie, myślisz, że jutro zadzwoni, a ja myślę o mężu Bożym, nie wracaj drogą, którą przyszedłeś, musisz się zmienić, to nakaz z góry, ale kto wie, o jaką zmianę chodzi i jaka będzie jej cena, to się okaże dopiero, kiedy przekonasz się, że dałeś się zwieść

\* Księga Malachiasza 3,23.

fałszywemu prorocत्वu, kiedy lew już zatopi kły w twoim ciele. Staję przy oknie, wyglądam na ulicę, upstrzoną żółtymi liśćmi, w nerwowym oczekiwaniu, czy jest inna droga, aby tu przyjść, wejść inaczej niż przez te drzwi do naszego domu, aż Noa pyta, dlaczego nie odpowiadasz, mamó? Ja odburkuję, nie wiem, czy stamtąd w ogóle można zadzwonić, ale ona naciska, myślisz, że będzie pamiętał, chciałabym wiedzieć, i patrzę na nią zatroskana, przypuszczam, że się dowiesz, jeśli będzie pamiętał.

W kuchni obstawiam się cukrem, jajkami, kakao, mąką i mlekiem, w milczeniu przygotowuję czekoladowy tort w kształcie serca, dom się wypełnia przenikliwym rodzinnym zapachem i dopiero wieczorem odkrywam, że nie kupiliśmy ozdób do tortu, biegnę do supermarketu, przy półce z dekoracjami nie mogę się zdecydować, co lepsze, kolorowe cukierki, marcepanowe misie czy złożone serduszka, ale to chyba przesada ozdabiać serduszkami tort w kształcie serca. Nagle uderza mnie twardy przedmiot, wózek sklepowy, leczę czołem na regał, odwracam się, chcę zwrócić uwagę młodej kobiecie, która mnie potrąciła, gdy zauważam, że w wózku nie ma zakupów, tylko dziecko, właśnie zaczyna płakać, więc wbijam wzrok w podłogę, nie mogę patrzeć na takie rzeczy, to mi przypomina Jael, ale zaraz, czy mi się zdaje, czy to rzeczywiście ona, ma inny kolor włosów, stonowany miodowy brąz zastąpił krzykliwą czerwień, ciało skurczyło się nie do poznania, to ona, czy to możliwe, żeby zmieniła zdanie i wzięła do siebie małego Micheasa, aby już zawsze być matką? Skradam się za nią potajemnie, podglądam ją ze wzruszeniem przez sklepowe półki, boję się jej pokazać, gdzie się podziała, zaglądam w każdą alejkę i nic, już prawie się poddaję, gdy zauważam przy kasie szczupłą postać

w obcistych džinsach i trykotowej koszulce, nikt by się nie domyślił, że rodziła, wykłada kolejno na taśmę sery, śmietanę, masło, a potem butelki dla dziecka, pieluszki i mleko w proszku, to ona czy nie ona, nagle spogląda w moją stronę i nie mam wątpliwości, nikt inny nie może mieć takich oczu, zamieram wśród regałów i czekam, a kiedy wychodzi, uciekam stamtąd i biegnę z płaczem przez całą drogę do domu, kiwając rękami jak złamanymi skrzydłami w letnim powietrzu, wpadam na naszą ulicę, siadam na ławce, próbuję się uspokoić, nim wejdę do mieszkania, moja radość miesza się z dzikim strachem, jakbym się uratowała z wypadku i dopiero teraz uświadomiła sobie, jak mogło być strasznie, więc nie oddała dziecka, wychowuje je sama, Chawie udało się naprawić szkodę i zapobiec nieszczęściu, w które omal jej nie wpędziłam, wpłynęła na jej decyzję, dlaczego mi nie powiedziała, mogłam dożyć swoich dni, nie mając o tym pojęcia.

Noga za nogą wlokę się po schodach, otwieram drzwi prosto na zaskoczoną buzię Noi, co się stało, pyta, ja mruczę niewyraźnie, nic, padam na kanapę i wybucham płaczem, zdarzyło się coś dobrego, uratowałam się cudem, ale ona, nieprzekonana, prosi, opowiedz mi wszystko, mamu, jutro będę już miała dziesięć lat, możesz mi opowiedzieć. Niewłaściwie zajęłam się pewną dziewczyną z ośrodka, mówię, bałam się, że przeze mnie oddała swoje dziecko, dziś zobaczyłam ją z nim, Noa przygląda mi się ze zdziwieniem, prawie drwiąco, nie rozumiem, jak mogłaś się czuć winna, nawet gdyby je naprawdę oddała, to przecież nie przez ciebie, takiej ważnej decyzji nie podejmuje się chyba pod wpływem jednej osoby, czy ktoś mógłby cię przekonać, żebyś mnie oddała? Ja szlocham, skąd, Nojeczko, ale to co innego, kiedy się

urodziłaś, byłam starsza, no i miałam tatę. A teraz, kiedy nie masz taty, oddałabyś mnie, pyta poważnie, rzeczowo, z nieustraszoną miną, gotowa przyjąć każdą odpowiedź, ja odpowiadam, zupełnie oszalałaś, nie mogłabym żyć bez ciebie.

Przez to odeszłaś z pracy, pyta dalej i zaraz oświadcza radośnie, to teraz możesz wrócić, ja kręcę głową, nie wiem, Nojeczko, wcale nie mam pewności, ona woła, gdzie ozdoby do tortu, ja wyciągam przed siebie puste ręce, byłam tak zaskoczona, że zapomniałam na śmierć, ona podaje mi rączki, nic się nie stało, mam, niech będzie bez dekoracji, przytulałam ją z całych sił, niemal miażdżę w uścisku, Nojeczko, skarbie, tak bardzo cię kocham, a ona mówi, ja ciebie też, cieszę się, że mnie nie oddałaś.

Biorę telefon do sypialni, zamykam za sobą drzwi, w słuchawce odzywa się energiczny, zdecydowany głos, ileż sił w tej kobiecie, zawsze rześka, nawet pod koniec dnia, i jęczę, chciałam ci podziękować, Chawa, jestem ci naprawdę wdzięczna, uratowałaś mi życie, ona, zdziwiona, rzuca, Na'ama, właśnie o tobie myślałam, nawet nie pyta, za co jej dziękowałam, i wiem, że już nie będziemy do tego wracać. Co myślałaś, pytam, a ona mówi, akurat dzwoniła do ciebie Chani, nie może się pozbierać, jest w złym stanie, trochę mnie zaskakuje, że w ogóle o niej wspomina, bo zwykle po porodzie odsyłamy dziewczyny do poradni w miejscu zamieszkania, staramy się trzymać je z dala od nas, od żywego wspomnienia o potwornym zrzeczeniu, i z żalem sobie przypominam, jak Chani dzwoniła do mnie tamtej nocy, kiedy różowy sweterek rozsypał jej się pod palcami, nie dotrzymałam słowa, nie przyniosłam jej nowego swetra, nagle nie mogę się doczekać, żeby się z nią zobaczyć, mam

jej tyle do powiedzenia, powinnam była być przy niej także po rozstaniu z córeczką, jak można je tak odprawiać i nie oglądać ich więcej, przecież najgorsze czeka je dopiero po opuszczeniu ośrodka, muszą żyć dzień za dniem, godzina za godziną w cieniu tamtej decyzji, trzeba im pomóc, upewnić się, że się nie będą karały przez lata bezpłodnością czy nieudanym małżeństwem.

Co tam w domu, dopytuje się Chawa, jak twoja córka, dziwi mnie, że nie wiedzieć czemu ona, wiecznie zajęta, tym razem chce sobie pogadać przez telefon. U Noi wszystko w porządku, ma jutro urodziny, ona mówi z naciskiem, gratulacje, jakby to było niezwykle osiągnięcie, i natychmiast dodaje, co z Udim, ja odpowiadam, jest za granicą, dawno się nie odzywał, ona na to, pamiętaj, wolno oglądać się wstecz wyłącznie pod warunkiem, że nogi niosą naprzód, a ja, nie martw się, Chawa, on nie wróci.

Nie o to chodzi, karci mnie, pytanie brzmi, czy ty pozwolisz sobie na powrót do takich stosunków, przerywam jej, nie uwierzysz, ale prawie o tym nie myślę, wydaje mi się czasem, że jeszcze nie dorosłam, ona wzdycha i stwierdza z satysfakcją, wiedziałam, że jesteś silniejsza, niż ci się zdaje, tylko pamiętaj, że zmianom w życiu nigdy nie ma końca, to codzienna walka, nie wolno pozwolić, żeby ktokolwiek zawładnął twoim światem, nie zapominaj o tym, dodaje z patosem, jakby żegnała się ze mną na zawsze, niepokój jak ostry dziób wwierca mi się w czaszkę, dobrze się czujesz, Chawa, wszystko u ciebie w porządku?

Dziś idę na operację, oznajmia beznamiętnie, nie będzie mnie kilka tygodni, ja, bliska krzyku, pytam, to coś poważnego? A ona odpowiada, chodzi ci o to, czy da się z tego wyleczyć? Nie wiem, zawsze się staram być optymistką,

ja wciskam usta w słuchawkę, strasznie mi przykro, nie wiedziałam, że jesteś chora, ona mówi, nikt nie wiedział, to trwa już kilka lat, więc pytam, mogę ci jakoś pomóc?

Tak, odpowiada, chcę, żebyś do nas wróciła, Anat sobie bez ciebie nie poradzi, potrzebna nam w ośrodku twoja dusza, ja wzdycham z lekceważeniem, właśnie próbuję się jej pozbyć, jak dotąd przyniosła mi same zmartwienia, a ona woła, nawet o tym nie myśl, nie drwij z daru, jaki dostałaś, nawet jeżeli wiążą się z nim pewne obciążenia, ja milknę, mam przed oczami nasz dom, piękny i tajemniczy, smutne dziewczyny jak anioły wędrują w górę i w dół po kamiennych stopniach, przy sercu każdej z nich bije drugie, maleńkie serduszko, ależ za nimi tęskniłam, i szepczę ochryple, wrócę, Chawa, na pewno wrócę.

Rano słyszę dziwne szelesty, jakby suche kości rozsypywały się w proch w moim łóżku, i widzę koło siebie na materacu żółte, kruche liście, które wtargnęły przez okno, liczę je ze wzruszeniem, nie do wiary, jest ich dokładnie dziesięć, po liściu na każdy rok, bo przecież to także moje urodziny, a w każdym razie mojego macierzyństwa, układam je wokół siebie, przyglądam się im z radością i triumfem, jakbym własnymi rękami pokonała to lato i intronizowała jesień, nie dlatego, że wolę jesień, tylko dlatego, że jedynie w tej upartej cykliczności możemy znaleźć pociechę. Z nadzieją odpowiadam na wezwanie telefonu i słyszę czysty głos Arnosa, który prosi, żeby przekazać Noi, wciąż jeszcze śpiącej, że jedzie z rodzicami do Ejlatu i nie będzie go na urodzinach, po czym dodaje, że Ron i Asaf też nie przyjdą, bo są za granicą, a kiedy Noa się budzi, dzwoni Nican, zawiadamiając, że ma grypę, i ze złością rzucamy się na balony,

wdmuchujemy do nich gorące, gniewne powietrze, skuwamy je tasienkami jak grupę niebezpiecznych więźniów.

Noa blednie z napięcia, gdy dotyka jednego z balonów, ten pęka, obie odskakujemy ze strachem, jakby samochód-pułapka wybuchł nam w salonie, i kiedy pęka kolejny, sam z siebie, kolorowe balony zmieniają się w naszych wrogów, poruszamy się wśród nich niepewnie, boimy się odetchnąć. Noa kąpie się szybko, pozwala, żebym jej rozczesała włosy, potem staje przed lustrem, mierzy bluzki, spodnie, sukienki, wyrzuciła już na podłogę całą zawartość szafy, wreszcie przychodzi do mnie w samych majteczkach, jej sutki otwierają się do mnie jak kwiaty do słońca, nie mam co na siebie włożyć, mówi bliska łez, czy tata zabrał wszystkie ubrania ze swojej szafy? Chyba tak, wzdycham, poszukaj sama, ona kopie ze złością w drzwi, w ogóle o mnie nie pomyślał, jak mógł mi to zrobić, siada na podłodze i płacze, ja nachylam się nad nią, może jednak masz coś ładnego u siebie, niemożliwe, żeby wszystko już było za małe, ale zaraz wracam do kuchni, nie zacznę jej teraz ubierać, nie wolno mi występować z żadnymi propozycjami, to jej sprawa. Lubię tylko jego ubrania, szlocha, wysuwa nogę i kopie w kanapę, która natychmiast odpowiada jej gęstym obłokiem kurzu, ja udaję zajęta, otwieram i zamykam lodówkę, aż zapada cisza, mija prawie godzina, zanim wychodzi z pokoju w niebieskiej, aksamitnej bluzce, którą jej kiedyś kupiłam, przekorne loki ściągnęła gumką.

Wyglądasz ślicznie, zachwycam się, spójrz, jak ten kolor pasuje ci do oczu, patrz, jaka jesteś ładna, kiedy nie chowasz buzi, widzę, że jest zadowolona, wspólnie przeprowadzamy ostatnią lustrację mieszkania, w każdym kącie leżą nożyczki, klej, papier kolorowy, koraliki i modelina, w lodówce



czeka czarne czekoladowe serce, bez dekoracji, z jego komór sterczy jedenaście świeczek, a nad nim stoją butelki z napojami, jak uzbrojeni strażnicy. Na stole porozstawiałyśmy talerze pełne chipsów, jedna z płyt już gra hałaśliwie, niemal zagłusza dzwoniący telefon, zagryzam wargi, byle nie kolejna odmowa, słyszę, jak Noa pociesza słuchawkę zgaszona, w porządku, nie szkodzi, innym razem, jakby jutro miała następne urodziny. Marwa ma trening piłki nożnej, którego nie może opuścić, szepcze, a ja myślę o tych, którzy w ogóle nie fatygują się, żeby zadzwonić, pewni, że wszyscy inni przyjdą i nikt nie zauważy ich nieobecności, im bliżej wyznaczonej godziny, tym mocniej zaciskam wargi, mówić coś czy nie, nabrać wody w usta czy otworzyć jęczącą się ranę, co Chawa by zrobiła na moim miejscu, prawdopodobnie nic, przecież i tak nie zdołam jej pocieszyć. Noa udaje spokojny, ale widzę, jaka jest spięta, mruga nerwowo oczami, ciągle spogląda na zegar, więc wychodzę na balkon z papierosem, pomimo upału siadam przy balustradzie, stąd mogę obserwować rozwój wypadków, będę wszystko widziała na moment wcześniej niż ona.

Słyszę zbliżające się śmiechy, nachylam się i patrzę w dół, to Szira i Meiraw, jej przyjaciółki z dzieciństwa, przechodzą pod naszym domem, wesoło trąkając, oddycham z ulgą, przyjdą przynajmniej one, i wtedy z przerażeniem widzę, że mijają wejście i idą dalej w swoją stronę, mało brakuje, a zawołałabym, chodźcie na urodziny, nie bojkotujcie jej, ale znikają już na spadku ulicy, może idą po prezent i zaraz wrócą, próbuję się pocieszać, i znowu dziecięce głosiki łaskoczą ucho, wychylam się z balkonu, żeby lepiej zobaczyć, to tylko grupka maluchów, które nas nie ocala, i już karzę sama siebie, myślałaś, że urodziny przekreślą wszystkie

problemy? Będzie dokładnie odwrotnie, przecież od roku nikt nie dzwoni, nikt jej nie zaprasza, nikt do niej nie przychodzi, co sobie wyobrażałaś, że przyjdą z litości, z grzeczności? To się nie zdarza u dzieci, i może tak jest lepiej, odwracam się, widzę, że ona stoi na progu balkonu, śledzi moje obserwacje, nie przyszli, już wpół do piątej, szepcze ze wstydem, żeby nikt nie usłyszał.

Dlaczego nie przychodzą, Noa? pytam ze smutnym uśmiechem, ona spuszcza wzrok, bo mnie nie lubią, ale dlaczego, córeczko? Nie wiem, mówi, to, co dla nich ciekawe, mnie nudzi, co dla nich śmieszne, mnie nie śmieszy, podchodzę do niej, a co cię śmieszy, Nojeczko? To mnie śmieszy, wskazuje na wysprzątany dom, balony nabrzmiałe nadzieją, kąciki zabaw i talerze chipsów, jej śmiech zmienia się w suchy, szczekliwy kaszel, podaję jej szklankę wody, pomagam się napić, bo ręce jej drżą, źle się czuję, stęka, chcę się położyć do łóżka. Prowadzę ją w milczeniu do pokoju, układam wśród nożyczek i rolek taśmy klejącej, całuję wysokie czoło, pokrywające się potem, a wtedy ktoś puka do drzwi, ona drętwieje i chowa się pod kołdrę, nie otwieraj, mamó, błaga, lepiej nie wpuścić nikogo, niż żeby były tu dwie, trzy osoby, które zobaczą, że oprócz nich nikt nie przyszedł.

Zgadzam się z nią całkowicie, kto ma siłę udawać wesołość przed jednym czy dwojgiem dzieci, ale pukanie nie ustaje, nasila się w przekonaniu, że ktoś jest w domu, podaję jej rękę, chodź, Nojeczko, pójdziemy otworzyć, nie masz wyjścia, zaprosiłaś ich, nie możesz się teraz wycofać, ona wstaje z obawą, powiedz, że jestem chora, prosi błagalnie, powiedz, że musiałam wszystko odwołać i nie zdążyłam zawiadomić, co ci zależy, ale ja nie ustępuję, nie mogę cię kryć, sama powiedz, że jesteś chora.

Podchodzimy do drzwi, trzymając się za ręce, Noa otwiera je z lękiem, uwiązane w progu balony wsadzają nosy do środka jak gromadka ciekawskich dzieci, garną się do nas, mrugając wąskim, piaskowym okiem, wokół którego stopniowo narasta opalona, napięta twarz, ona podchodzi powoli, z niedowierzaniem, jakby się bała, że twarz zaraz pęknie, zostaną z niej tylko kolorowe strzępki, i na jej wargach pojawia się uśmiech, coraz szerszy. Patrzę, jak ciasne wejście wypełnia się jego ciałem, zza kanciastych ramion, zza długiego, niemego uścisku, w którym zastygli przede mną jak dwie woskowe kukły, przebija się do mnie zwyczajne światło letniego popołudnia, błogosławionej powszedniości, wolnej od oczekiwań i wszelkiej podniosłości, zwiastując wieczór, który już ku nam zmierza, unosząc w górę różdżkę chłodnej nocy, wicherząc złote liście topoli, poza tym nie ma ani jednej rzeczy, którą wie się na pewno, zresztą wydaje się, że żadne gwarancje nie są już potrzebne, ani z ziemi, ani z nieba, tata, mówi Noa spokojnym, zaskakująco dojrzałym głosem, pamiętałeś, wiedziałam, że będziesz pamiętał.